

**JUDITH GOULD**

**NAJLEPSZE PRZYJDZIE JUTRO**

*(The best is yet to come)*

Przełożyła Katarzyna Kasterka

## Rozdział 1

Gdzie Richie? - spytał Lyon. Ściągnął bluzę i niedbale rzucił na krzesło.

- Zaraz po szkole poszedł z Jeffem Adlerem do kina - wyjaśniła Carolina. Wsunęła jedwabne kimono na szczupłe, nagie ciało i luźno ściągnęła w talii paskiem. W kącikach jej ust pojawił się tajemniczy uśmiech.

Na ten widok Lyon też uśmiechnął się szeroko, odsłaniając przy tym idealnie równe, białe zęby.

- Przekupiłaś go?

Szybko zdjął spodnie od dresu, zmiął w kłęb i rzucił na bluzę. Carolina wybuchnęła śmiechem.

- Nie musiałam. Kiedy byłeś na siłowni, Richie zadzwonił od Jeffa i spytał, czy może iść.

- To bardzo ładnie z jego strony, że podarował nam kilka chwil. - Odwrócił się i chwycił żonę w ramiona, po czym pochylił się i pocałował ją mocno w usta. - Jest nieodrodnym synem swojego ojca, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości.

- Chcę nieskromnie zauważyć, że po matce też co nieco odziedziczył - wtrąciła Carolina.

Lyon skubnął wargami koniuszek jej ucha.

- Oczywiście - zgodził się od razu. - Ty też postąpiłaś bardzo roztropnie, biorąc sobie wolne popołudnie.

- Hm - mruknęła cicho i pogładziła jego wilgotne od potu plecy. Uwielbiała, jak ją obejmował i przyciskał do muskularnego ciała. - Jakże mogłabym puścić cię w świat bez właściwego pożegnania?

- Zaczynam się zastanawiać - rzucił przekornym tonem - czy rzeczywiście kierowałaś się roztropnością czy może tylko własnymi pragnieniami.

Carolina lekko, żartobliwie szturchnęła go pięścią.

- Och, ty!

- Lepiej miej się na baczności. - Chwycił ją za rękę i nie wypuszczał z uścisku.

- Nazywaj to sobie, jak chcesz, ale przed twoim wyjazdem chcę się jeszcze zabawić.

Uniósł jej dłoń do ust i czule ucałował.

- Zrobimy tak: wskoczę na moment pod prysznic, a potem będziemy mogli się zabawiać, ile tylko zechcemy.

Carolina skinęła głową.

- Doskonały pomysł - odrzekła, spoglądając mu głęboko w oczy.
- Zaraz wracam. - Klepnął ją lekko w pośladek i wypuścił z objęć.
- Tylko się pospiesz. Licznik bije.

Usiadła na łóżku, patrząc, jak mąż ściąga koszulkę i rzuca na stertę piętzącą się już na krześle. Wciąż ma wspaniałe ciało, pomyślała, gdy Lyon zniknął za drzwiami łazienki.

Oparła się o poduszki i uśmiechnęła na myśl o tym, co wkrótce miało nastąpić. Chwilę później usłyszała szum wody i głos Lyona fałszującego niemiłosiernie jakąś melodię. Sięgnęła po stojącą na stoliku szklankę z wodą mineralną, uniosła się na łokciu i wypila długi łyk.

Znowu opadła na poduszki, rozejrzała się po pokoju i zatrzymała wzrok na garniturze wiszącym w plastikowym worku na drzwiach łazienki. Westchnęła ciężko. Nienawidziła tych wyjazdów Lyona - byli małżeństwem od siedemnastu lat, a ona wciąż ich nie znosiła.

Dwa tygodnie. Dwa długie tygodnie. Będzie pracować, wypełniać obowiązki matki - i wszystko, co się z tym łączy. Ale przede wszystkim czekać. Tak. W każdej chwili będzie jej towarzyszyć oczekiwanie, pomyślała smętnie. Oczekiwanie na powrót Lyona.

Chociaż jeszcze gorsze od jego nieobecności były chwile, gdy wracał do domu, ale wydawał się taki daleki i roztargniony. Jakby myślami błądził w zupełnie innym świecie. Na szczęście nie bywa tak ciągle, pocieszyła się szybko. Nie mogła jednak całkowicie ignorować faktu, że ta tendencja ostatnio się nasiliła. Od kiedy stał się obojętny na jej uczucia? I czy to jedynie stan przejściowy - może rezultat problemów w pracy - czy też nieuchronny znak, że ich małżeństwo, podobnie jak wiele innych związków, kiedyś wprost idealnych, znalazło się na niebezpiecznym zakręcie?

Przez ostatnich parę lat zapewniała się po cichu, że w ich małżeństwie nie mogłoby się wydarzyć nic złego, a gdy teraz szum wody nagle ucichł, uśmiechnęła się z zadowoleniem na myśl, że wkrótce Lyon znajdzie się przy niej w łóżku. Namiętny seks przed jego wyjazdem stał się już niemal rytuałem. Bez względu na to, jak bardzo była zajęta, przez owe wszystkie lata zawsze dbała, by tuż przed wyjazdem męża mogli spędzić trochę czasu we dwoje.

Lyon wyszedł z łazienki, energicznie wycierając włosy ręcznikiem. Miał czterdzieści pięć lat, lecz dzięki siłowni zachował wspaniałą sylwetkę. Co prawda twierdził, że nienawidzi ćwiczeń fizycznych, ale przez ostatnie trzy lata trenował zawzięcie, próbując powstrzymać działanie czasu.

Rzucił ręcznik na podłogę i spojrzał na Caroline przeciągle.

- Zaraz się do ciebie zabiorę - wymruczał.

- Obiecujesz?

W okamgnieniu znalazł się obok niej na łóżku, chwycił ją w ramiona i zaczął namiętnie całować. Carolina odwzajemniała pocałunki, rozkoszując się dotykiem jego warg.

Lyon szybkim ruchem wsunął dłoń pod kimono i zaczął delikatnie pieścić jej piersi. Przyciągnął ją bliżej do siebie, przycisnął usta do warg Caroliny i wodził dłońmi po jej gładkim ciele.

Chwilę później odsunął się, by ściągnąć z niej kimono. Ustami powędrował w stronę nagich piersi, zaczął pieścić je językiem. Carolina objęła go mocno za szyję, coraz bardziej podniecona. Lyon wsunął dłoń pomiędzy jej nogi i zamruczał z aprobatą, czując jak bardzo jest gotowa.

Uklęknął pomiędzy jej udami i rozsunął szeroko. Pochylił się, łakomie przywierając ustami do jej warg, a potem wszedł w nią powoli. Carolina jęknęła z rozkoszy i przyciągnęła go ku sobie gwałtownie, by poczuć go jeszcze mocniej i głębiej. Lyon zanurzał się w nią i wysuwał - najpierw wolno, potem coraz szybciej.

Przywierała do niego całym ciałem. Chwilę później krzyknęła, gdy przeszył ją dreszcz rozkoszy. Lyon poczuł jej drzenie, natarł jeszcze gwałtowniej i po chwili i z jego ust także wyrwał się głośny jęk. Opadł na nią, głośno chwytając ustami powietrze, po czym przytulił ją mocno i zaczął pokrywać jej twarz delikatnymi pocałunkami.

- Kocham... cię... Carolino - wyszeptał.

Tuliła się do niego z całej siły, przepelniona miłością. W tym momencie ogarnęło ją przekonanie, że ich miłość jest tak potężna, tak absolutna, że nikt ani nic nigdy nie może jej zburzyć.

- Ja... też... cię kocham - odrzekła cicho.

Kiedy wreszcie oboje odzyskali oddech, Lyon zsunął się na bok, otoczył ją ramieniem, a wolną ręką zaczął gładzić jej ciało. Delikatnie całował szyję i włosy żony, raz po raz powtarzając, jak bardzo ją kocha.

Carolina wsparła się na łokciu i spojrzała mu w oczy.

- Będę bardzo za tobą tęsknić - powiedziała z uśmiechem.

- Ja też będę za tobą tęsknił, skarbie. Ale przecież nie wyjeżdżam na wieki.

- Mam nadzieję, że wrócisz na urodziny Matta. Szykuję dla niego przyjęcie.

- Za nic w świecie nie opuszczę tej imprezy. Przecież wiesz. Carolina mocno go uściskała.

- Matt będzie bardzo szczęśliwy, jeśli przyjedziesz. Twoja przyjaźń wiele dla niego znaczy.

Pocałował ją w czubek nosa.

- Obiecuję, że się stawię, możesz być tego pewna. - Odsunął się trochę, by spojrzeć jej w oczy. - Ale jakim cudem znajdziesz jeszcze czas na urządzenie tego przyjęcia?

- Mam ten dzień od dawna zaznaczony w kalendarzu. I nic mnie nie powstrzyma. Choćby mi zlecili oprawę najbardziej wykwintnej gali.

- Powoli stajesz się prawdziwą kobietą interesu. Czy to oznacza, że wkrótce zostanę zepchnięty w kąt, podczas gdy ty będziesz najbardziej rozchwytywaną florystką w Nowym Jorku?

- W żadnym razie. Ani przez moment na to nie licz. Dobrze wiesz, że nigdy nie pozwolę, by praca stała się dla mnie ważniejsza od ciebie, od naszej rodziny.

Pocałował ją w usta.

- Wszystko już masz dobrze obmyślane, co?

- Staram się - odrzekła Carolina. - A właściwie sytuacja zmusza mnie do coraz bardziej szczegółowego planowania. Mamy tak dużo pracy, że być może będę musiała zatrudnić dodatkową osobę w kwaciarni. - Zamyśliła się na moment. - Ale wciąż jeszcze nie podjęłam ostatecznej decyzji - podjęła po chwili. - Nadchodzi lato, bogaci klienci wyjeżdżają na wakacje i wszystko się nieco uspokaja. Chociaż nie wiem, jak to będzie wyglądać w tym roku.

- A co się tak zmieniło?

- Ilość zamówień, ot co. Zainteresowanie jest tak duże, że jeśli nawet ruch nieco się zmniejszy, i tak będziemy mieć pełne ręce roboty.

- To dlatego, że wszystkie twoje prace są wyjątkowo piękne - oświadczył Lyon. - Zawsze jesteś o krok do przodu przed innymi, a każde twoje dzieło wygląda perfekcyjnie.

- Jesteś kochany. - Carolina cmoknęła męża w policzek. - Chociaż tak naprawdę to wszystko jest bardziej skomplikowane, sam wiesz. Ale dość już o moim zwariowanym interesie. Co miałbyś ochotę zjeść, zanim pojedziesz na lotnisko? Mogę ci zrobić jeden z moich słynnych omletów albo... Lyon zdecydowanie pokręcił głową.

- Nie, dziękuję. Zjem trochę musli i może banana. Nie mam już dużo czasu.

- Tak, wiem. - W głosie Caroliny zabrzmiał smutek. Niekiedy Lyon sprawiał wrażenie, jakby już nie mógł się doczekać, kiedy wyjdzie z domu. Podniosła się i szybko przywołała na twarz uśmiech. Nie chciała pokazywać mężowi, jak bardzo jej smutno za każdym razem, gdy on leci do Europy. - Garnitur, który chciałeś włożyć na drogę, jest już naszykowany - rzuciła lekkim tonem. - Walizki spakowane. Jesteś gotowy?

- Gotowy - potwierdził, siadając na łóżku. - Może zaparzyłabyś mocnej kawy, gdy

będę się ubierał?

- Masz na myśli najprawdziwszego szatana?

- Właśnie.

- Już się robi.

Popijali razem kawę, siedząc przy dużym stole w aneksie jadalnym. Carolina spojrzała na męża znad kubka.

- O czym myślisz? - spytała po chwili. Na jej twarzy malowała się czułość.

Jezu Chryste, pomyślał Lyon pełen obrzydzenia do samego siebie i odwrócił szybko wzrok, by przypadkiem nie dostrzegła w jego oczach poczucia winy. Wciąż bardzo ją kocham. Nienawidzę siebie za to, że będę ją musiał zranić - i to najboleśniej, jak można. Ale kiedy wrócę z Amsterdamu, muszę jej wreszcie o wszystkim powiedzieć. Nie mogę żyć z taką tajemnicą. To mnie wykańcza.

- O niczym istotnym - odrzekł, starając się nadać głosowi beztroskie brzmienie. - Prawdę mówiąc, dziwiłem się w duchu, że Richie nie przyszedł się ze mną pożegnać. Jeszcze niedawno za nic w świecie by z tego nie zrezygnował.

Carolina uśmiechnęła się i westchnęła.

- To się nazywa być szesnastolatkiem - powiedziała. - Teraz Richie przede wszystkim zajmuje się własnymi sprawami.

- Właściwie to na jaki film dzisiaj poszedł? - zainteresował się Lyon, bo w słowach żony wyczuł nutę wymówki. Zdawał sobie sprawę, że nie spędza z synem tyle czasu, ile powinien, a to tylko potęgowało poczucie winy, jakie gnębiło go z powodu sekretnego związku z Monique w Amsterdamie.

Carolina wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Nie masz pojęcia?! - oburzył się.

- Nie - zachnęła się ostro.

- Nie sądzisz, że Richie powinien być pod nieco większym nadzorem? Przecież to jeszcze dzieciak. Mógł pójść na jakąś krwawą jatkę czy coś w tym rodzaju.

Ledwo wypowiedział te słowa, poczuł się jak najgorszy hipokryta. Jak śmie krytykować Caroline, skoro sam nigdy nie poświęca synowi należytej uwagi?

- Ten, jak go nazywasz, dzieciak będzie miał wkrótce prawo jazdy, Lyonie - odparła dość ostro. - Na Boga, przecież on już chodzi na randki! Wie więcej na temat seksu, narkotyków, paskudnych chorób i innych niebezpieczeństw czyhających w świecie niż ja, gdy wychodziłam za męża.

- To były inne czasy - stwierdził Lyon już łagodniejszym tonem. W żadnym razie nie zamierzał urazić żony, a tymczasem nie ulegało wątpliwości, że właśnie to zrobił.

Carolina głośno westchnęła, próbując się opanować.

- Posłuchaj, Lyon, Richie ma określone zasady i dużo zdrowego rozsądku. Oczywiście nie jest idealny, ale niewątpliwie bardzo dojrzały na swój wiek. Wielokrotnie rozmawialiśmy na różne trudne tematy i wiem, że mogę mu zaufać. On też ma do mnie zaufanie.

Lyon patrzył na żonę przez chwilę, nie mogąc się uwolnić od poczucia winy.

- Wybacz Carolino - powiedział w końcu. - W żadnym razie nie powinienem cię krytykować. Po prostu czasami martwię się o Richiego. Tak często mnie nie ma i sam wiem, że go zaniedbuję. Coraz mniej znam własnego syna.

- Ja też cię przepraszam. Przecież kiedy jesteś w domu, starasz się spędzać z Richiem więcej czasu. On cię uwielbia, Lyonie. Wręcz bałwochwalczo. Ale dorasta, staje się już mężczyzną. - Odstawiła kubek z kawą. - To trochę zaskakujące. Wydaje się, że dopiero co bawił się samochodzikami, a tymczasem nie może się już doczekać prawa jazdy. I do tego chciałby mieć motocykl.

- Motocykl? - Lyon spojrzał na nią z niedowierzaniem.

- Właśnie. - Uśmiechnęła się krzywo.

- Jezu! - westchnął. - Motocykle są takie niebezpieczne, a on jest jeszcze taki młody. Na dodatek...

- Na dodatek widział cię na zdjęciach na twoim starym motorze - przerwała mu Carolina.

Lyon potrząsnął głową, jakby próbował dojść do ładu z całkiem nową rzeczywistością.

- Tak, ale... ale to nie to samo.

- Jak to: nie to samo? Byłeś zaledwie kilka miesięcy starszy od Richiego, kiedy dostałeś pierwszy motocykl. Wówczas ani przez moment nie myślałeś, jakie to niebezpieczne. Czuleś się mężczyzną, byłeś spragniony nowych wrażeń. Rządziły tobą hormony.

- Hormony? - powtórzył pustym głosem, niemal jakby mówił sam do siebie.

Carolina wybuchnęła śmiechem.

- Myślę, że powinniście spędzić razem z Richiem jakiś czas na wsi, może po urodzinach Matta.

- Zapewne masz rację - zgodził się Lyon. - Aż do dziś byłem pewien, że wszystko jest wciąż na etapie deskorolki.

- To było wczoraj - powiedziała Carolina. - Tak samo jak pluszowe zabawki.

- Niewiarygodne. - Lyon potrząsnął głową, po czym zerknął na zegarek. - Cholera, teraz już naprawdę muszę się spieszyć. - Zerwał się z krzesła, chwycił teczkę z kontuaru oddzielającego aneks jadalny od kuchni i schylił się po walizkę.

Carolina odprowadziła go do holu. Lyon nacisnął guzik windy otwierającej się wprost na apartament, odstawił bagaże i chwycił żonę w ramiona.

- Będę za tobą tęsknić - zapewnił i pocałował ją w usta.

- Ja też. - Starła się, by jej głos brzmiał pogodnie. Nienawidziła tych podróży służbowych męża, ale rytuał - jak seks przed samym wyjazdem - był dla niej bardzo ważny. Gdyby nie pożegnała się z Lyonem jak należy, a jemu przytrafiło się coś złego - nigdy by sobie tego nie darowała.

- Nie zostanę tam długo; obiecuję, że wrócę na urodziny Matta. To będzie dobra okazja, bym spędził z Richiem trochę czasu. Najwyraźniej mam do nadrobienia wiele zaległości, gdy chodzi o mojego syna.

I o moją żonę, dodał w duchu.

- Uhm. - Przytaknęła z uśmiechem. - Wszyscy mamy wobec siebie pewne zaległości.

Drzwi windy się rozsunęły.

- To pa! - Ucałował ją w policzek i podniósł bagaże. - Ja zadzwonię do ciebie, ty nie...

- Wiem, wiem - weszła mu w słowo. - Będziesz trudno uchwytny, więc nie ma sensu cię łąpać. Sam zatelefonujesz w pierwszej wolnej chwili.

W Amsterdamie zawsze zatrzymywał się w mieszkaniu służbowym przy Minervaplein, ale był tak zajęty przez całe dni, że właściwie tylko tam sypiał.

Stojąc w windzie, posłał jeszcze żonie całusa.

- Kocham cię - powiedział.

W tej samej chwili drzwi zasunęły się bezszelestnie i Lyon zniknął Carolinie z oczu.



## Rozdział 2

Tego ranka przenikliwy dzwonek budzika nie był radosną melodią dla uszu Caroliny. Jęknęła głośno, wyciągnęła ramię spod kołdry i po omacku próbowała przerwać ostry, niemiły dźwięk. Palcami uderzyła o szkło i gwałtownie cofnęła rękę, ale było już za późno.

Brzęk rozpryskującej się szklanki z wodą zmusił Caroline do wyplątania się z pościeli.

- Szlag by to trafił! - Chciała zakląć głośno, ale ledwie dosłyszała własne słowa. W gardle ją drapało i czuła palącą suchość w ustach.

Zdecydowanym ruchem wyłączyła budzik. Gdy tylko dzwonek ucichł, usłyszała odgłosy porannego życia jej dzielnicy - Chelsea. Choć jeszcze nie zaczęło nawet świtać, samochody dostawcze przetaczały się z hukiem po ulicach, aż szyby w pobliskich domach drżały. Jakiś robotnik wrzeszczał na całe gardło. Z oddali dochodziło wycie syreny ambulansu.

Carolina uśmiechnęła się lekko, słysząc te znajome dźwięki, i odgarnęła włosy z twarzy. Ziewnęła głośno i przeciągnęła się, by odgonić senność. Opadła na poduszki, ale tylko na chwilę.

- O raaany! - jęknęła głośno, stawiając stopy na podłodze. - Ależ tortura. Co mnie napadło, żeby do późna w nocy oglądać z Richiem film?

W głębi serca oczywiście wiedziała, dlaczego tak długo siedziała przed telewizorem. Lyon był często w rozjazdach, a ona pracowała całymi dniami i miała świadomość, że nie poświęca dostatecznej uwagi synowi. To znaczy w tym czasie, gdy łaskawie zrezygnował z towarzystwa przyjaciół i miał wolną chwilę dla matki.

Uważając, by nie nadepnąć na rozbite szkło, przeszła boso do łazienki. Wyschnięte gardło, obłożony język! Skrzywiła się z niesmakiem. Co, u diabła...?

W tej samej chwili przypomniała sobie. Poprzedniego wieczoru wraz z Richiem pochłonęli całą górę popcornu, wyjątkowo obficie przyprawionego masłem i solą.

Fuj! Nigdy więcej!, obiecała sobie w duchu, choć doskonale wiedziała, że dotrzyma tej obietnicy jedynie do czasu kolejnego seansu filmowego z synem.

Wzięła szybki prysznic w błyszczącej, pełnej szklą i marmuru łazience, po czym pobiegła do kuchni. Uśmiechnęła się krzywo, gdy przypomniała sobie szok, jaki przeżyła na widok sumy, którą pochłonęło urządzenie tego jednego pomieszczenia. Błyszcząca lodówko-zamrażarka najnowszej generacji; elektryczna płyta, piekarnik i kuchenka mikrofalowa Garlanda; szafki z nierdzewnej stali i blaty z czarnego granitu. Lyon nalegał, by kupić

wszystko w najlepszym gatunku, a Carolina nie oponowała. Teraz kuchnia była niemal równie nowa, jak w dniu, gdy zamontowano wszystkie urządzenia, bo nikt nie miał czasu gotować. Wyjątek stanowił ekspres do kawy. Carolina napełniła go wodą i zmielonymi ziarnami wczoraj wieczorem, zanim się położyła, teraz więc wystarczyło wcisnąć guzik.

Szybko wróciła do sypialni i doprowadziła do porządku włosy ufarbowane na ostry, rudy kolor. Były doskonale ostrzyżone brzytwą, sięgały koniuszków uszu i dobre ich uczesanie nie stanowiło żadnego problemu. Wprawnymi, pewnymi ruchami nałożyła eyeliner, tusz, róż i szminkę, po czym uważnie przyjrzała się własnemu odbiciu w lustrze.

Całkiem nieźle, stwierdziła. Właściwie jak na wiecznie niedospaną trzydziestopięciolatkę wygląda doskonale. Uśmiechnęła się szeroko. Twarz gotowa na stawienie czoła światu. Wyraziste oczy, karminowe usta. Super.

Większość przyjaciółek Caroliny żartowała sobie z wysiłków, jakie wkładała w makijaż, bez względu na porę dnia i okoliczności. Carolina uważała jednak, że nigdy nie wiadomo, kogo się spotka za najbliższym rogiem i zawsze chciała wyglądać najlepiej, jak mogła - na wszelki wypadek. Choć nawet ona musiała przyznać, że prawdopodobieństwo natknięcia się na giełdzie kwiatowej przed szóstą rano na kogoś, na kim chciałyby zrobić niezapomniane wrażenie, było niemal zerowe. Z drugiej jednak strony dawno odkryła, że handlujący na giełdzie George'owie - bo tak właśnie ich nazywała, ponieważ chyba wszyscy pochodzili z Grecji i mieli na imię George - doceniali jej zadbane wygląd i często głośno komentowali zarówno urodę, jak i dobry nastrój Caroliny.

Oczywiście żaden z nich nie był Rockefellerem czy też miliarderem nowej ery, który zdołał zbić fortunę na Internecie. Ale co z tego? Wrażenie, jakie na nich wywierała, i doskonały wzajemny kontakt przekładały się na niezliczone przysługi i niebywale korzystne transakcje. Zawsze któryś z George'ow chętnie ukrył przed innymi klientami bukiet zachwycających lilii, by Carolina mogła je zobaczyć pierwsza - zanim ujrzeli je konkurenci. Lub, jeżeli jakieś ozdobne rośliny do kwiatowych kompozycji były akurat mało dostępne na rynku, często któryś z George'ow trzymał je w zakamarku chłodni specjalnie dla Caroliny. Gdy zaś potrzebowała szybkiej dostawy, zawsze ktoś z nich chętnie zjawiał się w jej sklepie w Chelsea z zamówionym towarem, zachwycony, że może wybawić z opresji jedną z najwierniejszych, najbardziej przyjaznych i najpiękniejszych klientek.

Otrząsnęła się z tych myśli i energicznie weszła z powrotem do sypialni. Ściągnęła z siebie stary t-shirt Lyona, służący jej za koszulę nocną, i rzuciła na łóżko. Weszła do garderoby, gdzie królowały robione na zamówienie szafy i komody - po czym zdjęła z wieszaka granatową koszulę z długimi rękawami i beżowe spodnie, z szuflady zaś

wyciągnęła bieliznę. Szybko się ubrała, a na koniec wsunęła stopy w klapki w tygrysi wzór, od Gucciego. Była niemal gotowa. Teraz musiała jedynie włożyć w uszy złote kółka, wsunąć na nadgarstki szerokie bransolety z kości słoniowej i kilka pierścionków oraz obrączkę na palce. Jeszcze tylko złoty łańcuszek na szyję - z którego zwisały złote i srebrne rybki - i była gotowa.

Z prędkością huraganu przemknęła do kuchni i szybko napełniła mały termos kawą, do której dołała śmietanki. Dostała go w prezencie od księgarni internetowej Amazon za mnóstwo książek i płyt CD zamówionych w tej witrynie. Carolina uważała, że to wyjątkowo niegustowne paskudztwo, przekonała się jednak, że jest bardzo użyteczny. Mogła wypić kawę w taksówce, a potem schować termos w swojej przepastnej torbie.

Wzięła klucze i torebkę. Była już gotowa do wyjścia. Teraz pozostała jej jeszcze tylko jedna ważna rzecz do zrobienia. Cicho wślizgnęła się do sypialni Richiego. Po pokoju wałały się rakiety tenisowe, rolki, kilka desek. W kącie stał rower. Nad wszystkim - niczym milczący strażnik - czuwał migoczący wygaszacz ekranu komputera. Chłopiec zmieniał jego wizerunek co jakiś czas. Obecnie widniała na nim mała dziewczynka - symboliczny wizerunek siostrzyczki, o której zawsze marzył. Wciąż jeszcze o tym niekiedy wspominał, choć teraz już jedynie żartem. Najwidoczniej w końcu pogodził się z faktem, że rodzice ograniczą się tylko do jednego potomka.

Carolina na palcach podeszła do brzegu łóżka, wpatrując się w syna. Poczowała przyływ dumy, radości i ogromną miłość. Wyraziste, ale wciąż jeszcze chłopięce rysy. Twarz spokojna, opalona od niemal ciągłego przebywania na świeżym powietrzu.

Jest taki prostoliniorny i niezepsuty, pomyślała. A ja jestem najszczęśliwszą kobietą pod słońcem.

Pochyliła się i delikatnie odgarnęła mu włosy z czoła - brązowe, takiego samego koloru jak włosy Lyona - po czym pocałowała syna.

- Kocham cię - wyszeptała. Richie ani drgnął.

Odwróciła się i po cichu wycofała z pokoju, by nie zbudzić chłopca. Jego budzik zadzwoni dopiero za parę godzin. Idąc w stronę holu, przypomniała sobie, jak poprzedniego wieczoru oboje śmiali się i wygłupiali. To były naprawdę wspaniałe chwile.

Zanim wcisnęła guzik windy, spojrzała jeszcze w duże lustro wiszące nad konsolą w stylu art deco. George'om na pewno spodoba się ten widok, zdecydowała w duchu.

- Carolino! Przepięknie dzisiaj wyglądasz! - wykrzyknął jeden z hurtowników.

- Z ciebie też niezły przystojniak, George! - odkrzyknęła radośnie i posłała mu całusa.

Nie było jeszcze szóstej, ale na giełdzie kwiatowej w okolicach Avenue of the

Americas wprost roilo się od klientów - codziennie ściągali tu tłumnie na długo przed świtem. Od jakiegoś czasu Carolina była zbyt zajęta projektowaniem swoich kompozycji, by regularnie tu zaglądać, więc zakupami zajmowali się Roxie i Antonio - jej zaufani współpracownicy. Dziś jednak postanowiła przyjść sama, by wyszukać coś wyjątkowego na ważne wieczorne przyjęcie, którego oprawę florystyczną właśnie jej zlecono. Roxie i Antonio wkrótce pojawią się w sklepie, być może nawet już tam są, by wykonać kompozycje, które zaprojektowała na tę okazję. Po południu pojedą wraz z nią do apartamentu klientki, by wszystko starannie poustawiać i nadać dziełu ostatni szlif.

Carolina czuła radosne uniesienie, przepychając się przez poranny tłum. Przypomniały jej się chwile, gdy pracowała w małym sklepie w Greenwich Village u Jonathana Mullera, kwiaciarza, który stał się jej przyjacielem. Razem z Jonathanem często przychodzili na giełdę kwiatową prosto po szaleństwach w klubach zamykanych o czwartej nad ranem, wciąż ubrani w wystrzałowe stroje na wieczór. To były wspaniałe, szalone dni, pełne ciężkiej pracy, ale i beztrudnej zabawy.

- Carolino! Kompletnie ogłuchłaś?

Ze wspomnień wyrwał ją głos jednego z George'ów.

- Słucham? - spytała, skupiając na nim uwagę. - Przepraszam, George. Byłam na innej planecie.

- Mówiłem, że mam coś naprawdę wyjątkowego. Jeśli zechcesz, te kwiaty będą twoje.

- Naprawdę? Co to takiego? - Ogarnęła ją ciekawość. Mężczyzna zrobił przebiegłą minę i wskazał skinieniem głowy wejście do swojego sklepu.

- Ukryłem to na zapleczu - oznajmił scenicznym szeptem. - Chodź za mną.

Carolina ruszyła za nim wąskim przejściem pomiędzy kwiatami i innymi roślinami. Zatrzymali się przy wielkiej chłodni na zapleczu.

George otworzył drzwi, pogrzebał przez chwilę w pomieszczeniu, poprzesuwał wiadra z różnymi kwiatami - niektóre wciąż były jeszcze całkowicie zawinięte w papier - aż w końcu znalazł to, czego szukał. Wyciągnął pojemnik, ustawił na usianej liśćmi podłodze i rozdarł kawałek brązowej bibułki osłaniającej kwiaty.

- Popatrz, Carolino! - powiedział z dumą. Carolina spojrzała uważnie na kwiaty.

- Srebrne róże - stwierdziła rzeczowym tonem.

George'owi zrzędła mina w obliczu tak obojętnej reakcji. Pospiesznie zdarł resztę papieru z kwiatów.

- Spójrz jeszcze raz. To nie tylko srebrne, ale irlandzkie srebrne róże. Największe i najpiękniej wybarwione, jakie kiedykolwiek widziałas. Gwarantuję.

- Są przecudne, George!

Choć w wypadku kwiatów wielkość nie zawsze odgrywała rolę - a róże, na które patrzyła, były ogromne - to kolor był zawsze niezwykle istotny - a te miały delikatny, różowofioletowy odcień.

Ależ mam szczęście!, pomyślała. Te kwiaty wydawały się wprost wymarzone na dzisiejsze przyjęcie u Lydii Carstairs. Ściany jej jadalni były pokryte pięknymi tapetami *grisaille* z neoklasycystycznymi motywami - boginkami, kolumnkami, amforami. Srebrne róże będą wyglądać wytwornie i elegancko na ich tle. A Lydia właśnie najwyżej ceniła wytworną elegancję.

Pani Carstairs stała się ostatnio jedną z najlepszych klientek Caroliny. Niebywale bogata i ogromnie popularna w towarzyskim świecie Nowego Jorku, była uważana za wyrocznię w kwestii dobrego smaku, a zdjęcia jej domów i apartamentów często zamieszczano w rozmaitych magazynach. Należała do osób, którym trudno dogodzić - większość ludzi potrafiło dostrzec dwa czy trzy odcienie różu, natomiast ona bez trudu rozróżniała ich kilkanaście. Często, opisując tonację barw, odwoływała się do dzieł starych mistrzów. Mówiła na przykład: „Zależy mi na takiej czerwieni jak u Caravaggia w obrazie «Judyta». Wiesz, mówię o krwi wypływającej z szyi Holofernesa”.

Carolina zazwyczaj dobrze wiedziała, o jakie dzieło chodzi, a jeśli nie - szybko się dowiadywała. Poza tym miała podobne wyczucie koloru jak Lydia - to niewątpliwie jeden z istotnych powodów, dla których ta bogata patrycjuszka zdecydowała się korzystać z jej usług.

Lydia na pewno będzie zachwycona tymi różami, uznała teraz Carolina. Postanowiła zmienić pierwotny projekt i w jadalni ułożyć kompozycję właśnie z tych kwiatów.

- Czy mam ci je przysłać z całą resztą zamówienia? - spytał George, już całkowicie udobruchany jej szczerym zachwytem.

- Nie, George. - Energicznie potrząsnęła głową. - Te skarby zabiorę od razu. Potrzebne mi będą na dzisiejszy wieczór.

- A więc są twoje.

Wyjął naręczę kwiatów z wiadra i przeniósł do frontowej części sklepu, gdzie na roboczym stole zawinął je w duży arkusz papieru. Spojrzał na Caroline, unosząc gęste szpakowate brwi w pytającym geście.

- Coś jeszcze, moja piękna?

- Nie, na dziś to wszystko, George. I jeszcze raz wielkie dzięki za to чудо.

- Kiedy tylko je zobaczyłem, od razu wiedziałem, że to coś dla ciebie - powiedział

z uśmiechem. - Cieszę się, że dzisiaj przysłaś.

- Ja też się cieszę. Ostatnio za rzadko się tu pokazuję.

- Teraz przysyłasz tylko Roxie i Antonia. Stajesz się sławna i bogata, więc zapominasz o nas, starych przyjaciółach.

- Sławna i bogata? Pobożne życzenie! Widzę, że dowcip ci się wyostrzył, George. Niekiedy pracuję dla takich ludzi, ale mnie samej do nich daleko. Dobrze wiesz, że przysyłam tu Roxie i Antonia tylko dlatego, że sama jestem cholernie zajęta.

George uśmiechnął się szeroko.

- Jasne, Carolino. Przecież żartowałem. Ale wiem też, że od pierwszego dnia byłaś skazana na sukces.

- W tym mieście nie ma innego wyjścia.

- Mnie nie musisz tego mówić. Zwycięzasz albo giniesz.

- A więc w takim razie zmykam, by zacząć zwyciężać! - odparła Carolina ze śmiechem. Ruszyła w stronę drzwi ze swoim wielkim pakunkiem w ramionach. W progu się odwróciła i posłała George'owi całusa.

- Do zobaczenia wkrótce. Dzięki raz jeszcze.

Machnął ręką na znak, że to drobnostka.

- Do zobaczenia, moja piękna. Zaglądaj do mnie częściej.

Carolina ruszyła chodnikiem, niezwykle zadowolona z tak rzadkich kwiatów. Dodadzą szczególnej finezji całej oprawie florystycznej dzisiejszego przyjęcia.

Zatrzymała się na chwilę, by uważniej przyjrzeć się obiecująco wyglądającym liliom, w końcu jednak uznała, że są zbyt trywialne i nie pasują do jej eleganckiego sklepu. Zajrzała do jeszcze kilku innych stoisk, zamówiła trochę kwiatów oraz zielonych dodatków, których zapas już jej się kończył, a wszystko to robiła z uśmiechem, żartując ze sprzedawcami. Cierpliwie słuchała, co zmieniło się w ich życiu, a także opowiadała to i owo o sobie.

W końcu pożegnała się z nimi, złapała taksówkę i kazała się zawieźć do kwaciarni. Gdy opadła na siedzenie, niespodziewanie ogarnęła ją melancholia. Na giełdzie pozostała częśćka jej przeszłości, której nigdy nie odzyska. Już nigdy nie będzie wysoką, chudą dziewczyną, wiecznie flirtującą ze wszystkimi George'ami, która skłaniała ich pochlebstwami, by zatrzymywali dla niej najładniejsze kwiaty, czy udzielili rabatu. Oni także się zmienili. Ich mocne oliwkowe ciała zwiotczały, kruczoczarne włosy pokryła siwizna. Większość z nich miała dzieci, ale one uciekły do innych zawodów. I trudno się temu dziwić. Przyszłość rysowała się w ciemnych barwach dla hurtowników kwiatów. Wielu z nich już musiało zlikwidować interes z powodu fali tanich roślin z Ameryki Południowej - przede

wszystkim z Kolumbii. Kolumbijskie kwiaty zalewały rynek, nie trafiając na giełdę, tylko bezpośrednio do sprzedawców detalicznych - zarówno do kwiaciarni, jak i koreańskich sklepów warzywnych, które powstawały wszędzie wokół jak grzyby po deszczu.

Gdy taksówka wolno posuwała się w korku, Carolina po raz pierwszy poczuła, że jakiś etap w jej życiu właśnie dobiega końca. Ogarnął ją żal za tym, co utraciła - latami młodości, beztroską przeszłością. I nagle poczuła się bardzo samotna.

Co się ze mną dzieje?, zganiła się w duchu. Powinnam uważać się za najszcześniejszą kobietę na świecie. Przecież jestem najszcześniejszą kobietą na świecie. Mam kochającego, wspaniałego męża - mimo że połowę czasu spędza poza domem - i wyjątkowo udanego syna. Mam kwitnącą firmę, piękny apartament w centrum miasta i uroczy domek na wsi. Czemu więc czuję się taka samotna?

Potrząsnęła głową, jakby chciała odegnąć od siebie złe myśli.

Może jej nastrój wynika z tego, że tak bardzo tęskni za Lyonem. Tak niewiele czasu ostatnio spędzali razem.

Znowu powróciło do niej wspomnienie chłodnego dystansu męża. Czy naprawdę ostatnio znowu się od niej odsunął? Tak, co do tego nie miała wątpliwości. Lyon coraz więcej czasu spędzał w rozjazdach. A co gorsza, gdy wracał, nie okazywał jej zainteresowania. Przez ostatnie parę lat było wyjątkowo dużo nocy, kiedy od razu zasypiał, nie zwracając najmniejszej uwagi na oczywistą zachętę Caroliny.

Czy to z powodu jego wieku? A może to ona się postarzała? Starła się bardzo, by utrzymać szczupłą sylwetkę i jędrne ciało, i dobrze wiedziała, że mężczyźni wciąż uważają ją za wyjątkowo atrakcyjną - nie zmieniało to jednak faktu, że nie miała już osiemnastu lat. Westchnęła głośno, wyrzała przez okno taksówki i patrząc na zatłoczone ulice, pytała się w duchu: Gdzie podziała się ta szczególna magia łącząca mnie z Lyonem?

### Rozdział 3

Zatrzymała się przed swoim sklepem na Dziewiątej Alei i uważnym wzrokiem obrzuciła wystawę. Skończyła ją wczoraj wieczorem i teraz chciała się upewnić, że witryna odpowiednio przyciąga wzrok. Umieściła tam tylko jedną kompozycję - ustawiła ją w centralnym punkcie na niewielkim kilimie. Z góry oświetlało ją rozproszone światło - tak w ciągu dnia, jak i w nocy. Całą przestrzeń wystawową - zarówno tło, jak i podwyższenie, na którym leżał kilim - pokrywał czarny aksamit.

Spoglądając na wystawę świeżym, krytycznym okiem, Carolina doszła do wniosku, że kompozycja naprawdę jest elegancka. Duży wazon niemal ginął pod ogromnym bukietem ułożonym z różnorodnych kwiatów i ozdobnych dodatków. Były tam białe i różowe peonie, różowe róże w pełnym rozkwicie, mięsiste, czerwone maki, rzadko spotykane różowe geranium, pasiaste, postrzępione tulipany papuzie, królewskie lilie i maleńkie orchidee Rotschilda na długich, delikatnych łądogach.

Ale Carolina nie ograniczyła się jedynie do roślin. W różnych punktach umieściła realistycznie wyglądające owady z drewna i papieru. I tak czarno nakrapiana mucha, mieniąca się oranżem, brązem i bielą, zdawała się krążyć nad kwiatem peonii, a duża ważka jakby przysiadła na chwilę na liściu róży. Na winorośli przycupnął czujnie pasikonik. Przed wazonem stała biało-niebieska miseczka z Delft pełna ciemnoczerwonych wiśni, w których zanurzał długi dziób piękny ptaszek o czerwono-czarno-białym upierzeniu. Na kilimie leżały także świeże owoce - cytryny, gruszki i brzoskwinie - dojrzałe i soczyste, niektóre wciąż jeszcze z fragmentami gałązek.

Carolina była bardzo zadowolona ze swego dzieła - ta wystawa bez wątpienia przyciągnie uwagę przechodniów.

W ciągu ostatnich lat wielu mieszkańców Nowego Jorku przychodziło tu, by oglądać witrynę Caroliny. Jej dzieła nie stały się jeszcze tak słynne jak bożonarodzeniowe kompozycje u Tiffany'ego czy Bergdorfa Goodmana, ale zyskiwały coraz liczniejsze grono entuzjastów, przyjeżdżających specjalnie po to, by zobaczyć, jakie wyczarowała cuda. Coraz więcej fotografików z kolorowych magazynów zjawiało się, by zrobić zdjęcia wystawy. Nawet stacje telewizyjne przysyłały operatorów, by pokazać jej witrynę w lokalnych wiadomościach. Kompozycje w oknie wystawowym były zawsze bardzo ważne - ostatecznie stanowiły wizytówkę firmy - i ta pasja Caroliny szybko zdobyła jej darmową reklamę i licznych klientów.



Po raz ostatni rzuciła okiem na wystawę i wówczas wróciło wspomnienie chwili, która zainspirowała ją do tworzenia tego typu prac. Razem z Lyonem i Richiem pojechali do Holandii. Carolina wędrowała przez sale Rijksmuseum w Amsterdamie i - jak wiele razy przedtem - podziwiała martwe natury starych mistrzów flamandzkich.

Po powrocie do Nowego Jorku szybko powiększyła swoją kolekcję albumów o malarstwo holenderskie, a gdy przeglądała je pewnego niedzielnego popołudnia, wpadła na pomysł, który zaświtał jej już w Amsterdamie. A gdyby tak spróbować odtworzyć w naturze wspaniałe kompozycje z obrazów? Zapewne wielu florystów myślało o czymś podobnym, ale nikt z kwiaciarzy w Nowym Jorku tego nie robił. Następnego dnia o świcie Carolina pobiegła na rynek, kupiła dużo świeżych owoców, przejrzała chłodnię w poszukiwaniu odpowiednich kwiatów i liści, a wśród swoich ozdób bożonarodzeniowych znalazła jakieś owady. Kilim pochodził z jej własnej garderoby, a porcelanowa miseczka - z konsoli w holu.

Tworzenie podobnych dzieł było bardzo czasochłonne, ale stosunkowo proste, natomiast rezultat okazywał się zawsze olśniewający. Antonio sfotografował wiele jej prac do opasłego już teraz portfolio, które trzymała stale pod ręką dla klientów. Czowała, że te flamandzkie kompozycje spodobają się ludziom z lepszych sfer - i instynkt jej nie zawiódł. W rzeczy samej - kilka takich projektów wykorzysta na dzisiejszym przyjęciu. Jak można było przewidzieć, Lydia Carstairs - zapewne najbogatsza jej klientka - zakochała się w tych kompozycjach.

Carolina już chwyciła za klamkę, żeby wejść do sklepu, gdy dziwna smuga na szybie przykuła jej wzrok. Światło padające pod określonym kątem ujawniło zakurzony fragment szkła.

- Cholera! - mruknęła pod nosem. - To niewybaczalne. Po prostu niewybaczalne.

Energicznie otworzyła drzwi, a wówczas rozdzwoniły się umieszczone nad framugą pasterskie dzwonki, które przywiozła z wyprawy do Grecji. Zamaszystym krokiem wkroczyła do kwiaciarni z olbrzymim bukietem w ramionach.

- No, proszę! Jakie łupy! - z zachwytem w głosie zawołała stojąca za kontuarem Roxie. Na jej złocistokakaowej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Trzymając w dłoni francuski bez, teatralnym gestem spojrzała na zegarek. - O, rany, dopiero dochodzi siódma. Jakże miło z twojej strony, że przyszedłeś nam pomóc.

Carolina spojrzała na nią spod oka.

- Gdzie Antonio? - spytała.

Roxie skinęła głową w stronę zaplecza.

- Gada z kimś przez telefon. - Uniosła wymownie brwi.

Carolina wychyliła się i zobaczyła go odwróconego tyłem, szepczącego coś do słuchawki, jakby rozmawiał z współuczestnikiem spisku. Ostatnio w każdej wolnej chwili wisiał na telefonie. Albo ostro flirtował z najładniejszymi klientkami w kwiaciarni.

Och, co tam, pomyślała Carolina. Antonio był bez wątpienia cennym nabytkiem dla sklepu. Jego piękne rysy południowca i seksowny wygląd *macho* ogromnie przyciągały kobiety. Wiele z nich zostawało stałymi klientkami tylko po to, by widywać tego przystojniaka. Poza tym już od kilku ładnych lat był oddanym, zaufanym pracownikiem.

Carolina odłożyła kwiaty i torebkę na blat obok kasy.

- Co przyniosłaś z giełdy? - zainteresował się Antonio, wychodząc z zaplecza.

Usiadł na wysokim stołku przy roboczym stole, chwycił ostry nóż i zaczął wprawnie nacinać grube łydzy róż, by lepiej wciągały wodę. - Wydawało mi się, że mamy już wszystko, czego nam trzeba.

- Na kogo dzisiaj kolej czyszczenia szyby wystawowej? - spytała Carolina, ignorując jego słowa.

- Na mnie - odrzekł Antonio, nie odrywając wzroku od nacinanych łydzy.

- Zostaw więc kwiaty i zrób to jak należy. Chcę, żeby błyszczała. I to w każdym miejscu.

- Ale przecież już ją dziś umyłem - zaprotestował oburzony.

- Nie - odparła ostrym głosem Carolina. - Wyczyściłeś zaledwie dziewięćdziesiąt pięć procent, a to za mało.

- Tak jest, jaśnie pani! - zsalutował przed nią Antonio.

Przez chwilę miał obrażoną minę, a w jego oczach pojawiły się gniewne błyski, szybko jednak odłożył nóż i poszedł po płyn do szyb oraz rolkę papierowych ręczników. Wiedział, że Carolina nie jest kapryśna, jeśli więc chciała, by raz jeszcze wyczyścić witrynę, musiał być ku temu racjonalny powód. Pewnie przeoczył jakiś kawałek szkła.

- Z kim on ostatnio tyle rozmawia? - zwróciła się Carolina do Roxie.

- Nie mam pojęcia. Pewnie z jakąś nową dziewczyną.

- A jak tam przygotowania do dzisiejszego przyjęcia?

- Doskonale - odrzekła Roxie. - Będziemy gotowi na długo przed czasem. Nawet zdążyłam ułożyć bukiety do wystawienia przed kwiaciarnię.

- Wspaniale - ucieszyła się Carolina, podchodząc do jednej z chłodziarek, by przyjrzeć się dziełom Roxie.

Na półce stało kilka metalowych wiader, a w nich bukiety w celofanowych rękawach ozdobionych kolorowymi kokardami. Uśmiechnęła się z satysfakcją. Te małe wiązanki, choć

relatywnie tanie, pozwoliły jej przetrwać w trudnych czasach, na samym początku istnienia kwiaciarni. Dlatego nigdy z nich nie rezygnowała i - jeśli tylko pogoda na to pozwalała - zawsze wystawiała je przed sklepem. Ich układanie zajmowało sporo czasu, ale zawsze cieszyły się dużym powodzeniem. Większość uznanych florystów w Nowym Jorku nie zniżyłoby się do sprzedawania tanich drobiazgów dla masowych klientów, bez względu na ewentualne zyski, Carolina jednak nie miała takich snobistycznych uprzedzeń. Może to przypomina sprzedawanie cukierków za centa, tłumaczyła Roxie, ale te centy dawały dolary.

Z przyjemnością patrzyła, jak późnym popołudniem wracający z pracy ludzie rozchwytywali jej bukiety - zabierali je do domu dla żon, mężów czy kochanek. Wieczorem klienci kupowali kwiaty w drodze na przyjęcia. Niewielki bukiet był zawsze miłym prezentem dla gospodarza czy gospodyni imprezy. A w szczególne dni - jak na przykład w Święto Matki - popyt na te wiązanki był tak wielki, że nie nadążali z ich robieniem. Zaczynali je przygotowywać dzień wcześniej - na trzy pary rąk - a potem w ciągu dnia Carolina ściągала do sklepu jeszcze kilka osób, które czasami pracowały dla niej dorywczo.

Odezwały się dzwonki nad drzwiami. Carolina odwróciła się, spodziewając się ujrzeć Antonia, a tymczasem w progu stanął Seth Foster, olśniewający w doskonale uszytym garniturze. Idealnie ostrzyżone włosy miał zaczesane do tyłu, a na jego twarzy widniała zdrowa opalenizna. W ręku trzymał kosztowną aktówkę.

- Witaj, Seth! - wykrzyknęła Carolina.

Jak zawsze nienagannie elegancki i oszłamiająco przystojny, pomyślała. Był jednym z jej stałych klientów, chociaż przychodził nie częściej niż raz czy dwa w miesiącu. Kiedy jednak się pojawiał, zazwyczaj wydawał sporo pieniędzy. A co najważniejsze, to właśnie on przedstawił Caroline Lydii Carstairs, damie z najlepszego towarzystwa, dla której dziś przygotowywała kompozycje kwiatowe.

- Witaj - odrzekł Seth, uśmiechając się ciepło. Widok Caroliny wprost zapiera dech, pomyślał. Nawet o siódmej rano. - Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Zobaczyłem Antonia czyszczącego szybę i powiedział, że mogę wejść i złożyć zamówienie. Zdaję sobie sprawę, że jeszcze bardzo wcześnie i sklep jest zamknięty, ale...

- Zawsze kiedy tu jestem, kwiaciarnia jest otwarta dla klientów - weszła mu w słowo Carolina. Spojrzała na niego z uśmiechem, ich oczy się spotkały. Ogarnęło ją niezrozumiałe zmieszanie. - Czym... czym mogę ci służyć? - wyjąkała, czując, że się rumieni. Co sprawia, że ten mężczyzna tak na mnie działa, zapytała się w duchu. Pewnie jego pieniądze, elegancja, powiązania towarzyskie. Tak. Zapewne dlatego ją onieśmiela.

- Chciałbym posłać komuś kwiaty - powiedział lekkim tonem. - Na tej wizytówce

zapisalem nazwisko i adres. - Siegnal do kieszeni, wyciagnal niewielki kartonik i podal Carolinie.

Zerknela nań. Na mięsistym, kremowym welinie wrytowano grubą czcionką: „E. William Seth Foster III”. Odwróciła wizytówkę, a tam wypisane czarnym atramentem widniało inne nazwisko z adresem: „Pani Payton Fitzsimmons, Wschodnia Siedemdziesiąta Siódma 2, apartament 15A”. Niemal ją zatkało na widok tego nazwiska.

A niech mnie, pomyślała. Payton Fitzsimmons! Seth doprawdy zna całą śmietankę tego miasta. Kolejne nazwisko nieschodzące ze szpałt kroniki towarzyskiej. Kolejna bogata dziedziczka wielkiej fortuny, wydająca rocznie więcej na stroje, niż Carolinie uda się zarobić przez całe życie.

Ale Payton Fitzsimmons nie była tylko młodą, piękną, bogatą damą. Parę tygodni temu do Caroliny dotarła wieść, że znudzona panna Fitzsimmons - podobnie jak wiele innych dziedziczek fortuny, które nigdy w życiu nie musiały zarabiać na siebie - postanowiła zakasać swoje jedwabne rękawy i zabrać się do pracy. I to jako florystka-dekoratorka!

Jest moim wrogiem, zdecydowała w duchu Carolina. Albo wkrótce będzie. Ostatecznie obie chciały pozyskać tę samą klientelę - elitę towarzyską Manhattanu - a Payton Fitzsimmons do niej należała. Patrycjuszka o arystokratycznych korzeniach, która - podobnie jak Seth Foster - znała każdego, kto jest kimś w tym mieście.

Powstrzymała grymas i z uśmiechem spojrzała ponownie na mężczyznę.

- Potrzebny nam również numer telefonu - powiedziała. - Nie chcielibyśmy, żeby nasze kwiaty wędły w jakiejś przechowalni.

- Ona z pewnością będzie w domu - oświadczył stanowczo Seth. - I chciałbym jej zrobić niespodziankę. Wolałbym więc, by nie uprzedzać jej telefonicznie.

- Ach, tak. Rozumiem. W porządku. W takim razie nie zadzwonimy.

Postanowiła się nie upierać, chociaż z własnego doświadczenia wiedziała, że ludzie, którzy z całą pewnością mieli nie ruszać się z domu, często zmieniali plany i w rezultacie po powrocie czekał na nich zwiędły bukiet.

- A jakie kwiaty chciałbyś posłać?

Znowu odezwały się dzwonki. Tym razem wszedł Antonio z płynem i ręcznikami w rękach.

- Jeszcze nie wiem - zawahał się Seth. - Pomyślałem, że najpierw się rozejrzę, a potem podejmę decyzję.

- Bardzo rozsądnie - pochwaliła go Carolina. - Chodźmy więc do chłodni, tam na pewno coś wybierzesz. Mam piękne lilie w niezwykłych kolorach i mnóstwo róż. Poza tym

bez. Olśniewające tulipany. Hiacynty. Orchidee. I mnóstwo innych cudów. Rozumiem, że nie chcesz żadnej kompozycji.

- Nie - odrzekł Seth, postępując za nią w stronę chłodni. - Tylko wielki bukiet kwiatów, z którymi będzie mogła zrobić, co tylko zechce.

Stara szkoła, pomyślała z uznaniem Carolina. Niektórzy klienci uważali, że wysyłanie gotowych kompozycji mogło sugerować, że obdarowana osoba nie umie sama ułożyć bukietu.

Chwilę później Seth z uwagą przyglądał się przez przeszkłone drzwi bogactwu kwiatów zgromadzonych w chłodni. W końcu zwrócił się w stronę Caroliny.

- Wezmę te wielkie, blad różowe róże. Są doprawdy niezwykle.

- Rzeczywiście, doskonale - zgodziła się Carolina. Otworzyła drzwi chłodni i sięgnęła po wielkie wiadro z różami. Było bardzo ciężkie i gdy je wyciągała, otarła się o mankiet marynarki Setha. Ponownie ogarnęło ją niezrozumiałe zmieszanie, a na policzkach pojawiły się rumieńce.

- Och, Seth. Bardzo... bardzo cię przepraszam - wyjąkała, stawiając róże na kontuarze.

- Mam nadzieję, że nic ci nie zrobiłam...

Cofnął się, obrzucając ją takim spojrzeniem, jakby go oparzyła.

- Jesteś bardzo niebezpieczną kobietą - oświadczył, po czym wybuchnął głośnym śmiechem. - Oczywiście, że nic mi się nie stało.

Wygląda na szczerze zatroskaną, pomyślał. Jakże to miłe uczucie. Czemuż Payton nie może być taka?

- Wybacz - przeprosiła raz jeszcze Carolina. - Zazwyczaj nie jestem taka niezgrabna.

- Te wiadra muszą ważyć z tonę. Powinienem był ci pomóc.

- Och, jestem przyzwyczajona do dźwigania - rzuciła Carolina lekkim tonem. - Powiedz mi tylko, ile róż chciałbyś posłać.

- Hm... powiedzmy ze trzy tuziny.

- Świetnie. Dostarczymy je tuż po oficjalnym otwarciu kwiaciarni. Czy tak będzie dobrze?

Kątem oka spostrzegła, że Antonio wziął do ręki wizytówkę Fostera i pilnie ją ogląda ze wszystkich stron.

- Doskonale - odrzekł Seth. Postawił aktówkę na kontuarze i wyjął z kieszeni portfel ze skóry aligatora, po czym podał Carolinie kartę American Express.

Platynowa, oczywiście, zauważyła w duchu.

- Dziękuję, Seth. Zajmie mi to tylko chwilę.

- Nie ma pośpiechu - odparł z uśmiechem.

Przesunęła kartę przez terminal i po chwili podała Sethowi wydruk do podpisu. Kiedy go odebrał, ich ręce się zetknęły i poczuła dziwne drżenie w kolanach.

- Czy... czy chciałbyś może... hm... dołączyć jakiś bilecik? - spytała, czując, jak zalewa ją fala gorąca.

- Ach, tak. - Przyglądał się jej bacznie, od razu więc spostrzegł, że dotyk jego dłoni wyprowadził ją z równowagi. Odchrząknął głośno. - Miło, że mi o tym przypomniałaś. - Złożył kwitek i schował do portfela.

- Zwykły czy ozdobny?

- Zwykły, jeśli można.

Ze stojaka za kontuarem Carolina wyjęła gładki kremowy kartonik i odpowiednią do niego kopertę.

- Proszę. Może być?

- Oczywiście. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pióro i szybko skreślił kilka słów. Na kopercie wypisał imię i nazwisko Payton, włożył do środka kartonik i zakleił kopertę. - Oto bilecik. Dziękuję, Carolino.

- To ja dziękuję, Seth. Wkrótce dostarczymy kwiaty.

- Wspaniale. A teraz nie będę cię już dłużej zatrzymywać. Widzę, że masz mnóstwo pracy. - Zawahał się przez moment, jakby nie miał ochoty jeszcze wychodzić z kwaciarni, w końcu jednak sięgnął po aktówkę. - Dziękuję raz jeszcze.

- Do zobaczenia, Seth.

- Do widzenia. - Pomachał jej ręką od drzwi i wyszedł.

- No, no, no. - Roxie wyszła z zaplecza. - To się nazywa dobry początek. Róże za kilkaset dolarów sprzedane jeszcze przed otwarciem sklepu!

- Święta racja - zgodziła się Carolina. - Ach, żeby każdy dzień zaczynał się w ten sposób! - Wsunęła głowę na zaplecze. - Dzięki za umycie szyby, Antonio - powiedziała i w tym momencie spostrzegła, że chłopak wciąż trzyma w ręku wizytówkę Setha.

- Miałaś rację - odezwał się Antonio. - Rzeczywiście przeoczyłem zakurzony kawałek.

- Tylko nie zapodziej gdzieś tej wizytówki - ostrzegła. - Jest na niej adres, pod który mamy posłać kwiaty. A właściwie, co cię w niej tak zafascynowało?

- Nic. Po prostu kiedyś widziałem zdjęcia tej Payton Fitzsimmons. Gorąca sztuka, a do tego obrzydliwie bogata.

- No cóż, dziś będziesz miał okazję ujrzeć ją na własne oczy, bo to ty dostarczysz kwiaty.

- Super - ucieszył się Antonio i odłożył kartonik na stół.

- A tak na marginesie, proszę, staraj się, by szyba wystawowa zawsze lśniła - przykazała mu Carolina. - Mówiłam to już tysiące razy - witryna jest naszą wizytówką i nie chcemy, żeby była brudna.

- W żadnym razie nie chcemy - odparł Antonio wojowniczym tonem. - Chcemy, żeby była wychuchana, wydmuchana i olśniewająca, jak Pan Milioner Foster.

- Zawsze wygląda nienagannie, prawda? - zadumała się Carolina.

- I jest bosko przystojny, jeśli chcesz znać moje zdanie - wtrąciła Roxie. - Nic dziwnego, że gdy tylko się pojawia na horyzoncie, rumienisz się jak pensjonarka.

- Kto? Ja? - zachnęła się Carolina. Posiała ostre spojrzenie Roxie rozpakowującej właśnie srebrne róże.

- Tak. Ty. Za każdym razem gdy ten mężczyzna przekracza nasz próg, czerwienisz się i jesteś rozkojarzona.

- Oszalałaś?! - wykrzyknęła Carolina. - Przecież jestem szczęśliwą mężatką, na Boga!

- Pewnie ci żal, że wysyła piękne kwiaty takiej bogatej, seksownej lasce - dorzucił Antonio.

- Ty chyba też upadłeś na głowę - stwierdziła Carolina, wciągając robocze rękawice. - Jeżeli o mnie chodzi, może wysyłać kwiaty każdej kobiecie na Manhattanie. Co mnie to obchodzi?

- Najwyraźniej obchodzi. - Antonio nie dawał za wygraną. - To jasne jak słońce. On zresztą też jest na ciebie napalony.

- W żadnym razie nie jest mną zainteresowany.

- Doprawdy? - nie wytrzymała Roxie. - Jeśli tak sądzisz, to musisz mieć klapki na oczach, dziewczyno. Przy tobie zawsze jest lekko zdenerwowany.

- Roxie, opowiadasz bzdury! - Carolina zdecydowanymi ruchami odcinała końcówki różanych lodyg.

- Wcale nie. Tylko zastanów się przez chwilę. Czemu tak zajęty, wpływowy facet jak Seth Foster, który mógłby podnieść słuchawkę telefonu i zamówić wszystko, czego sobie zażyczy, po czym posłać to, gdziekolwiek by zechciał - nadkłada kawał drogi i zachodzi osobiście do naszej kwiaciarni?

- Trafiłaś w dziesiątkę - pochwalił ją Antonio. - Seth Foster? Wierz mi, Carolino. Jest tak zachwycony twoim widokiem, że z ledwością się powstrzymuje, by nie wyskoczyć z portek.

Obie kobiety wybuchnęły śmiechem.

- Jesteś nieznośny, Antonio - zdecydowała Carolina.

- W każdym razie, gdy jesteście razem, niewątpliwie coś iskrzy - podsumowała Roxie.

- Obojgu wam odbiło. - Carolina nie podnosiła wzroku znad róż. - Seth Foster to bardzo miły mężczyzna i tyle. - Zawzięcie podcinała łądygi róż w nadziei, że temat w końcu padnie. Jest szczęśliwą mężatką, matką nastoletniego syna i Seth dobrze o tym wie.

- To ty masz nie po kolei - zawyrokowała Roxie. - Seth Foster to niebywale seksowny facet.

- Pewnie - zawtórował Antonio. - A do tego świetnie się ubiera, co nie, Roxie?

Ta skinęła głową i wsunęła pięknie rozwiniętą peonię na odpowiednie miejsce w wazonie.

- Uważam, że ma wielką klasę - dorzuciła w zamyśleniu.

- Mnie natomiast zupełnie nie obchodzi, co oboje o nim myślicie - oświadczyła Carolina.

- Jezu, Caroline Gdyby nie Seth Foster, nigdy nie zajmowalibyśmy się dzisiejszym przyjęciem.

- Wiem. Ale to przecież zwykły zbieg okoliczności. Lydia Carstairs akurat była gościem na przyjęciu wydawanym przez Setha. A przypadkiem zdarzyło się, że Seth zamówił u nas kompozycje kwiatowe. Gdy nam to zlecił, był w sklepie zaledwie drugi, góra trzeci raz w życiu.

- O ile sobie przypominam, dopiero się wprowadził do tej dzielnicy - zauważyła Roxie.

- Co swoją drogą też jest zdumiewające - dodała Carolina. - Czemu, A Najlepsze... u diabła, zamieszkał w Chelsea, a nie na Upper East Side wraz ze swoimi nadętymi przyjaciółmi z elity.

- Ech, teraz jesteś złośliwa - zdecydował Antonio. - Przecież wiesz, że obecnie już nie ma takich obyczajów. Bogaci przenoszą się na dolny Manhattan i odwrotnie.

- Może i racja. Wciąż jednak mnie nurtuje, co go skłoniło, by mieszkać tu, a nie wśród możnych tego świata. A gdy już jesteśmy przy możnych. Antonio, zostaw to, czym się w tej chwili zajmujesz, i przygotuj trzy tuziny tych piękności... - wskazała na róże wybrane przez Setha - ... na bukiet. Gdy będziesz gotowy, popędzisz pod ten adres, by uszczęśliwić towarzyszkę zabaw Setha Fostera.

- Uhm - mruknął Antonio. - Osobiście nie miałbym nic przeciwko takiej towarzyszcze. To superseksowna laska. I do tego bogata. Idealna kombinacja.

Odłożył nóż, postawił pojemnik z różami na stole i zaczął wybierać najpiękniejsze kwiaty. Pracował szybko i zreźnie.



- Jakim cudem mógłbyś sobie na nią pozwolić? - spytała Roxie.

- Może mój seksowny wygląd tak by ją zwałił z nóg, że sama by się mną zaopiekowała - odparował Antonio. - To przecież niewykluczone.

- Jasne. Tak samo niewykluczone jak to, że jutro zostanę miliarderką.

- Dziwniejsze rzeczy zdarzają się w życiu - upierał się Antonio. - W każdym razie nie miałbym nic przeciwko spędzeniu kilku weekendów w jednym z jej domów. W Palm Beach. Albo w Southampton. Chętnie wylegiwałbym się na słońcu, popijając gin i szampana. I zaszalałbym na całego.

- Szybko zanudziłbyś się na śmierć - stwierdziła Carolina.

Ale dobrze wiedziała, że wiele bogatych kobiet sporo by zapłaciło za towarzystwo Antonia. Był co prawda tylko średniego wzrostu, ale miał wspaniałe ciało i piękne rysy twarzy. Urzekające czarne oczy i gęste czarne włosy. Dobrze się ubierał i, jak chciał, potrafił być niezwykle czarujący - między innymi z tego powodu Carolina chętnie go zatrudniła. Poza tym naprawdę kochał kwiaty. I zapewne dlatego ostentacyjnie obnosił się ze swoją postawą *macho* - podobne zainteresowania zdecydowanie nie były popularne wśród latynoskich chłopaków, z którymi się wychowywał.

- Och, myślę, że przy kimś takim mógłbym się nudzić w nieskończoność. Przypuszczam jednak, że raczej wolałaby Setha niż mnie.

- Ona i z tuzin innych dam, jeśli wierzyć kronikom towarzyskim - wtrąciła Roxie.

- A widzicie?! - wykrzyknęła triumfalnie Carolina. - Twierdzicie, że Seth jest uroczym facetem, a tymczasem niewykluczone, że to najzwyklejszy playboy.

- Och, na Boga, Carolino! - oburzyła się Roxie. - To, że pokazuje się na mieście z różnymi kobietami, jeszcze nie robi z niego beznadziejnego dupka.

- Może nie. Ale też nie można wykluczyć, że lubi je w sobie rozkochiwać, a potem porzuca bez żalu. Antonio, te róże mają być bez żadnych dodatków. Damy pokroju Payton Fitzsimmons nie lubią żadnych ozdobników. Zawiń tylko kwiaty w blad różową bibułę, wsuń w celofanowy rękaw i zwiąż jakąś wymyślną kokardą. I nie zapomnij o bileciku.

- *No problema* - rzucił żartobliwie Antonio.

- I pospiesz się, czeka nas wyjątkowo pracowity dzień. O piątej wszyscy jedziemy do Lydii Carstairs. Musimy starannie poustawiać kompozycje, naprawić wszelkie drobne uszkodzenia w bukietach. Chcę, żeby wszystko wyglądało perfekcyjnie.

- A więc dzisiaj zamykamy wcześniej niż zwykle? - spytała Roxie.

- Nie. - Carolina pokręciła głową. - Mercedes zaproponowała, że przyjdzie pomóc w sklepie. Zjawi się tu koło wpół do piątej.

- Mercedes! - wykrzyknęła Roxie.

- Owszem.

- Jezu, co z tobą, Roxie? - wtrącił się Antonio. - Lubisz przystojnych facetów, a nie znosisz pięknych dziewczyn? Boisz się konkurencji? - Spiał celofan u góry i zaczął zamaszyście wiązać kokardę.

Roxie głęboko wciągnęła powietrze. Antonio zapewne nie zdawał sobie sprawy, jak bliski był prawdy. Od kiedy Roxie zaczęła się spotykać z Lelandem Mountcastle'em, młodszym bratem Lyona, Mercedes nieustannie była kłującym cierniem w jej boku. Roxie nie miała najmniejszych wątpliwości, że tamta nie pochwała jej związku z Lelandem, a właściwie jest po prostu zazdrosna. Wiedziała, że Leland i Mercedes spotykali się parę lat temu, ale Leland zapewniał ją, że skończyło się na kilku wspólnych kolacjach. Sytuację dodatkowo komplikował fakt, że Mercedes była sąsiadką i przyjaciółką Caroliny. Roxie nie mogła więc rozmawiać o tym z Carolina, by nie stawiać jej między młotem a kowadłem.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Antonio - rzuciła teraz chłodno. - Po prostu dziwię się, że postanowiła nam pomóc. Myślałam, że jest bardzo zajęta pracą nad którymś z własnych projektów.

- Bo jest - przyznała Carolina. - Ale kiedy powiedziałam jej, jak wygląda sytuacja, sama zaproponowała, że przyjdzie. Pomyślałam więc, czemu nie? Już kilkakrotnie pomagała nam w kwiaciarni. Poza tym jest bardzo piękna i szykowna, co zawsze przyciąga klientów.

- Za to pali śmierdzące papierosy, i to jednego za drugim! - Roxie wykrzywiła usta.

- Obiecała, że będzie palić tylko na zewnątrz. I jeszcze użyje odświeżacza.

- Jej perfumy są tak seksowne, że mnie by nie przeszkadzało, gdyby nawet paliła cygara - oznajmił Antonio.

- Antonio! - Carolina spojrzała na niego znacząco. - Biegnij z tym bukietem. A potem w te pędy wracaj do kwiaciarni.

- Już lecę. - Ruszył w stronę drzwi.

W tym samym momencie w progu stanęła pani King wraz z panią Bevacqua.

- Och, Antonio - zaszczebotała pani King - jak się dzisiaj miewasz?

- Doskonale - odrzekł uprzejmym tonem, ale zmierzył obie kobiety nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Właśnie wybieramy się do kościoła, Antonio - oznajmiła słodkim głosem pani Bevacqua. - Czy zechciałbyś ofiarować parę kwiatków Najświętszej Pannie? Wystarczy niewielki bukiet.

Antonio spiorunował je wzrokiem, ale zanim zdążył otworzyć usta, odezwała się

Carolina. Wciąż stała za kontuarem, niemal całkowicie zasłonięta kwiatami.

- Proszę tutaj, drogie panie. A ty, Antonio, idź już. Ja się wszystkim zajmę.

Antonio wprost kipiał z gniewu. Nienawidził tych wszystkich kobiet, które zjawiały się co tydzień, prosząc o kwiaty do kościoła. I choć Carolina powtarzała niejednokrotnie, że to doskonała bezpłatna reklama - zawsze jeżył się na ich widok.

Zanim wyszedł, Carolina raz jeszcze spojrzała na róże.

- Piękny bukiet, Antonio. Prosty i elegancki. Doskonale ułożyłeś kwiaty.

- Dziękuję szanownej pani - odrzekł, kłaniając się teatralnie. Posłał jeszcze niechętnie spojrzenie dwóm starszym kobietom, po czym zniknął za drzwiami.

- Czym mogę paniom dzisiaj służyć? - spytała Carolina, gdy tamte przydreptały wreszcie do kontuaru.

- Och, czymkolwiek, Caroline Jesteś zawsze taka kochana.

- Święta Panienska ci za to pobłogosławi - zapewniła ją pani King. Carolina szybko wybrała kilka chryzantem różnego gatunku, parę irysów, dodała zielone liście, ułożyła zgrabnie całość i związała kokardą.

- Bardzo proszę - powiedziała.

- Niech cię Bóg błogosławi - odezwała się pani Bevacqua. - Niech cię błogosławi.

- Zupełnie nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobiły - zawtórowała jej pani King, po czym obie ruszyły do drzwi, pomachały od progu na do widzenia i zniknęły ze swoją zdobyczą.

- Zjawiają się jak w zegarku - skomentowała Roxie.

- Od dnia gdy otworzyłam kwaciarnię - dodała ze śmiechem Carolina.

- Takie na kilometr wyczują naiwną. Czy naprawdę sądzisz, że dzięki nim zyskałaś choćby jedną klientkę?

- Nie mam bladego pojęcia, ale co mam do stracenia? Trochę kwiatów? Jeżeli za tak niewielką cenę mogę je uszczęśliwić, to w ogóle nie warto o tym mówić.

## Rozdział 4

Z wielkim bukietem w ręku Antonio podszedł do portiera w liberii.

- Mam kwiaty dla pani Payton Fitzsimmons - oświadczył.

- Możesz je zostawić w przechowalni - powiedział portier, otwierając drzwi. - W głębi korytarza, na lewo.

- W żadnym razie - zaprotestował Antonio. - Otrzymałem wyraźne polecenie, by dostarczyć kwiaty do rąk własnych.

- Cóż, my natomiast otrzymaliśmy wyraźne polecenie, by wszelkie prezenty i kwiaty zostawiano w przechowalni - odparł portier.

- Obawiam się więc, że jedna z waszych lokatorek będzie dziś bardzo nieusatysfakcjonowana. Nie wspominając już o gniewie jej narzeczonego. To pan Seth Foster. Jednoznacznie przykazał, by dostarczyć kwiaty wprost do apartamentu.

Na dźwięk nazwiska „Foster” portier niemal zastrzygł uszami.

- Wejdz i poczekaj chwilę - zwrócił się do Antonia. - Zadzwoń na górę.

Odwrócił się i wybrał wewnętrzny numer. Antonio tymczasem rozglądał się po wykładanym marmurem i mahoniem holu. Na posadzce leżały kosztowne, orientalne dywany; przy ścianach stały bogato zdobione konsole, a nad nimi wisały kryształowe lustra w złotych ramach. Wokół niskich stolików porozstawiano pokryte jedwabiem sofy i fotele. Z kasetonowego sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol, a jego światło skrzyło się w lustrach. Wszystko było wypolerowane, jakby każdy załomek szorowano tu co wieczór, by przypadkiem nikt z mieszkańców czy gości nie natknął się na najmniejszy pyłek kurzu.

Jezu, pomyślał Antonio. Mieszkanie w takim miejscu musi kosztować fortunę. Ponieważ głównie on zajmował się dostarczaniem zamówień, widział już wiele bardzo eleganckich miejsc, ale to było wyjątkowe.

- Możesz je zanieść na górę - powiedział po chwili portier. - Apartament piętnaście A. Winda dla personelu i dostawców jest po lewej stronie.

- Dzięki - rzucił Antonio.

Ściągnął windę i wszedł do kabiny. Wysiadł na piętnastym piętrze. Po przeciwnych stronach korytarza znajdowało się tylko dwoje drzwi. Apartamenty A i B. O rany, jęknął w duchu. Tylko dwa mieszkania na każdym piętrze. Muszą być olbrzymie.

Podszedł do mahoniowych drzwi oznaczonych mosiężną literą A i nacisnął dzwonek. Chwilę później stanęła przed nim oszałamiająca kobieta, której zdjęcia wielokrotnie widywał

w gazetach. Payton Fitzsimmons we własnej osobie. I w rzeczywistości jeszcze piękniejsza niż na fotografiach. Długie blond włosy. Chłodne, niebieskie oczy. Delikatna, równa opalenizna. Pod jedwabnym, różowym peniuarem, luźno zawiązanym paskiem, rysowały się wspaniałe kształty. Stała przed nim boso.

- Witam. Jestem z kwaciarni U Caroliny. Mam dla pani bukiet.

- Och, cześć - rzuciła, mierząc go uważnie wzrokiem. - Zechcesz wejść?

Nic dziwnego, że Carolinie tak świetnie idzie, pomyślała. Skoro pracuje dla niej taki ogier, zapewne wszystkie kobiety z Manhattanu zlatują się do jej sklepu.

- Jasne - odparł Antonio, śmiało przekraczając próg.

- Poszukam jakiegoś wazonu - powiedziała Payton. - Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, by chwilę zaczekać.

- Nic zupełnie.

- Rozgość się. - Ponownie przesunęła wzrokiem po jego sylwetce, po czym powiodła ręką po wielkim holu. - Siadaj, gdzie tylko zechcesz.

- Dzięki.

Patrzył na nią, jak przemierzała długi korytarz wyłożony parkietem o pięknym wzorze. Chwilę później zniknęła po prawej stronie. Pośrodku holu stał duży stół, a na nim wielka orchidea w doniczce, okryta paroma tuzinami kwiatów. Tysiąc dolców jak nic, pomyślał Antonio, patrząc na roślinę. Z miejsca, w którym siedział, widział fragmenty wnętrza dwóch saloników: stały tam kosztowne sofy, fotele i stoły, na ścianach wisiały - wyglądające na cenne - obrazy. Dominowała chłodna, blada kolorystyka. Gdziekolwiek tylko pojawiały się plamy ostrego koloru, mocno przykuwające wzrok.

Ledwo się rozejrzał, a gospodyni weszła swobodnym krokiem do holu. Z pustymi rękami.

- Przepraszam, czy mógłbyś mi pomóc? Wazon, do którego chciałabym wstawić różę, jest tak ciężki, że nie mogę go unieść. Nie miałbyś nic przeciwko temu?

- Zrobię to z przyjemnością.

- Na pewno masz czas?

- Mam bardzo dużo czasu.

- To cudownie - zaszczębiotała i wyciągnęła przed siebie długi, smukły palec. - Tędy.

Postępując za Payton, Antonio - jak na prawdziwego *macho* przystało - wypiął pierś i naprężył mięśnie. Przeszli do pomieszczenia, w którym stały wysokie do sufitu, mahoniowe, przeszklone szafy pełne porcelany oraz niskie szafki z marmurowymi blatami.

- To ten duży kryształ, tam, na górze - powiedziała, wskazując na jedną z półek.

Antonio odłożył kwiaty i bez wysiłku zdjął wazon. Kiedy się odwrócił, zobaczył, że Payton znów wpatruje się w niego. W jej oczach widział zachwyt i pożądanie.

- Jesteś taki silny - zauważyła. - Podniosłeś ten wazon jakby był z papieru.

Boże, pomyślała. On wprost ocieka seksem.

- Czy mam nalać wody do wazonu?

- Och, bardzo proszę. Cała służba wyszła, jestem zupełnie sama. Podtekst tych słów był oczywisty dla każdego prawdziwego mężczyzny, Antonio jednak zajął się wazonem.

- Czy mam również ułożyć kwiaty? Skinęła głową.

- Tak, poproszę.

Rozwiązał kokardę i wyjął ze środka bilecik. Payton otworzyła kopertę, przeczytała liścik i ze znudzonym wyrazem twarzy rzuciła kartonik na stół, po czym natychmiast przeniosła wzrok z powrotem na Antonia.

- Doskonale - powiedziała, gdy włożył róże do wazonu.

- Dokąd je zanieść? - zapytał.

- Chodź za mną.

Poprowadziła go innym niż poprzednio korytarzem i weszli do ogromnej sypialni urządzonej w różnych odcieniach bieli. Na środku stało wielkie łóżko z koronkowym baldachimem. Payton wskazała dłonią na stolik przykryty jedwabną serwetką.

- Myślę, że tu będą wyglądać najlepiej - powiedziała, w zamyśleniu przyciskając palec do ust.

Antonio ustawił wazon na wskazanym miejscu i obrócił go parę razy, by jak najkorzystniej wyeksponować kwiaty. Odszedł od stolika, by sprawdzić, jak się prezentuje bukiet, oglądany z różnych miejsc.

- I co? - zapytał w końcu.

- Idealnie.

Gdy podeszła do niego, okazało się, że pasek peniuaru całkiem się rozluźnił i teraz spod jedwabiu wyłaniały się jej pełne piersi.

Antonio wbił w nie wzrok, mimowolnie oblizując wargi.

Boże, co za ciało!, westchnął w duchu. Słodki Jezu, jakbym chciał, żeby było moje.

Payton uśmiechnęła się i włożyła rękę pod peniuar - pozornie, by mocniej ściągnąć pasek. Tymczasem odsłoniła jeszcze bardziej piersi. Chwilę później ta sama dłoń wsunęła się pod koszulę Antonia.

Objął Payton w pasie, po czym powiódł dłońmi niżej, chwytając ją za pośladki. Młoda kobieta przez cały czas milczała, wyzywająco patrząc prosto w jego oczy. Jej milczenie nie

trwało jednak długo - gdy Antonio się pochylił i zaczął ustami pieścić jej piersi, wydała z siebie długi jęk.

Potem odchyliła mocno głowę, a on powędrował wargami w górę, ku szyi Payton. Całował ją i skubał delikatnie, w końcu przywarł do jej ust, mocno napierając językiem. Dłonią wodził po jej piersiach, po udach, po najbardziej intymnych częściach jej ciała.

- Rozbierzmy się - wyszeptał. Nie czekając na odpowiedź, zsunął z niej peniuar i rzucił na podłogę. Gdy stanęła przed nim naga, nie mógł oderwać wzroku od jej idealnych kształtów.

Uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko, po czym zaczęła rozpinąć mu koszulę, nie mogąc się już doczekać, by na własne oczy ujrzeć, czy rzeczywiście - tak jak w jej wyobrazeniach - był doskonale umięśnioną maszyną do seksu. Tego właśnie pragnęła najbardziej: mężczyzny, który zdołają zaspokoić. Kiedy już zdjął koszulę, nie mogła się powstrzymać, by nie dotknąć jego potężnych ramion. W końcu zdjął spodnie i bokserki - i wtedy aż jęknęła z zachwytem, gdy ujrzała, jak hojnie wyposażyła go natura.

Coś wspaniałego, pomyślała. Opadła na kolana i zaczęła go pieścić ustami i językiem.

Antonio miał wrażenie, że zaraz eksploduje. Jęczał z rozkoszy i marzył, by to się nigdy nie skończyło. Gdy czuł, że dłużej już nie zdoła się powstrzymać, podniósł ją i poprowadził w stronę łóżka. Payton opadła na poduszki, w zapraszającym geście rozsuwając uda.

Antonio znów zaczął całować jej piersi i wodzić dłońmi po ciele. Kiedy odkrył, jak bardzo jest gotowa, uklęknął między jej udami i wszedł w nią ostro, gwałtownie. Wpatrywał się bacznie w jej oczy, to zwalniając, to przyspieszając tempo. W końcu poczuł, że przesywają dreszcz.

Payton krzyknęła. Antonio natarł jeszcze gwałtowniej i wkrótce on też jęczał z rozkoszy.

Opadł na nią, ale nadal się nie wysuwał. Przyciskał ją mocno do siebie i pokrywał lekkimi pocałunkami jej mokrą od potu twarz. Gdy spojrzeli sobie w oczy, oboje dostrzegli w nich satysfakcję spełnienia.

- Ależ z ciebie gorąca sztuka - powiedział Antonio, kiedy już udało mu się złapać oddech.

- Z ciebie też gorący mężczyzna - odparła. - Właśnie coś takiego przepisał mi lekarz na nudne, samotne poranki.

- Z największą przyjemnością będę twoim lekiem, gdy tylko tego zapragniesz - oznajmił Antonio. Zsunął się z niej, podłożył ramię pod głowę Payton i przytulił dziewczynę

mocno do siebie. - Do diabła. Cóż za piękny początek dnia!

- Prawda? - zgodziła się Payton. - Od dawna tego właśnie było mi trzeba.

- A co z Sethem Fosterem? - zainteresował się Antonio.

- A więc wiesz, że się z nim spotykam. No, proszę. Jesteśmy dobrze poinformowani.

- Cóż, nie trzeba umysłu geniusza, by zgadnąć. Przecież to on zamówił kwiaty w naszym sklepie.

- Nie mówmy teraz o nim - odparła Payton. - Poza tym chcę, żeby wszystko, co się dziś zdarzyło, zostało tylko między nami. - Skubnęła ustami jego ucho. - Niech to będzie nasz wspólny, mały sekret - wyszeptwała.

- Okay. Co nie zmienia faktu, że Foster często zamawia u nas kwiaty.

- To się wkrótce zmieni - oświadczyła, kręcąc na palcu czarny lok Antonia.

- Doprawdy? A to czemu?

- Ponieważ postanowiłam zająć się organizowaniem przyjęć. Wejdą w to, oczywiście, usługi florystyczne. - Przestała bawić się jego włosami i spojrzała mu prosto w oczy. - Wkrótce otwieram kwaciarnię przy Wschodniej Siedemdziesiątej.

Antonio przez chwilę patrzył na nią zdumiony, szybko jednak uśmiechnął się szeroko.

- Rozumiem. A więc Seth zacznie kupować kwiaty u ciebie. Z triumfem skinęła głową.

- Sądzę, że wkrótce większość klientów twojej szefowej przeniesie się do mnie. I wtedy przyda mi się ktoś do pomocy - powiedziała, wodząc palcem po jego torsie. Byłbyś zainteresowany?

- Być może - odparł Antonio, znów bardzo podniecony. - Na pewno. A co bym z tego miał?

- Och, przede wszystkim, jak sądzę, spodobałyby ci się pieniądze. No a poza tym oferuję wyjątkowy pakiet dodatkowy.

Przesunęła się dużo niżej i znów zaczęła go pieścić językiem.



## Rozdział 5

Gdzie do diabła podziewa się Antonio? Czemu to tyle trwa? - Carolina zniecierpliwiona spojrzała na zegarek.

- Nie mam pojęcia - odparła Roxie bez nuty zainteresowania w głosie.

Carolina zerknęła na swoją pracownicę i przyjaciółkę zarazem. Niewątpliwie coś nurtowało Roxie. Carolina jednak wiedziała z doświadczenia, że nie ma sensu o cokolwiek wypytywać. Dziewczyna sama powie, co ją gryzie, gdy już do tego dojrzeje.

W końcu Roxie podniosła wzrok.

- Czy naprawdę sądzisz, że Mercedes poradzi sobie w kwiaciarni podczas naszej nieobecności? To znaczy, co innego, gdyby ktoś był tu razem z nią, ale jak zostanie sama? Sama nie wiem...

- Ale ja wiem. - Carolina stanowczo kiwnęła głową. - Nie będzie miała wiele pracy. Poradzi sobie bez trudu. - Spojrzała baczniej na przyjaciółkę. - Roxie, poważnie podejrzewam, że chodzi ci o tamten dawny przelotny związek Mercedes z Lelandem. Czy mam rację?

- Nie - odparła Roxie zdecydowanym tonem. Zaraz jednak wzruszyła ramionami i westchnęła głęboko. - Och, chyba rzeczywiście tak jest. Wiem, że kiedyś łączyło ją z Lelandem coś więcej, mimo że Leland temu zaprzecza. Pewnie to jakaś moja obsesja.

- Daj spokój, Roxie. Leland i Mercedes to zamierzchła historia - oświadczyła autorytatywnie Carolina. - Jestem przekonana, że możesz przestać się tym zamartwiać. Ona jest sympatyczna i życzliwa ludziom. Od dawna mieszka piętro niżej, pod nami, i nigdy nie doszło do najdrobniejszej scysji. Przyznaję, Mercedes jest snobką, jednak ma też spory talent.

- Ja wiem jedynie, że jej ojciec był jakimś arystokratycznym angielskim malarzem, a ona sama pracowała kiedyś jako modelka - powiedziała Roxie. - Leland nigdy o niej nie mówi, ale słyszałam, że to bogata, rozrywkowa dziewczyna.

- Cóż, niewykluczone, że Mercedes ma jakąś rodzinną fortunę. Mieszka w bardzo kosztownym apartamencie, jednak zawsze pilnie nad czymś pracuje i zazwyczaj odnosi sukcesy.

- A co ona właściwie robi?

- Przez jakiś czas kupowała meble na pchlim targu, malowała w niezwykle wzory i sprzedawała za duże pieniądze. Potrafiła pomalować stół w lamparcie cętki i sprawić, że wyglądał rewelacyjnie. Robiła również kilimy - były tak piękne, że wystawiała je w galeriach

sztuki. Często dostaje też zamówienia na wystrój wnętrz, głównie od bogatych ludzi, którzy widzieli zdjęcia jej mieszkania i chcą mieć coś podobnego.

- A więc zapewne sporo zarabia.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia - odpowiedziała Carolina. - Żyje na wysokiej stopie, to nie ulega wątpliwości, ale nie wiem, z czego tak naprawdę się utrzymuje. Nie sędzę jednak, by na ten styl życia pozwalały jej alimenty. Ten niemiecki książę, z którym rozwiodła się parę lat temu, podobno nie należał do krezusów. - Ponownie zerknęła na zegarek i odłożyła nóż. - Może jeszcze raz sprawdzimy listę kompozycji, zamówionych na dzisiejszy wieczór?

Wzięła w rękę duży, oprawny w tekturę szkicownik, gdzie zawsze zapisywała wszelkie dane dotyczące imprez, które ozdabiała kwiatami i otworzyła na stronie, gdzie zanotowała szczegóły przyjęcia u Lydii Carstairs. Zazwyczaj wszystkie wpisy wyglądały podobnie. Najpierw data, potem nazwisko klienta, adres, liczba gości i ewentualnie ich nazwiska. Potem szkice wszystkich kompozycji, z małymi strzałkami prowadzącymi do dokładnego opisu użytych kwiatów. W końcu rysunek i dane dotyczące miejsca, w którym miały stać poszczególne dzieła. Carolina nigdy nie wyrzucała tych notatek. Odświeżały jej pamięć i dostarczały inspiracji, a prócz tego dzięki nim nigdy się nie powtarzała ani nie proponowała takich samych dekoracji klientowi, który był kiedyś gościem na obsługiwanej przez nią imprezie.

- Jasne - odparła Roxie. Także odłożyła nóż i zdjęła rękawice.

- A więc dwie wielkie kompozycje w stylu flamandzkim, na konsole w wejściowym holu.

- Są gotowe. - Roxie skinęła głową.

- Teraz salon. Dwa identyczne, nieduże bukiety na kominek i sześć na stoły. Zgadza się?

- Tak jest. Też już zrobione.

- Biblioteka. Duża kompozycja na centralny stół i cztery małe na pozostałe stoły.

- Małe są gotowe. Tę dużą, na centralny stół, chciał ułożyć Antonio.

- Dobrze - zgodziła się Carolina. - Zabierze się do tego, gdy tylko wróci. - Znowu zerknęła do szkicownika. - Jedna mała kompozycja do damskiej toalety.

- Gotowa - odparła Roxie. - Już ją ułożyłam.

- Cztery do sypialni i dwie do przyległej łazienki.

- Właśnie nad nimi pracuję.

- Następne cztery do pokoju gościnnego i dwie do łazienki.

- Jeszcze niezrobione.

- Dobrze. Ja się tym zajmę - zdecydowała Carolina. - Co jeszcze? Och, cztery małe bukiety na korytarze.

- Gotowe.

- I wreszcie jadalnia.

- Dwie olbrzymie kompozycje na komodę i konsolę są już zrobione - oświadczyła Roxie. - Zostają więc tylko kwiaty na stół.

Uśmiechnęła się i spojrzała pytająco na Caroline. Jeżeli przyjęcie było połączone z kolacją, Carolina zawsze układała kompozycje na stół osobiście i zawsze robiła to na samym końcu.

- Zabiorę się do nich za chwilę - odpowiedziała Carolina na nieme pytanie przyjaciółki. - Właśnie w tym celu kupiłam srebrne róże. Będą idealne do jadalni i jestem przekonana, że Lydia Carstairs doceni ich szczególny urok. Ten gatunek róż jest dzisiaj rzadko wykorzystywany przez florystów, więc wprowadzimy element oryginalności i zaskoczenia.

- Mnóstwo kwiatów - zauważyła Roxie. - Rzadko kto ma tyle nawet na ślubie i weselu.

Carolina skinęła głową.

- Trzydzieści pięć różnych kompozycji - policzyła. - Choć nie, trzydzieści sześć, bo na jadalny stół mają być dwie. U Lydii czeka nas jeszcze mnóstwo pracy. Och, i pamiętaj, aby wrzucić do torby trzy suszarki, po jednej dla każdego z nas. Lydia zawsze chce, by kwiaty były w pełnym rozkwicie, użyjemy więc suszarek, by pobudzić te, które jeszcze nie całkiem się rozwinęły.

- Powiedziałam Antoniowi, żeby nie chował gotowych kompozycji do chłodni, więc tu, na wierzchu, też jeszcze będą się rozwijać.

- To doskonały pomysł - pochwaliła ją Carolina. - Poza tym mogą oglądać je inni klienci. Niektórzy pewnie zapragną zamówić podobne ozdoby. A teraz do roboty. Najpierw wynieśmy gotowe bukiety przed sklep. Ludzie już ruszają do pracy. Niektórzy z nich chętnie kupują kwiaty sobie na biurko czy dla szefa, czy też kogokolwiek bądź.

We dwie wyniosły z zaplecza drewniany stojak z kilkoma półkami i ustawiły przed kwaciarnią, pilnie przy tym uważając, by nie zasłonić witryny, a jednocześnie zmieścić się pod markizą, żeby kwiaty pozostały w cieniu. Potem na półkach ustawiły pojemniki z wiązkami - w każdym mieściło się od dziesięciu do dwudziestu bukietów i każdy był oznaczony naklejką z ceną wahającą się od czterech do dwudziestu dolarów.

Kiedy wróciły do kwaciarni, Carolina wyjęła na stół dwa bloki specjalnej gąbki i zieloną taśmę klejącą, a potem poszła na zaplecze po dwie srebrne wazy należące do Lydii Carstairs. Obie były starannie zapakowane w dmuchany plastik, by cenne antyki się nie zarysowały.

Ustawiła ciężkie wazy na roboczym stole, do każdej włożyła gąbkę, po czym ciężko westchnęła.

- Co się stało? - zaniepokoiła się Roxie. - Jakiś problem?

- Nie, skądże - odrzekła szybko Carolina. - Tylko tęsknię za Lyonem. Tak często teraz wyjeżdża. - Zaczęła obrywać zbędne liście srebrnych róż. - Czasami odnoszę wrażenie, że stajemy się sobie całkowicie obcy.

- Wy? - Roxie uniosła wysoko brwi. - To niemożliwe. Jesteście przecież idealnym małżeństwem.

- Tak, wiem - zgodziła się Carolina. - Chyba po prostu brakuje mi go bardziej niż zwykle. Ostatnio spędzamy ze sobą tak strasznie mało czasu.

- Ja osobiście sędzę, że powinnaś się uważać za szczęściarę - zdecydowała Roxie. - Przynajmniej ty i Lyon żyjecie w dobrym, trwałym związku. Lyon jest przystojny, uroczy, wprost idealny. Natomiast jego paskudny braciszek ani myśli się zdeklarować - oznajmiła ze śmiechem.

- A jak się właściwie między wami układa? Nie widziałam Lelanda od wieków.

Roxie spojrzała na Caroline wielkimi, ciemnymi oczami.

- Och, wciąż go uwielbiam - odrzekła, uśmiechając się melancholijnie. - A on mnie traktuje jak najprawdziwszą księżniczkę.

- Daj spokój, Roxie. Przecież widzę, że coś jest nie w porządku.

- Czemu tak myślisz?

- Wiem, jaki potrafi być Leland. No i znam też ciebie. Widzę, że w tej chwili nie należysz do najszczęśliwszych dziewczyn na świecie. Wiem, że jesteś zakochana, ale jakby z ciebie wyparował entuzjizm. O co chodzi? O drobną sprzeczkę kochanków?

Roxie skinęła głową.

- Bo on... To znaczy ja... ja właściwie nie rozumiem, co się z nim ostatnio dzieje. Nie sędzę, żeby w grę wchodziła inna kobieta. Nie w tym rzecz. Ale coś się święci. Przede wszystkim zaczął dużo pić, poza tym o najdziwniejszych porach dzwonią do niego jacyś ludzie - sami mężczyźni - i on natychmiast wychodzi, twierdząc, że ma pilne spotkanie z klientem - tak to właśnie nazywa. - Po gładkich policzkach Roxie zaczęły płynąć łzy, szybko jednak je otarła. - Szlag by to trafił! Zupełnie nie rozumiem, czemu nie chce mnie

wtajemniczyć w te... w cokolwiek to jest, co go tak absorbuje.

Carolina objęła czule dziewczynę i przytuliła, uspokajająco poklepując po plecach.

- Och, Roxie, moja kochana - szepnęła z przejęciem. - Nie zamartwiaj się tak bardzo. Na pewno wszystko się ułoży, jesteś przecież taka śliczna.

Dziewczyna, mocno przytulona do Caroliny, zaczęła nagle śmiać się przez łzy. Twarz wciąż miała mokną, ale kąciki ust już się uniosły.

- Jesteś... jesteś cudowna, Carolino. Twój szwagier czasami bywa dupkiem, ale ty zawsze potrafisz podnieść mnie na duchu.

Carolina odpowiedziała jej uśmiechem. Z pudełka stojącego na stole wyjęła kilka chusteczek i zaczęła delikatnie wycierać twarz Roxie.

- No, proszę. Już jesteś tak piękna jak zwykle.

- Dziękuję, Carolino. I przepraszam. Po prostu nie mogłam się opanować. To zaczyna mnie przerastać. - Odwróciła się, sięgnęła po chusteczki i głośno wydmuchała nos. - Nie powinnam pozwolić, żeby mnie tak traktował.

- I tak trzymać - odrzekła Carolina wesoło. - A teraz bierzmy się do pracy!

Wróciła do stołu, wciągnęła rękawice, wciąż jednak nurtowało ją, do jak poważnego rozdzwiewku doszło między Roxie a Lelandem - i co właściwie knuł jej szwagier. Mimo że jej stosunki z Lelandem zawsze układały się dobrze, Carolina nigdy mu do końca nie ufała.

Chociaż był uprzejmy, przystojny i czasami równie czarujący jak Lyon, odznaczał się też impulsywnością, brakiem rozważli i egoizmem. Carolina nie uważała go za złego człowieka, ale swoją bezmyślnością często ranił ludzi i przysparzał innym problemów. I zdążył już złamać sporo kobiecych serc.

Kiedy kilka miesięcy temu Roxie zaczęła spotykać się z Lelandem, Carolina miała nadzieję, że wszystko wreszcie się ułoży - że znajomość z Roxie nie skończy się tak, jak z wieloma innymi dziewczynami, które Leland uwodził, a potem zdradzał i porzucał bez najmniejszych skrępowań. Co prawda Roxie twierdziła, że tym razem w grę nie wchodzi inna kobieta. Co więc się za tym wszystkim kryje? Z rozmyślań wyrwał ją dzwonek telefonu.

- Carolina - rzuciła miłym głosem do słuchawki.

- Mam złe wieści.

- O, Boże. Lyon! - Radosna nuta natychmiast zniknęła z jej głosu. Mąż nigdy nie dzwonił do sklepu, bo - jak twierdził - nie chciał przeszkadzać jej w pracy. Już sam fakt, że tu zatelefonował, wzbudził w niej wielki niepokój. - O co chodzi? Czy wszystko w porządku? Nic ci się nie...

- Nie, nie - uspokoił ją. - Nic z tych rzeczy, Carolino. U mnie wszystko w porządku,

a w każdym razie nie dolega mi nic takiego, czego nie uleczyłoby kilka dni w twoim towarzystwie. Rzecz w tym, że będę musiał tu zostać dłużej niż pierwotnie zamierzałem.

- Och, nie! - jęknęła rozczarowana. - Miałam nadzieję, że wrócisz na urodziny Matta. Od tak dawna nie byliśmy wszyscy razem w rodzinnym gronie. No i ja już wszystko tak zorganizowałam w kwaciarni, żeby nic nie zepsuło nam tego dnia.

- Wiem. Naprawdę nic nie mogę na to poradzić.

- Rozumiem - odrzekła, choć właściwie wcale nie rozumiała. - A przynajmniej tak mi się zdaje.

- Wiem, że to trudno pojąć - przyznał Lyon zmartwionym głosem. - Ale tego wymaga nowy zarząd. Tak to bywa z tymi fuzjami. Przychodzi ktoś nowy i wydaje mu się, że jeśli wstrząśnie firmą w posadach, nagle osiągnie niebywale rezultaty, a tymczasem w większości wypadków nie ma zielonego pojęcia, co naprawdę robi. W każdym razie muszę poprowadzić tu dodatkowe seminaria dla nowego personelu. I choć nie wiem, dlaczego właściwie padło na mnie, nic nie mogę zrobić. Pozostaje mi tylko nadzieja, że wkrótce wszystko wróci do normy.

- Ja też mam taką nadzieję - odpowiedziała Carolina. - Ostatnio jesteśmy jak te statki mijające się w mroku. Kilka wspólnie spędzonych dni raz na jakiś czas. No i Matt będzie bardzo zawiedziony twoją nieobecnością. Ale mam pomysł - zmusiła się, by nadać głosowi pogodniejsze brzmienie. - Jeżeli sprawy będą dalej tak się układać, może po prostu przeniesiemy się na stałe do Amsterdamu. Tam też mogę otworzyć kwaciarnię.

Lyon parsknął śmiechem:

- W mieście, w którym jest pełno kwiatów?

- Przecież tylko żartowałam, głuptasie.

- Wiem. I doceniam, że w tych okolicznościach masz poczucie humoru. Słuchaj, chętnie rozmawiałbym z tobą godzinami, ale już muszę lecieć. Muszę się spotkać na drinku z facetami z nowego zarządu.

- Okay. W takim razie cię zwalniam. I, Lyon?

- Tak?

- Tęsknię za tobą i bardzo cię kocham.

- Ja też tęsknię. Za tobą i Richiem. I kocham was oboje.

- To pa.

- Pa, skarbie. Wkrótce zadzwonię.

Carolina odłożyła słuchawkę i westchnęła głęboko. Do licha, pomyślała, podpierając twarz rękami. Richie będzie bardzo rozczarowany, podobnie jak Matt. Ale żaden z nich nie będzie równie nieszczęśliwy, jak ona.

Lyon ze zmarszczonym czołem odłożył słuchawkę. Nienawidzę ich okłamywać, pomyślał. Ale przecież w tej chwili nie mam innego wyjścia.

Westchnął głęboko. Zaraz po przyjeździe będzie musiał w końcu wyznać Carolinie prawdę. Wyrzwał na taras, gdzie siedziała Monique, wpatrzona w Anję bawiącą się ulubionymi lalkami. Długie, jasne włosy młodej kobiety połyskiwały w słońcu. Są takie piękne, pomyślał Lyon. Podobnie jak ciało Monique - smukłe, jędrne ciało tancerki, mocne, ale bardzo seksowne. I jak jej duże, błękitne oczy, zmysłowe usta, idealna cera. A także jej młodość - wprost tryskająca świeżością.

Drzwi i okna były szeroko pootwierane, z tarasu dobiegało radosne szczebiotanie Anji. Lyon podniósł się z krzesła i wyszedł do swoich kobiet.

- Tatuś! - wykrzyknęła dziewczynka po angielsku, wyciągając ku niemu rączkę, - w której ścisnęła lalkę.

- Jaka śliczna - pochwalił z uśmiechem i Anja natychmiast skoncentrowała uwagę na zabawce. Małym, różowym grzebieniem zaczęła rozczesywać nylonowe włosy.

- Jestem wykończony - wyznał, siadając na tekowej sofie obok Monique i obejmując dziewczynę.

- Wszystko w porządku?

- Tak sądzę - odparł. - Powiedziałem, że muszę zostać dłużej.

- Zapewne nie była szczęśliwa z tego powodu.

- Boja wiem... Jest bardzo zapracowana - stwierdził Lyon.

- Mimo to... - Monique zawiesiła głos i pogрузzyła się w pełnym zadumy milczeniu.

Lyon lekko ścisnął jej ramię.

- Wszystko wkrótce się ułoży, Monique. Uwierz mi. Po prostu potrzebuję jeszcze trochę czasu.

- Ja cię nie poganiam - odpowiedziała, spoglądając mu w oczy. Pomimo opanowanego wyrazu jej pięknej twarzy w głębi oczu czaił się lęk i smutek. Lyon pomyślał, że powinien ją pocieszyć.

- Posłuchaj, Monique. Teraz ten dom jest moim miejscem na ziemi. Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości i ty też nie powinnaś ich mieć. Musisz mi uwierzyć. Wkrótce już na zawsze będziemy razem. Ty, ja i Anja.

Usłyszawszy swoje imię, dziewczynka spojrzała na niego wielkimi oczami i uśmiechnęła się radośnie. Znowu wyciągnęła przed siebie pulchną rączkę, zaciskającą się na lalce.

- Jest bardzo piękna, mój skarbie - oznajmił Lyon. - Zupełnie jak ty. Córeczka

zachichotała i przycisnęła zabawkę do piersi. Lyon tymczasem zwrócił się ku Monique.

- Jakże mógłbym z was zrezygnować? Nigdy w życiu nie porzucę ani ciebie, ani Anji.

Monique westchnęła cicho.

- Może i nie - odrzekła. - Ale chyba nie muszę ci przypominać, że w Nowym Jorku masz dokładnie taki sam układ.

- Nie, Monique - zaprotestował szybko. - To zupełnie coś innego. Po prostu tego nie rozumiesz.

- Czego na przykład nie rozumiem? - spytała, patrząc na niego z ukosa. - Dla mnie sprawa jest jasna. I bardzo prosta. W Stanach masz żonę i syna. Tutaj masz przyjaciółkę - czy jakkolwiek chciałbyś mnie nazwać - i córkę.

- Nie - zaprzeczył Lyon. - To nie to samo. Carolina ma swoją kwiaciarnię. - Urwał, jakby szukał właściwych słów. - Ona... Ona jest tak naprawdę bardziej związana ze swoim sklepem niż ze mną. Nawet nie zauważy, gdy zniknę z jej życia. Natomiast Richie... cóż, Richie jest już prawie dorosły. Wkrótce wyfrunie z gniazda. Czy nie rozumiesz? Obie sytuacje są zupełnie różne!

Monique spojrzała na niego z poważnym wyrazem twarzy.

- Może rzeczywiście się różnią - zgodziła się. - Ale według mnie jedyna różnica jest taka, że to ona i Richie są twoją rodziną w oczach ludzi i wobec prawa. Są... godni szacunku. A ja? Ja... ja jestem tą drugą. Jestem nikim, niczym. A Anja? Ona...

- W żadnym razie, Monique. - Chwycił ją w ramiona i mocno przytulił do piersi. - Nie wolno ci nawet tak myśleć. Uwierz mi, chcę spędzić resztę życia z tobą i z Anją. I wkrótce do tego doprowadzę. Już wkrótce.

W tym momencie Anja podniosła się, rzuciła lalkę i podeszła do nich na swoich pulchnych nóżkach. Objęła mocno rączkami kolana ojca i przycisnęła do jego nóg swoją brązowowłosą główkę.

- Kocham cię tatusiu. Delikatnie pogładził dłonią jej włosy.

- Ja cię też kocham, skarbie.

- Chodź Anju - odezwała się Monique. - Posiedź chwilkę u mamy na kolanach.

Dziewczynka wyciągnęła rączki i Monique wzięła ją w ramiona, po czym zaczęła odgarniać małej włosy z oczu.

- Ciebie też kocham, mamusiu - wyznała Anja. Monique przycisnęła ją do piersi.

- I ja cię kocham, córeczko. Z całego serca.

Lyon pochylił się nad nimi i pocałował Monique w policzek.

- A ja kocham was obie - oznajmił. - I wkrótce wszystko załatwię jak należy.



Obiecuję.

## Rozdział 6

Carolina ustawiła porcelanową miseczkę z Delft na marmurowym blacie, po czym napelniła ją dojrzałymi wiśniami, by nadać ostateczny kształt jednej z kompozycji, inspirowanej martwymi naturami starych flamandzkich mistrzów.

Postąpiła parę kroków do tyłu, potem w prawo i w lewo, by sprawdzić, czy miseczka znajduje się na odpowiednim miejscu w stosunku do wielkiej wazy pełnej kwiatów. Po krótkim namyśle przesunęła naczynie z owocami trochę do przodu. Znowu postąpiła krok w tył, przyjrzała się własnemu dziełu i nieco przesunęła miseczkę. Zrobiła tak jeszcze parę razy, póki nie nabrała przekonania, że całość jest idealnie wyważona i współgra z kompozycją umieszczoną na drugiej konsoli, stojącej kilka metrów dalej.

- Tak - powiedziała do siebie w pełni usatysfakcjonowana. - Bardzo dobrze.

Z torby leżącej na podłodze wyjęła żółtą, miękką szmatkę i starannie wyczyściła marmurowy blat, by nie pozostały na nim choćby najmniejsze ślady. Wcześniej sprawdziła, czy nie ma żadnych kropel wody - był to zawsze niewybaczalny grzech w domach, w których jeden mebel kosztował często więcej, niż przeciętny człowiek mógł oszczędzić przez całe życie.

- Och, widzę, że kończysz już hol wejściowy. - Usłyszała z tyłu kobiecy głos. Mimo że jego właścicielka od kilku dziesięcioleci mieszkała w różnych częściach świata, wciąż zachowała nutę południowego akcentu.

Carolina odwróciła się do mówiącej. Srebrne włosy Lydii Carstairs były jak zwykle idealnie ułożone, jej twarz o kremowej cerze promieniała, a jedwabna suknia - kreacja Yves'a St. Laurenta, z wyciętym dekoltem obszytym białymi falbanami i długą, czarną spódnicą ozdobioną w talii dużą kokardą - stanowiła kwintesencję sztuki wielkiego projektanta.

- Tak, ostatnie poprawki - powiedziała Carolina. - I co pani o tym sądzi?

- Po pierwsze, jestem ci dożgonnie wdzięczna, że dbasz o moje konsole - odrzekła Lydia ze śmiechem. - Ta koszmarne Payton Fitzsimmons układała kiedyś u mnie kwiaty i zniszczyła wodą politurę na zabytkowym stole wartym ćwierć miliona dolarów. Po czym miała czelność przysłać mi rachunek!

Carolina mimowolnie wykrzywiła usta. Swego czasu dotarła do niej ta historia i wprost nie mogła się nadziwić, że po podobnym blamażu ludzie wciąż jeszcze chcieli korzystać z usług Payton Fitzsimmons. Chyba tylko dlatego, że była jedną z nich, gotowi byli tolerować tak kardynalne uchybienia.

- A teraz będę musiała znieść obecność tej wstrętnej istoty przy moim własnym stole - ciągnęła Lydia. - Prawdopodobnie stłucze cenny kieliszek lub talerz. Nie obchodzi mnie jej pochodzenie. Gdyby nie Seth, nigdy nie zaprosiłabym jej do swojego domu.

Carolina jedynie skinęła głową. Dawno temu przyjęła zasadę, by w obecności klientów nie czynić żadnych niepoehlebnych uwag pod adresem konkurencji. Uważała, że świadczyłoby to o braku wiary we własne umiejętności i o zawistnym charakterze.

Tymczasem pani domu przeszła kilka kroków po biało-czarnej marmurowej posadzce, po czym zaczęła bacznie studiować dwie olbrzymie kompozycje stojące na konsolach.

Po - jak się Carolinie wydawało - nieskończenie długiej inspekcji, Lydia spojrzała jej w oczy i skinęła głową.

- Są niebiańskie - zawyrokowała, składając smukłe dłonie.

Carolina od razu zauważyła duże pierścionki i bransoletki. Z łańcuszka na szyi Lydii zwieszał się olbrzymi brylant. Wszystkie klejnoty błyszcząły w świetle, przypominając Carolinie o materialnej przepaści dzielącej ją od klientki. Choć obie kobiety odznaczały się podobną wrażliwością estetyczną, żyły w zupełnie różnych światach.

Patrząc na Lydię, Carolina odruchowo zaczęła myśleć o dramatycznym życiu tej kobiety. Lydia była trzykrotnie zamężna. We wczesnej młodości wyszła za żadnego przygód nafcjarza, który zabierał ją na safari i na długie wyprawy do egzotycznych zakątków świata. Kiedy zginął w płomieniach, w katastrofie samochodowej, poślubiła obdarzonego wielką fortuną włoskiego arystokratę i dzięki niemu weszła w świat europejskiej śmietanki towarzyskiej. Po kilku latach jej drugi mąż zginął w wypadku narciarskim na stoku w St. Moritz, w pobliżu Corviglia Club. Wówczas Lydia spotkała Carstairsa - niebotycznie bogatego i nieco tępego producenta odzieży i właściciela sieci sklepów, który wkrótce po ślubie zmarł na rozległy zawał. W czasie swojego małżeńskiego życia piękność ze wzgórz Kentucky pilnie obserwowała i przyswajała sobie styl bycia elit. Teraz, jako spadkobierczyni trzech pokaźnych fortun, spędzała czas na odwiedzinach u znajomych mieszkających w różnych częściach globu, na bankietach i galach oraz wystawnych przyjęciach, które często i chętnie sama wydawała.

- Czy mogłabyś przejść ze mną do kredensu? - spytała Lydia.

- Oczywiście.

Ruszyły w głąb mieszkania. Odgłos ich kroków tłumiliły zabytkowe dywany z Savonnaire i Aubusson, rozpostarte na parkietach ułożonych identycznie jak w salach Wersalu. Po drodze natknęły się na Roxie, pracującą w skupieniu w salonie, oraz na Antonia poprawiającego kompozycję w bocznym holu. Kiedy wreszcie przeszły do pomieszczenia,

znajdującego się tuż za kuchnią, Lydia spojrzała na Caroline z uwagą.

- Chciałam się ciebie poradzić w pewnej sprawie.

- Poradzić się? Mnie? - zdumiała się Carolina. Lydia skinęła głową.

- Masz doskonały gust, a poza tym jesteś taka pełna inwencji. Chciałabym, żebyś mi powiedziała, co sądzisz o porcelanie, którą wybrałam na dzisiejszy wieczór.

- Z przyjemnością - odparła Carolina, mile połączona, że taka wyrocznia w kwestii smaku jak Lydia Carstairs chciałaby znać jej opinię w jakiegokolwiek sprawie.

Rozejrzała się po sporym pomieszczeniu, zdumiona ilością porcelany, kryształów i sreber zgromadzonych w szafach stojących wokół ścian.

Wystarczyłoby na pełne wyposażenie kilku domów, uznała w duchu.

- Mam tutaj dwadzieścia siedem kompletów porcelany. Kiedyś było ich więcej, ale część wywozłam do innych domów, a część sprzedawałam na aukcjach, bo doszłam do wniosku, że i tak z nich nie korzystam. W każdym razie na dzisiejszy wieczór wstępnie wybrałam dwa serwisy i nie mogę się zdecydować, który z nich będzie lepszy. Sama popatrz.

- Podeszła do centralnego blatu i wskazała dwa talerze ustawione na marmurowej powierzchni.

Jeden z nich - niewątpliwie Imari - był bogato zdobiony, głównie w odcieniach błękitu i czerwieni. Drugi był równie ozdobny, ale zupełnie inny w stylu - kremowe tło pokrywały delikatne, pastelowe kwiatki, talerze zaś miały barokową formę i bogate, ślimakowate żłobienia na obrzeżach. Zapewne miśnieńska porcelana, pomyślała Carolina.

- Rzeczywiście, oba są piękne - powiedziała głośno. - Czy mogłabym jednak zerknąć na inne zastawy?

Lydia wyglądała na zaskoczoną, ale pokiwała głową z uśmiechem.

- Oczywiście. Bardzo proszę.

Carolina podeszła do szaf i zaczęła przyglądać się porcelanie. Niewątpliwie znalazłoby się tu coś na każdą możliwą okazję. Bogactwo form i kolorów było doprawdy niezwykle. Jej oko przyciągnęły kremowe talerze ozdobione na brzegu dwoma paskami: szerokim liliowym i wąskim złotym. Odznaczały się surowością formy, ale też niezwykłą urodą.

- A co pani sądzi o tej zastawie, pani Carstairs? - spytała. - Jest...

- Lydio. Proszę, mów mi po imieniu - przerwała jej gospodyni. Carolina nie wierzyła własnym uszom. Oto jedna z najbardziej wpływowych osób chciała, żeby Carolina zwracała się do niej jak do koleżanki.

- A więc, Lydio, wydaje mi się, że ten serwis będzie idealnie komponował się

z różami, które przygotowałam na stół, no i z całym wystrojem jadalni.

Lydia Carstairs cofnęła się o krok i uważnie spojrzała na zaproponowaną przez Caroline porcelanę. Wydęła usta i w zamyśleniu ściągnęła brwi.

- Myśle... myślę, że masz absolutną rację - powiedziała po chwili. Spojrzała na Caroline i uśmiechnęła się szeroko. - Tak. Doskonały wybór. Zastanawiam się, czemu sama nie wpadłam na ten pomysł.

- Bo nie widziałas róż - wyjaśniła Carolina. - Gdybyś je zobaczyła wcześniej, ten wybór niewątpliwie narzuciłby ci się od razu.

- Jestem zachwycona - wyznała Lydia. - Nie używałam tego serwisu... och, od niepamiętnych czasów. Musiałabym sprawdzić w moim notesie, odkąd. Jestem jednak pewna, że niektórzy z moich gości jeszcze nigdy nie widzieli tego kompletu. Och i wiesz, co?

- Tak?

- Moje ciężkie srebra Buccellatiego będą wprost idealnie się z nim komponować. A ich też nie używałam od wieków. - Rzuciła okiem na zegar wiszący na ścianie. - O Boże, muszę natychmiast zawiadomić Normala o zmianach. Wkrótce zaczną się schodzić goście. Powinien wraz z pokojówkami zabrać się niezwłocznie do zmiany nakryć na stole.

- Ja tymczasem zobaczę, co porabiają Roxie i Antonio - powiedziała Carolina. - Jeżeli są już wolni, z przyjemnością pomożemy.

- Jesteś aniołem, moja droga. - Lydia delikatnie poklepała ją po policzku. - To by było cudownie. Dzisiejsze przyjęcie ma dla mnie bardzo duże znaczenie. - Posłała Carolinie pełne sprytu spojrzenie. - Jestem w zarządzie Towarzystwa Ratowania Zwierząt, celowo więc zabawiam i poję winem zarówno nowobogackich, którzy się dorobili na Internecie, jak i krezusów z dziada pradziada. Nie uwierzysz, ale niektórzy z nich jeszcze się nie dowiedzieli, na co należy wydawać pieniądze.

- I ty zamierzasz ich tego nauczyć?

- Właśnie - odparła Lydia z bardzo zadowoloną miną. - I wierz mi, jestem prawdziwym ekspertem w tej kwestii.. Od najnudniejszego głupca potrafię wyciągnąć pieniądze na zwierzęta, czarując go niemiłosiernie przez cały wieczór. Ale dość już o tym. Muszę szybko znaleźć Normala.

- Ja poszukam Roxie i Antonia. Spotkamy się w jadalni.

- Wspaniale - ucieszyła się Lydia i wyszła, szeleszcząc jedwabiami. Carolina znalazła Roxie w pokoju gościnnym.

- Właśnie kończę - oznajmiła dziewczyna. - A Antonio układa kwiaty w łazience. - Skinieniem głowy wskazała na sąsiednie pomieszczenie.

- Myślę, że też już się uwinął z pracą.

- Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu, ale zaoferowałam naszą pomoc przy nakryciu stołu.

- Dlaczego to zrobiłaś? - spytał Antonio, wychodząc z łazienki z wielką torbą na ramieniu. - Ta kobieta zatrudnia tyle osób, że mogłaby zapewnić sprawną obsługę w Pałacu Buckingham. My jesteśmy florystami, a nie służbą domową. Czyżbyś o tym zapomniała?

- To ja zaproponowałam Lydii zmianę zastawy - tłumaczyła cierpliwie Carolina. - A wkrótce zaczną się schodzić goście.

- Ja chętnie pomogę - powiedziała Roxie.

- Cóż, mnie się to nie podoba - oznajmił Antonio ostrym głosem. - Usługi pomocnicze w domu klienta nie wchodzą w zakres moich obowiązków.

- Więc może powinieneś zmienić pracę - odparła z irytacją Carolina.

- Chyba zapominasz, że to dzięki naszej dzisiejszej klientce dostaliśmy ostatnio kilka dużych zleceń, i że Lydia może nam jeszcze bardzo pomóc w przyszłości. Poza tym, Antonio, jeżeli poważnie myślisz o tym zawodzie, musisz nauczyć się elastyczności. I wybić sobie z głowy, że pomoc w ustawianiu porcelany na stole jest poniżej twojej godności.

W oczach Antonia błysnął gniew. Chłopak uniósł wojowniczo podbródek, jakby zamierzał rzucić wyzwanie Carolinie.

- No dobrze - zgodził się w końcu łaskawie - ale i tak mi się to nie podoba.

- W takim razie zabieraj się do domu - zdecydowała Carolina. - Powodzenie naszej pracy zależy od zgrania całego zespołu. Jeżeli nie chcesz być jego częścią - po prostu wyjdź.

Twarz Antonia natychmiast złagodniała.

- Zapomnij o tym, co mówiłem, Caroline Zostanę i pomogę.

- A więc chodźmy do jadalni. Jestem pewna, że uwiniemy się w mgnieniu oka.

Chwilę później - wraz z Normalem, kamerdynerem, i dwiema pokojówkami - ustawiali talerze, kierując się jego dokładnymi wskazówkami. Praca rzeczywiście przebiegła bardzo sprawnie, więc już kilkanaście minut później zebrali swój ekwipunek i skierowali się do służbowego wyjścia. W tym momencie wyszła do nich Lydia.

- Carolino, czy mogę cię zatrzymać jeszcze na chwilę? - spytała gospodyni cichym głosem. - Chciałabym pomówić z tobą na osobności.

Carolina zwróciła się w stronę Roxie i Antonia.

- Znieście, proszę, nasze rzeczy do furgonetki. Przyjdę do was za kilka minut.

- Oczywiście - rzuciła pogodnie Roxie. - Nie ma pośpiechu.

- Aleja umówiłem się na ósmą - zaprotestował Antonio, wymownie patrząc na

zegarek.

- Wrzuć więc swoją torbę do samochodu, a sam wskocz w taksówkę - zaproponowała Carolina.

- Tak właśnie zrobię - zdecydował, po czym razem z Roxie skierował się do holu za kuchnią.

Lydia uśmiechnęła się ciepło do Caroliny.

- Bunt na okręcie? - spytała.

- Nie mam pojęcia, co w niego ostatnio wstąpiło - westchnęła Carolina. - Jeszcze niedawno pracowałyby z ochotą nawet do północy.

- Świetnie sobie radzisz z pracownikami i prowadzeniem firmy - pochwaliła ją Lydia - a w dzisiejszych czasach to trudna sztuka. Rozumiem, że niekiedy zdarzają się drażliwe sytuacje. Pracujecie w cudzych domach, na ogół bardzo bogatych.

- Cóż, mnie osobiście ani trochę to nie przeszkadza - powiedziała Carolina. - Ale rozumiem, że dla niektórych osób może to być trudne.

- Między innymi dlatego tak bardzo cię lubię - odrzekła Lydia.

- To znaczy dlaczego?

- Ze jesteś taka rozsądna i bezpretensjonalna, no i nie wahasz się nigdy, jeśli trzeba zakasać rękawy. To mi się podoba. Kiedyś byłam zwykłą wiejską dziewczyną i - wierz mi - dobrze wiem, co to znaczy pracować własnymi rękami.

- Nie mam nic przeciwko fizycznej pracy. Szczególnie jeśli dzięki niej osiągam zamierzone efekty - powiedziała Carolina z uśmiechem, po czym spojrzała pytająco na Lydię.

- Ale o czym właściwie chciałaś ze mną porozmawiać?

- Prawdę mówiąc, chodzi o dwie rzeczy. Po pierwsze, chciałabym, żebyś już stale dostarczała kwiaty do mojego domu. Nie mam, oczywiście, na myśli tak wyszukanych kompozycji, jak na dzisiejszy wieczór. Wystarczą proste, eleganckie bukiety.

Carolina z trudem powstrzymała się, by nie zacząć podskakiwać i klaskać w dłonie z radości.

Trzydzieści pięć lub więcej kompozycji w tygodniu, cieszyła się w duchu, i to w domu, przez który dzień w dzień przewijają się najbogatsi ludzie Ameryki!

To wielki krok naprzód, który niewątpliwie pomoże zyskać więcej zamówień od przyjaciół i znajomych Lydii.

- Podejmę się tego zadania z największą przyjemnością - powiedziała w końcu. - Chyba już zdążyłam poznać twój gust, ale jeśli zechcesz, możemy szczegółowo wszystko ustalić.

Z oddali dobiegł dźwięk dzwonka domofonu. Portier zapewne anonsował nadejście pierwszych gości, ale Lydia zupełnie to zignorowała.

- Och, w pełni polegam na twoim guście, Carolino. Inaczej bym się do ciebie nie zwróciła. Możesz zacząć już od przyszłego tygodnia. Oczekuję świeżych kompozycji w każdy poniedziałek, o ile nie wyjadę z miasta. W takim wypadku Normal zawiadomi cię o zmianie planów z odpowiednim wyprzedzeniem.

- Już nie mogę się doczekać naszej współpracy.

- To doskonale - ucieszyła się Lydia. - Natomiast druga sprawa dotyczy artykułu w prasie. Przyszło mi do głowy, czy nie zechciałabyś, żeby przedstawiono twoją sylwetkę w magazynie „W”. Ostatnio pozwoliłam, by sfotografowali mnie w tym mieszkaniu w związku z moją kampanią na rzecz zwierząt. Redaktorzy tego czasopisma zawsze proszą, żebym im poleciła kogoś ciekawego. Doszłam do wniosku, że twoje prace byłyby dla nich wprost wymarzoną tematem. Robisz przepiękne kompozycje, Carolino, więc czytelnicy „W” z wielką przyjemnością przeczytaliby o twoim sklepie. Co o tym sądzisz?

Ja chyba śnię, pomyślała Carolina.

- Jestem zachwycona tym pomysłem - odpowiedziała, z trudem siląc się na spokój. - Niewątpliwie taki artykuł byłby doskonałą reklamą.

- Tak właśnie sądziłam - przyznała Lydia. - Nie ukrywam, że miałam ochotę zachować cię tylko dla siebie, ale szybko zrozumiałam, że byłoby to bardzo nie fair z mojej strony.

- Dziękuję ci, Lydio. - Carolinie teraz już łatwiej przyszło zwrócić się do starszej damy po imieniu.

- Pamiętaj jednak, że absolutnie nie życzę sobie, abyś innym klientom robiła takie same dzieła jak dla mnie. - Lydia pogroziła jej wysmukłym palcem. Wypowiedziała te słowa ze śmiechem, Carolina jednak wiedziała, że to nie żart.

- Nawet by mi to przez myśl nie przeszło - zapewniła pospiesznie.

- Wiem, inaczej bym cię nie zatrudniła. No dobrze. Muszę ruszać do holu. Słyszałam domofon i nie wypada, żeby ktoś zbyt długo na mnie czekał. Jeszcze raz dziękuję za twoją wspaniałą dzisiejszą pracę, Carolino. I w najbliższym czasie spodziewaj się telefonu od wydawców „W”.

- To ja ci dziękuję, Lydio - odparła Carolina. - Rozumiem, że zaczynamy od przyszłego poniedziałku?

- Oczywiście. Czy możemy się umówić na ósmą? Zawsze wstaję bardzo wcześnie.

- To idealna pora. I trzymam kciuki za dzisiejszą zbiórkę funduszy.



- Dziękuję - odpowiedziała Lydia i ruszyła w stronę holu, jednak po kilku krokach przystanąła. - Proszę, kogo my tu mamy! - wykrzyknęła radośnie.

Z korytarza wyszedł Seth Foster, nieziemsko przystojny w czarnym smokingu. Pod rękę trzymała go oszałamiająca piękność: jasnowłosa, błękitnooka, pięknie opalona Payton Fitzsimmons, w kreacji Galliano stworzonej dla domu Diora, która musiała kosztować co najmniej dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

- Witaj, Lydio - odezwał się ciepło Seth. Na europejską modłę cmoknęli się w powietrzu, po czym Foster spojrział przez ramię Lydii na Caroline. - Cześć, Carolino - rzucił z uśmiechem.

- Cześć, Seth - odpowiedziała, nagle onieśmielona.

Oboje z Payton stanowią przepiękną parę, zdecydowała w duchu.

- Ach, to ty jesteś tą kwiaciarczyką z podrzędnej dzielnicy, prawda? - Payton wyciągnęła dłoń w stronę Caroliny. - Nazywam się Payton Fitzsimmons.

- Carolina Mountcastle - odrzekła spokojnie. - Miło cię poznać. Kwiaciarczyką z podrzędnej dzielnicy? Co za suka!

W tym samym momencie za plecami Caroliny dał się słyszeć odgłos krzątania. Obejrzała się gwałtownie. To Antonio zabierał kolejną partię ekwipunku, by znieść go do furgonetki. Sprawiał jednak wrażenie, jakby zupełnie nie dostrzegał Seta ani Caroliny. Cała jego uwaga skupiła się na Payton Fitzsimmons.

Payton zerknęła na chłopaka, a spojrzenia, jakie między sobą wymienili, były namiętne i gorące.

O rany, pomyślała Carolina. Niewiele brakowało, a posypałyby się iskry.

Trwało to jednak tylko ułamek sekundy. Antonio szybko chwycił resztę sprzętu i zniknął.

- Carolino - odezwał się tymczasem Seth - z tego, co do tej pory zdołałem zobaczyć, uważam, że dokonałaś cudów.

- Dziękuję, Seth. To bardzo uprzejmie z twojej strony.

- Och, Seth jest zawsze niezwykle uprzejmy - wtrąciła Payton, poklepując go po ramieniu. - Nawet jeśli nie ma ku temu najmniejszych powodów.

- Cóż, muszę już lecieć - powiedziała Carolina. - Życzę wszystkim wspaniałej zabawy. Dobranoc.

- Dobranoc, Carolino - pożegnała ją Lydia, szelmowsko przymykając oko i posyłając jej całusa, po czym zwróciła się w stronę gości. - Chodźcie za mną. Musicie zobaczyć, jakich wspaniałych rzeczy dokonała tu dziś ta kobieta.

- Do widzenia, Carolino! - zawołał Seth. - Mam nadzieję, że wkrótce się spotkamy.

- Do widzenia.

- Miło było cię spotkać - oznajmiła Payton. - Szkoda, że nie możesz zostać.

Carolina zignorowała jej słowa i ruszyła w stronę wyjścia przez kuchnię, gdzie kucharze pilnie pracowali nad wykończeniem dań.

Mogła ścierpieć protekcyjność Payton, ale z niezrozumiałych powodów trudno jej było pogodzić się z faktem, że Seth spotyka się z taką kobietą.

Należałoby go chronić przed tą Fitzsimmons, pomyślała, zjeżdżając windą na parter. To prawdziwa żmija, on natomiast jest uosobieniem wszystkiego, co najlepsze.

## Rozdział 7

Beth przyglądał się Payton przez stół. Zabawiała właśnie rozmową jakiegoś świeżo upieczonego miliardera, który dorobił się bodajże na światłowodach. Mężczyzna wyraźnie czuł się nieswojo w tym towarzystwie, niemniej był zachwycony żywym zainteresowaniem, okazywanym mu przez tak piękną kobietę. W świetle świec jej oczy błyszczały kusząco, a brylanty w uszach, na szyi i nadgarstkach rozsiewały wokół skry. Payton w czarnej powiewnej sukni Diora poruszała się tak, jakby od urodzenia nosiła tylko kreacje wielkich krawców. Bo też tak było w istocie, skorygował się Seth w duchu.

Wystawne przyjęcia stanowiły jej żywioł. Do tego została wychowana. Umiała prowadzić żywą towarzyską rozmowę niemal ze wszystkimi, potrafiła być zabawna, taktowna i interesująca. Poza tym jej uroda każdemu zapierała dech w piersiach. Jednym słowem, była kobietą wprost wymarzoną na żonę dla mężczyzny takiego jak Seth. Z drugiej strony jej uwagi pod adresem Caroliny wzbudziły w nim niesmak. Już wcześniej zauważył arogancję Payton, podejrzewał też, że potrafi być zawistna i złośliwa, ale dzisiaj doprawdy przebrała miarę.

Skończyli już kolację - wspaniałą ucztę złożoną z *fois gras*, przepiórek z rusztu, dzikiego ryżu z trufkami i szparagami oraz lekkiego sorbetu z mango i papai. Teraz wszyscy prowadzili swobodne rozmowy nad filiżankami *espresso*.

- Proponuję, żebyśmy przeszli na drinki do biblioteki. - Lydia podniosła się od stołu, a reszta gości poszła za jej przykładem.

Seth podał ramię siedzącej obok niego przy stole Marcelli, żonie włoskiego potentata samochodowego i ruszył w kierunku drzwi jadalni.

W tym momencie dobiegł go głos Payton - podniesiony i skrzeczący. Czyżby wypić za dużo wina do kolacji?

- Dziwię ci się, Lydio - perorowała młoda kobieta, wskazując palcem róże zdobiące stół. - Ten gatunek jest wyjątkowo *declassé*. Srebrne róże! O rany! Nikt ich już nie kupuje od - bo ja wiem? - lat pięćdziesiątych?

- Dlatego też zastosowanie ich do tych kompozycji było bardzo przemyślnym posunięciem - oświadczyła Lydia, kierując się ku wyjściu. - Tych róż obecnie prawie się nie spotyka i dlatego uderzają oryginalnością. Poza tym pięknie współgrają z wystrojem jadalni. Na dodatek są wyjątkowej urody i doprawdy nie obchodzi mnie, że uważasz je za *declassé*, moja droga. Ja osobiście nazwałabym je retro.

- Ach, rozumiem, co masz na myśli - odparła Payton. - Cóż, rzeczywiście, retro to dla nich dobre określenie. - Powiodła dookoła ręką. - Tak samo zresztą, jak i dla pozostałych aranżacji Caroliny, tych stylizowanych na dzieła starych mistrzów. Czyż to nie nazbyt ortodoksyjne podejście? I takie przerażająco niemodne. Niewykluczone, że te bukiety wyglądałyby dobrze w tandetnym klubie, ale...

- Payton. - Seth przywołał ją do porządku ostrym tonem. - Może skończysz te rozważania i opowiesz nam o swoim nowym zamiarze?

Spojrzała na niego zdumiona, zaraz jednak rozciągnęła usta w uśmiechu.

- Oczywiście, to wspomniały pomysł. Dziękuję, Seth. Gdy tylko wszyscy przejdziemy do biblioteki, opowiem wam o moich najnowszych zainteresowaniach.

Biblioteka przedstawiała się imponująco - była cała w mahoniu, na półkach znajdowały się tysiące oprawnych w skórę książek, a na podłodze leżał rzadki, kolorowy dywan z Herez. Z sufitu zwieszały się holenderskie mosiężne żyrandole, pod nimi stało kilka niewielkich stołów i krzeseł, pod ścianami umieszczono wygodne, skórzane sofy, szeslongi i fotele. Ledwo służący przeszli wśród gości z tacami pełnymi rozmaitych trunków, a już Payton, z kieliszkiem brandy w dłoni, zastukała diamentowym pierścieniem w cienki kryształ, by zwrócić na siebie uwagę zgromadzonych. Stojąc przed olbrzymim kominkiem, nad którym wisiało pozłacane lustro roboty Williama Kenta, odchrząknęła i rozejrzała się po pokoju.

- Kochani, chciałam wam wszystkim oznajmić, że właśnie zaczęłam się profesjonalnie zajmować organizacją przyjęć i jeszcze w tym tygodniu otwieram kwaciarnię na Siedemdziesiątej Wschodniej. Mam więc nadzieję, że mnie odwiedzicie, by zobaczyć, co może wykreować prawdziwa florystka. - Pełnym politowania wzrokiem obrzuciła olbrzymi bukiet dorodnych papuzich tulipanów. - Oczywiście, znam też większość waszych przyjaciół, możecie więc z czystym sumieniem polecić im moje usługi. Dziękuję.

Rozległy się mdłe, grzecznościowe oklaski i wypowiedane pod nosem słowa gratulacji, ale wszyscy szybko powrócili do towarzyskich pogawędek. Payton tymczasem podeszła do Seta.

- I jak wypadłam? - zaszczębiotała słodkim głosem.

- Wypadłaś dobrze, choć uważam, że wybrałaś fatalny moment na tego rodzaju oświadczenie.

- Przecież sam mi kazałeś - odparła z nadąsaną miną.

- Ale nie taką formę i treść miałem na myśli. Sądziłem, że dyskretnie napomkniesz o swoich planach znajomym. To przyjęcie ma na celu zbieranie funduszy na Towarzystwo

Ratowania Zwierząt i nic innego nie powinno zaprzętać uwagi gości.

- Ja osobiście nie zamierzam poświęcać czemuś tak idiotycznemu najmniejszej uwagi - zachnęła się Payton. - Moja firma jest dla mnie o wiele ważniejsza niż jakieś stado zdychających kundli.

- Uważam też, że tak otwarta krytyka prac Caroliny nie należała do dobrego tonu - dorzucił, nie zwracając uwagi na jej poprzednie słowa.

Oczy Payton zapłonęły gniewem.

- Jak możesz mieć mi za złe uwagi pod adresem jakiegoś absolutnego zera, próbującego wdrzeć się na moje terytorium!

- Carolina pracuje w tej branży od lat - tłumaczył łagodnie Seth - i osobiście nie odnoszę wrażenia, by próbowała gdziekolwiek się wdzierać. Ludzie ją zatrudniają, ponieważ widzieli jej kompozycje i przypadły im do gustu. Carolina jest bardzo zdolna i cudownie bezpretensjonalna. Jest jak powiew świeżego powietrza. I choć nie należy do naszego kręgu, coraz więcej osób się nią zachwyca.

Payton odchyliła głowę do tyłu i wybuchnęła złym, pozbawionym wesołości śmiechem.

- Cóż, wkrótce nie będzie otrzymywała równie lukratywnych zamówień. Już moja w tym głowa - rzuciła ze złością. - Niedługo rozpoczynam prawdziwy *blitzkrieg*: a jak już wezmę się do działania, ta kwiaciareczka nie będzie miała czego szukać w naszej części miasta. Sam zobaczysz. Osobiście doprowadzę ją do ruiny.

Seth był wstrząśnięty jej zapalczywością.

- Ale dlaczego miałabyś ją rujnować? Przecież pracy z powodzeniem wystarczy dla was obu.

- Stanowi dla mnie konkurencję - odparła Payton. - A w dodatku jest nikim. Jakim prawem płacze się po domach ludzi takich jak my? Dekoracją naszych wnętrz zajmują się ludzie z naszego kręgu. Kiedy moja matka chciała zmienić wystrój domu, dzwoniła do Sister Parrish, ponieważ to nazwisko znajduje się w Rejestrze Towarzyskim. A teraz należy się zwracać do Miki Urtegun bądź innej naszej znajomej. A nie do jakiejś taniej kwiaciarki!

Seth miał już dość tej przemowy, nie chciał jednak wdawać się w kłótnię. Pragnął za wszelką cenę oszczędzić podobnej sceny Lydii i jej gościom. Pomyślał, że dzisiejszego wieczoru nie ma ochoty spędzić więcej czasu w towarzystwie Payton niż to niezbędnie konieczne.

- Czy jesteś gotowa do wyjścia? - zapytał więc bez wahania. - Jutro czeka mnie ciężki dzień, powinienem się już zbierać.

Payton wzruszyła ramionami.

- Jak chcesz - odrzekła. - Mnie też czeka jutro sporo zajęć. Wiesz, jak to jest z nami, pracującymi dziewczynami. Prawdę mówiąc, nawet zamierzałam cię prosić, żebyś mnie dziś wcześniej odprowadził do domu.

- Doskonale. A więc chodźmy.

W tym momencie podeszła do nich Marcella i chwyciła Setha pod ramię.

- Seth jest wprost boskim mężczyzną, Payton. Nie wolno ci wypuścić go z rąk.

Payton roześmiała się perliście.

- Jest pani niepoprawną swatką, *principessa*. Podobno to właśnie pani przedstawiła księciu Volpicelli tę koszmarną aktoreczkę, która przy rozwodzie tak niemiłosiernie go oskubała.

Marcella wybuchnęła śmiechem.

- Trzeba jednak przyznać, że ta kobieta potrafi wydawać pieniądze w wielkim stylu.

- Wybacz, Marcello, że przerwę tę interesującą rozmowę, ale naprawdę powinniśmy już iść - wtrącił Seth, chwytając Payton za ramię. - Jutro oboje musimy się zerwać skoro świt.

- Och, mój Boże. Jaka szkoda. W moim mniemaniu każdy, kto jeszcze nie skończył pięćdziesiątki, powinien szaleć przez całą noc, nie zastanawiając się, co przyniesie jutro. Czyż nie?

- Z pewnością - przytaknęła Payton - ale Seth jest czasami strasznym sztywniakiem. - Pomachała Marcelli na do widzenia.

Przeszli przez pokój w stronę Lydii, pogrążonej w rozmowie z grupką gości.

- Na nas już czas - oznajmił Seth, ściskając serdecznie jej dłoń.

- Tak wcześnie, kochani? - zdziwiła się Lydia, po czym podstawiała mu policzek do pocałowania. - Dziękuję, że przyszliście.

- My też dziękujemy Lydio - zaćwierkała Payton. - Cudowne przyjęcie.

- Miło mi, że się dobrze bawiliście - odparła Lydia. Miała wielką ochotę rzucić jakąś uszczypliwą uwagę pod adresem tej kobiety, ale ze względu na Setha postanowiła się powstrzymać. - Normal odprowadzi was do drzwi.

Odwróciła się z powrotem w stronę gości, a Payton i Seth ruszyli przez hol.

Kiedy znaleźli się na ulicy, Seth spojrział uważnie na dziewczynę.

- Czy naprawdę uważasz mnie za sztywniaka?

- Ależ skąd - odparła ze śmiechem. - Przecież tylko żartowałam. Może sobie być największym nudziarzem na świecie, pomyślała, ale jest wyjątkowo użyteczny, więc tak szybko nie wypuszczę go z rąk.

- Nikomu nic podobnego ani przez moment nie przyszłoby do głowy. Jesteś przystojny i szarmancki, i... cóż masz wszystkie przymioty, które kobieta chciałaby widzieć u przyszłego męża.

Seth pozostawił tę uwagę bez komentarza, szli więc w milczeniu Piątą Aleją, po czym skręcili na wschód, w stronę domu Payton. Kiedy dotarli na miejsce, Seth wjechał z nią na górę, uznając, że powinien odprowadzić swą towarzyszkę pod same drzwi.

W progu apartamentu Payton spojrzała mu w oczy.

- Wpadniesz na strzeziennego?

- To nie jest dobry pomysł, moja droga. Nawiasem mówiąc, uważam, że przez jakiś czas nie powinniśmy się spotykać.

- Ale dlaczego? - spytała urażonym tonem. - Zupełnie cię nie rozumiem. Czy powiedziałam bądź zrobiłam coś złego?

- Niepotrzebnie krytykowałam Caroline w obecności Lydii. To było nie tylko obraźliwe dla niej, ale także - a może przede wszystkim - niegrzeczne wobec pani domu. Zachowałam się wyjątkowo arogancko... i złośliwie. Nie wiedziałem, że potrafisz być taka.

- Zapewniam cię, że nie zrobiłam tego celowo - tłumaczyła się głosem małej dziewczynki. - Myślę, że jesteś po prostu przewrażliwiony na punkcie ich obu, i tyle. Nie chciałabym, żeby taki drobiazg zniweczył nasz... naszą przyjaźń, bo cię po prostu uwielbiam, Seth.

Chciała go pocałować w policzek, ale gwałtownie się odsunął.

- Dobranoc, Payton - powiedział.

- Dobranoc, Seth - odrzekła słodko. - Zadzwoń do mnie wkrótce, dobrze?

Przez chwilę milczał, w końcu jednak zwrócił się w jej stronę.

- Nie zamierzam zmieniać zdania. Jestem przekonany, że powinniśmy od siebie odpocząć. Na pewno zbyt szybko nie zadzwonię. - Z tymi słowami wsiadł do windy.

Ja cię też pieprzę, rzuciła w duchu Payton. Szybko zatrzasnęła drzwi apartamentu i z naszywanej kolorowymi kamykami wieczorowej torebki wyłuskała komórkę.

Jeden dzwonek. Potem drugi. W końcu usłyszała zaspiane „halo”.

- Tu Payton - szepnęła w słuchawkę. - Możesz do mnie teraz przyjść?

- Będę najdalej za kwadrans.

- Doskonale. Czekam na ciebie.

Na środku salonu leżała, rzucona w nieładzie, połyskująca suknia Diora, a obok niej t-shirt i znoszone dżinsy Antonia. Antonio i Payton stali nadzy, wpatrując się namiętnie w siebie nawzajem. Pierwszy wykonał ruch Antonio - ujął w dłonie pełne piersi dziewczyny.

Payton poczuła gwałtowny dreszcz. Niewiarygodne, - jak podniecająco działał na nią sam dotyk jego palców. Gdy Antonio chwycił ustami jej sutek, westchnęła i zaczęła pieścić całe jego ciało, wsłuchując się w przyspieszony oddech mężczyzny, czerpiąc radość z jego oczywistego podniecenia.

Antonio tym razem nie zamierzał czekać. Chwycił ją w ramiona i bez najmniejszego wysiłku - jakby nic nie ważyła - położył na najbliższej sofie. Wszedł w nią gwałtownie, do końca, a Payton niemal uniosła się nad jedwabnym adamaszkiem, drżąc na całym ciele. Chwilę później, dostosowując się do jego szaleńczego rytmu, poddała się jego brutalnym pchnięciom.

- Antonio! Och, Antonio! - krzyczała, wznosząc się na szczyt rozkoszy. Zatopiła paznokcie w jego plecach, z całej siły przyciągając go do siebie, zachwycona jego siłą i gwałtownością. Niedługo potem i Antonio wydał z siebie głośny okrzyk, po czym opadł na jej pierś.

- Antonio - wyszeptała po chwili. - Jeszcze nigdy nie było mi tak wspaniale. - Cały czas przyciskała go do siebie, chcąc nadal czuć jego gładkie, muskularne ciało.

Przez chwilę leżeli złączeni, ciężko dysząc. W końcu Antonio przetoczył się na bok, nie wypuszczając jej z objęć.

- Tak się cieszę, że po mnie zadzwoniłaś - wyszeptał, gdy już odzyskał oddech. - Nawet nie wiesz, jak mi było ciężko, kiedy zobaczyłem cię dziś na przyjęciu. Nie mogłem nawet się do ciebie odezwać.

Uśmiechnęła się i ścisnęła jego imponujące ramię.

- Ze mną było dokładnie to samo - wyznała. - Ale tak właśnie powinniśmy się teraz zachowywać. Na dłuższą metę będzie to korzystne dla nas obojga.

- Nie rozumiem dlaczego. - Zachmurzył się lekko, wodząc palcem po jej policzku.

- Ponieważ jeśli nikt nie będzie wiedzieć o naszym związku, nikomu nie przyjdzie do głowy, że pomagasz mi zrealizować pewien plan - odrzekła z tajemniczym uśmiechem.

- Jaki plan? - zainteresował się od razu Antonio, przesuwając dłoń w stronę pośladków Payton.

- Opowiem ci wszystko ze szczegółami, ale dopiero, jak mi obiecasz, że nikomu nie powiedz słowa o tym, co jest między nami. - Powiodła palcem po jego torsie. - Nikomu. Bez wyjątku.

- Zdaje się, że nie zostawiasz mi wyboru - odrzekł, mocniej zaciskając dłonie na jej pośladkach.

- Nie. - Chwyliła go mocno. - Chyba nie chcesz za chwilę utracić swojego skarbu.



- Auu! - wykrzyknął ze śmiechem, po czym rzucił jej poważne spojrzenie. - Nie lubię przemykać się jak złodziej. Czuję się przy tobie tak wspaniale, że chciałbym to wykrzyczeć na całe gardło.

- Rozumiem cię, ale musimy się teraz zdobyć na cierpliwość, Antonio. Ten stan nie będzie trwał wiecznie. A właściwie, przy twojej pomocy, może trwać o wiele krócej, niż nam się w tej chwili wydaje.

Przyciągnął ją mocno do siebie.

- Boże, mam taką nadzieję - wyszeptał. - Jesteś niezwykła, cudowna. Chciałbym się tobą pochwalić przed całym światem.

Zaczął ją całować z niesłychaną pasją, jakby wcześniej nie zaspokoił swych pragnień. Payton odpowiedziała na jego pocałunki z równą namiętnością, chociaż myślała zupełnie o czym innym.

Powinna bardzo ostrożnie obchodzić się z Antoniem. Pod pewnymi względami był jak dziecko i do tego za bardzo się zaangażował. Ale był też niezbędny do zrealizowania jej zamiarów.

Jęknęła głośno, bo Antonio znowu wszedł w nią gwałtownie, i bezwiednie poddała się jego rytmowi.

No i w żadnym wypadku nie zamierzała zrezygnować z Seta. Może powinna spróbować go uwieść? Bo tak łatwo nie da mu się odsunąć, a już na pewno nie dopuści, by złapała go jakakolwiek inna kobieta. Natomiast przy pomocy Antonia wkrótce doprowadzi Caroline Mountcastle do całkowitej ruiny.

## Rozdział 8

Taksówka zatrzymała się pod markizą hotelu Plaža przy Piątej Alei i portier w liberii zbiegł po schodach, by otworzyć drzwi samochodu przed Carolina i Roxie. Po wyłożonych czerwonym chodnikiem stopniach weszły do imponującego hotelowego holu. Carolina nie była tu od wielu lat. Kiedy jednak z Sali Palmowej dobiegły ją dźwięki tria smyczkowego, przypomniała sobie od razu, jaką wspaniałą oazą europejskiego stylu i spokoju jest ten hotel usytuowany w centrum tętniącego życiem Manhattanu.

Ogarnęła ją nostalgia. Wieki temu razem z Lyonem bywali na lunchach w Barze Ostrygowym, a jeszcze wcześniej przychodziła tu kilka razy z rodzicami na kolacje w Sali Edwardiańskiej. Poza tym swego czasu często umawiała się w tym hotelu z Mattem, by wspólnie wypić drinka w zawsze pełnej zgiełku Sali Dębowej.

Rozejrzała się dyskretnie i wówczas jej uwagę przyciągnęła kompozycja kwiatowa ustawiona na centralnym stole w holu. Była tak cudownie wyważona i elegancka, że Carolina poczuła profesjonalne ukłucie zazdrości. Ten, kto dostarcza kwiaty do hotelu, to prawdziwy artysta.

Na wyściełanych francuskich sofach i fotelach siedziało kilka wytwornych kobiet. Zapewne czekały na mężów bądź przyjaciół. Dywan pokrywający posadzkę był tak gruby, że obcasy Caroliny całkowicie się w niego zapadały. Marmury, złożone drewno i kryształowe kandelabry stanowiły idealne tło dla dramatycznych wydarzeń, które niejednokrotnie rozgrywały się w tym budynku.

- Zapomniałam już, jak tu pięknie - zachwyciła się Roxie, gdy wraz z Carolina kierowały się w stronę szefa recepcji.

- Wymarzone miejsce na ślub - zauważyła Carolina. - Prawda?

- Jasne.

- No to do dzieła - mruknęła Carolina pod nosem i zwróciła się do mężczyzny stojącego za kontuarem. - Witam. Czy mam przyjemność z Michaellem?

Młody człowiek lekko skinął głową. Jego gładko zaczesane włosy połyskiwały nawet w przydymionym świetle.

- Zapewne pani Mountcastle?

- Owszem.

- Zechce pani chwileczkę poczekać? - poprosił z uśmiechem. - Za moment ktoś zaprowadzi panią do Wielkiej Sali Balowej... Ach, oto pani przewodnik. Pani Mountcastle

przedstawiam Aleca. Alec, poznaj panią Mountcastle. Proszę zaprowadzić panią do sali balowej. Pani Mountcastle, życzę owocnej pracy.

Alec uprzejmie skinął głową.

- Proszę tędy - powiedział, wskazując dłonią windy.

Roxie i Carolina weszły do kabiny, a Alec nacisnął guzik pierwszego piętra. Chwilę później wszyscy troje szli korytarzem, wyłożonym puszystym dywanem, w stronę sali balowej. Prowadziło do niej kilka par drzwi; jedne z nich stały otworem.

Sala była olbrzymia, utrzymana w kremowo-złotej tonacji, z majestatycznymi kolumnami oraz kryształowymi żyrandolami i kinkietami.

Carolina posłała Roxie szybkie spojrzenie.

- Do jutra musimy wykonać mnóstwo pracy - powiedziała.

- To fakt.

- Bardzo podoba mi się ten twój pomysł z pergolą - ciągnęła Carolina. - Pergola pięknie wypełni sporą przestrzeń i będzie dobrze współgrała z kolumnami. No ale czeka nas mnóstwo roboty z jej ozdobieniem. - Carolina zwróciła się w stronę Aleca. - Czy mógłbyś włączyć wszystkie światła? Chciałabym zobaczyć to miejsce w pełnym oświetleniu. A potem możesz się zająć swoimi sprawami. Gdybyśmy cię potrzebowały, zadzwonię do Michaela.

- Doskonale - odrzekł Alec.

- Och, i póki pamiętam. Co prawda zapewne zobaczę się z Michaelem przed wyjściem, ale bądź tak miły i powiedz mu, że jeszcze dzisiejszego wieczoru zaczniemy zwozić nasz sprzęt do tej sali.

- Oczywiście. Przekażę - obiecał i wyszedł z sali.

- No cóż. A my zabieramy się do pracy - zarządziła Carolina.

Postawiła na najbliższym stole swoją wielką roboczą torbę, pogrzebała w środku i po chwili wyjęła solidną taśmę pomiarową, a potem szkicownik i notes, w którym wcześniej Antonio i Roxie zanotowali wszelkie szczegóły dotyczące jutrzejszego ślubu.

- Bierz, Roxie. - Podała dziewczynie taśmę. - Zaczniemy od tego końca, gdzie odbędzie się sama ceremonia. Najpierw zmierzmy szerokość. - W tym momencie światłem zapłonęły żyrandole i kinkiety. Carolina przyjrzała się im uważnie. - Jestem przekonana, że nie świecą pełną mocą, ale przypomnij mi, żebym to sprawdziła przed wyjściem.

- Jasne - odparła Roxie.

Przeszły na przeciwległy kraniec olbrzymiej, wytwornej sali i zajęły się pomiarami. Carolina pilnie zapisywała wszystkie dane. Choć była bardzo zajęta, w myślach wracała z rozbawieniem do wydarzeń dzisiejszego ranka.

Zjawiała się w pracy później niż zwykle, bo w domu od rana uzgadniała z klientem przez telefon szczegóły kolejnego zlecenia. Kiedy weszła do kwiaciarni zastała Antonia i Roxie gorączkowo szkicujących jakieś aranżacje.

- Co się dzieje? - zainteresowała się od razu.

- Znasz tego piłkarza, który właśnie podpisał wielomilionowy kontrakt z Metsami? - spytała z podnieceniem w głosie Roxie.

- Nie. - Carolina stanowczo pokręciła głową. - A powinnam?

- Ostatnio wszystkie gazety rozpisywały się o tym kontrakcie - zawstydził ją Antonio.  
- Facet nazywa się Ricky Sanchez i jutro wieczorem żeni się z tą supermodelką, Chrissy Madison. Okazało się, że przyszła panna młoda w ostatniej chwili wylała florystkę - jakąś starą prukwę z Filadelfii. Na szczęście dla nas Chrissy zobaczyła zdjęcia, które były w „The Post” po przyjęciu u Lydii Carstairs. Pokazała je narzeczonemu, a on przed chwilą zadzwonił, nalegając, byśmy się podjęli oprawy ich jutrzejszego ślubu. Powiedział, że jedynie ty możesz się tym zająć, bo Chrissy zasługuje na wszystko, co najlepsze.

- Mamy być gotowi na jutro?! - wykrzyknęła Carolina. - Przecież nie zdążymy na czas!

Szybko rzuciła okiem na szkice, nad którymi pracowali Roxie i Antonio.

- To mają być kompozycje na ten ślub? Oboje skinęli głowami.

- I wy przyjęliście takie zamówienie, nie konsultując się ze mną? - spytała z niedowierzaniem.

Ponowne skinięcie głów.

- Przecież powiedziałaś nam, że musimy pracować lepiej i dłużej, jeżeli chcemy myśleć o podwyżce - rzucił hardo Antonio. - Poza tym uznałaś, że powinniśmy przyjmować na siebie większą odpowiedzialność i wykazywać się samodzielnością w podejmowaniu decyzji. Więc zastosowaliśmy się do twojego życzenia.

Teraz, klęcząc na posadzce sali balowej, z taśmą pomiarową w dłoni, Carolina wybuchnęła śmiechem, gdy owa scena stanęła jej przed oczami.

- Co cię tak rozbawiło? - zainteresowała się Roxie.

- Właśnie przypomniałam sobie, jak wraz z Antoniem załatwiliście dziś to zlecenie. O rany. Doprawdy zrobiliście mi niespodziankę.

- Baliśmy się, że wpadniesz w szal - wyznała Roxie.

- Ten ślub zostanie pokazany we wszystkich mediach, a to zawsze doskonała reklama dla naszej kwiaciarni - powiedziała Carolina. - No i zarobimy mnóstwo pieniędzy. Same kwiaty będą kosztować dwadzieścia tysięcy dolarów. Poza tym, ty i Antonio rzeczywiście

kierowaliście się moimi zaleceniami.

Po porannym incydencie Carolina odbyła długą rozmowę ze swoimi pracownikami. W końcu przekonali ją, że bardzo im zależy, by stworzyć zgrany zespół, i że poważnie myślą o swojej pracy w kwiaciarni. Wówczas wspólnie zaczęli układać plan działań na jutro.

- O której mają tu być Antonio i Richie?

- Myślę, że koło siódmej - odrzekła Roxie.

Antonio i Richie mieli przywieźć furgonetką wielkie świeczniki, kosze na kwiaty, elementy do zbudowania pergoli, i inne akcesoria niezbędne do stworzenia odpowiedniej oprawy imprezy. Dzisiejszego wieczoru chcieli zgromadzić wszystko, oprócz kwiatów.

- A więc jednak ściągnęłaś Mercedes do pomocy w kwiaciarni? - W głosie Caroliny pobrzmiwało zdziwienie.

- Tak - odrzekła Roxie. - Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym się zwrócić, a skoro ty jej ufasz...

- Słuszny wybór - przyznała Carolina. - Mercedes poradzi sobie na pewno, a poza tym ostatnio świetnie dogaduje się z Antoniem.

Roxie skinęła głową.

- Są rzeczywiście nierozłączni. Carolina posłała jej pytające spojrzenie.

- Myślisz, że łączy ich coś szczególnego?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo Roxie. - Ale niewątpliwie zachowują się jak dwójka złodziei. Wciąż szepczą po kątach, nie przypuszczam jednak, by te ich konspiracyjne rozmowy miały cokolwiek wspólnego z najnowszymi wydarzeniami politycznymi.

- Zapewne masz rację - roześmiała się Carolina.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek jej telefonu komórkowego. Rzuciła się przez całą długość sali, dopadła do torby i po krótkich, gorączkowych poszukiwaniach wyciągnęła komórkę.

- Halo - rzuciła pośpiesznie.

- Witaj, moja piękna.

- Matt! - wykrzyknęła z radością, usłyszawszy głos brata. - Tak się cieszę, że dzwonicz! Zgadnij, gdzie właśnie jestem?

- Włóczysz się nago po ulicach Manhattanu?

- Nie, głuptasie. Siedzę na posadzce w Wielkiej Sali Balowej hotelu Plaža.

- A dlaczego? Czyżbyś nadużyła trunków i już nie była w stanie utrzymać się na własnych nogach?

- Widzę, że nie opuszcza cię poczucie humoru - odrzekła ze śmiechem. - Nie. Razem

z Roxie szykujemy tę salę na wielkie wesele, które odbędzie się tu jutrzejszego wieczoru. Zamówienie przyjęliśmy zaledwie dzisiaj rano, dlatego zwijamy się jak w ukropie.

- Na pewno poradzisz sobie bez trudu.

- Może jakoś nam się uda. A co u Thada? Wszystko w porządku?

- Thad ma się świetnie. Tylko jak zwykle jest bardzo zapracowany.

- To dobrze. A co u was słychać? - spytała Carolina. - Nie będę mogła długo z tobą rozmawiać, bo mam pełne ręce roboty.

- Nic specjalnego się nie dzieje - odpowiedział Matt. - Głównie dzwonię po to, by usłyszeć twój głos. Ale rozumiem, że interes kwitnie i bardzo mnie to cieszy.

- To niewiarygodne, co się wokół mnie dzieje. - Carolina nie ukrywała entuzjazmu. - Jeszcze nigdy nie byłam taka szczęśliwa. „Dom i ogród” wkrótce zamieści notkę o kwaciarni. Natomiast magazyn „W” przygotowuje na mój temat obszerny artykuł: chcą go zilustrować zdjęciami z apartamentu, sklepu i naszego domu na wsi. Teraz już nie ulega najmniejszej wątpliwości, że w najbliższym czasie będę musiała zatrudnić dodatkowych pracowników. Jeżeli ktoś szczególnie przyjdzie ci do głowy, daj mi natychmiast znać. A tak przy okazji, czy na dniach nie wybierasz się przypadkiem do miasta?

- O niczym innym nie marzę, ale wiesz, jak jest w moim fachu - odrzekł Matt. - Mam tu, na miejscu, tak wiele pracy, że boję się, czy zdążę przed pierwszymi przymrozkami.

- A więc wszystkie dolary z Wall Street ostatecznie spływają do wiejskich posiadłości w hrabstwie Litchfield - skomentowała ze śmiechem. - Czy przynajmniej robisz coś szczególnie interesującego?

- Większość mojej pracy to banalna rutyna - przyznał Matt. - Tutaj taras, ówdzie patio, zmiana architektury ogrodowej wokół basenu. Ale robię też kilka wystrzałowych projektów. Słyszałaś może o Sybil Conroy?

- Jasne. Czyż to nie ona otrzymała okrągłe dwieście milionów dolarów w ramach rekompensaty rozwodowej?

- Ta sama - odparł Matt. - W każdym razie owa dama jest gotowa wydać nieprzysługujące pieniądze na doprowadzenie do porządku swojej wiejskiej posiadłości. Właśnie projektuję dla niej rosarium i herbarium w stylu średniowiecznego ogrodu w opactwie. Zapewniam cię, że będą to wyjątkowe cacka.

- Brzmi ekscytująco.

- Bo jest ekscytujące, choć nie uniknę przy tym przyziemnej harówki. Muszę poprawić trzy stawy. Facet, który je kopał, nie miał pojęcia, co robi, więc wszystkie są pozbawione odpływów. W tej chwili wyglądają strasznie, ale zrobimy z nich prawdziwe cuda. Trzeba też

całkowicie zmienić zewnętrzne oświetlenie, więc i Thad przy okazji urobi się po łokcie. Dobrze, że tak długo był mistrzem oświetlenia na Broadwayu - po tej pracy w teatrach ma wprost rewelacyjne pomysły. Sam nigdy w życiu nie wpadłbym na tak niezwykle rozwiązania. Tak więc posiadłość pani Conroy będzie niedługo wyglądać jak z bajki.

- Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - odrzekła Carolina. - No a przy okazji zapewne zarobisz sporo z tych pieniędzy po jej eksmałzonku.

Matt roześmiał się na całe gardło.

- Nawet nie odczuje uszczerbku. Ale - mówiąc poważnie - to szalenie miła osoba. Doskonale się z nią współpracuje: ma wiele świetnych pomysłów i na dodatek dobrze wie, czego chce. No i zgadnij, co ją dzisiaj wyjątkowo ucieszyło?

- Wiadomość, że na środku jednego ze stawów urządzisz dla niej przytulne, miłosne gniazdko - rzuciła żartobliwym tonem. - Matt, dobrze wiesz, że nie mam zielonego pojęcia. A więc co ją tak bardzo poruszyło?

- Ty! - oświadczył jej brat z triumfem.

- Ja?! - wykrzyknęła zdumiona. - Chyba coś ci się pomyliło. Ta kobieta w życiu nie widziała mnie na oczy.

- To możliwe - zgodził się Matt - ale słyszała o tobie od jednej z przyjaciółek Lydii Carstairs. Sama Sybil uwielbia zajmować się kwiatami - do znudzenia układa bukiety w całym domu - napomknąłem więc, że moja siostra jest florystką w Nowym Jorku i zajmuje się oprawą różnych ważnych imprez. Kiedy powiedziałem, jak się nazywasz, była wręcz zachwycona. Podobno dotarło do niej, że jesteś istną cudotwórczynią.

Carolina była tak zaskoczona jego słowami, że przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Ja... ja... to doprawdy... wspaniale - wykrztusiła w końcu.

- Tak, siostrzyczko. Masz najprawdziwsze powody do radości. Możliwe, że Sybil zostanie twoją następną klientką. Byłaby to dla ciebie prawdziwa gratka - ta kobieta bez przerwy urządza jakieś przyjęcia i do tego wydaje fortunę na kwiaty. Cieszy mnie, Carolino, że wreszcie zaczynasz zyskiwać uznanie, na które w pełni zasługujesz.

- Dzięki. - Życzliwe słowa brata były dla niej niezwykle istotne, bo Matt należał do krytycznych, wymagających perfekcjonistów; każdy komplement z jego ust miał więc szczególną wartość.

- No dobrze. Czas już kończyć - zdecydował. - Chciałem ci tylko przekazać dobrą nowinę.

- Bardzo się cieszę, że zadzwoniłeś. Pozdrów ode mnie Thada. I pamiętaj, że kocham

was obu.

- Ja też cię kocham, siostrzyczko. Do usłyszenia.

- Do usłyszenia - pożegnała się Carolina.

Energicznym ruchem zatrzęsnęła klapkę komórki i wrzuciła telefon do torby, po czym objęła się ramionami.

A więc moja firma rzeczywiście zyskuje popularność, pomyślała z radością. I to o wiele szybciej, niż się spodziewałam.

- Wyglądasz na uszczęśliwioną - zauważyła Roxie.

- Bo też czuję się bardzo szczęśliwa - przyznała Carolina. - Nasza kwaciarnia staje się coraz bardziej znana, co mnie niezmiernie cieszy.

- Może więc uczcimy ten fakt toastem w Sali Palmowej? - zaproponowała Roxie.

- Świetny pomysł - zgodziła się Carolina. - Ale najpierw musimy uporać się z pracą. Zaznaczmy przylepcem, gdzie mają stać wszystkie świeczniki i kosze z kwiatami. Kiedy wieczorem zjawią się tu chłopcy, będą mogli wszystko ustawić na właściwym miejscu. Łącznie z pergolą.

- Czy jesteś pewna, że nie zabraknie nam kwiatów? - zaniepokoiła się Roxie.

- Biorąc pod uwagę wasze dzisiejsze zakupy i to, co zdołałam wyzebrać od wszystkich George'ow, nie powinniśmy mieć kłopotów. Już w tej chwili zgromadziliśmy w chłodni dość orchidei i dodatków, by zabrać się do pracy, a jutro o świcie czeka nas prawdziwy zalew kwiatów. Wystarczy, by ozdobić cały hotel. Nie musimy się o to martwić. - Zaczęła grzebać w swojej przepastnej torbie. - Ach, tego właśnie szukałam. Dodatkowa rolka taśmy. Zabierajmy się do roboty.

Przez następne dwie godziny pracowały w pocie czoła, znacząc starannie na posadzce układ wszystkich kompozycji. Gdy skończyły, Carolina uśmiechnęła się radośnie.

- Gotowa na drinka? - zwróciła się do Roxie.

- Już się nie mogę doczekać - odrzekła dziewczyna.

Z Sali Palmowej płynęły dźwięki muzyki. W drzwiach powitał je *maitre* i poprowadził do stolika na dwie osoby. Wszędzie wokół stało mnóstwo palm i innych tropikalnych roślin, a wiszące na ścianach lustra optycznie jeszcze powiększały ich liczbę. Tuż obok miejsca, gdzie siedziały, marmurowe kolumny wspierały kopułę szklanego dachu, a kryształowe kinkiety, zdobione szlifowanymi wisiorami, rozsiewały wokół łagodne światło.

- Czuję się jak w zamku - odezwała się Roxie. - Jakby mnie ktoś nagle przeniósł do Europy.

Carolina uśmiechnęła się ciepło.



- To rzeczywiście wspaniałe miejsce. Zawsze lubiłam tu przychodzić.

Chwilę później przy stoliku pojawił się kelner.

- Czym mogę paniom służyć? Czy mam podać herbatę? A do niej któryś z naszych wybornych deserów?

- Wolałabym coś mocniejszego - zdecydowała Carolina. - Poproszę o kieliszek szampana.

- Oczywiście, madame. - Kelner przeniósł wzrok na Roxie. - A dla pani?

- Poproszę o to samo.

- Natychmiast podaję. - Kelner pochylił się w ukłonie i zniknął.

- Co to za muzyka? - zainteresowała się Roxie.

- Och, to... to jest... nie mogę sobie przypomnieć - rzuciła zrezygnowanym tonem Carolina. - Znam ten utwór chyba od urodzenia, ale za nic nie pamiętam tytułu.

Czekając na szampana, powiodła leniwie wzrokiem po siedzących w sali kobietach.

- Nie patrz teraz w tamtą stronę - dobiegł ją konspiracyjny szept Roxie - ale, o ile się nie mylę, niemal naprzeciwko ciebie siedzi Gloria Towson.

Carolina z trudem powstrzymała się, by natychmiast nie skierować wzroku we wskazanym kierunku; odczekała jednak cierpliwie i dopiero po dłuższej chwili niby przypadkiem zerknęła na kobietę siedzącą przy najbliższej kolumnie.

- Tak, to rzeczywiście Gloria. Siedzi razem z Lulu Riviere, żoną tego słynnego projektanta. Wiele bym dała, by usłyszeć, o czym rozmawiają. Ostatnio w każdej gazecie można było przeczytać, że Towson musiał sprzedać cały portfel swoich akcji, by zebrać potrzebną pilnie gotówkę.

- Nic dziwnego, że potrzebował szybko pieniędzy - odparła Roxie. - Leland zna dekoratorkę, która zajmowała się apartamentem Towsonów. Podobno Gloria wydała lekką ręką czterdzieści milionów na same meble. Aż strach pomyśleć, ile musiały ją kosztować obrazy i inne dzieła sztuki.

- Niewykluczone więc, że są na krawędzi bankructwa - skomentowała Carolina.

- Tak właśnie twierdzi Leland. Założę się, że Gloria postanowiła bywać teraz we wszystkich eleganckich miejscach, udając bogatą i szczęśliwą, by udowodnić prasie i różnym „zycziwym”, że w krążących po mieście plotkach nie ma ani krztyny prawdy.

W tym momencie pojawił się kelner z dwoma smukłymi kieliszkami szampana.

- Dziękuję - rzuciła Carolina, po czym uniosła delikatny kryształ do ust. - Umm. Prawdziwa rozkosz - mruknęła. Upiła łyk złocistego, pianistego płynu i jednocześnie kątem oka pochwyciła zarys znajomej twarzy. Zanim jednak zdołała coś powiedzieć, odezwała się

Roxie.

- Popatrz - szepnęła, odstawiając kieliszek. - Idzie Seth Foster z jakąś kobietą.

- Rzeczywiście. To Seth.

- Ciekawe, kim jest ta blond piękność - ciągnęła Roxie.

- Nie mam pojęcia - odrzekła Carolina. - Nie ulega jednak wątpliwości, że to nie

Payton Fitzsimmons.

Seth dojrzał obie kobiety, gdy *maitre* prowadził go wraz z towarzyszką do stolika. Foster odwrócił się do starszego kelnera, szepnął mu coś, po czym skierował się w stronę Caroliny i Roxie.

- Cóż za miła niespodzianka - odezwał się z promiennym uśmiechem.

Carolina od razu poczuła silne łaskotanie w dołku.

- Cześć, Seth - wykrztusiła po chwili.

- Panie pozwolą. Oto Cosima von Anhlet. A to Carolina Mountcastle i Roxie Davis. -

Seth gładko dokonał prezentacji.

- Witam - powiedziała Cosima. W jej angielszczyźnie pobrzmiewał wyraźny, obcy akcent. Uśmiechnęła się lekko, a jej dłoń powędrowała mimowolnie do sznura dużych pereł, kończącego się na wysokości dekoltu klasycznego żakietu Chanel.

- Cosima jest moją starą przyjaciółką z Amsterdamu - wyjaśnił uprzejmie Seth.

- Rzeczywiście, znamy się od zarania dziejów - przyznała Cosima ze śmiechem, po czym ścisnęła ramię Setha.

- Amsterdam to przepiękne miasto - odezwała się uprzejmie Carolina. - Właśnie tam teraz jest mój mąż.

- Mam nadzieję, że nie na samotnych wakacjach? - zapytała żartobliwie Cosima.

- Nie, wyjechał w interesach. Pracuje w zarządzie wielkich linii lotniczych i co miesiąc spędza w Amsterdamie sporo czasu.

- Dziwne, że do tej pory nie natknąłem się na niego - powiedział Seth, uważnie przyglądając się Carolinie. - Ja również bywam częstym gościem w tym mieście. Z ramienia banku Netherland-American.

- Jakież świat jest mały - rzuciła Carolina, bo czuła, że powinna się odezwać. Im baczej spoglądał na nią Foster, tym większe ogarniało ją zmieszanie i zupełnie nie wiedziała, czym należy wytłumaczyć to dziwne odczucie.

- Chyba musimy panie przeprosić. Myślę, że powinniśmy już iść do naszego stolika. Bardzo mi było miło panie spotkać.

- Do zobaczenia - odrzekła Carolina.

- Jeezu! - jęknęła Roxie, gdy Seth oddalił się na bezpieczną odległość. - Ten to wie, jak wybierać kobiety. Ta damulka ma na sobie więcej pieniędzy, niż ja zarabiam przez rok. I do tego doskonale wie, jak nosić wytworne stroje.

- To fakt - zgodziła się Carolina. Raz jeszcze zerknęła w stronę Setha i Cosimy.

Doskonale pasują do tego miejsca, stwierdziła w duchu. Podobnie jak w wypadku Lulu Riviere i Glorii Townson, marmury, kryształy, złocenia i srebra są ich naturalnym żywiołem. A na dodatek oboje są niezwykle atrakcyjni.

- Na nas już czas - oznajmiła po chwili, bo poczuła, że jak najszybciej musi się stąd wydostać, uciec od subtelnej muzyki. - Nie ulega wątpliwości, że co najmniej pół nocy będziemy pracowały. A chciałabym jeszcze zajrzeć do kwaciarni: zobaczyć, czy wszystko w porządku i sprawdzić, co ci dwaj załadowali do furgonetki. Na pewno trzeba będzie obrócić kilka razy. Zamówimy jakieś jedzenie na wynos i zabierzemy ze sobą do hotelu.

Roxie z uwagą przyglądała się przyjaciółce, nie rozumiejąc, czemu Carolina nagle zaczęła się tak spieszyć do wyjścia. Nic jednak nie mogła wyczytać z jej twarzy.

- Oczywiście - odparła i dopiła szampana. - Możemy już ruszać.

W progu Carolina zatrzymała się na moment i pomachała na pożegnanie Sethowi i Cosimie. Seth odwzajemnił jej gest, natomiast Cosima odpowiedziała promiennym uśmiechem.

Idealna para, pomyślała Carolina, czując ukłucie zazdrości. Ale przecież i Payton wydawała się idealną towarzyszką dla niego. Ciekawe, którą z nich w końcu wybierze?

## Rozdział 9

Wszystko w porządku, Leland - wyszeptała Mercedes w podnieceni. - Antonio mnie jakoś wytłumaczy. Tyle że musimy się pospieszyć.

Leland powiódł dłonią po jej smukłym udzie i wsunął palce pod spódnice.

- Och, jak cudownie. Nie przestawaj - wyszeptała, ocierając się o niego całym ciałem.

- No więc zabierajmy się do roboty - jęknął, rozpinając pasek. - Natychmiast.

Mercedes bez słowa zrzuciła z nóg szpilki, szybko ściągnęła spódnice i stringi. Chciała, żeby zrobili to tu, w holu, tuż przy drzwiach.

- Uwielbiam, gdy takie dziewczyny jak ty zachowują się niczym tanie dziwki - wyszeptał.

Był tak podniecony, że nic nie mogło go już powstrzymać. Zrzucił spodnie, chwycił ją za pośladki, uniósł w górę i oparł o drzwi, po czym wszedł w nią gwałtownie, z głuchym jękiem.

Mercedes krzyknęła głośno i chwilę później, rozpalona do białości, zacisnęła mu palce na ramionach, gdy zaczęły ją przeszywać dreszcze rozkoszy.

Lelanda tak podniecił jej orgazm, że dłużej nie mógł się opanować. Wbił się w nią raz jeszcze w heroicznym wysiłku, po czym jęknął przeciągle i opadł na nią całym ciałem.

- Och - wydusił z siebie w końcu - Mercedes... ależ z ciebie dzika kotka.

- Tobie też nic nie brakuje - odrzekła rozbawiona i zmierzwiła mu włosy dłonią. - Jaka szkoda, że nie robimy tego częściej.

Leland uśmiechnął się przebiegle, a w jego oczach pojawiły się błyski.

- Rzeczywiście - zgodził się bez wahania. - Może więc powinniśmy to jak najszybciej naprawić?

- Może... - zawiesiła obiecująco głos. - Ale w tej chwili muszę już lecieć do tego cholernego sklepu twojej szwagierki. - Pochyliła się, zbierając swoje rzeczy.

- Właściwie czemu jej pomagasz? - spytał Leland, gdy Mercedes zaczęła się ubierać. - Przecież stać cię na to, żeby siedzieć w domu i zajmować się tylko własnymi sprawami.

- Cóż... chcę zdobyć nieco doświadczenia we florystyce. No a poza tym drobne kieszonkowe jeszcze nie zaszkodziło żadnej dziewczynie.

- Tylko pomyśl. Gdybyś nie musiała iść do kwaciarni, moglibyśmy kochać się tu przez cały dzień.

- A jak byś się wytłumaczył przed swoją małą Roxie? - Mercedes uniosła pytająco

brwi. - Nawiasem mówiąc, ostatnio poświęcasz jej nieprzyzwoicie dużo czasu.

- Cóż, ostatecznie ktoś musi zarobić na czynsz.

- Daj spokój. Przecież każdy wie, że zgarniasz kupę szmalu na giełdzie.

- Rzeczywiście, wiedzie mi się nie najgorzej - przyznał Leland.

- Więc czemu tak naprawdę prowadzasz się z Roxie?

- Bo jest mi z nią wygodnie.

- Ach, tak? - Spojrzała na niego z zaciekawieniem. - No, zbierajmy się już - rzuciła po chwili zniecierpliwionym tonem. - Chyba nie chcesz, żeby Richie lub Carolina zauważyli, jak wymykasz się z mojego mieszkania.

- Mówiłaś, że chłopak jest w sklepie, a jego matka gdzieś na Manhattanie.

- Tak, ale w każdej chwili któregoś z nich może wpaść do domu.

- Okay, a więc znikam. - Szybko wciągnął spodnie, po czym chwycił Mercedes w ramiona. - Hm - wymruczał, przyciskając ją do piersi. - Zdecydowanie muszę częściej cię odwiedzać.

- Zapraszam. Ale teraz już uciekaj. Wychodź pierwszy. Ja się wymknę parę minut po tobie.

- Już idę. - Wypuścił ją z objęć i ruszył do holu, do drzwi windy. - Do zobaczenia.

- Pa! - odrzekła Mercedes, zastanawiając się, czemu po tak długiej przerwie Leland znowu okazuje jej zainteresowanie. Zawsze czuli do siebie pociąg, jednak w gruncie rzeczy seks z Lelandem był dla Mercedes jak popołudniowy drink: dobry, bo mocny, ale nic poza tym. Może tylko dlatego tak doskonale czuli się ze sobą, że byli do siebie bardzo podobni: żadne z nich nie pragnęło stałego związku, oboje natomiast gorączkowo poszukiwali kury znoszącej złote jaja.

Leland coś knuje, pomyślała Mercedes. Ciekawe tylko, o co chodzi. I jaką rolę mam odegrać w jego planach?

Rozległ się donośny dźwięk dzwonek przyzwoitych do futryny. Antonio szybko odwrócił się w stronę drzwi, Mercedes zaś rzuciła dwa słowa do słuchawki i natychmiast się rozłączyła.

W progu kwaciarni stanął Richie w baseballówce założonej tył na przód.

- Cześć, stary - rzucił pogodnie Antonio.

- Cześć. Mama już wróciła?

- Nie, Richie - odparła Mercedes, potrząsając blond włosami. - Chyba wciąż jeszcze jest w hotelu. Ale może ja mogłabym ci pomóc?

- No nie wiem. Po prostu furgonetka jest już wypchana po brzegi, więc chciałem się

dowiedzieć, czy powinniśmy jechać z chłopakami do hotelu, czy raczej poczekać tu na mamę.

- Zaraz zadzwonię do niej na komórkę - zaproponowała Mercedes.

- Okay. Będę na zewnątrz. Sprawdzę, czy czegoś jeszcze nie da się tam wetknąć.

- No i jak twoja rozmowa z Payton? - spytał zaciekawiony Antonio, gdy tylko za Richiem zamknęły się drzwi.

- Powiedziałam, że być może włączę się do waszej drobnej gry - odrzekła dziewczyna.

- Ale zanim się zdecyduję, musimy we trójkę odbyć poważną dyskusję o pieniądzach. Jeżeli Payton chce, żebym pomogła jej doprowadzić Caroline do ruiny, będzie musiała mi dobrze zapłacić. Jest przecież tak bogata, że nie powinno robić jej to różnicy.

- To prawda - zgodził się Antonio ze śmiechem.

- Poza tym jeśli naprawdę chce, żebyśmy zaczęli pracować w jej kwaciarni, musimy podpisać formalny kontrakt.

- Kontrakt?

- Oczywiście - oświadczyła Mercedes. - Musimy mieć pisemną gwarancję, coś czarno na białym. Ostatecznie, ty porzucisz dla niej bardzo lukratywną pracę, zaś ja będę musiała zrezygnować z realizacji większości własnych projektów.

- A więc nie ufasz Payton? - zaniepokoił się Antonio. Wciąż liczył na to, że piękna milionerka zapewni mu świetlaną przyszłość.

- Chcę mieć jedynie pewność, że gdy Payton już osiągnie swój cel, nie pozbędzie się lekką ręką ciebie czy mnie. A jeśli już się do tego posunie, będzie ją to kosztować sporo kasy.

- Co przez to rozumiesz? - spytał wciąż zaniepokojony Antonio.

- Cóż, będziemy znać mały, brzydki sekret Payton - odparła z przebiegłą miną. - Domyślałam się, że zrobi wiele, byśmy go nikomu nie zdradzili, prawda?

Antonio ściągnął brwi.

- Jeśli się nie mylę, mówisz o szantażu.

- Nazywaj to sobie jak chcesz. Ja osobiście nazywam to ochroną własnego tyłka.

Znowu odezwały się dzwonki nad drzwiami.

- Witajcie! - zawołała Carolina, wchodząc do kwaciarni. - Co tu u was słychać?

- Wszystko w porządku - odrzekła Mercedes lekkim tonem. - Właśnie miałam dzwonić do ciebie na komórkę. Richie cię szuka.

- Spotkałaś go przed sklepem? - zainteresował się Antonio. Carolina skinęła głową.

- Owszem, razem z kierowcą pojechał właśnie do hotelu z pierwszą dostawą.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się Roxie.

- Cześć, Roxie - przywitał ją Antonio.

- Cześć wszystkim - odrzekła dziewczyna, unikając chłodnego, wyniosłego spojrzenia Mercedes.

- Zaraz zamówimy chińszczyznę na wynos i weźmiemy się do układania ślubnych kompozycji. Gdy chłopcy już zawiozą cały sprzęt do hotelu, też tam pojedziemy, żeby przygotować wszystko na jutro.

- Super - zdecydował Antonio.

Carolina rzuciła torbę na roboczy stół, a sama opadła na wysoki stołek. Roxie poszła w jej ślady, po czym zaczęła pilnie studiować menu chińskiej restauracji.

- No więc co się tu działo, jak mnie nie było? - spytała raz jeszcze Carolina.

- Dzwoniło parę osób - poinformowała ją Mercedes. - Tutaj są ich nazwiska. Niektóre z tych telefonów były pilne.

- Na przykład?

- Niech sprawdzę... - Mercedes przebiegła wzrokiem kartkę. - Dzwonił wydawca tego kiczowatego czasopisma „Country Style Living”. Marzą, żeby przeprowadzić z tobą wywiad.

- Urwała i spojrzała na Caroline, ściągając w skupieniu brwi. - Chciałam ci w tym momencie przypomnieć, że każdy liczący się biznesmen powinien bardzo starannie wybierać, gdzie się reklamuje.

Carolina jedynie skinęła głową. Nie miała ochoty wdawać się z Mercedes w dyskusję na temat amerykańskich czasopism, tym bardziej że sama uważała „Country Style Living” za magazyn na wysokim poziomie.

- W porządku, jakoś się jutro z nimi skontaktuję - odparła. - Ktoś jeszcze?

- Ta dziwka, Payton Fitzsimmons, zadzwoniła, żeby złożyć zamówienie i to bardzo kosztowne. Więc tylko dlatego je przyjął.

- Wspaniale, czemu jednak chce kupić u nas kwiaty? Przecież sama zaczęła się tym zajmować.

- Może dlatego, że zamówienie ma być dostarczone do naszej dzielnicy. A może po prostu jeszcze nie uruchomiła dostaw. - Mercedes wzruszyła ramionami. - Nie mam pojęcia, Carolino. Po prostu przyjął jej zlecenie.

- A dokąd trzeba dostarczyć bukiet?

- Na wernisaż w galerii Matthew Marksa. O ile zrozumiałam, będzie tam wystawiał swoje prace artysta, który jest jej bliskim znajomym.

- Ach tak. A właściwie czemu tak niepochlebnie wyrażasz się o Payton Fitzsimmons, Mercedes? Niedawno miałam z nią do czynienia, to naprawdę piękna kobieta.

- To ty nic nie wiesz? - Mercedes spojrzała na Caroline ze zdumieniem. - Każdy, kto

choć trochę zna Payton, wie, że pieprzy się ze wszystkimi na prawo i lewo. I wciąż jej tego mało.

Po twarzy Antonia przebiegł cień wściekłości, ale żadna z kobiet tego nie zauważyła.

- Rozumiem - odrzekła Carolina.

A więc nasz wspaniały Seth Foster spotykał się bądź nadal spotyka z nimfomanką, skomentowała w myślach.

- Poza tym, pani Fitzsimmons chce porozmawiać z tobą osobiście na temat jakiegoś koktajlu, który za parę tygodni wydaje - ciągnęła Mercedes. - Chciałaby, żebyś się podjęła dostawy kwiatów.

- Nic z tego nie rozumiem. Czemu sama się tym nie zajmie? Mercedes ponownie wzruszyła ramionami.

- Jak już ci mówiłam, nie mam pojęcia. Mogę tylko przypuszczać, że jeszcze nie jest gotowa do obsługi dużych imprez.

Carolina siedziała przez chwilę w milczeniu, po czym zwróciła się w stronę Mercedes:

- Na pewno zapisałaś wszystkie nazwiska i numery?

- Oczywiście - odparła dziewczyna słodkim głosem. - W żadnym razie nie zapomniiałabym o czymś tak istotnym. Poza tym powinnaś wiedzieć, że telefonowali też z innych czasopism. Proszę, oto pełna lista.

- Dzięki, Mercedes. - Carolina szybko przebiegła wzrokiem kartkę.

- Beulah Davenport - powiedziała w zamyśleniu. - Nazwisko brzmi znajomo, ale nie mogę skojarzyć go z osobą.

- Och, na pewno świetnie wiesz, kim jest Beulah Davenport! - zawołała Mercedes. - To właśnie ona dostała w spadku wielkie miliony tego niedawno zmarłego potentata od soków owocowych. Beulah mieszka obecnie w wielkiej rezydencji, całkiem niedaleko twojej kwiaciarni.

- Rzeczywiście! Teraz sobie przypominam.

- Zamówiła kwiaty dla Millicent Percy - ciągnęła Mercedes. - Uważam, że powinnaś wysłać bukiet mimozy. Milly uwielbia mimozę i do tego nie będzie miała pretensji, jeśli dostanie kwiaty drugiej świeżości. W gruncie rzeczy im bardziej zasuszone, tym lepiej.

Carolina parsknęła śmiechem.

- W takim razie przygotuję dla niej mimozę, ale niech ją sobie suszy sama.

Mercedes jest świetną przyjaciółką, stwierdziła w duchu. Lojalna, zawsze chętna, by służyć cennymi informacjami. A na dodatek jej wiedza dotycząca wyższych sfer Manhattanu była wprost encyklopedyczna. Nawet jeżeli Mercedes nie znała osobiście danej osoby, to i tak



zazwyczaj miała mnóstwo szczegółowych informacji na jej temat. Może uda się przekonać tę dziewczynę, żeby zaczęła pracować na stałe w kwiaciarni. Byłaby doskonałym nabytkiem dla firmy.

W końcu jednak Carolina postanowiła, że poruszy ten temat dopiero nazajutrz wieczorem. W tej chwili miała zbyt wiele do zrobienia, by zajmować się sprawami niezwiązanymi z nadchodzącym ślubem.

- Czy masz dla mnie jeszcze coś ważnego? - odwróciła się ponownie ku Mercedes. - Jeżeli nie, to powoli zbierajmy się do hotelu.

- To już wszystko. - Dziewczyna potrząsnęła swoimi długimi, blond włosami. - Ach, może tylko jeszcze jedno. Dzwoniło dwoje jakichś ludzi z Southampton: chcieli wiedzieć, czy tego lata mogłabyś się zająć dostawą kwiatów do ich posiadłości. Powiedziałam, że muszą to omówić z tobą osobiście.

- Dostawy do Southampton? - zdziwiła się Carolina.

- Gdybyś miała więcej zamówień z tamtej okolicy, to czemu nie? - odrzekła Mercedes.

- Musisz tylko wyznaczyć astronomiczną cenę. Urządź coś w rodzaju konkursu dla tamtejszej śmietanki: kto zapłaci więcej, ten wygrywa.

Pomysł wart zastanowienia, pomyślała Carolina.

- Dziękuję, Mercedes - powiedziała po chwili. - No, dobrze. Najwyższy czas zdecydować, co zamawiamy z tej chińskiej knajpy. I zabieramy się do pracy. Jak wrócą chłopcy, musimy być gotowi.

W tym momencie odezwała się Roxie:

- Carolino, chodź tu, proszę. Zdaje się, że mamy poważny kłopot. Padła nam część orchidei.

Carolina podbiegła do stołu Roxie i spojrzała na kwiaty.

- Jeszcze nic straconego. Nadadzą się na wypełnienie przestrzeni w kompozycjach - gdzie będą nam potrzebne jedynie dla podkreślenia koloru.

- Okay, jeśli tak mówisz. - Z wahaniem przystała na jej pomysł Roxie.

- No, dobrze, moje skarby. Antonio zbierze zamówienia i przypilnuje, żeby dotarły na czas - zarządziła Carolina.

Przez moment Antonio miał taką minę, jakby chciał jej się przeciwstawić, szybko jednak zrobił ugodową minę.

- Oczywiście.

- A co powiecie na to, żebym z marszu zabrała się do układania bukietu panny młodej i przynajmniej załatwiła ten problem?

- Dobrze wiemy, że o tym marzysz, więc po prostu go zrób, i miejmy to z głowy - skomentowała Roxie.

- Super. A więc będę potrzebować jakiejś tony orchidei i białych fiołków - powiedziała Carolina.

- O rany! - jęknęła Roxie. - Ja też chciałabym mieć taki bukiet.

- Niewykluczone, że sama go dla ciebie ułożę - odparła Carolina. - Jeżeli Leland miałby choć odrobinę oleju w głowie, najdalej jutro poprosiłby cię o rękę.

## Rozdział 10

Carolina wysiadła z windy i postukując głośno szpilekami, przeszła przez mieszkanie do garderoby. Usiadła na krześle, zsunęła ze stóp ozdobione kryształkami pantofle i zaczęła masować zmaltretowane nogi. Przez cały wieczór męczyła się na wysokich, wąskich obcasach, ale poświęcenie było warte osiągniętych rezultatów. Ślub w hotelu Plaża okazał się prawdziwym sukcesem - wszyscy goście byli zachwyceni kwiatami, a pan młody i jego oblubienica wprost rozpyłowali się w pochwałach.

Z racji statusu nowożeńców przedstawiciele prasy stawili się w komplecie, Carolina nie miała więc wątpliwości, że w wielu czasopismach pojawi się jej nazwisko jako cudotwórczym, która zamieniła salę balową hotelu w rajski ogród pełen orchidei i innych tropikalnych roślin.

Wciąż masując obolałe stopy, zerknęła na zegar stojący na jednej z komód. Gdy zobaczyła, która godzina, natychmiast zerwała się na równe nogi.

Mój Boże, już po jedenastej. Gdzie też podziewa się Richie? - Ale już chwilę później odetchnęła z ulgą. Przypomniała sobie, że poszedł do kina z Jeffem Adlerem.

Może zresztą już wrócił?

Boso przeszła do sypialni, a potem przez hol pokuśtykała w stronę pokoju syna. Zza zamkniętych drzwi nie dobiegały żadne dźwięki. Zajrzała do środka. Na wszystkim wokoło kładła się niesamowita poświata wygaszacza ekranu. Carolina otworzyła drzwi na całą szerokość i zapaliła górne światło. Ani śladu Richiego.

Cholera, zakłęła w duchu. O tej porze powinien być w domu.

Jeszcze przed wyjściem przypominała mu, że nazajutrz z samego rana wyjeżdżają na wieś.

Ostrożnie zdjęła z siebie złotą, wyszywaną suknię z kolekcji Mary McFadden, i starannie odwiesiła na wieszak. Chwyciła jeden ze starych t-shirtów Lyona, szybko wciągnęła przez głowę, a na wierzch zarzuciła swoje ulubione jedwabne kimono. I dopiero w tym momencie zdała sobie sprawę, że wciąż ma na sobie biżuterię: brylantowe kolczyki, naszyjnik i bransoletkę, które dostała od męża na dziesiątą rocznicę ślubu. Zdjęła je, starannie ułożyła w zamszowych pudełeczkach i schowała do kasetki z biżuterią.

Potem nalała sobie kieliszek wina i usiadła wygodnie na sofie w salonie, czekając na powrót Richiego. Tuż obok leżała powieść, którą właśnie zaczęła czytać, ale teraz nie podniosła książki - wiedziała, że w tej chwili nie mogłaby skoncentrować się na treści.

Może powinnam zadzwonić do Adlerów, zastanawiała się przez chwilę.

Szybko jednak odrzuciła tę myśl. Nie chciała sprawiać wrażenia nadopiekuńczej, histeryzującej matki. Chłopcy najprawdopodobniej poszli na późny seans i wszystko z nimi w porządku.

Kilka minut później usłyszała szmer drzwi od windy, a zaraz potem człapanie syna - jakby słoń stapał po ich dębowej podłodze. Kiedy Richie wyszedł z korytarza, powitała go spokojnym uśmiechem.

- Byłeś w kinie?

- Uhm. Na całkiem fajnym filmie. - Ściągnął z głowy baseballówkę.

- Odjazdowe sceny kraks samochodowych.

- To rzeczywiście niezwykle stymulujące intelektualnie - zauważyła żartobliwie.

- Prawda, film był głupi - odrzekł Richie, wzruszając ramionami - ale dobrze się bawiłem.

Carolina poklepała dłonią sofę.

- Chodź, usiądź przy mnie na moment, zanim pójdziesz do siebie. Zawahał się wyraźnie i w tym samym momencie w jej głowie odezwały się wszystkie dzwonki alarmowe.

- Jestem naprawdę skonany, mamó. Muszę iść do łóżka.

- Nie tak szybko - odezwała się ostrzejszym tonem. - Chciałabym zamienić z tobą kilka słów.

Chłopak niechętnie usiadł koło niej na sofie.

- O co chodzi? - spytał, nie podnosząc na matkę wzroku.

- Zauważyłam, że masz szkliste oczy. Chcę wiedzieć, dlaczego. Wydawało jej się, że w oddechu syna wyczuwa odór piwa, ale nie była całkiem pewna.

- Po prostu przez parę godzin wgapiałem się w ekran, to wszystko - wyjaśnił, nie podnosząc wzroku.

- Daj spokój, Richie. Nie jestem przecież idiotką.

Siedział w milczeniu, ze zwieszoną głową, przesuając nieznacznie stopami po podłodze. Carolina już teraz nie miała wątpliwości, że w oddechu chłopca wyczuwa alkohol.

- Gdzie naprawdę byłeś, Richie? I co robiłeś?

- Nic szczególnego. Kręciłem się po mieście z Jeffem i kilkoma kumplami.

- Piłeś coś?

- Czemu pytasz?

- Nie wymiguj się od odpowiedzi. A pytam dlatego, że śmierdzisz, jak browar.

- Ja... to znaczy my... - Urwał i wbił wzrok w podłogę.

- Richie, przecież wiesz, że ze mną możesz o wszystkim porozmawiać. Więc powiedz prawdę.

- Pieprzyć to wszystko!

- Tylko bez takich ozdobników, proszę - zaprotestowała surowo.

- A jak myślisz, gdzie się ich nauczyłem? - odparł wojowniczo naburmuszony Richie.

- W porządku, biorę na siebie pełną odpowiedzialność, co nie zmienia faktu, że chcę usłyszeć prawdę.

- No dobra - powiedział, kiwając głową. - Wypiłem piwo. Jedno. I tyle. - W końcu spojrzał jej w oczy. - Zadowolona?

Skinęła głową - bardzo chciała mu uwierzyć. Obawiała się jednak, że Richie w ten właśnie sposób zareagował na wiadomość, że ojciec znowu nie przyjedzie na czas do domu i nie pojawi się na urodzinach Matta. Poczula dławiący strach, smutek, osamotnienie. Okres niewinności jej syna szybko dobiegał końca.

- Czy zrobiłeś to dlatego, że tata nie może wrócić, tak jak obiecał? - zapytała, gdy już mogła wydobyć z siebie tych kilka słów. - Zdaję sobie sprawę, że ostatnio ci go brakuje.

Richie gniewnie pokręcił głową i znów spuścił wzrok. Nie zamierzał odpowiedzieć na jej pytanie.

Carolina przez chwilę wpatrywała się w zaciętą, zbuntowaną minę syna. Nie ma sensu dyskutować teraz o picciu, zdecydowała. Wzięła głęboki oddech.

- Jutro, na przyjęciu urodzinowym Matta, na pewno będziemy się świetnie bawić - powiedziała. - Mimo że nie ma z nami ojca. Sam zobaczysz.

Richie jeszcze przez chwilę studiował swoje buty, po czym oświadczył cicho:

- Idę się położyć.

- Dobrze, kochanie. To rzeczywiście świetny pomysł, bo jutro wyjeżdżamy skoro świt.

Chłopak wstał i ruszył w stronę swojego pokoju.

- Czy przypadkiem o czymś nie zapomniałeś? - spytała Carolina. Zatrzymał się, ale nie odwrócił w jej stronę.

- Może jednak pocałujesz matkę na dobranoc, co?

Richie przyczłapał do niej, nachylił się i musnął ustami jej policzek, po czym szybko wyszedł z salonu.

Carolina z rezygnacją opadła na sofę.

Gdybyż tylko był tutaj jego ojciec, westchnęła w duchu. Ale go nie ma i to na mnie spada cały ciężar odpowiedzialności.

Gdzie jest Lyon, kiedy go tak bardzo potrzebuję? Kiedy jest tak bardzo potrzebny

Richiemi?

## Rozdział 11

Carolina zjechała z autostrady, a po jakimś czasie skręciła w żwirową drogę prowadzącą do rodzinnego letniego domu, położonego niedaleko Kentu. Obie strony drogi porastał liściasty las, o tej porze roku pyszniący się wszystkimi odcieniami zieleni. Na poboczach kwitły rozmaite polne kwiaty, a w porannym słońcu można było dostrzec, że już zawiązują się owoce dzikich malin, choć daleko im jeszcze do dojrzałej soczystości.

Po kilku minutach na horyzoncie ukazał się biały, drewniany dom z ciemnozielonymi okiennicami. Carolina - jak zwykle na ten widok - poczuła przypływ ciepła. Uwielbiała tę starą chatę, a także czerwone, śnieżnobiałe i złociste róże porastające kratkę na frontowym ganku i drewniany płot, odgradzający część ogrodu. Niezwykle bogactwo kwiatów nadawało temu miejscu bajkowy wygląd, który zawsze wpływał na Caroline kojąco, jakby ów zakątek miał w sobie magiczną, uzdrawiającą moc.

Przejechała niewielki mostek przerzucony nad wąskim strumieniem, opływającym posesję z jednej strony i wjechała na trawiasty podjazd koło garażu, który w dawnych czasach był wozownią. Gdy tylko wyłączyła silnik, obudził się Richie, rozciągnięty w czasie podróży na tylnym siedzeniu.

- A więc dojechaliśmy - odezwał się, przecierając oczy.

- Dojechaliśmy - odrzekła Carolina. - Jak mi pomożesz rozładować samochód, to szybko zrobię coś do jedzenia.

Wzięli się od razu do pracy i wkrótce kuchenny stół był pełen różnej wielkości toreb.

- Co będzie na lunch? - zainteresował się Richie.

- Sałatka z kurczaka curry, ta, którą kupiłam w delikatesach - powiedziała Carolina - a do tego ich fantastyczny wiejski chleb i kapusta pekińska. Może być?

- Super.

- Ty tymczasem zanieś rzeczy na górę. Potem raz-dwa uporamy się z jedzeniem i możemy zacząć twoją lekcję jazdy. Co ty na to? - Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Jeszcze bardziej super. - Odwzajemnił jej uśmiech.

Zgodnie z przedziwnymi przepisami drogowymi stanu Nowy Jork, Richie mógł prowadzić poza miastem w wieku lat szesnastu, lecz aby jeździć po mieście, musiał mieć skończone osiemnaście lat. Carolina nie paliła się do udzielania lekcji synowi, tłumacząc, że na prawo jazdy ma jeszcze czas. Ale Richie nie dawał jej spokoju, więc kilka miesięcy po tym, gdy skończył szesnaście lat, ostatecznie się poddała. Ilekroć przyjeżdżali na wieś, uczyła

go prowadzić.

Patrzyła teraz, jak syn chwyta swoją torbę oraz jej neseser i rusza po schodach na górę. Jeden dzień, a jaka różnica, pomyślała, nakrywając do stołu. Rano z ulgą spostrzegła, że wrogość Richiego z poprzedniego wieczoru jakby się rozplynęła z pierwszym brzaskiem dnia. Niechętnie więc co chwilę sobie przypominała, że jeszcze w ciągu tego weekendu będzie musiała przeprowadzić z synem poważną rozmowę na temat picia alkoholu.

Kiedy przygotowała już jedzenie, zaczęła wędrować po pokojach parteru i otwierać okna, żeby wpuścić do środka świeże powietrze. Jadalnię zalewały promienie słońca. Carolina rozejrzała się po niej z przyjemnością, od czasu do czasu zatrzymując wzrok na przedstawiających rośliny sztychach zawieszonych na ścianach i opartych na pomalowanym na niebiesko obramowaniu kominka. Przez mały przedpokój weszła do salonu. Drewniane półki połyskiwały ciepło w jasnym świetle dnia, podobnie jak stara podłoga z szerokich, sosnowych desek. Tutaj Carolina również pootwierała okna, po czym ruszyła do głównej sypialni, w której stało wielkie łóżko z zasłonami. Wychyliła się przez okno wychodzące na oczko wodne i z przyjemnością zaczęła wdychać słodki zapach róż.

W końcu wróciła do kuchni, gdzie Richie już włączył niewielki telewizor.

- Co oglądasz? - spytała.

- Nic. Tylko skaczą po kanałach.

Szybko podała lunch, do którego zabrali się z apetytem, rozmawiając przy tym o planach na najbliższe dwa dni.

- O której będzie kolacja urodzinowa wujka Matta? - zainteresował się Richie.

- Myślę, że koło ósmej.

- Może wujek i Thad przyjadą na motorach?

- Nie mam pojęcia - odrzekła, po czym pociągnęła *lykpinot grigio*, którego butelkę znalazła w lodówce. - Za to wiem, że już czas na naszą lekcję. O tej porze właściwie nikt nie jeździ drogą. Co ty na to?

- Ekstra.

Skończyli lunch i razem posprząтали ze stołu.

- Daj mi kilka minut, żebym się trochę ogarnęła. Spotkamy się przed domem.

- Dobra. - Richie wyszedł przez kuchenne drzwi.

Carolina poszła do sypialni i rozpakowała neseser; potem wzięła parę świeżych czasopism i zaniósła do salonu. Położyła je na stole i rozejrzała się wokół.

Ten pokój ze starą, sosnową boazerią i półkami wypchanymi po brzegi książkami, płytami CD i DVD oraz różnymi drobiazgami, zawsze wzbudzał w niej falę wspomnień.



Na centralnym miejscu stały fotografie jej rodziców. Mama była już po siedemdziesiątkę, gdy robili to zdjęcie: siwe włosy miała upięte w luźny kok na karku, chłodne oczy patrzyły wprost w obiektyw. W uszach - kolczyki z perłami, do tego perłowy naszyjnik, z którym praktycznie nigdy się nie rozstawała, otaczający jej delikatną szyję.

Fotografia ojca została zrobiona mniej więcej w tym samym czasie: miał wysokie czoło i również siwe włosy, na jego twarzy przebłyskiwał nikły cień uśmiechu. Jak gdyby ojciec widział zbyt wiele w życiu, by pozwolić sobie na szerszy uśmiech.

Carolina odwróciła wzrok. Ten domek sprowadzał zawsze żywe wspomnienie rodziców, jakby duchy obojga wciąż nawiedzały pokoje. Tutaj - jak nigdzie indziej - wyraźnie słyszała ich głosy, tutaj stawali jej przed oczami, jak gdyby wciąż jeszcze byli wśród żywych.

Cieszyła się bardzo, gdy odziedziczyła ten wiejski dom. Nigdy nie zamieniłaby się z Mattem, który dostał w spadku gotówkę. W dzieciństwie swobodnie wędrowała po okolicznych lasach, pływała w stawie, bawiła się z każdym, kogo zdołała do tego nakłonić, gromadziła różne skarby, znalezione w ogrodzie, strumieniu czy w lesie. Z największą przyjemnością zrzucała z siebie miejskie ubrania i cały czas nosiła swobodny strój: dżinsy, t-shirty i tenisówki. W domku rodzice pozostawiali jej pełną swobodę, z której korzystała wyjątkowo skwapliwie.

Okres dojrzewania w sposób naturalny zmienił jej zainteresowania. Gdzieś zniknęła chuda, rozbrykana chłopczyca, a jej miejsce zajęła uderzająco piękna młoda kobieta, niebywale zainteresowana płcią przeciwną. Nagle najważniejszy stał się dla niej własny wygląd: Carolina zaczęła eksperymentować z makijażem i gorączkowo poszukiwać w sklepach ubrań podkreślających jej seksapil. Uzbrojona w tę potężną broń, wkroczyła w dorosły świat prywatek i randek.

W tym okresie rodzice stali się przesadnie opiekuńczy, jakby jej rozkwitająca seksualność wzbudzała w nich lęk, a ich zachowanie prowokowało Caroline do buntu. Z pomocą pośpieszyła jej przyjaciółka, Millie Weiss, która tak często zapraszała ją do siebie, że w końcu mieszkanie Weissów stało się drugim domem Caroliny. Rodzice Millie pozwalali dziewczętom nosić ostry makijaż, ubierać się, jak tylko chciały, a także wracać do domu o najdziwniejszych porach, i nigdy nie zadawali zbędnych pytań.

Gdy miały zaledwie piętnaście lat, zaczęły wystawać pod najmodniejszymi klubami, choć zazwyczaj odmawiano im tam wstępu. Niezrażone tym, szybko zdobyły fałszywe dokumenty. W owych klubach poznały towarzystwo eksperymentujące z seksem i narkotykami. Większość ówczesnych znajomych Caroliny marzyła o zaistnieniu w świecie artystycznej bohemy, choć tak naprawdę poszukiwali własnej tożsamości i własnego miejsca

w życiu.

I to właśnie w jednym z takich klubów Carolina spotkała Lyona.

Spojrzała na fotografię zrobioną wkrótce po ich ślubie. Miała wówczas zaledwie osiemnaście lat, Lyon zaś - dwadzieścia osiem. Na zdjęciu patrzą sobie prosto w oczy, uśmiechając się szeroko - uosobienie młodości, szczęścia i pożądania.

Do diabła, zakląła w duchu. Gdzie on się teraz podziewa?

- Mamo! Mamo! - Ze wspomnień wyrwał ją głos Richiego. Carolina pobiegła do kuchni.

- No co, idziemy? - Syn stał w otwartych drzwiach.

- Idziemy. - Rzuciła mu kluczyki do samochodu, które zwinnie chwycił jedną ręką.

Wyszli przed dom i wsiedli do dzipa grand cherokee.

- Nie ma się czego obawiać - rzuciła Carolina uspokajającym tonem.

- Ja się nie boję - odrzekł Richie.

- To świetnie. Czy fotel jest odpowiednio ustawiony?

- Idealnie.

- Okay. A więc odpalaj.

Richie przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Dobra. Wycofaj na drogę, a potem pojedziemy w stronę Pump House Road. Tam skręcimy w lewo i szeroką pętlą wrócimy przed dom. Zrobimy kilka takich rund, a potem bocznymi traktami pojedziemy do sklepu. Wrzuć wsteczny, ale nie naciskaj jeszcze pedału gazu.

Chłopak wykonał polecenie.

- Teraz spójrz w lusterko wsteczne i boczne, żeby sprawdzić, czy nic nie nadjeżdża, a potem dodaj trochę gazu i ruszaj.

- Przecież tą drogą nigdy nic nie jeździ, mamoo! - jęknął zniecierpliwiony.

- Będziemy robić wszystko tak, jakbyś się poruszał po zatłoczonej ulicy. W ten sposób nauczysz się, jak powinieneś prowadzić w mieście.

Posłusznie spojrział w lusterka, po czym spojrział za siebie i wcisnął pedał gazu. Gładko wycofał dzipa z podjazdu, zatrzymał, zmienił bieg i ruszył przed siebie, powoli zwiększając prędkość. Niczym zawodowy kierowca.

- Wspaniale! - zachwyciła się Carolina. - Jakbyś to robił tysiące razy!

- Bo robiłem - odparł, nie odrywając wzroku od drogi.

- Słucham? - zdziwiła się Carolina.

- Po prostu robiłem to już wiele razy. Może nie tysiące, ale wiele.

- Richie! Przecież przy mnie prowadziłeś tylko kilka razy. Czy tata też z tobą jeździł, a ty mi się nie pochwaliłeś?

- Nie. - Dojechali do Pump House Road. Richie zatrzymał się, włączył kierunkowskaz, po czym skręcił w lewo. - Ćwiczyłem sam zawsze, kiedy tu przyjeżdżaliśmy. Jak szłaś spać, brałem kluczyki i ruszałem na przejażdżkę.

- Co takiego! - Carolina zatrzęsała się z oburzenia. - Przecież mogłeś się zabić!

- Jeździłem tylko po polnych drogach - bronił się Richie.

- Nie mogę w to uwierzyć. Po prostu nie wierzę własnym uszom! Chłopak, w pełni skoncentrowany, znów wykonał parę manewrów.

- Sądziłam, że mogę ci ufać - powiedziała Carolina. - I ufałam ci całkowicie, tymczasem tak bardzo mnie zawiodłeś.

Skręcił w stronę domu.

- Przepraszam, mamó. Naprawdę mi przykro. Ale ilekroć cię prosiłem, żebyśmy pojeździli, nie miałaś na to ochoty. No a taty nigdy z nami nie ma.

Caroline ogarnęła nagle bezsilność. Doskonale rozumiała, co Richie miał na myśli. Lyon wciąż obiecywał synowi, że nauczy go prowadzić samochód, do tej pory jednak nie znalazł czasu. Mimo to czuła, że syn ją zdradził. Jej zaufanie zostało poważnie nadszarpnięte - zastanawiała się teraz, czy w ogóle będzie mogła kiedykolwiek mu wierzyć. A do tego wszystkiego dochodził jeszcze problem wczorajszego picia. Richie wjechał na podjazd i zatrzymał przed garażem.

- Wiem, że jesteś na mnie wkurzona, mamó - syn zwrócił się w jej stronę - i naprawdę żałuję, że tak postąpiłem. Tyle że... już mi się znudziły te ciągle wymówki ojca.

- To nie jest żadne usprawiedliwienie, Richie. Mnóstwo czasu spędzamy tylko we dwoje i dlatego muszę mieć pewność, że mogę ci wierzyć. Gdybym nie miała do ciebie zaufania, nie pozwalałabym ci chodzić z Jeffem do kina i włączyć się z nim po mieście do późnego wieczora. Rozumiesz, co mam na myśli?

W milczeniu skinął głową.

- Gdybym nie okazywała ci zaufania, zapewne nie piłybyś wczoraj wieczorem. Prawda?

Ponowne skinienie głowy.

- Pod tym względem również wierzyłam w twój zdrowy rozsądek. Wielokrotnie rozmawialiśmy na temat alkoholu i narkotyków i niezachwianie w ciebie wierzyłam. Zostawiałam ci dużo swobody, pozwalałam wychodzić, kiedy tylko miałeś ochotę. A gdyby było inaczej? Czy nie czułbyś się jak w więzieniu?

- Ja właśnie tak się czuję - odparł cichym głosem.

Niemal poraziły ją słowa syna. Poczwała, że gwałtownie się rumieni - częściowo ze złości, a częściowo z zażenowania. Nagle zdała sobie sprawę, że Richie czuje się tak samo, jak ona wiele lat temu, gdy rodzice nie pozwalali jej wracać późno do domu czy eksperymentować z makijażem i strojami.

Nie chcę być taka jak oni, zdecydowała w myślach. W żadnym razie nie chcę ich przypominać. Zapewne za wiele wymagam od Richiego. Mimo to...

Nagle poczuła się całkiem bezradna, niepewna słuszności własnego postępowania.

Po dłuższej chwili zwróciła się w stronę syna.

- Obiecujesz, że więcej sam nie weźmiesz samochodu? - spytała. - Ze jeśli będziesz chciał się przejechać, powiesz mi o tym, nawet gdybyś miał mnie obudzić w środku nocy?

- Obiecuję - wykrztusił Richie.

- Twój wybryk mógł nas wpędzić w bardzo poważne kłopoty, gdyby, nie daj Boże, wydarzyło się coś złego.

- Tak, wiem, mamó. Naprawdę cię przepraszam.

- I obiecujesz też, że nie będziesz pił, póki nie jesteś pełnoletni?

Potaknął skinieniem głowy.

Carolina spojrzała uważnie na syna. Musiała mu wierzyć.

- No, dobrze. A więc wracajmy do nauki. Teraz pojedziemy do sklepu. Richie wrzucił wsteczny bieg, wycofał i ruszył pełną drogą - równie gładko jak poprzednio.

- A właściwie, jakim cudem tak dobrze ci idzie? - spytała, gdy znów zatrzymał przy Pump House Road. - Czy tak wiele się nauczyłeś, tylko nas obserwując?

- Ja... to znaczy... - Urwał i w milczeniu ruszył przed siebie. Było oczywiste, że nadal coś ukrywa.

- No, już, Richie. Przecież wiesz, że możesz mi powiedzieć, cokolwiek by to było. Ostatecznie zawarliśmy układ, a jego częścią jest bezwzględna wzajemna szczerłość.

- Rzecz w tym, że ja obiecałem.

- Co takiego obiecałeś?

- O rany! - jęknął Richie głucho.

- Co obiecałeś?

- Obiecałem wujkowi Mattowi, że nie pisnę słowa ani tobie, ani tacie - wyrzucił w końcu z siebie Richie.

- A o czym mianowicie miałeś nam nie mówić?

- Ze wujek... że wujek pozwalał mi prowadzić samochód u siebie w Connecticut,

kiedy przyjeżdżałem do niego na weekendy.

- Chcesz powiedzieć, że Matt pozwalał ci prowadzić swojego wielkiego landrowera?

- Uhm. A także pikapa.

- I pikapa...

- To się niczym nie różni od prowadzenia dżipa, mamó - stwierdził autorytatywnie Richie, wjeżdżając na szosę i kierując się w stronę sklepu.

Jasna cholera, zakłęła w duchu. Powinnam się była domyślić. Cóż, czy chcę czy nie, dzisiejszego wieczoru będę musiała przeprowadzić poważną rozmowę ze swoim braciszkiem!

## Rozdział 12

Carolina krzątała się pilnie po kuchni, gdy usłyszała, jak samochód brata wjeżdża na podjazd. Chwilę później trzasnęły drzwi z siatką - to Richie wybiegł przed dom, by powitać Matta i Thada.

Uśmiechając się z zadowolenia, owinęła sałatkę z homara folią i wstawiła do lodówki, by przekąska się schłodziła, po czym wyjęła butelkę szampana. Cieszyła się niezmiernie, że Richie tak bardzo lubił - nie, właściwie miał bzika na punkcie Matta i Thada, i że jej brat oraz jego partner tak ciepło traktowali jej syna. Było to tym bardziej cenne, że poza bratem Lyon właściwie nie miał żadnych bliskich krewnych, Matt zaś był jedyną rodziną Caroliny.

- Cześć, siostrzyczko. - Matt z rozmachem wkroczył kuchennymi drzwiami.

- Witaj, skarbie - odrzekła, napełniając jednocześnie lodem wiaderko do chłodzenia szampana.

Matt cmoknął ją w policzek.

- Musisz być jasnowidzem - stwierdził.

- A to czemu?

- Bo jakimś cudem odgadłaś, że mam ze sobą butelkę bąbelków.

- Przywiozłeś szampana na własne przyjęcie urodzinowe? - zdziwiła się Carolina.

- Jasne, czemu nie? Chciałem, żebyśmy należycie uczcili to święto.

- Pokaż więc, co przywiozłeś.

Matt wyciągnął przed siebie butelkę, którą chował za plecami.

- *Cristal!* Mój ulubiony *veuve clicquot* może się przy nim schować!

- Wypijemy oba - odrzekł Matt ze śmiechem. - Ostatecznie to moje urodziny!

Zacniemy od tego, a skończymy na twoim.

- Niech tak będzie. Jest już schłodzony?

- Jasne. Przywiozłem go w torbie termoizolacyjnej.

- Oczywiście, powinnam była od razu zgadnąć. Zawsze przezorny i samowystarczalny. Czemu jednak wykosztowałeś się na coś tak niebywale ekskluzywnego?

- Cóż, prawdę mówiąc, nie kupiłem tego szampana - wyznał z uśmiechem Matt. - To prezent od Sybil Conroy. Przysłała mi całą skrzynkę.

- Chyba żartujesz? Toż to prawdziwie królewski podarunek! Choć oczywiście ją na to stać. A jak tam prace w ogrodzie?

- Wszystko przebiega świetnie - pochwalił się Matt. - Opracowaliśmy już nawet plany

na przyszłą wiosnę. Sybil marzy o poważnych zmianach.

- Ma szczęście, że znalazła ciebie i Thada - powiedziała Carolina. - A gdy już o tym mowa, gdzie podział się Thad? I Richie?

- Pojechali do sklepu - wyjaśnił Matt. - Thadowi skończyły się papierosy.

- A więc zostawił cię samego, żebyś pomógł mi przygotować przyjęcie - mimo że jesteś dziś dostojnym jubilatem?!

- Sam go wysłałem, bo chciałem pobyć tylko z tobą.

- Rozumiem więc, że akupunktura nie pomogła mu zerwać z nałogiem.

- Wytrzymał bez papierosa zaledwie parę tygodni. - Matt potrząsnął z rezygnacją głową. - Bardzo chciałbym, żeby udało mu się rzucić palenie, ale nie zamierzam z nim walczyć.

Carolina spojrzała na brata z uśmiechem.

- Zapewne żadne z nas nie powinno wyrażać sądów w tej sprawie. Ostatecznie jeszcze niedawno oboje kopciliśmy jak lokomotywy.

- No właśnie - zgodził się Mat. - Tym bardziej że wszelkie perswazje tylko zaostrzają konflikt, a do niczego nie prowadzą. No, dobrze, daj mi tę butelkę. Zaczniemy świętować we dwoje.

- Świetnie - ucieszyła się Carolina. - Może usiądziemy na zewnątrz?

- Jasne.

- W takim razie idziemy z kieliszkami nad staw.

Oboje rozsiedli się na leżakach. Matt nalał im po kieliszku szampana, po czym postawił wiaderko z lodem i butelką na kamiennym patio.

- Nasze zdrowie! - Wzniósł toast.

- Wszystkiego najlepszego! - odrzekła Carolina. Stuknęli się kieliszkami, a potem znowu opadli na leżaki.

- Cieszę się, że Richie i Thad pojechali do sklepu - przyznała się Carolina - bo chciałam z tobą porozmawiać w cztery oczy.

- No to wal.

- Dzisiaj rano Richie jeździł ze mną samochodem.

- Super - stwierdził Matt. - I jak mu poszło?

- Myślę, że sam mógłbyś z powodzeniem odpowiedzieć na to pytanie - odrzekła, patrząc bratu prosto w oczy.

- Co...?

- Nie baw się ze mną w tanie gierki, Matt - powiedziała Carolina. - Wiem, że

pozwalając mu prowadzić samochód na swoim terenie. Nie chciał się do tego przyznać, bo obiecał ci, że nie piśnie słowa, ale w końcu to z niego wyciągnęłam.

Matt wypił potężny łyk szampana.

- Przepraszam, siostrzyczko - odezwał się po chwili cichym głosem.

- Masz święte prawo być na mnie wkurzona, ale chłopak tak bardzo chciał prowadzić.

Pomyślałem więc, czemu nie? Mój teren jest wprost wymarzony do nauki - żwirowe alejki prowadzące do szklarni i puste, leśne trakty.

- Powinieneś był mi o tym powiedzieć - fuknęła Carolina. - A raczej zapytać mnie o zgodę!

- Wiem, że tak właśnie należało postąpić. Ale ostatecznie doszedłem do wniosku, że nie robię nic złego.

- Ja jestem jego matką, Matt. Dlatego nie należało z nim spiskować za moimi plecami. Nie w tak poważnej sprawie.

Skinął głową.

- To już się więcej nie powtórzy - zapewnił. - Obiecuję. Carolina zauważyła smutek na twarzy brata i natychmiast złagodniała.

- To, co zrobiłeś dla Richiego, było naprawdę wspaniałe i bardzo doceniam twój gest. Tyle tylko, że powinieneś mi o tym powiedzieć. - Wypiła łyk szampana, po czym znów spojrzała na Matta. - Czy Richie mówił ci, że podkradał mi samochód, gdy spałam?

- Co takiego?! Chyba żartujesz! Pokręciła zdecydowanie głową.

- Nie. Sam się do tego przyznał. Robił tak za każdym razem, gdy tu przyjeżdżaliśmy.

- Jeeezu - jęknął Matt. - To wszystko dlatego, że Lyon... - Urwał, najwyraźniej szukając odpowiednich słów - ... to znaczy, szkoda, że Lyon nie może poświęcać Richiemu więcej czasu. To wspaniały chłopak, ale właśnie wkroczył w trudny okres.

- Z ust mi wyjąłeś te słowa - odparła Carolina. - Bardzo mnie to wszystko martwi, szczególnie że ostatnio Lyon nagminnie nie dotrzymuje słowa. Prawdę mówiąc, zaczynam mieć już tego dosyć.

Matt na tyle znał swoją siostrę, by wiedzieć, że jest o wiele bardziej zmartwiona, niż to okazywała.

- Chciałabyś o tym pogadać? - zapytał wprost. Carolina wzruszyła ramionami.

- Właściwie nie mam nic do powiedzenia. Lyon coraz więcej czasu spędza za granicą. A kiedy wraca, w zasadzie nie ma czasu ani dla mnie, ani dla Richiego.

- Chyba jednak nie sądzisz, że... że dzieje się coś złego? - zaniepokoił się Matt.

- Nie - zaprzeczyła szybko Carolina. - Choć czasami mam jakieś dziwne podejrzenia.



Wiesz, przyglądałam się dziś naszej fotografii w salonie, tej zrobionej tuż po ślubie. Przypomniałam sobie, jak bardzo byliśmy wtedy szczęśliwi. Jak bardzo sobie oddani. Wówczas Lyon zrobiłby wszystko, byle tylko znaleźć się jak najszybciej przy mnie. - Spojrzała bratu prosto w oczy. - Ale to już przeszłość - stwierdziła ze smutkiem. - Wciąż oczywiście się kochamy, ale... no cóż, myślę, że Lyonowi nie zależy już na mnie tak, jak kiedyś.

- To prawdopodobnie presja stanowiska. - Matt poklepał ją pocieszająco po ramieniu.  
- Lyon wciąż bardzo cię kocha. Nie zapominaj jednak, że mamy recesję i większość przedsiębiorstw przeżywa ciężkie chwile.

- Tak, wiem - odrzekła Carolina - wiem też jednak, że całkiem niedawno wszystkie sprawy zawodowe byłyby mało ważne w porównaniu ze mną i Richiem. Ostatnio Lyon zaczął zachowywać się jak Leland. A Leland - bez względu na okoliczności - zawsze myśli tylko o sobie.

Zanim Matt zdążył odpowiedzieć, usłyszeli samochód zakręcający na podjeździe. Chwilę później trzasnęły drzwi.

- Jeszcze o tym porozmawiamy - zapewnił Caroline Matt. - Jeśli tylko będziesz miała ochotę. A teraz nie chcę widzieć tego smutku na twojej twarzy. Ostatecznie to moje urodziny, czyżbyś zapomniała?

- Czas na wesołą, beztroską pogawędkę? - Uśmiechnęła się szeroko.

- Jasne - odparł. - Wszelkie poważne tematy surowo zakazane.

W tym momencie kamiennymi schodami zeszli na patio Richie z Thadem.

- O, cześć! - wykrzyknęła Carolina.

- Cześć, mamó - odrzekł chłopiec. - Witaj wujku. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin! - Podbiegł do Matta i uderzył dłonią w jego dłoń.

- Dzięki, Richie.

- Widzę, że już zaczęliście świętować - spostrzegł Thad. Pocałował Caroline w policzek, po czym rozsiadł się na leżaku.

- Jak się postarasz, szybko nadrobisz zaległości - zaśmiała się Carolina i podała mu kieliszek z szampanem. - A ty, Richie, miałbyś na coś ochotę?

- Nie. - Chłopak zdecydowanie pokręcił głową, ale chwilę później uśmiechnął się szeroko. - Chyba że pozwolisz mi napić się tych bąbelków.

Carolina z Mattem wymienili znaczące spojrzenia i wybuchnęli śmiechem.

- Możesz wypić łyk ode mnie - zgodziła się Carolina. Richie wyjął jej z dłoni kieliszek i umoczył usta.

- Nie tak dobre jak piwo - orzekł po chwili zastanowienia.

Matt i Thad spojrzeli na niego ze zdumieniem, Carolina natomiast poczuła ulgę. Zależało jej, żeby Richie się otworzył, by mogli swobodnie porozmawiać o picu.

- Kilka razy kupiliśmy sobie z Jeffem po puszcze. To nic wielkiego - dodał, wzruszając nonszalancko ramionami.

Może tak, a może nie, pomyślała. Mój Boże, samochody i piwo! To rzeczywiście trudny wiek. Gdy tylko Lyon wróci, będzie musiała przeprowadzić z nim poważną rozmowę na temat syna.

- Co powiesz na dolewkę? - zwrócił się do niej Thad.

- Jasne - odrzekła. - Jeszcze jeden kieliszek przed obiadem świetnie mi zrobi.

- Wszystko było przepyszne - zapewnił Thad, ochoczo sprzątając ze stołu.

- Przepisy Mercedes - powiedziała Carolina.

- Zupełnie nie pojmuję, jakim cudem taka bogata Angielka potrafi tak doskonale gotować - wtrącił Matt. Chwycił talerzyki po deserze, by zanieść je do kuchni. - Jej przepisy są wprost genialne.

- Na wszystkich zawsze robią wrażenie - przyznała Carolina. - Mercedes dzisiaj pochwaliłaby mnie za ciasto cytrynowe, ale skrytykowałaby sałatkę z homara.

- A to czemu? - zainteresował się Thad.

- Bo nie zrobiłam jej dokładnie tak, jak powinnam. Mercedes od razu by to wyczuła.

- Co zrobiłaś nie tak? - spytał Matt.

- Kupiłam mrożonego homara. Mercedes nigdy by sobie tak nie ułatwiła pracy.

- Cóż, ja tam nie zauważyłem żadnej różnicy - stwierdził Matt. - A swoją drogą, jakim cudem ta dziewczyna może jeszcze w ogóle wyczuwać jakieś smaki? Przecież odpala papierosa od papierosa.

- To rzeczywiście przedziwne - zgodziła się Carolina, patrząc spod oka na Thada. - Ale kiedyś zrobiłam suflet z łososia i gdy tylko Mercedes go spróbowała, oświadczyła, że przed pieczeniem należało skropić rybę sokiem z cytryny. Wprost nie wierzyłam własnym uszom!

- Niebawale - skomentował Thad.

- Powiedziała, że cytryna przyspiesza pieczenie i gotowanie.

- W takim razie od dziś zacznym do wszystkiego dodawać cytryny - oświadczył Matt ze śmiechem.

- A co tam w ogóle słyhać u Mercedes? Pracuje nad jakimś nowym projektem? - zapytał Thad.

- Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia - odrzekła Carolina. - Choć ostatnio jest dla mnie prawdziwą podporą - zawsze chętnie pomaga mi w kwaciarni i jestem jej ogromnie wdzięczna, bo mamy mnóstwo pracy.

W jakiś czas potem rozsiedli się z kawą w salonie, a Matt zabrał się do otwierania prezentów. Śmieszne, skąpe kąpielówki w lamparcie cętki - prezent od Thada - wywołały głośną salwę śmiechu.

- Założę się, że ich nigdy nie włożysz - rzucił Thad.

- Uważaj, bo możesz sporo przegrać - odparł Matt.

Richie dał wujowi karty do gry z obrazkami motocykli na odwrocie.

- Obiecuję, że tymi kartami nauczę cię grać w pokera - powiedział Matt.

- Dlatego właśnie ci je kupiłem - wyznał Richie.

Carolina podarowała swemu bratu rzadką, starą książkę o ogrodach w Vaux-le-Vicomte.

- Och, siostrzyczko, jest wspaniała. Jak ty mnie dobrze znasz. Wkrótce Matt rozgadał się na temat szklarni i architektury krajobrazu, a wówczas Carolinie przypomniało się coś ważnego.

- Opowiadałam ci już o mojej znajomości z Lydią Carstairs, ale nie znasz jeszcze najświeższej nowiny.

- A mianowicie?

- Lydia jest w radach nadzorczych kilku organizacji charytatywnych - wyjaśniła Carolina. - I zadzwoniła do mnie parę dni temu z pytaniem, czy wczesną jesienią nie podjęłabym się zrobienia kompletnej oprawy wielkiej gali.

- Ho, ho, to dla ciebie wspaniała okazja rozwinięcia skrzydeł! - wykrzyknął Matt. - Jak duża miałyby być ta impreza?

- Na około tysiąc osób.

- O rany! Rzeczywiście wielka - wtrącił Thad. - Czy nie zostało ci jednak zbyt mało czasu na przygotowanie czegoś tak pracochłonnego? Czemu zostałam zawiadomiona tak późno?

Carolina skinęła głową.

- Mój stały problem. A dowiedziałam się tak późno, bo florysta, który miał się tym zająć, niejaki Jimmy Josephson, w ostatniej chwili się wycofał. Musiał pojechać na odwyk, a poza tym plotka głosi, że znalazł się w poważnych tarapatkach finansowych.

- Chyba żartujesz - odezwał się Matt. - Niedawno w „Architectural Digest” oglądałem zdjęcia jego nowego domu. Patrząc na nie, byłem pewien, że facet wprost tarza się w forsie.

Niemalże wszyscy, którzy coś znaczą, chcą, żeby robił dekoracje na wielkie gale.

- To prawda - przyznała Carolina. - Rzeczywiście jest wspaniały. A to oznacza, że jeśli przyjmę zamówienie, będę musiała pod każdym względem przejść samą siebie.

- Poradzisz sobie, siostrzyczko - odrzekł z przekonaniem Matt.

- Jasne - dorzucił Richie. - Ja ci pomogę. Carolina z czułością spojrzała na syna.

- Dziękuję, skarbie. Zapewne będę cię potrzebować. I wiecie, co? Macie rację. Ja też uważam, że jakoś dam sobie radę. Jeżeli mogliśmy z dnia na dzień zorganizować wszystko na wesele Chrissy Madison i Ricky'ego Sancheza, przeżyć to i jeszcze zebrać pochwały, to możemy teraz zrobić niemal wszystko. Chociaż na tę imprezę będę musiała zatrudnić dużo więcej osób niż zazwyczaj. Trzeba będzie myśleć o tysiącu spraw naraz. I nie chodzi tu tylko o kwiaty - to zaledwie jedna dziesiąta naszych zmartwień. Będę musiała zająć się problemami, którymi nigdy się nie zajmowałam na tak wielką skalę.

- Czy przyjęcie ma jakiś przewodni motyw tematyczny? - spytał Thad.

- Szczegóły omówię z Lydią dopiero w przyszłym tygodniu - odrzekła Carolina. - Oczywiście, jeżeli dostanę to zlecenie. Lydia zamierza kurtuazyjnie zadzwonić do pozostałych członków rady i zapytać, czy wyrażają zgodę na zatrudnienie mojej firmy. A jeśli się zgodzą, wszystko będzie załatwione w oficjalny sposób: formalny kontrakt i tym podobne.

- Co za organizacja wydaje ten bankiet? - spytał Matt.

- Towarzystwo Ratowania Zwierząt.

- A gdzie to się odbędzie? - zainteresował się Thad.

- W Metropolitan Museum of Art. Ale nie, jak zwykle przy takich okazjach w Świątyni Dendur, lecz w Sali Średniowiecznej.

- Rewelacja! - zachwycił się Matt. - To przepiękne miejsce.

- Cóż, ma swoje zalety i wady.

- Niewątpliwie będziesz mogła wykorzystać jego wystrój do swoich celów.

Carolina skinęła głową.

- Już o tym myślałam, ale oczywiście wszystko będzie zależeć od motywu przewodniego.

- Mój Boże, moglibyśmy zwieźć tam całe mnóstwo drzew, krzewów i innych roślin - zapalił się Matt.

- Widzę, że już się zorientowałaś, do czego zmierzam - odrzekła Carolina z uśmiechem. - Pomyślałam, że skoro jesteś specjalistą od architektury krajobrazu, a do tego znasz mnóstwo ludzi prowadzących szkółki - Thad natomiast wie wszystko o oświetleniu - może... no cóż, świetny byłby z nas zespół, czyż nie?

Obaj mężczyźni pokiwali głowami.

- Wiem, że jesteście okropnie zajęci, ale czy nie zechcielibyście mi pomóc? Oczywiście za określony udział w zyskach.

Matt spojrział na Thada - porozumieli się bez słów.

- Jestem pewien, że jakoś znajdziemy czas - powiedział. - Musisz jednak zadzwonić do nas natychmiast, kiedy tylko będziesz znała szczegóły, żebyśmy zaczęli planować całą akcję. Natomiast jeśli chodzi o powierzchnię magazynową... cóż, wiem, że to daleko, ale możesz wykorzystać jedną z naszych stodół. Przynajmniej na jakiś czas. Wynajęcie czegokolwiek na Manhattanie kosztowałoby cię fortunę.

- Dzięki, Matt. Doceniam i zapamiętam twoją propozycję. Ale jeśli dostanę to zlecenie, będę potrzebowała magazynu pod ręką. Bo może przyjdzie mi obsługiwać trzy takie imprezy w tym samym miesiącu.

- Widzę, że podchodzisz do interesów z rozmachem - parsknął śmiechem Matt.

- Jasne. A czemu nie? Jeżeli Lydia wprowadzi mnie w ten świat, mam szansę na mnóstwo poważnych zamówień.

- A co z kwiaciarnią? - spytał Thad.

- Zostanie moją wizytówką - miejscem ekspozycji moich prac. Już w pewnym sensie tak jest. Oczywiście nadal będzie to także mój sklep. Cokolwiek się wydarzy, zachowam go, choć jeśli wszystko potoczy się zgodnie z moimi życzeniami, większość czasu zacznę poświęcać na pozyskiwanie klientów i obsługę wielkich imprez. Często będzie to wymagało tworzenia dużych konstrukcji i podpór, projektowania skomplikowanych systemów oświetlenia. Ale kwiaciarnia pozostanie kwiaciarnią. Może najwyżej otworzę filię w eleganckiej dzielnicy. To się okaże.

Słuchając jej planów, Matt uśmiechał się szeroko.

- Co tak szczerzysz zęby? - spytała Carolina.

- Och, właśnie przypomniałem sobie, jak to ja, twój duży, starszy brat, zawsze interesowałem się botaniką i hodowaniem różnych roślin. Ty nigdy nie zwracałaś na to uwagi. Pływałaś, biegałaś, jeździłaś na rowerze. A spójrz tylko na siebie teraz! Wkrótce zostaniesz nowojorską królową kwiatów.

Carolina roześmiała się serdecznie.

- Rzeczywiście, to ty zawsze zajmowałaś się klasyfikacją roślin, ich suszeniem, zbieraniem i układaniem. Ja nie miałam serca do tego, póki nie zaczęłam pracować w pierwszej kwiaciarni. Widać, musiałam osmotycznie przejąć twoje zainteresowania.

- I to w dużych ilościach!

- W każdym razie zadzwonię do ciebie, gdy tylko odezwie się do mnie Lydia Carstairs. Ostatecznie, inni członkowie rady mogą się nie zgodzić, by mnie zatrudnić.

- Jeśli wziąć pod uwagę wpływy i siłę przebiccia Lydii, jest to praktycznie wykluczone - stwierdził Thad.

- Zobaczmy - odrzekła Carolina. - Tak czy owak, w wolnej chwili moglibyście poświęcić mojemu projektowi trochę uwagi.

- I tak zrobimy - zapewnił ją Matt.

Wkrótce potem Matt i Thad zaczęli zbierać się do odjazdu.

- Możesz do nas wpadać, ilekroć masz na to ochotę, Richie - powiedział Matt.

- Super - ucieszył się chłopak.

- Ale następnym razem zechciejcie mnie poinformować o swoich planach, zanim przejdziecie do ich realizacji. Mam na myśli prowadzenie landrowera czy pikapa.

- Możesz być tego pewna, siostrzyczko.

- Daję ci słowo, mamo.

- To dobrze, bo raczej nie chciałabym się dowiedzieć po fakcie, że Richie bez nadzoru rozbijał się po waszej okolicy motocyklem.

Matt, Richie i Thad wymienili ukradkowe spojrzenia, które jednak nie umknęły Carolinie.

- Jasne - rzucił szybko Matt. - Następnym razem najpierw poprosimy cię o pozwolenie.

Przez chwilę przyglądała się im w milczeniu, spod przymrużonych powiek.

- Już to robił, prawda? - zapytała w końcu. - Richie już jeździł na którymś z tych waszych potworów?

Chłopak nerwowo przestępował z nogi na nogę.

- Cóż, sprawy mają się następująco... - zaczął Matt.

- Wracajcie już do domu. - Carolina machnęła ręką niczym udzielna księżna odprawiająca świtę. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, ale już się zbierajcie.

- Przecież nie okłamaliśmy cię w tej sprawie - zaczął bronić się Matt, z trudem powstrzymując uśmiech. - Ostatecznie nie pytałaś nas o motocykle.

- Zatajenie też jest formą oszustwa - odparła. - A teraz, już was nie ma!

- Jedziemy, jedziemy! - Matt i Thad zaczęli wycofywać się w stronę drzwi.

- Zadzwonię do was w przyszłym tygodniu! - zawołała na pożegnanie Carolina.

- Będziemy czekać! - odkrzyknął Matt, otwierając samochód. - I jeszcze raz wielkie dzięki za przyjęcie urodzinowe. Jedzenie było przepyszne.

Carolina i Richie stali w drzwiach i machali, póki landrower nie zniknął im z oczu, po czym wrócili do kuchni. Chłopiec maszerował przed matką, najwyraźniej kombinując, jakby tu błyskawicznie czmychnąć do swojego pokoju.

- Richie... - powstrzymała go Carolina.

- Tak, mamó?

Nie ulegało wątpliwości, że szykował się na reprimendę.

- Na którym motocyklu jeździłeś sam? Na sportsterze Thada czy na tym przerażającym monstrum Matta?

- Na żadnym z nich. Mają jeszcze starego triumpha bonneville, idealnie odszykowanego, i tylko na nim pozwalali mi jeździć. - Z każdym słowem entuzjizm Richiego gwałtownie wzrastał.

- Ciekawe, czemu kupili taki motor? - zastanowiła się na głos Carolina.

- A bo ja wiem? - Richie wzruszył ramionami. - Może... może potrzebowali małego motocykla, by załatwiać różne sprawy w pobliżu? Żeby... no... jeździć tu i tam.

Carolina spojrzała uważnie na syna i nagle odpowiedź na jej własne pytanie stała się oczywista.

- Ach, tak - odrzekła powoli. - No cóż, czy zechcesz dać swojej starej, ślepej matce całusa na dobranoc?

Richie cmoknął ją w policzek i mocno objął.

- Dobranoc, mamó.

- Dobranoc, skarbie.

Przez chwilę przyglądała się, jak wchodził po schodach na górę, po czym też poszła do sypialni.

Zapewne wkrótce wśród gratów walających się po pokoju Richiego znajdą się skórzane ciuchy i kask, westchnęła w myślach.

## Rozdział 13

Natarczywy dzwonek telefonu wyrwał w końcu Caroline ze snu. Z trudem otworzyła oczy i spojrzała na zegar stojący na toalecie.

- Szlag by to trafił! - zakląła głośno. Gardło miała wyschnięte od szampana. - Kto, do licha, dzwoni na wieś po pierwszej w nocy?

Lyon, zdecydowała w myślach. Telefonuje, żeby zapytać, jak się udały urodziny.

Sięgnęła po słuchawkę.

- Lyon? - rzuciła bez zastanowienia.

- Czy rozmawiam z panią Mountcastle? - odezwał się nieznany, męski głos z ledwie słyszalnym obcym akcentem.

Co się, do cholery, dzieje?

- Tak, słucham - odrzekła, siadając na łóżku i jednocześnie włączając lampę.

- Czy jest pani żoną pana Lyona Mountcastle?

- Taak - wyjąkała. Ogarnął ją nagły, niewytłumaczalny lęk, tętno przyspieszyło, poczuła ostre ściskanie w dołku. - Kto... kto mówi? W czym...

- Pani Mountcastle - ciągnął metodycznie mężczyzna - nazywam się Kees Verhoeven.

W jego ustach brzmiało to „kejs”. Kees Verhoeven? Kim, u diabła, jest Kees Verhoeven? Serce skoczyło jej do gardła, Carolina miała wrażenie, że za chwilę się zadławi.

- Pracuję w komendzie policji w Amsterdamie - wyjaśniał nieznajomy. - Z przykrością muszę panią zawiadomić, że pani mąż, pan Lyon Mountcastle, zmarł dziś na skutek rozległego zawału serca.

Dalszy ciąg zagłuszył cichy jęk, Carolina nie zorientowała się nawet, że wyrwał się z jej ust. Później, dużo później, gdy usiłowała dokładnie odtworzyć słowa holenderskiego policjanta, okazało się, że od tego momentu nic już nie pamiętała. Nic zupełnie. Jakby w jej umyśle zatrzasnęły się ciężkie, stalowe drzwi, odcinające ją od procesu percepcji.

Nie pamiętała, że upuściła słuchawkę na podłogę i nie podnosiła jej, mimo że wciąż słyszała głos policjanta: „Pani Mountcastle! Pani Mountcastle!”.

Nie pamiętała też, że jakiś czas później do sypialni wpadł Richie - tuż po tym, gdy obudził go trzask rozbijanego szkła.

Znalazł matkę siedzącą wśród szczątków lamp, szklanek i flakonów. Odłamki lustra leżały na ramach obrazów, na rozbitym radiu, uszkodzonym zegarze. Wokół walały się porzucane z półek książki i poszarpana pościel. Carolina była jak w transie - zupełnie



nieświadoma, do jakiego stanu doprowadziła pokój. Richie z otwartymi ustami przyglądał się przez chwilę ruinie, która jeszcze niedawno była schludnym, miłym pomieszczeniem, po czym podbiegł do matki i objął ją mocno.

- Mamo! - wykrzyknął. - Mamo! Mamo!

Nie odpowiedziała. Najwyraźniej zupełnie nie zdawała sobie sprawy z jego obecności - wciąż była przejmująco, niczym śmiertelnie ranne zwierzę, niemogące uwolnić się z potrzasku, przerażone i samotne.

Po chwili Richie dostrzegł leżącą na podłodze słuchawkę i podniósł ją do ucha. Wysłuchał tragicznej wiadomości; wypuścił matkę z objęć, by pobiec do kuchni po ołówek i kawałek papieru, a potem zapisał numer telefonu, który mu podał Kees Verhoeven.

Potem znowu przytulił matkę - kołysał ją w ramionach, jakby była małym dzieckiem - jakby ich role uległy nagłemu odwróceniu. Mówił ciepłym, łagodnym głosem, próbując wyrwać Caroline z obezwładniającej rozpacz. Kiedy doszedł do wniosku, że wszystkie jego wysiłki na nic, ponownie chwycił za słuchawkę i wystukał numer Matta.

Wujek będzie wiedział, co robić, zapewniał się w duchu. On na bank będzie wiedział.

Powiadomił o wszystkim Matta, po czym zaczął szeptać do Caroliny uspokajająco:

- Wujek już tu jedzie. On wszystko naprawi.

Ale nawet Richie, choć miał zaledwie szesnaście lat, doskonale wiedział, że Matt niczego już nie może naprawić. Nikt nie zdołałby tego zrobić.

Wycie Caroliny powoli przeszło w jęki, a potem w spazmatyczny szloch, który wstrząsał całym jej ciałem. Od czasu do czasu zalewała się łzami, by już po chwili tępo, niewidzącym, szklanym wzrokiem wpatrywać się w ścianę. Richie próbował ją podnieść, ale nie dała ruszyć się z miejsca.

W końcu przyjechał Matt, przy pomocy Richiego dźwignął Caroline i ułożył na sofie w salonie. Wyjął z kieszeni fiolkę ze środkami uspokajającymi, włożył siostrze tabletkę do ust i podał szklanekę z wodą. Po pewnym czasie opanowała się na tyle, by słuchać, co się do niej mówi, a nawet powiedzieć kilka słów. Matt szybko się zorientował, że musi przejąć inicjatywę, bo w tej chwili Carolina nie umiała podjąć najprostszej decyzji.

- Richie - zwrócił się do siostrzeńca - pójde do kuchni załatwić parę telefonów. Posiedzisz przy mamie jeszcze kilka minut?

Chłopak skinął głową.

- Za moment wracam - rzucił Matt, spoglądając na siostrę. Wkrótce zjawił się z powrotem w salonie. Przysunął krzesło do sofy i usiadł naprzeciwko Caroliny.

- Rozmawiałem z Keesem Verhoevenem. Dzwoniłem też do linii lotniczych.

Zarezerwowałem bilet na dzisiejsze popołudnie. Będę miał więc dość czasu, żeby odwiedzić was do domu.

- A co z Lelandem? - zainteresowała się Carolina. - Czy nie powinniśmy go zawiadomić?

- Zadzwoń do niego, gdy przyjedziemy do miasta - odrzekł Matt.

- Nie ma sensu budzić go po nocy.

- Kiedy wrócisz z Amsterdamu? - spytała.

- Pojutrze. Najdalej za dwa dni.

- Tak szybko? - zdziwiła się. - To znaczy... czy nie będziesz musiał... zobaczyć go... iw ogóle? - Mówiła spowolnionym głosem, stan histerycznego pobudzenia wyraźnie ustępował. Środek uspokajający zaczynał działać.

- Zdążyłem już wszystko załatwić z tym policjantem, Verhoevenem - wyjaśnił Matt.

Nie zamierzał wyjaśniać siostrze wszystkich szczegółów - rzeczywiście miał oficjalnie zidentyfikować zwłoki, zanim zostaną poddane kremacji, a potem przywieźć prochy Lyona do Nowego Jorku. Czekало go też mnóstwo biurokratycznych formalności i Bóg jeden wie, co jeszcze. Ale nie było sensu w tej chwili o tym mówić.

- Nie musisz sobie zawracać głowy papierkowymi sprawami - ciągnął. - Verhoeven obiecał, że wszystko załatwi do mojego przyjazdu. Będzie nawet czekał na mnie na lotnisku Schiphol.

- To... to bardzo uprzejmie z jego strony - wykrztusiła Carolina.

- Rzeczywiście - zgodził się Matt. - Okazał się nadzwyczaj uczynny. Myślę, że czas, byśmy zbierali się do drogi. Zabierzcie tylko to, co konieczne. Pojedziemy waszym samochodem. Thad przywiezie mi do Nowego Jorku niezbędne rzeczy.

Carolina skinęła głową. Tak naprawdę nie miała pojęcia, co powinna robić. Ogarnęło ją całkowite odrętwienie i była zadowolona, że ktoś podejmuje za nią decyzje, wydaje proste polecenia.

Nie minęła godzina, a już wracali do miasta.

- Chcę jechać razem z tobą - wyrzucił z siebie w końcu Richie. Siedzieli w wielkim salonie nowojorskiego apartamentu, czekając na taksówkę, która miała zawieźć Matta na lotnisko Kennedy'ego.

- No cóż... - Matt rzucił niepewne spojrzenie w stronę siostry leżącej na sofie, ale Carolina najwyraźniej nie zwracała uwagi na ich rozmowę. - Widzisz, Richie, myślę, że będzie lepiej, jeśli pojedę tam sam. Wszystko, tak czy owak, sprowadzi się jedynie do formalności i papierkowej roboty. Gdy tylko to załatwię, natychmiast wrócę do Stanów. Ty

przez ten czas powinieneś zostać z mamą.

Carolina podniosła się i wypła łyk wody.

- Chciałabym, żebyś został przy mnie, Richie - powiedziała wreszcie, odstawivszy szklanke. Spojrzała na syna i podjęła desperacką, choć niespecjalnie udaną próbę przywołania na twarz uśmiechu.

- Ale czemu, mamó? - W głosie Richiego pobrzmiwała frustracja. - Przecież to mój ojciec. A ostatecznie mam paszport w szufladzie, w zasięgu ręki, więc...

- Nie - przerwała mu dość ostro Carolina. Błysk irytacji przebiegł jej przez twarz, jednak zniknął niemal w tej samej chwili, gdy się pojawił.

Poklepała dłonią kanapę, zapraszając syna, by usiadł. Richie niechętnie podniósł się z krzesła i - szurając nogami - opadł na poduszki obok matki.

Ścisnęła go lekko za ramię.

- Richie, posłuchaj, jesteś mi potrzebny tu, na miejscu. Proszę, zostań ze mną. Roxie i Antonio zajmą się kwiaciarnią, ale... ale będę potrzebować kogoś, kto pomoże mi w domu.

Twarz chłopca poczerwieniała od ledwie skrywanego gniewu.

- A co ja niby miałbym tu robić? Przecież...

- Odbierać telefony. - Weszła mu w słowo. - Rozmawiać z ludźmi przez domofon. Załatwiać drobne sprawy. Będzie mnóstwo do zrobienia, a Matt mi nie pomoże, bo musi zostać parę dni w Amsterdamie, by dopilnować formalności.

Richie wydał z siebie teatralny jęk, po czym wbił wzrok w tenisówki. Starał się przy tym zachować kamienny wyraz twarzy, by nie zdradzić targających nim emocji.

Prawdę mówiąc, bał się zostać z matką sam na sam. Po raz pierwszy w życiu widział na własne oczy, jak Carolina rozpada się psychicznie - i to go przeraziło. „Ona ześwirowała, wujku - tłumaczył Mattowi. - Kompletnie, całkowicie odleciała”.

W końcu jednak podniósł głowę i zapatrzył się w przestrzeń.

- Okay - powiedział. - Zostanę tutaj i zajmę się tymi wszystkimi duperelami, chociaż równie dobrze wujek Leland mógłby to zrobić, więc tak naprawdę nie rozumiem, czemu akurat padło na mnie.

- Ponieważ twoja matka potrzebuje właśnie ciebie - odparł Matt. - A to, czym masz się zajmować, to nie są żadne duperELE, Richie. Twoja mama nie chce, żeby ktoś obcy - nawet wujek Leland - wdzierał się teraz w jej prywatność. A wkrótce mnóstwo ludzi będzie próbowało to zrobić. Wiadomość już się rozchodzi, a sam dobrze wiesz, że Nowy Jork to w gruncie rzeczy małe miasto. Każda wieść rozprzestrzenia się lotem błyskawicy. Posłuchaj, Richie - ciągnął dalej - teraz ty jesteś głową rodziny, więc musisz tu zostać, by opiekować się

domem i mamą.

Jego słowa wywołały natychmiastowy, pożądany efekt. Matt co prawda obawiał się, że nakłada na nastoletniego chłopaka tak dużą odpowiedzialność, uznał jednak, iż sytuacja to usprawiedliwia.

Richie poderwał się z sofy i podszedł z powrotem do krzesła.

- Dobra - powiedział, siadając. - W takim razie zostanę.

- Jestem pewien, że będziesz miał mnóstwo pracy - uprzedził go wuj. - Coś mi podpowiada, że nieustannie będzie dzwonić telefon lub domofon.

W tym momencie, jakby na komendę, odezwał się sygnał telefonu i jednocześnie zabręczał domofon. Matt zerknął na Richiego.

- Zajmiesz się domofonem, a ja załatwię telefon, w porządku? Chłopak skinął głową i poderwał się z krzesła, a Matt tymczasem podniósł ze stołu słuchawkę.

- Halo?... Tak, Mercedes... Tak, to niestety prawda. - W tym momencie Carolina zaczęła wykonywać rozpaczliwe ruchy dłońmi, dając bratu do zrozumienia, że nie ma ochoty z nikim się kontaktować, więc Matt po chwili gładko zakończył rozmowę.

- Spokojnie, siostrzyczko, Mercedes nie przyjdzie. Prosiła natomiast, żeby cię ucałować i przekazać, że gdybyś czegokolwiek potrzebowała, możesz do niej dzwonić o każdej porze.

- To ładnie z jej strony - uznała Carolina - ale w tej chwili nie chcę z nikim rozmawiać.

Tymczasem z holu wyłonił się Richie z wielkim bukietem kwiatów w ramionach: ukochane przez Caroline bladuróżowe róże, co najmniej pięć tuzinów.

- O Boże - sapnęła w zdumieniu. - Kto przysłał te kwiaty? Richie położył bukiet na stoliku i wyjął spod celofanu liścik.

- Seth Foster - odrzekł, podając matce kopertę.

Carolina spojrzała na kartonik: „Najszczerze wyrazy współczucia. Gdybyś czegokolwiek potrzebowała, proszę, nie wahaj się ze mną skontaktować”. Do bilecika była dołączona wizytówka z odręcznie wypisanym domowym numerem telefonu.

- To przemiłe - zdecydowała. - Weź je i... Nie, sama się tym zajmę.

- Co chcesz zrobić, mamo?

- Włożyć te róże do wazonu - powiedziała, podrywając się z sofy.

- Zrobię to za ciebie - zaoferował się Richie.

- Nie. Nie, nie mogę tak siedzieć beczynnie.

Podniosła ze stolika bukiet i skierowała się do kuchni. Po kilku minutach wróciła

z wielkim, kryształowym wazonem pełnym pięknie ułożonych kwiatów.

- Muszę się przebrać w jakieś ludzkie ciuchy - zdecydowała. - Zaraz wracam.

Kiedy po jakimś czasie znowu pojawiła się w salonie, miała na sobie eleganckie spodnie i lnianą koszulę; nałożyła też świeży makijaż i wyszczotkowała włosy. Usiadła na sofie i wbiła wzrok w róże.

Są takie piękne, pomyślała.

Matt poczuł ulgę, gdy zobaczył, że siostra zainteresowała się własnym wyglądem. Był to nieomylny znak, że Carolina zaczyna panować nad sytuacją. Teraz trzeba jeszcze tylko zadbać, aby wciąż była czymś zajęta.

Richie ponownie wyłonił się z holu z naręczem kwiatów.

- A to jeszcze nie wszystko - oznajmił.

- Połóż je w kuchni, za chwilę się nimi zajmę - poleciła Carolina.

- Tutaj są bileciki, mamó. Carolina otworzyła koperty.

- Lydia Carstairs - oznajmiła, odkładając pierwszy kartonik. Spojrzała na drugi liścik i zwróciła zdumiony wzrok na Matta. - Mój Boże, to od Sybil Conroy!

- Thad musiał jej powiedzieć, co się stało.

- Ale który bukiet jest od kogo? - zainteresowała się Carolina.

- Róże od pani Carstairs, a orchidee od pani Conroy - wyjaśnił Richie.

- Żeby nam się nic nie pomyliło, wkładaj, synku, bileciki z powrotem do kwiatów, dobrze?

- Będzie prościej, jeśli zapiszę na kopertach, jakie to były kwiaty - uznał.

- Mądre dziecko - pochwaliła go matka. - Nie zasługuję na tak wspaniałego syna.

Chłopak przewrócił oczami, zniecierpliwiony.

- Żeby coś podobnego wymyślić, nie trzeba mieć inteligencji noblisty. - Odwrócił się i powędrował w stronę kuchni.

- Jesteś już gotowy do wyjazdu? - zwróciła się Carolina do brata. Skinął głową.

- Za kilka minut przyjedzie po mnie samochód.

- Jestem ci bardzo wdzięczna za to, co robisz, Matt. Zupełnie nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradziła.

- Nie ma o czym mówić.

- Czy twoja praca na tym nie ucierpi?

- Nie. - Potrząsnął zdecydowanie głową. - Thad wszystkiego dopilnuje. Ale gdybyś go potrzebowała, w każdej chwili tu przyjedzie.

W tym momencie w salonie ponownie zjawił się Richie.

- Wujku, samochód już po ciebie przyjechał.

Matt ucałował Caroline na pożegnanie i razem z siostrzeńcem poszedł w stronę windy.

Moi mężczyźni, pomyślała Carolina. Tacy kochani, tacy czuli. Obaj starają się zadbać o mnie najlepiej, jak potrafią. Do oczu znów napłynęły jej łzy. Rzecz w tym, że nie ma już tego najważniejszego - mężczyzny mojego życia.

## Rozdział 14

Urna z prochami Lyona była wykonana z szarego marmuru. Carolina ustawiła ją na środku klombu: miała nadzieję, że po pewnym czasie kamień nabierze patyny, pokryje się mchem i zetrze - w jej mniemaniu niestosowny - blask.

Jak w takiej chwili mogę myśleć o podobnych banałach, zganiła się w duchu.

Ale przecież Lyon świetnie by rozumiał, że podobne rzeczy przychodzą jej do głowy. Miał zmysł estetyczny bardzo zbliżony do gustu Caroliny. To była jedna z tych wielu rzeczy, które ich tak do siebie zbliżyły. Carolina, Richie, Matt, Thad i Leland stali obok pergoli prowadzącej do ogrodu. Za ich plecami zgromadzili się przyjaciele i znajomi w oczekiwaniu na ceremonię pożegnalną. Duchowny - pastor bliżej nieokreślonego kościoła - którego nikt z nich nie znał, po rozmowie z Mattem zgodził się odmówić modlitwy. Carolina miała przekazać datek na rzecz jego wspólnoty, a on odprawi krótką ceremonię.

Wielebny Biggs, stojąc przed zebranymi, zamknął mszał i poprosił, by wszyscy wspólnie zmówili Modlitwę Pańską. Carolina mechanicznie recytowała pacierz, zastanawiając się przy tym, czy te słowa jeszcze cokolwiek dla niej znaczą. Nie czuła się związana z żadną religią. Niekiedy jedynie przeżywała szczególne momenty w życiu, które - z braku lepszego określenia - nazywała duchowymi.

Po odmówieniu modlitwy wzięła syna za rękę i oboje ruszyli w stronę klombu. Carolina uniosła wieko urny. Richie sięgnął do wnętrza i wyjął garść pyłu. Z oczami pełnymi łez rozwarł dłoni i pozwolił, by wiatr rozwał prochy po ogrodzie, który Lyon tak bardzo lubił.

Carolina poszła w ślady syna. A potem przyglądała się w zamyśleniu, jak szczątki Lyona unoszą się w powietrzu, by za moment opaść na róże, tymianek, geranium oraz krzaczki rozmarynu.

Chłopak zaczął cicho szlochać. Carolina otoczyła syna ramionami i obejmowała mocno, póki nie przestał płakać.

W końcu odwrócili się w stronę przyjaciół i znajomych. Richie miał czerwone i podpuchnięte oczy, Carolina natomiast była smutna, lecz nie płakała. Przez cały czas czuła się dziwnie nieobecna duchem. Ten rytuał wydawał się jej nierealny. Jakby wszystko działo się w jakimś filmie, a nie w życiu, nie w rzeczywistości. Nie docierało do niej, że Lyona już nie ma. Że zmarł. Że już nigdy więcej go nie zobaczy. To jakiś okrutny, absurdalny żart, którego nie umiała pojąć.

Przeszli z Richiem pod obrośniętą różami pergolą i skierowali w stronę pozostałych

żałobników. Uścisnęli dłoń pastorowi, dziękując za ceremonię, po czym zaczęli krążyć wśród gości. Matt, a potem Thad - obaj z czerwonymi oczami - uściskali Caroline serdecznie i stanęli u jej boku. Spozrzęła, że Leland - który swoim podobieństwem do zmarłego brata wciąż jej przypominał o śmierci Lyona - zamienił tylko parę słów z kilkoma osobami i odjechał.

Paru mieszkańców pobliskiej wioski, którzy jeszcze znali rodziców Matta i Caroliny, szybko się pożegnało i opuściło dom. Nie byli ani rodziną, ani przyjaciółmi, ale przyszli z szacunku dla niej i zmarłego, i Carolina była im bardzo wdzięczna.

Chwilę później ze zdumieniem zobaczyła, że przy stoliku, na kamiennym tarasie oddalonym od miejsca, gdzie stała, siedzą: Lydia Carstairs, Sybil Conroy i Seth Foster.

Co się dzieje?, zdumiała się w myślach. Przecież nie znali Lyona - a i ją znali jedynie przelotnie. Czemu więc tu przyjechali? To półtorej godziny drogi z Nowego Jorku.

Jakby czytając w jej myślach, Matt nachylił się i wyszeptał:

- Sybil Conroy zadzwoniła do mnie i zapytała, czy mogłaby przyjść na ceremonię wraz ze swoimi gośćmi. Powiedziałem, że będzie mile widziana. Chyba nie masz mi tego za złe?

- Nie, oczywiście, że nie. Tyle tylko, że... że nie bardzo rozumiem. Sybil Conroy w życiu nie widziała mnie na oczy.

- Ale za to dobrze już poznała mnie - odrzekł Matt. - Chciała ci złożyć kondolencje i wreszcie cię poznać. Od jakiegoś czasu nieustannie zachwyca się twoją pracą. Ona naprawdę bardzo kocha kwiaty.

- Ach tak - rzuciła Carolina pełnym zwątpienia tonem.

- Lydia Carstairs i Seth Foster przyjechali do niej na weekend i również chcieli się tu zjawić.

- Całe szczęście, że mamy jakieś przyzwoite wino. - Carolina wykrzesła z siebie odrobinę humoru. - Zresztą tylko dzięki tobie, Matt. Ci ludzie zapewne nie piją niczego, co nie zostało wyprodukowane we Francji. Nigdy nie skalaliby ust skromnym produktem krajowym.

- Mogłabyś się bardzo zdziwić - odparł. - Jestem przekonany, że pomimo tych klejnotów i kosztownych ciuchów wielu z nich z wielką przyjemnością napiłoby się zimnego piwa.

Carolina uśmiechnęła się blado.

- Chcesz, żebyśmy podeszli do nich razem? - spytał Matt.

- Jasne. Choć już mam po dziurki w nosie kondolencji. Lyon nienawidził takich



przedstawię.

- To zajmie nam tylko chwilę.

Wziął siostrę pod rękę i ruszyli w stronę tarasu, gdzie trójka gości popijała wino i prowadziła cichą rozmowę. Kiedy zobaczyli zbliżających się Caroline i Matta, wszyscy troje natychmiast podnieśli się z krzeseł.

Lydia Carstairs wyciągnęła dłoń.

- Bardzo ci współczuję, Carolino. - Ustami musnęła jej policzek. - Nie mogliśmy nie przyjechać, kiedy zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy tak niedaleko. Oczywiście, nie znaliśmy twojego męża, ale chcemy, żebyś wiedziała, jak bardzo stałaś się dla nas ważna.

- Dziękuję, Lydio. Doceniam twój gest, zadałaś sobie tak wiele trudu. Kwiaty, które mi przysłałaś, są przepiękne.

- Nie ma o czym mówić - odpowiedziała Lydia. - Chciałabym, żebyś poznała moją przyjaciółkę, Sybil Conroy. Podobnie jak ty, jest zapaloną miłośniczką kwiatów. Twój brat natomiast dokonuje cudów w jej wiejskiej posiadłości.

- Witam - odezwała się Sybil, wyciągając smukłą rękę. - Przykro mi, że spotykamy się w tak smutnych okolicznościach, niemniej bardzo mi miło, że wreszcie udało nam się poznać. Podziwiam twoją pracę i to, co robi twój brat. Jesteście doprawdy niezwykle uzdolnioną rodziną.

- Dziękuję - odrzekła Carolina. - Bardzo miło mi słyszeć te słowa.

Ze zdumieniem zauważyła, że Sybil Conroy wygląda w rzeczywistości jeszcze młodziej i piękniej niż na zdjęciach. Ta trzydziestopięciolatka miała pozazdrosczenia godną, aksamitną cerę, kruczoczarne włosy sięgające ramion, pięknie wymodelowane brwi i lekko zadarty nos. Wysoko sklepione kości policzkowe nadawały jej twarzy piękny kształt. Sybil była żoną jednego z najbogatszych ludzi w kraju i po rozwodzie otrzymała kilkaset milionów dolarów na otarcie łez. Do tego wszystkiego wydawała się wyjątkowo miłą kobietą. Seth wyciągnął dłoń w stronę Caroliny.

- Bardzo ci współczuję. Tylko czas leczy rany. To banalne stwierdzenie, ale prawdziwe, uwierz mi.

Mój Boże, pomyślał. Nawet pogrążona w żałobie, Carolina wyglądała przepięknie. I jest tak cudownie opanowana.

- Dziękuję, Seth.

- Carolino - wtrąciła Sybil - jestem zachwycona twoją chatą i ogrodem. To wprost baśniowy widok.

- Dziękuję. To był letni domek moich rodziców. Pracowali na jego wygląd przez lata,

ja na razie wniosłam niewiele od siebie, ale wkrótce zamierzam to zmienić.

- Dla mnie już wygląda perfekcyjnie - oznajmiła Sybil. - Chętnie przeniosłabym cały twój ogród do siebie.

- Jeszcze parę lat, rośliny podrosną i twoje klomby będą zachwycające, Sybil - zapewnił ją Matt.

- Mam nadzieję - odrzekła, spoglądając na niego z uśmiechem. - Teraz już rozumiem, skąd czerpałeś natchnienie do swojej pracy. Jakże żałuję, że nie wychowywałam się w równie pięknym miejscu. Moi rodzice byli strasznie biedni, mieszkaliśmy w tak ohydnej okolicy, że rosły tam jedynie chwasty i żałosne kępki spalonej słońcem trawy.

Wszyscy się uśmiechnęli.

- Z pewnością mój brat sprawi, że twoja trawa będzie zawsze bujna i soczysta - rzuciła Carolina, rozglądając się wśród gości w poszukiwaniu Richiego. Nigdzie jednak go nie zauważyła. - Przepraszam was, muszę poszukać syna. Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy przed waszym odjazdem.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała Lydia. - Nie wyjedziemy bez pożegnania.

Carolina ruszyła w stronę domu, a za nią pospieszył Matt.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak, wszystko w porządku - odrzekła, nie zwalniając kroku. - Po prostu chcę znaleźć Richiego. - Odwróciła się przez ramię i raz jeszcze zerknęła w stronę stołu, przy którym siedział Seth. - Och, jest i Mercedes. Nie sądziłam, że się pojawi. Jak to ładnie z jej strony. - Przeniosła wzrok na Matta. - Ciekawe, z kim przyjechała. Wiesz coś o tym?

- Sądzę, że z Roxie i Lelandem. Interesująca kombinacja, nie sądzisz? - spytał z uśmiechem.

- Rzeczywiście. Cóż, muszę poszukać Richiego.

- Mam iść z tobą?

- Nie. Chcę pobyć z nim sam na sam.

Ruszyła w stronę domu, odpowiadając skinieniem głowy na słowa otuchy i ściskając wyciągnięte dłonie. W końcu dotarła do holu, przeszła przez salon, zajrzała do sypialni i łazienki, zawróciła do jadalni, a wreszcie wsunęła głowę do kuchni. Nigdzie ani śladu Richiego, za to przy kuchennym stole siedziała Roxie, pogrążona w rozmowie z Thadem.

- Widzieliście Richiego?

- Nie - odrzekła dziewczyna.

- Na pewno jest gdzieś na zewnątrz - przypuszczał Thad.

- Carolino, czy wszystko...

- Jasne. - Carolina zmusiła się do uśmiechu. - Wszystko w jak najlepszym porządku.

Tak naprawdę chciało jej się krzyknąć. Jeśli usłyszę choćby jeszcze jedno pytanie podszyte troskliwym współczuciem, to eksploduję, stwierdziła w duchu.

Kiedy znów znalazła się w jadalni, zdała sobie sprawę, że zamknięte są drzwi, prowadzące do schodów na pięterko, gdzie znajdował się pokój Richiego. Uchyliła je i zawołała syna. Odpowiedziała jej cisza, mimo to Carolina zaczęła wchodzić po stromych stopniach.

Pokój syna był zamknięty. Carolina przystanąła na chwilę, by zaczerpnąć tchu, po czym zapukała do drzwi.

- Richie? Jesteś tam?

Nikt się nie odezwał, ale zdawało jej się, że z pokoju dobiega jakiś szmer.

- Richie? Żadnego odzewu.

Chwyliła za klamkę. Zamek nie był przekreślony. Uchyliła drzwi i zajrzała do środka.

Jej syn, wciąż w garniturze i krawacie, leżał na łóżku z twarzą wciśniętą w materac, zaciskając poduszkę na głowie, by zagłuszyć szloch, wstrząsający jego ciałem.

Carolina cicho zamknęła za sobą drzwi i podeszła do chłopca. Usiadła i pogładziła go po plecach, a potem objęła mocno i przyciągnęła do siebie.

- Och, Richie, Richie. - Teraz i ona już płakała. - Mój kochany synku, tak bardzo chciałabym cię pocieszyć. Wiem, że nie zastąpię ci taty. Nikt ci go nie zastąpi. Nigdy. Ale wiedz, że cię bardzo kocham.

Richie, nie patrząc matce w oczy, przytulił się do niej z całej siły i zaczął szlochać jeszcze głośniejsze.

- Jakoś przez to przejdziemy, synku - powiedziała przez Izy Carolina. - Damy radę, kochanie. Musimy tylko sobie nawzajem pomagać. - Zaczęła delikatnie kołysać go w ramionach. - Wkrótce poczujesz się trochę lepiej. Z czasem ból będzie mniejszy. Zobaczysz.

Choć bardzo chciała uwierzyć we własne słowa, była przekonana, że jej ból nigdy nie zelżeje, że już nie zazna w życiu żadnej radości.

Och, Lyon, jęknęła w duchu. Gdziekolwiek jesteś, otocz opieką swojego syna i przynieś mu ukojenie.

## Rozdział 15

Payton, skarbie! - Bardzo chuda, mocno umalowana kobieta, obwieszona złotą biżuterią, cmoknęła powietrze nad policzkiem panny Fitzsimmons.

- Jak miło cię znów widzieć, Yvette - powiedziała Payton. - Oczywiście, pamiętasz Champersa, prawda?

Wilson Davenport Champers Whitby III był nieszkodliwym, dalekim kuzynem Payton, którego - z braku lepszego towarzystwa - zabierała niekiedy ze sobą na imprezy.

Yvette Kasnov, szara eminencja w świecie sztuki, wyciągnęła przed siebie kośćcistą dłoń.

- Jak się masz, Champers?

- Świetnie. A ty?

- Gdzie Sasha? - zainteresowała się tymczasem Payton. Nie mogła się już doczekać spotkania z pełnym temperamentu, młodym malarzem, którego ubiegłego lata poznała na południu Francji. Był w owej chwili najmłodniejszym artystą w Nowym Jorku i jednym z najbardziej pożądanych mężczyzn.

- Nie sposób go nie dostrzec - odrzekła Yvette. - Jest w sąsiedniej sali, pławi się w glorii własnej sławy. Kierujcie się błyskami fleszy.

- Pójdziemy się przywitać - pożegnała ją Payton. - Do zobaczenia. Wraz z Champerssem ruszyła przed siebie.

- Och, Payton! - krzyknęła za nią Yvette. Młoda kobieta odwróciła się gwałtownie.

- Słucham?

- Kochanie, te kwiaty, które przysłałaś... Musisz je koniecznie zobaczyć.

- Dlaczego? Czy coś nie w porządku?

- Wywołały ogólną konsternację - poinformowała ją Yvette scenicznym szeptem. - Każdy miał coś do powiedzenia na ich temat. Nawet Sasha. - Wybuchnęła chrapliwym śmiechem nałogowej palaczki.

- Nic z tego nie rozumiem - odrzekła Payton. - Zamówiłam kompozycję u tej florystki, która ostatnio stała się taka modna. U Caroliny. Miała ułożyć coś odpowiedniego na dzisiejszą okazję.

- No cóż, sama zobacz, co z tego wyniknęło. - Yvette znacząco wskazała ręką.

- Oczywiście. Zaraz to sprawdzę - zapewniła ją Payton. - Co prawda słyszałam, że tej kwiatiarce zmarł ostatnio mąż i w związku z tym nie jest ona w najlepszej formie. Ale skoro

uważa się za profesjonalistkę, sprawy osobiste nie powinny mieć żadnego wpływu na jej pracę.

Wraz z Champensem zaczęli się przebijać przez elegancki tłum, zgromadzony w przestronnej galerii Matthew Marksa. Byli tu reprezentowani wszyscy mieszkańcy Manhattanu - od miliarderów, mogących sobie pozwolić na każde dzieło, po ledwo wiążących koniec z końcem przedstawicieli artystycznej bohemy. Łączyły ich wszystkich tylko dwie rzeczy - zamiłowanie do współczesnej sztuki i czarnych ubrań.

Payton wprawnym okiem otaksowała otaczające ją kobiety. Przeważały kreacje Commes de Garcons, Prądy, Gucciego, Issey Miyake i paru innych awangardowych projektantów, natomiast nie widać było propozycji Oscara de la Renty czy Valentino - tak popularnych na charytatywnych galach. Po krótkiej inspekcji Payton pogratulowała sobie w duchu wyboru stroju: miała na sobie prowokacyjną, metaliczną suknię od Gucciego, półprzezroczystą, ledwo przysłaniającą jej wdzięki. Do tego włożyła niebotycznie wysokie szpilki, a pod pachę wsunęła kopertę od Fendięgo.

W następnej sali dojrzała Sashę prezentującego dumnie jedno ze swoich malowideł. Jego długie, ciemne włosy opadały poniżej ramion. Miał na sobie czarny t-shirt, czarną sportową marynarkę i - pomimo upału - czarne, obcisłe, skórzane spodnie. Dla Payton był ucieleśnieniem męskości i seksu.

Ciągnąc za sobą Champersa, podeszła zdecydowanym krokiem do malarza. Sasha spojrzał w jej stronę i promienny uśmiech na jego twarzy ustąpił miejsca gniewnemu zmarszczeniu czoła.

- Czyżbyś sądziła, że to przyjęcie na cześć rodziny Addamsów? - spytał donośnym głosem o silnym obcym akcencie. - A może uznałaś, że to świetny dowcip?

Wszystkie głowy zwróciły się w ich stronę, rozmowy ucichły gwałtownie, tak że słychać było tylko trzask migawek i fleszy.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi, Sasha - odpowiedziała Payton niewinnym tonem, próbując pocałować malarza w policzek.

Odepchnął ją i skierował się w kąt sali, gdzie ustawiono kwiaty.

- Tylko spójrz na to! - wrzasnął, podchodząc do bukietów. - Tylko spójrz! Czy coś podobnego przysłała się z okazji wielkiej wystawy?

Wraz z grupą gości spojrzała w tamtym kierunku. Na stojaku zobaczyła wielki krzyż ułożony z białych kalii i czerwonych róż.

- O, Boże! Sasha! - jęknęła głucho. - Nigdy w życiu nie przyszłoby mi do głowy, żeby przysłać ci coś podobnego. Zamówiłam kwiaty u Caroliny Mountcastle! - wykrzyknęła, by na

pewno wszyscy usłyszeli. - Skąd mogłam wiedzieć, że wykaże się takim brakiem profesjonalizmu!

Ledwo skończyła swoją przemowę, artysta ruszył w stronę kwiatowego krzyża, zerwał go ze stojaka i z całej siły rzucił na podłogę. Rozległy się krzyki i piski kobiet. Gwałtownie błyskały flesze, aby zarejestrować ów moment dla potomności.

Payton zakryła dłońmi twarz, demonstrując pozę pełną zdumienia i wściekłości. Szybko otarła łzy, które napłynęły jej do oczu. Chwyciła Champersa za rękaw i pociągnęła w stronę drzwi.

- Musimy natychmiast stąd wyjść - wyszłochała. - Jak najszybciej.

Wywlokła nieszczęsnego kuzyna na ulicę i popchnęła w stronę Dziewiątej Alei. Gdy tylko znaleźli się za najbliższym rogiem, wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

- O co chodzi? - zdziwił się Champers. - Co, do cholery, tak cię rozbawiło?

- Och, nieważne, i tak byś nie zrozumiał - odparła. - Chodźmy lepiej w jakieś miłe miejsce na drinka.

Mercedes parsknęła śmiechem, rozchlapując wino po prześcieradłach.

- Wiem, że nie powinno mnie to aż tak bawić, ale po prostu nie mogę się powstrzymać. - Zachichotała.

Leland, właśnie wciągający dzinsy, spojrzał na nią spod oka. Rozłożona na barwnej, drukowanej w indyjskie wzory pościeli, pięknie harmonizującej z całym wystrojem sypialni, Mercedes wyglądała jak podstępna, zła księżniczka.

- Przyznaję, zdjęcie w „Post” było przezabawne - stwierdził Leland. - Payton wyglądała, jakby właśnie ujrzała dwugłowego psa. Caroline musiało to dobić.

- No jasne - przytaknęła Mercedes. - Co prawda jakoś funkcjonuje, ale jakby leciała na automatycznym pilocie: od razu widać, że jest w fatalnej formie. Dziś niemal wpadła w histerię.

- Pomyśleć, że jeszcze niedawno taka historia by ją jedynie rozbawiła - rzucił Leland.

- Teraz sprawy mają się inaczej. Oczywiście, w pierwszej chwili rzuciła się na Antonia, ale bez trudu ją przekonał, że doszło do nieporozumienia. Owszem, zdziwiło go zamówienie krzyża z kwiatów na wernisaż, doszedł jednak do wniosku, że tak właśnie miało być, bo - tylko posłuchaj! - wszyscy artyści są walnięci.

- Modna florystka wysłała wiązanek pogrzebową na otwarcie wielkiej wystawy! - Leland zaśmiał się sardonicznie. - Nigdy nie zapomnę tego nagłówka w kronice towarzyskiej. Poużywali sobie do woli na naszej biednej Carolinie. - Przysiadł na łóżku, by włożyć skarpetki - Choć w gruncie rzeczy, ona wcale nie będzie biedna. Tego jednego możemy być

pewni. - Zamilkł nagle, a Mercedes uniosła się na łokciu.

- Czemu tak straciłeś humor? - spytała.

- Bo ja wiem... Przez chwilę pomyślałem o Lyonie.

- Chyba nie chcesz mi wmówić, że za nim tęsknisz? Przecież właściwie się nie widywaliście.

- Jezu, Mercedes, w końcu to był mój brat. - Leland rzucił dziewczynie gniewne spojrzenie. - Nie spotykaliśmy się zbyt często, ale mi go brakuje. Ilekroć byłem w potrzebie, mogłem na niego liczyć. - Wsunął stopy w adidasy. - A teraz co? Reguły gry uległy zmianie. Carolina to nie Lyon.

- Może zostawił ci jakąś gotówkę w spadku - zadumała się Mercedes, pociągając z wolna kolejny łyk wina.

- To się okaże jutro, podczas odczytania testamentu. Ale coś mi się wydaje, że nie powinienem liczyć na zbyt wiele - mruknął.

Mercedes przez chwilę bacznie mu się przyglądała. Jeszcze nigdy nie widziała kochanka tak zmartwionego. Miała też wrażenie, że w jego głosie pobrzmiwał strach.

- Wpakowałeś się w tarapaty, co? - spytała w końcu.

- Uhm. Można tak powiedzieć.

- O co chodzi, Leland? O pieniądze?

- No właśnie.

- Hazard?

W milczeniu skinął głową.

- Chciałabym jakoś ułatwić ci życie. Podniósł się i przeciągnął leniwie.

- Jeśli masz na zbyciu drobne sto tysięcy, to rzeczywiście możesz mi pomóc.

- Przykro mi, skarbie - wzruszyła ramionami - ale też jestem zupełnie spłukana.

Leland spojrzał na nią z niekłamanym zdumieniem.

- Ty?! Spłukana?!

Z uśmiechem pokiwała głową:

- Doszczętnie.

- Ależ... jak to możliwe? Przecież pochodzisz ze starej, nieprzytomnie bogatej rodziny.

W każdym liczącym się magazynie wciąż piszą coś na twój temat.

- Co oznacza tylko tyle, że jestem znana. Nie zmienia to jednak faktu, kochanie, że nie mam grosza przy duszy.

- Jezu, Mercedes, wprost nie mogę w to uwierzyć! - Wpatrywał się w nią w oszołomieniu.

- Może więc powinniśmy wspólnie ułożyć jakiś plan - powiedziała. - Niewykluczone, że uda się nam wymyślić coś, co przyniesie znaczne korzyści. - Spojrzała na niego przebiegle.

- A mianowicie?

- Jeszcze nie wiem - odrzekła. - Ale jak się spokojnie zastanowimy, to może dojdziemy do konstruktywnych wniosków.

Leland z powrotem opadł na łóżko.

- Cały zamieniam się w słuch - oznajmił.

- A więc mówisz, że jutro ma nastąpić odczytanie testamentu? - zadumała się Mercedes.

- Nie mam pojęcia, jak mogło dojść do podobnej pomyłki - powiedziała Carolina do słuchawki. - Ale uwierz mi, nigdy więcej nic takiego się nie powtórzy.

Kiedy zadzwonił telefon, już leżała w łóżku, łudząc się nadzieją, że tej nocy wreszcie zdoła zasnąć.

- Parokrotnie próbowałam dzisiaj cię złapać, Payton, by załatwić tę nieprzyjemną sprawę, ale nie mogłam cię zastać - tłumaczyła się dalej. - Naprawdę jestem zdruzgotana tym, co zaszło.

- Musisz wiedzieć, że ta kompromitacja zniszczyła moje dobre stosunki z Sashą - jęknęła Payton dramatycznym tonem. - A należał do moich najbliższych przyjaciół. Jest wyjątkowo wrażliwy, na dodatek to był dla niego bardzo szczególny wieczór. I na domiar złego media nagłośniły ten cały incydent! - Westchnęła teatralnie. - Jeszcze nigdy w życiu nie byłam tak zażenowana. Pomyśl o mojej rodzinie. O moich znajomych. Jak mogłaś dopuścić, by spotkało mnie coś podobnego?

- Obiecałam ci już, że szczegółowo zbadam tę sprawę. - Caroline ogarnęła desperacją. Doszła do wniosku, że jeszcze chwila, a załamie się i wybuchnie płaczem.

- A więc mówisz, że to wynik pomyłki twojego posłańca? - dopytywała się Payton. - Tego ciemnowłosego... latynoskiego typu? - Przesunęła dłonią po nagim udzie Antonia i posłała mu oszałamiający uśmiech. W odpowiedzi pogładził jej pierś, wprawiając kochankę w rozkoszne drżenie.

- Mogę tylko z całą pewnością oświadczyć, że wychodził ze sklepu z dwoma bukietami - odparła Carolina stanowczym głosem. - Krzyż miał trafić do domu pogrzebowego, a twoja wiązanka do galerii. Jakimś cudem jednak bileciki znalazły się na niewłaściwych miejscach.

- Cóż, bez względu na przyczynę, rozumiesz chyba, że nie mogę się zgodzić, żebyś zajęła się kwiatami na moje przyjęcie w klubie - powiedziała Payton.



- Oczywiście. I jeszcze raz przepraszam za to, co się stało.

- Przepraszam to dla mnie za mało, Carolino - odrzekła Payton, pieszcząc Antonia. - Zniszczyłaś bardzo cenną dla mnie przyjaźń i zrobiłaś ze mnie pośmiewisko całego Nowego Jorku. Nigdy ci tego nie wybaczę. - Trzasnęła słuchawką tak głośno o widełki, że Carolina aż odskoczyła od telefonu O mój Boże, pomyślała, wbijając wzrok w sufit. I co ja teraz zrobię?

Zdawała sobie sprawę, że podobne wpadki mogą ją całkowicie zrujnować. A już na pewno nikt nie powierzy jej oprawy florystycznej wielkiej imprezy, jeśli jeszcze raz dojdzie do podobnej pomyłki. Carolina wciąż nie mogła uwierzyć, że Antonio okazał się aż tak głupi.

Niechętnie zgasiła lampę stojącą przy łóżku.

Nie mogło się to wydarzyć w gorszym momencie, pomyślała z przygnębieniem.

## Rozdział 16

Pokój jest wyjątkowo mały, wręcz klaustrofobiczny, jak na tak wielką firmę prawniczą, uznała Carolina, siadając na skórzanym krześle wskazanym przez Bernarda Goldsmitha. Richie zajął miejsce na prawo, Matt zaś po lewej stronie. Tuż obok Matta usiadł Leland i od razu zaczął się nerwowo kręcić.

Wygląda, jakby miał kaca, stwierdziła Carolina w duchu. Poza tym szwagier był niezwykle małomówny i sztywny tego ranka, co Carolina złożyła na karb żaloby.

Bernard Goldsmith podniósł tymczasem słuchawkę wewnętrznego telefonu i, odwracając się do nich plecami, zaczął coś komuś wyjaśniać szeptem.

Z dołu, ze skrzyżowania Piątej Alei i Czterdziestej Szóstej dochodził zgiełk ruchu ulicznego przemieszany z wszechobecnym w Nowym Jorku wyciem syren policyjnych. Jednak dziś, o dziwo, ta kakofonia przynosiła Carolinie pewne ukojenie - przypominała, że życie toczy się nadal, i wystarczy tylko opuścić ten pokój, by znowu to poczuć.

Kilka dni wcześniej Bernard poinformował ją, że wysłał oficjalny list do Richiego, wzywający go do przyścia na odczytanie testamentu, ponieważ Lyon ustanowił syna jednym ze swoich spadkobierców. Carolina próbowała dyskutować z adwokatem i tłumaczyła, że wolałaby oszczędzić chłopcu takiego przeżycia, Bernard jednak nie dał się przekonać, utrzymując, że Lyon życzyłby sobie obecności syna. W końcu więc dała za wygraną.

Teraz objęła go i mocno przytuliła. Richie próbował się uśmiechnąć, wypadło to jednak żałośnie blado.

Tymczasem Matt chwycił siostrę za rękę uspokajającym gestem. Poprzedniego dnia zadzwonił do Caroliny zdumiony, że został wezwany do kancelarii, ponieważ w żadnym razie nie spodziewał się żadnego spadku po Lyonie. Doszedł jednak szybko do wniosku, że szwagier postanowił mu zostawić coś na pamiątkę - na przykład spinki do mankietów lub zegarek.

Bernard odchrząknął głośno i cała siedząca przed nim czwórka wbiła wzrok w nieco zagracone, mahoniowe biurko. Adwokat od lat zajmował się prawnymi sprawami Caroliny i Lyona, ale ona właściwie nie знаła go bliżej. Ich stosunki były życzliwe, lecz czysto zawodowe. Carolina natomiast bardzo by chciała, żeby testament Lyona odczytał ktoś bliski - na przykład Matt - a nie obcy człowiek. Miała wrażenie, że jest to w jakimś stopniu pogwałceniem jej prywatności.

- Zacniemy za parę minut - oznajmił Bernard. - Musimy jeszcze poczekać na dwie

osoby, które już tutaj jadą.

Jeszcze dwie, zdumiała się Carolina. Któż to może być?

Wówczas przypomniała sobie jak przez mgłę, że prawnik przez telefon rzeczywiście wspominał coś o sześciu osobach. Była jednak tak pochłonięta sprawą obecności Richiego, że zupełnie zapomniała spytać, kto jeszcze ma się zjawić. Już miała zapytać o to Goldsmitha, gdy w tym samym momencie otworzyły się drzwi.

Do pokoju weszła wysoka, szczupła, młoda kobieta, wyjątkowo piękna - blondynka z wielkimi niebieskimi oczami i świeżymi ustami. Miała na sobie elegancki, czarny spodniom, ostro kontrastujący z jej długimi jasnymi włosami. Nieznajoma prowadziła za rączkę małą dziewczynkę o brązowych lokach - mniej więcej trzyletnią, ściskającą w dłoni lalkę.

- A któż to jest, do licha? - szepnęła Carolina do Matta.

- Nie mam pojęcia, siostrzyczko.

Młoda kobieta usiadła nieco z tyłu, po czym posadziła dziecko na kolanach.

- Jestem pewna, że zaszło jakieś nieporozumienie - mruknęła Carolina. - Ta dziewczyna zapewne pomyliła pokoje.

Matt spojrzał na siostrę zatroskanym wzrokiem.

- Bernard przecież powiedział, że będą jeszcze dwie osoby.

- Tak, ale ja ich nigdy w życiu nie widziałam na oczy! - odparła Carolina.

Matt wzruszył ramionami.

- Zapewne wszystko zaraz się wyjaśni - stwierdził uspokajającym tonem.

Tymczasem Richie odwrócił się do tyłu i z żywym zainteresowaniem patrzył na kobietę z dzieckiem. Carolina pochyliła się w stronę syna.

- Zapewne ta pani pomyliła sale. Nie zwracaj na nią uwagi. Bernard zaraz to załatwi.

- Skoro już wszyscy jesteśmy - zaczął prawnik chrapliwym barytonem - przejdę od razu do rzeczy. - Powiódł po zebranych wzrokiem znad szylkretowych okularów.

A więc nie zaszła pomyłka, pomyślała zdumiona Carolina. Ta kobieta, której nigdy dotąd nie widziała, miała naprawdę wysłuchać ostatniej woli jej męża.

Otworzyła usta, by przerwać adwokatowi, jednak w tym momencie Matt chwycił ją za rękę, jakby chciał powiedzieć: „Spokojnie wysłuchajmy, co Bernard ma nam do powiedzenia”.

Goldsmith wyciągnął z teczki dokument w niebieskich okładkach.

- Teraz odczytam testament w pełnym brzmieniu - oznajmił. - Proszę, by mi nie przeszkadzać. To bardzo krótki i rzeczowy dokument, więc z pewnością nie nadużyję niczyjej

cierpliwości.

Odchrząknął, po czym zaczął czytać wstępne, wymagane przez prawo formuły. W końcu ponownie powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

- A teraz odczytam szczegółowe postanowienia ostatniej woli Lyona - oświadczył.

- „Mojemu szwagrowi, Mattowi Rossowi Banfordowi, w podziękowaniu za przyjaźń i nieustające wsparcie okazywane mi od pierwszych dni małżeństwa z jego siostrą, zapisuję sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów, które może spożytkować wedle własnej woli”.

Matt siedział jak skamieniały; Carolina poklepała go ciepło po ramieniu.

- „Mojemu młodszemu bratu, Lelandowi Montgomery’emu Mountcastle, za to że był mi bratem, pozostawiam sumę pięćdziesięciu tysięcy dolarów w nadziei, że pozwoli mu ona spłacić długi, które zaciągnie do chwili mojej śmierci”.

Leland również siedział nieruchomo, lecz w odróżnieniu od Matta zacisnął mocno szczęki i zwinął dłonie w pięści.

Czyżby ogarnął go gniew, zdumiała się Carolina, czy po prostu zjadają go nerwy?

- „Mojemu ukochanemu synowi, Richardowi Banfordowi Mountcastle, zapisuję pół miliona dolarów w formie trustu, nad którym pieczę sprawować będzie jego matka, Carolina Banford Mountcastle, do chwili uzyskania przez mego syna wieku dwudziestu jeden lat. Wyrażam przy tym szczerą nadzieję, że mój syn roztropnie spożytkuje te pieniądze i nigdy nie zapomni o bezwarunkowej miłości, jaką darzył go ojciec”.

Richie poruszył się niespokojnie na krześle, ale jego twarz pozostała kamienną maską, więc Carolina nie mogła odgadnąć, co w tej chwili dzieje się w jego umyśle.

- „Mojej ukochanej żonie, Carolinie Banford Mountcastle, pozostawiam cały mój majątek trwały oraz zasoby pieniężne znajdujące się na terenie USA, a w tym: apartament w Nowym Jorku, zawartość depozytów bankowych złożonych w Citibanku, a także walory zgromadzone na moim osobistym koncie oraz na naszych wspólnych rachunkach łącznie z obligacjami i akcjami. Poza tym wyznaczam ją jedyną beneficjentką polisy ubezpieczeniowej na życie, której obecna wartość opiewa na ponad dwa miliony dolarów”.

Carolina poczuła, jak po policzkach płyną jej łzy. Czowała się tak, jakby Lyon był obok niej, wciąż otaczając ją opieką i miłością.

Bernard Goldsmith ponownie odchrząknął, tym razem jeszcze głośniej.

- „Mojej ukochanej przyjaciółce, Monique Lehnert, pozostawiam dom, w którym wspólnie zamieszkiwaliśmy w Holandii, w Amsterdamie, przy ulicy Buiksloterweg, a którego akt własności opiewa na moje nazwisko, a nadto... „.

Carolina zachłysnęła się, po czym wykrzyknęła głośno:

- Co to znaczy?! O co tu chodzi, Bernardzie?

Spojrzała na Matta zdumionym wzrokiem, ale odpowiedział jej równie zdziwionym spojrzeniem. Potem oboje, jakby na komendę, odwrócili się w stronę pięknej blondynki i dziecka.

- Kim... jest ta... Monique... jak jej tam? - wykrztusiła w końcu Carolina.

- Proszę - odezwał się Bernard pojednawczym tonem - najpierw odczytajmy testament do końca, a potem z przyjemnością odpowiem na wszystkie pytania.

Z twarzy Richiego opadła maska obojętności, a jej miejsce zajęła niekłamana ciekawość. Zaczął pilnie wsłuchiwać się w słowa prawnika, raz po raz odwracając się w stronę kobiety i dziecka.

- „... a nadto wszystkie moje zasoby znajdujące się w Amsterdamie, w Holandii, włączając w to samochód smart, a także depozyty w formie pieniężnej oraz akcji i obligacji złożone w NetherlandBank oraz inne zasoby znajdujące się w Europie, którymi zarządza Artur van Brakel, urzędujący przy Huidenstraat w Amsterdamie. Pozostaje ona również jedyną beneficjentką mojej europejskiej polisy ubezpieczeniowej na życie, opiewającej obecnie na sumę miliona dolarów”.

Przez chwilę Carolina miała wrażenie, że zaraz zemdleje - chwyciła z całej siły Matta za rękę, jakby od tego zależało jej życie. W umyśle kłębiły jej się tysiące pytań, ale nie mogła żadnego z nich sformułować logicznie, targana na zmianę gniewem, odrazą i ciekawością.

- Co, do diabła, to wszystko znaczy, Bernardzie?! - wykrzyknęła w końcu ze złością. - O czym ty właściwie mówisz? I o kim? Chciałabym wiedzieć!

Spojrzała ostro na kobietę z dzieckiem, a tamta odpowiedziała jej tym samym.

- Proszę, Carolino - odezwał się spokojnym głosem Bernard - pozwól mi skończyć, a potem odpowiem na każde twoje pytanie.

- Ależ...

- Proszę! - powtórzył prawnik z naciskiem, spoglądając na nią znad wąskich oprawek.

Matt ponownie ścisnął jej dłoń.

- Cierpliwości, siostrzyczko - wyszeptał.

- „Natomiast mojej ukochanej córce, którą mam z Monique Lehnert, Anji Marii Lehnert...”

Carolina zagryzła usta, by stłumić krzyk.

Córce? Jak ten człowiek śmie wygadywać podobne kłamstwa!

- „... zapisuję pół miliona dolarów w formie trustu, nad którym pieczę sprawować będzie jej matka, aż do osiągnięcia przez moją córkę wieku dwudziestu jeden lat. Tak jak

w przypadku mojego syna, wyrażam szczerą nadzieję, że roztropnie spożytkuje ona te pieniądze i nigdy nie zapomni o bezwarunkowej miłości, jaką darzył ją ojciec”.

Bernard Goldsmith odłożył dokument i raz jeszcze obrzucił zebranych spojrzeniem.

- Czy są jakieś pytania? - zapytał cichym głosem. Zapadła absolutna cisza, ale tylko na moment.

- O co tu, do cholery, chodzi, Bernardzie?! - wykrzyknęła Carolina, wyciągając w stronę adwokata drżącą dłoń. - I co tutaj robi ta kobieta?!

Odwróciła się i ponownie wbiła gniewny wzrok w wysoką blondynkę.

Bernard odpowiedział jej z całkowitym spokojem.

- Carolino, to jest właśnie pani Monique Lehnert. Była przyjaciółką Lyona w Amsterdamie. A to ich córka, Anja.

- Nie wierzę ci! - wrzasnęła Carolina, choć jednocześnie zrozumiała, że prawnik mówi prawdę. Odwróciła się gwałtownie w stronę nieznaną jej.

- Wynoś się! - krzyknęła z furją. - Wynoś się stąd natychmiast! Matt chwycił siostrę za rękę.

- Uspokój się, Carolino.

Wyrwała dłoń, całkowicie go ignorując i nie spuszczać oczu z Holenderki. Dziewczyna stała nieruchoma i milcząca, po jej policzkach płynęły łzy.

W tym momencie Leland gwałtownie poderwał się z krzesła.

- Wybaczcie - powiedział cicho, nieco wyniosłym tonem, jakby był ponad to, co rozgrywało się w gabinecie. - Mam ważne spotkanie. - I nie czekając na reakcję adwokata, pospieszył do drzwi.

Carolina, nie zwracając najmniejszej uwagi na szwagra, znów zwróciła się do Bernarda.

- Zamierzam zaskarżyć ten testament! - wykrzyknęła zapalczywie. - Ta kobieta nie dostanie ani centa! Ani centa!

Monique odgarnęła włosy z twarzy, po czym szybko otarła łzy długimi, szczupłymi palcami. Nigdy tak naprawdę nie myślała o tym, co mogłoby się wydarzyć po śmierci Lyona, jednak odczytanie jego testamentu przypomniało jej, jak kochającym i zapobiegliwym był człowiekiem, i jak bardzo będzie go jej brakować.

- Powiedziałam, że masz się wynosić! - wrzasnęła ponownie Carolina, skupiając całą swoją uwagę na nieznaną jej.

Monique spojrzała na nią z przestraszeniem, który jednak natychmiast ustąpił miejsca buntowi.

- On mnie też kochał! - rzuciła zapalczywie. - I uwielbiał naszą córkę. Jestem przekonana, że kochał nas równie mocno, jak ciebie i waszego syna. Gdyby świata poza tobą nie widział, między nami nigdy do niczego by nie doszło, czyż nie? Gdyby o nas nie dbał, czemu cokolwiek nam by zapisywał?

Caroline ogarnęła istna furia.

- Będę z tobą walczyć aż do śmierci! - zawołała z pasją. Monique uniosła dumnie głowę.

- Nie należę do zachłannych, pani Mountcastle - powiedziała już spokojnym, lecz stanowczym tonem - ale muszę zadbać o siebie i dziecko. Lyon obiecał, że zabezpieczy naszą przyszłość i że nigdy nie będę musiała się martwić o pieniądze, nawet gdyby w końcu się z panią nie rozwiódł. Chcę dostać tylko to, co mi się prawnie należy, nie zamierzam więc ustępować.

Carolina miała wrażenie, że zaraz eksploduje. Najchętniej rzuciłaby się na tę kobietę i powoli rozrywała ją na strzępy - tu i teraz. Nagle zdała sobie sprawę z tego, że nie chce już nigdy słyszeć jej głosu. Nie chce więcej oglądać na oczy tego małego bękarta. Poderwała się więc na równe nogi i chwyciła Richiego za rękę.

- Wychodzimy stąd! - rozkazała zduszonym głosem. - Nie zamierzam przebywać dłużej w jednym pokoju z tą... z tą...

Bernard Goldsmith jedynie skinął głową.

Matt usiłował ponownie chwycić siostrę za rękę, ale Carolina wyrwała się z jego uścisku.

- Możesz zostać, jeśli chcesz - powiedziała ostro. - Ja wychodzę. Richie tymczasem nie odrywał wzroku od dziewczynki, próbując jednocześnie uwolnić rękę z dłoni matki.

- Zostanę z wujkiem Mattem - odezwał się w końcu.

- W żadnym razie! - wrzasnęła Carolina i pociągnęła syna za sobą. Chłopak niechętnie ruszył w stronę drzwi, nadal wpatrując się w dziecko. Miał wrażenie, że widzi swoje lustrzane odbicie. Nigdy nie przypuszczał, że ktoś mógłby być tak bardzo do niego podobny.

- Idziemy, Richie! - krzyknęła Carolina. - Wynosimy się z tego... z tego koszmaru!

Kiedy tylko znaleźli się na korytarzu, trzasnęła drzwiami, aż zadrżała futryna.

## Rozdział 17

Kwiaciarnia znajdowała się na parterze dużej, eleganckiej kamienicy obłożonej piaskowcem, tuż za skrzyżowaniem Madison i Wschodniej Sześćdziesiątej. Było to idealne miejsce na firmę zajmującą się organizacją i oprawą florystyczną przyjęć - w samym sercu najbogatszej i najelegantszej części Manhattanu. Goście zaproszeni na uroczyste otwarcie sklepu przechodzili przez kutą furtkę prowadzącą do uroczego ogródka, w którym królowały: bluszcz, sukulenty i wielkolistniasta, strzępiasta paproć. Na dyskretnej grawerowanej tabliczce z brązu, umieszczonej tuż nad wejściem, widniało jedno jedyne słowo: „Payton”.

- Wpadniemy tylko na minutkę - zapewniła Setha Lydia Carstairs. - Dobrze wiesz, co sędzę o Payton Fitzsimmons, ale bardzo chciałabym zobaczyć, co zdołała. Wszyscy wokół opowiadają, że dokonała cudu.

- Jasne, Lydio, nie mam nic przeciwko temu - odrzekł Seth, choć wcale się nie palił do spotkania z Payton; po pierwsze, nie zapomniał, jak paskudnie potraktowała Caroline, po drugie zaś, doskonale wiedział, że w sensie twórczym nie miała nic wspólnego z tą kwiaciarnią, okrzykniętą jednym z najpiękniejszych sklepów w Nowym Jorku. To znaczy nic poza wypisywaniem czeków na horrendalne sumy.

Jeden z klientów Setha - oczywiście w największym zaufaniu - opowiedział mu, że Payton zatrudniła Jacques'a Liagre, najbardziej rozchwytywanego w Europie architekta wnętrz, by zaprojektował jej kwiaciarnię, obiecując mu przy tym nieograniczone fundusze, byleby tylko stworzył maleńkie чудо.

Gdy wraz z Lydią weszli do środka, z tłumu gości wyłoniła się Payton i przywitała ich wylewnie, jakby Lydia i Seth byli jej najbliższymi przyjaciółmi.

- Lydio, wyglądasz kwitnąco - zaćwierkała słodko. - Mam nadzieję, że kiedyś zdradzisz mi swój szczególny sekret.

- Dzięki - odparła Lydia. - Muszę przyznać, że twój sklep robi wielkie wrażenie.

- Seth, i ty tutaj - ciągnęła jednym tchem Payton. - Cóż za niespodzianka! Cieszę się, że zdołałeś wpaść. Zaharowywałam się na śmierć, żeby doprowadzić to miejsce do obecnego stanu, stąd nie udzielałam się ostatnio towarzysko. Muszę jednak przyznać, że bardzo mi Ciebie brakowało. Jak się miewasz?

- Doskonale - odrzekł. - Miło mi było słyszeć, że pomimo nawału obowiązków zdołałaś się stawić na wernisażu w Chelsea.

- Och, to dopiero była historia - zareplikowała Payton ze śmiechem. - Wciąż nie mogę



uwierzyć, że zapłaciłam Carolinie pięćset dolarów, a ona zrobiła na ważny wernisaż jednego z moich najserdeczniejszych przyjaciół kompozycję pogrzebową! Zupełnie nie pojmuję, jakim cudem ta kobieta wciąż utrzymuje się w interesie.

- Sam nie mogę uwierzyć w podobne niedopatrzenie - przyznał Seth. - Wiele razy zamawiałem kwiaty u Caroliny i jeszcze nigdy nie spotkał mnie zawód. Zawsze jej bukiety były absolutnie perfekcyjne.

- Cóż, a więc miałeś dużo szczęścia - stwierdziła Payton. - Ja jednak, kierując się dobrze pojętym interesem moich przyjaciół, postanowiłam opowiedzieć wszystkim o tym, co spotkało mnie ze strony tej kobiety.

- Życzę wszelkiego powodzenia w związku z otwarciem kwaciarni - wtrąciła szybko Lydia. - Przepraszam, ale chciałabym teraz zamienić kilka słów z Topsy Richardson. - Spojrzała znacząco na Seta. - Zechcesz mi towarzyszyć?

- Oczywiście - odrzekł bez zastanowienia. - Wszystkiego najlepszego, Payton. Jestem pewien, że twój sklep okaże się niezwykle intratnym przedsięwzięciem.

- Mam taką nadzieję - odparła, wyciągnęła dłoń i chwyciła Seta za rękę. - Zadzwoń do mnie wkrótce, dobrze? Bardzo za tobą tęsknię, Seth. Ostatnio doszłam do wniosku... że omija nas wiele wspaniałych chwil. Po zastanowieniu zrozumiałam, jak niesprawiedliwie odniosłam się swego czasu do Caroliny - oznajmiła głosem niewinnego dziecka. - Chciałabym jednak, żebyś mi wybaczył - po prostu przesadziłam z winem.

- Może wkrótce się odezwę - rzucił obojętnym tonem Seth. Nie mógł zaprzeczyć, że Payton wygląda cudownie, ale nie potrafił zapomnieć jej paskudnego postępu, który mocno ostudził jego zainteresowanie. - Przepraszam, ale muszę poszukać Lydii. - Wysunął rękę z jej dłoni, wcześniej jednak fotograf znanej gazety zdążył pstryknąć im zdjęcie. Seth nawet tego nie zauważył, bo też wszędzie wokół błyskały flesze. Kiedy w końcu podszedł do Lydii i przywitał się z Topsy, udawał, że pilnie przysłuchuje się rozmowie obu kobiet, choć tak naprawdę jego myśli skupiały się na czymś innym. A właściwie na kimś - na Carolinie.

- Seth?

To była Lydia.

- Przepraszam - odezwał się po chwili. - Błądziłem w całkowicie innym świecie.

- Możemy już iść na kolację?

- Oczywiście - odparł skwapliwie.

Wziął ją pod rękę i skierował się w stronę wyjścia. W drzwiach dostrzegł twarz okoloną kruczoczarnymi włosami, która wydała mu się znajoma, choć nie potrafił jej precyzyjnie połączyć z nazwiskiem. Gdy zaś wraz z Lydią znalazł się na ulicy, zupełnie

zapomniał o pociągających, męskich rysach, które odbiły się w politurze drzwi.

Antonio trzasnął drzwiami sypialni i przybierając groźną minę, podparł się pod boki. W jego ciemnych oczach błyskał gniew, usta wykrzywił mu sarkastyczny uśmiech.

Payton, leżąc nago w łóżku, naciągnęła na siebie cienkie prześcieradło, jakby delikatna egipska bawełna mogła ją ochronić przed brutalnością świata. Ale bez względu na pierwsze odruchowe odczucia, wściekłość Antonia ją podniecała. Wystarczył jeden rzut oka na niego, by serce zaczęło bić jej mocniej, a całe ciało przeniknął dreszcz rozkoszy.

Po drobnej chwili wahania Antonio podszedł do łóżka, po drodze rozpinając pasek i cały czas wpatrując się w dziewczynę. Gwałtownym ruchem zdarł z niej prześcieradło i rzucił na skraj materaca.

Miała ochotę krzyknąć z pożądania, ale udało jej się zachować kamienną twarz i tylko wpatrywała się w kochanka wyzywającym wzrokiem.

Antonio ściągnął z siebie koszulę, a potem dzinsy i skarpetki i stanął nad dziewczyną w pozie *macho*, by zaraz opaść na nią, koncentrując się jedynie na własnej przyjemności.

Payton jęknęła głośno i zaczęła drżeć z rozkoszy, a po chwili nim też wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

Potem leżeli chwilę bez ruchu, by uspokoić oddech.

- Byłeś cudowny, Antonio. - Przejechała paznokciami po plecach mężczyzny. - Nikt inny nie umiał mnie tak zaspokoić.

Antonio spojrzał jej uważnie w oczy.

- Jeśli jestem taki wspaniały, to czemu nadal się do mnie nie przyznajesz? Obiecywałaś, że zaczniemy się razem pokazywać, jak tylko otworzysz kwiaciarnię. Czy wiesz, jak się czuję, gdy ukrywasz mnie niczym zdeformowanego gnoma?

- Tłumaczyłam ci przecież, Antonio, że kiedy mój interes rozkręci się na dobre, natychmiast się do mnie przeniesiesz. Zaczyniesz u mnie pracować. I wtedy wszyscy się o nas dowiedzą. - Przeciągnęła palcem po jego ustach. Oczekiwała pocałunku, ale się nie doczekała. - Przykro mi, że tak się czujesz. To ostatnia rzecz, jakiej bym chciała.

- Twoja kwiaciarnia odniosła sukces - odrzekł Antonio. - Sama mówiłaś, że telefon już się urywa. Zapewne więc nie będziesz narzekać na brak klientów.

- To prawda - przyznała. - Ale zanim wszystko ruszy pełną parą, minie jeszcze trochę czasu. Poza tym, zależy mi na bardzo określonych osobach. Tych z wielkimi pieniędzmi. Co oznacza, że muszę odebrać najważniejszych klientów Carolinie. Ostatnio miała dużo dobrej prasy, a teraz zacznie jeszcze obsługiwać wielkie charytatywne imprezy. Dostarcza kwiaty zbyt wielu ludziom liczącym się w moim kręgu. Lydia Carstairs i jej przyjaciele powinni

składać zamówienia u mnie i ja już dopilnuję, by tak właśnie się stało.

- Przecież pracy jest tyle, że wystarczy dla was obu - zauważył rozsądnie Antonio.

- Nic mnie to nie obchodzi. Chcę odebrać Carolinie klientów. Zniszczyła mój związek z Sethem i zrujnowała przyjaźń z Sashą.

- Chyba żartujesz - odparł Antonio. - Przecież Carolina nie miała nic wspólnego z tą aferą w galerii. Oboje się do tego przyczyniliśmy. A poza tym w jaki to niby sposób doprowadziła do pogorszenia twoich stosunków z Fosterem?

Payton zamyśliła się na moment.

- To Seth przedstawił tę kwiaciarkę Lydii Carstairs - powiedziała po chwili. - I na dodatek uważa Caroline za wspaniałą florystkę. Póki ona nie pojawiła się na horyzoncie, byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

- Myślę, że po prostu jesteś o niego zazdrosna - stwierdził Antonio.

- Cóż za nedorzeczna myśl! - zawołała Payton, z całej siły przytulając się do Antonia.

- Przecież mam ciebie. Do czego miałby mi być potrzebny Seth?

- Z nim jednak pokazywałaś się często i bez oporów.

- Posłuchaj mnie uważnie, Antonio. Prawdę mówiąc, już nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będę się mogła tobą pochwalić. Wszystkie moje znajome zzielenieją z zazdrości. - Wsunęła rękę między jego uda. - Zależy mi jednak, byś wraz z Mercedes popracował jeszcze przez jakiś czas u Caroliny.

- Jak długo? - spytał, spoglądając jej w oczy.

- Niedługo. Wkrótce będę was pilnie potrzebować w kwiaciarni. Musimy działać szybko, tym bardziej że - jak sam powiedziałaś - Carolina jest teraz w fatalnym stanie. Jeszcze parę takich wpadek, jak w galerii, i ta miernota przejdzie do historii, Antonio.

- Wszystko już sobie ułożyłaś, co?

- Jasne - odparła Payton i zadrzała, gdy Antonio zaczął drażnić ustami jej piersi. - Zobaczysz... dopadniemy ją... kiedy teraz jest taka... bezbronna. - Jęknęła głośno z rozkoszy. - Och, tak, Antonio. Nie przestawaj. Nie przestawaj!

- Marne pięćdziesiąt tysięcy! - wykrzyknął Leland i uderzył zniszczonym adidasem o ścianę. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości, na szyi pulsowały żyły.

Mercedes przyglądała mu się w milczeniu. Dobrze wiedziała, że nie ma sensu nic mówić, dopóki Leland nie odreaguje złości.

- Pieprzony dupek miał miliony, a zostawił mi nędzny ochłap! - Rzucił o ścianę drugim butem, po czym rozciągnął się na kosztownym dywanie z Herez, leżącym w sypialni Mercedes. Z wykrzywioną gniewem twarzą spojrział na dziewczynę i wówczas spostrzegł, że

na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Co cię tak bawi? - spytał nieco spokojniejszym głosem.

- Nic. Nic mnie nie bawi. - Wzruszyła ramionami. - Po prostu nie jestem zaskoczona takim obrotem sprawy. Czego ty właściwie się spodziewałeś? Lyon miał przecież żonę i dziecko.

- Żeby tylko!

Mercedes uniosła pytająco brwi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Opowiedział jej o wydarzeniach w kancelarii, a kiedy skończył Mercedes zaniósł się niepohamowanym śmiechem.

- To dopiero śmieszne! - wykrzyknęła. - Stary rozpustny Lyon. Kto by się tego spodziewał? A więc Carolina już mu nie wystarczała.

- Właśnie - burknął Leland. - Mnie jednak nie jest do śmiechu. Ta dziwka z Amsterdamu ze swoim bękartem spadła na nas jak grom z jasnego nieba.

- Carolina jest zapewne załamana - stwierdziła Mercedes. - Żałowana sytuacja. - Znowu roześmiała się na całe gardło. - Idealna para! Każdy tak uważał. Ta holenderska afery musiała ją dobić.

- Bez wątplenia - zgodził się Leland. - Rozmawiałem dziś przez telefon z Mattem i dowiedziałem się, że Carolina strasznie to przeżyła.

- Wyobrażam sobie.

- Odnoszę wrażenie, że cierpienie Caroliny sprawia ci przyjemność. - Przyjrzał się dziewczynie ze zdziwieniem.

- Nigdy nie znosiłam tej kobiety - przyznała się Mercedes. - Zawsze byłam dla niej miła aż do obrzydliwości, bo inni tak ją traktowali. Nie wiedzieć czemu wszyscy są nią oczarowani.

- Ty naprawdę jej nienawidzisz - powiedział Leland.

- Myślę, że „zawiść” byłaby tu odpowiedniejszym słowem - odparła Mercedes. - Carolina miała wspaniałego męża - a przynajmniej tak mi się wydawało - udanego syna i do tego zaczęła robić karierę. - Mercedes w zamyśleniu upiła łyk wina. - W zasadzie czego się dotknęła, zamieniało się w złoto, podczas gdy moje życie to jedno pasmo porażek. Moje małżeństwo okazało się pomyłką. Nie odniosłam też sukcesu zawodowego, a przecież to ja jestem... prawdziwą artystką. Ona jedynie potrafi układać kwiaty.

Tym razem Leland wybuchnął śmiechem.

- Jasne. Ja też zawsze uważałem, że jestem zdolniejszy i przystojniejszy od Lyona.

- Bo to prawda - oświadczyła Mercedes. - A na dodatek masz tę wielką zaletę, że wciąż jesteś żywy.

- Ale to jemu powiodło się w życiu. Ja zawsze z trudem wiązałem koniec z końcem.

- Tylko dlatego, że jesteś hazardzistą.

- Masz rację. A teraz jeśli szybko czegoś nie wymyślę, znajdę się w poważnych opałach. Na gwałt potrzebuję drobnych stu tysięcy.

- Teraz już tylko pięćdziesięciu. Drugie pięćdziesiąt właśnie odziedziczyłeś po bracie.

- Nienawidzę tej finansowej szarpaniny.

- Świetnie cię rozumiem, bo w gruncie rzeczy jedziemy na tym samym wózku. Mnie wystarczy pieniędzy na dwumiesięczny czynsz za ten apartament, a potem będę musiała błagać o pożyczkę czy też w jakiś inny sposób oskubać tych nielicznych przyjaciół, którzy jeszcze mi pozostali. Albo udać się po prośbie do krewnych.

- Nie mogłabyś wziąć pożyczki pod zastaw mieszkania? - zainteresował się Leland. - Lub wręcz go sprzedać?

- Hipoteka jest już obciążona do granic możliwości, więc żaden bank nie udzieli mi kredytu. Mogę oczywiście sprzedać apartament z zyskiem, ale na to potrzeba kilku ładnych miesięcy.

- Co więc, do cholery, pocznijemy w tej sytuacji, Mercedes?

- Naprawę spodziewałeś się, że Lyon zostawi ci więcej? Skinął głową.

- Uhm. Dobrze wiedział, że stale jestem w długach. Do tej pory ratował mnie z opresji, sądziłem więc, że... no wiesz... że jakoś o mnie zadba.

Mercedes przez chwilę siedziała w zamyśleniu, powoli sącząc wino.

- Pamiętasz, jak pewnego razu pojechaliśmy do tego ich domu na wsi i przez cały weekend nie wychodziliśmy z łóżka? - odezwała się w końcu.

- Jakże mógłbym zapomnieć? Lyon zjawił się wtedy całkiem nieoczekiwanie i nas nakrył.

- A pamiętasz to pismo, które mi wtedy podyktował? - spytała, starannie dobierając słowa.

Leland posłał jej zdeorientowane spojrzenie.

- Bo ja bardzo dokładnie przypominam sobie całą tę sytuację - powiedziała wolno, wpatrując się w przestrzeń. - A to dlatego, że nie najlepiej radzę sobie z pisaniem na maszynie. Tam nie ma komputera. A w każdym razie na pewno nie było go w owym czasie. Musiałam więc wystukać ten cholerny tekst na starej maszynie - obaj zresztą wówczas mi się przyglądaliście. Lyon okazał wówczas niezwykłą hojność - pomyślałam, że jesteś

niebywałym szczęściarzem, mając tak dobrego brata.

Mercedes urwała i z uwagą wbiła wzrok w Lelanda.

- Czy teraz już sobie przypominasz, skarbie?

Gdy w końcu zrozumiał, o co jej chodzi, uśmiechnął się radośnie.

- Byłam pewna, że nie mógłbyś zapomnieć o czymś podobnym - zaszcebiotała słodko. - Oczywiście Lyon poprosił mnie, żebym zachowała kopię tego listu, bo się obawiał, że gdzieś go zawieruszysz albo wręcz zniszczysz. Ostatecznie bardzo się wzbraniałeś przed tym zapisem i powtarzałeś w kółko, że Lyon i tak przeżyje nas wszystkich, czy coś w tym rodzaju. - Uniosła pytająco brwi. - I jak mi idzie? - spytała filuternie.

- Fantastycznie - pochwalił ją Leland.

- Ja też sądzę, że to niezły scenariusz - odrzekła Mercedes. - Musisz mi oczywiście pomóc w dopracowaniu szczegółów, ale o ile dobrze pamiętam, Lyon obiecał ci, że gdyby zmarł pierwszy, zostawi ci drobne ćwierć miliona dolarów. Złożył pod stosownym zobowiązaniem swój podpis, a ja podpisałam się obok, jako świadek. - Uśmiechnęła się słodko.

- No ale skąd wytrzaśniemy jego podpis?

- Och, daj spokój, skarbie. Jestem pewna, że potrafisz doskonale naśladować charakter pisma brata. Tylko jak najszybciej musimy sprawdzić, czy ta stara maszyna wciąż jeszcze jest w ich wiejskim domu. Ostatecznie upłynęło już ponad pięć lat. Jeżeli zniknęła - łaska boska. Napiszemy to zobowiązanie na podobnym modelu. Jeśli jednak wciąż tam stoi, musimy jakoś się do niej dostać.

Leland podszedł do łóżka, na którym Mercedes, ubrana w krótkie jedwabne kimono, ulokowała się w powabnej pozie.

- Naprawdę sądzisz, że może nam się udać? - spytał, siadając koło niej.

- Jasne. Carolina wie o tym weekendzie, bo Lyon jej opowiedział. Natomiast z pewnością nie uznał za stosowne wspomnieć jej o tak hojnym gościu wobec ukochanego brata.

- Podrobiony zapis może nie przejść w sądzie - zatroskał się Leland.

- To prawda. Może jednak tak utrudnić życie Carolinie, że zgodzi się pójść z tobą na ugodę.

- Oczywiście! - Entuzjazm Lelanda wyraźnie wzrósł. - Koszty adwokata, opłaty sądowe i tym podobne...

- Tymczasem musisz sprawiać wrażenie pogrążonego w żałobie, przybitego śmiercią brata. Za kilka dni zacznę przebąkiwać coś o tym zapisie Lyona. Nie możemy zwlekać z tym

zbyt długo, trzeba uderzyć w Caroline, póki wciąż jest rozbita psychicznie. To dobra pora, jeszcze nie otrząsnęła się po śmierci Lyona, a tu nagle spotkał ją kolejny szok: dowiedziała się, że ukochany mąż miał laskę na boku. Teraz jest w takim stanie, że uda nam się wyciągnąć od niej wszystko, czego zapagniemy.

Leland pochwyił Mercedes w ramiona i z całej siły przycisnął do piersi.

- Mój Boże - wyszeptał. - Co nas podkusiło, by się rozstawać? Przecież razem jesteśmy nie do pokonania!

- Uhm - zgodziła się Mercedes. - Może więc powinniśmy do siebie jak najszybciej wrócić.

## Rozdział 18

Carolinie wydawało się, że jeszcze nigdy w życiu nie była tak zapracowana - choć, oczywiście, rozumiała, że owo wrażenie bierze się z jej obecnego stanu ducha: każda najdrobniejsza czynność wydawała się wyczerpującą walką o przetrwanie. Wciąż jeszcze nie otrząsnęła się po śmierci Lyona, natomiast świadomość, że prowadził drugie życie w Amsterdamie, niemal doprowadzała ją do obłędu. Dlatego też starała się całkowicie skoncentrować na pracy i związanych z nią problemach.

Najpoważniejszym z nich była zła prasa po incydencie w galerii - Carolina wiedziała, że z tego powodu straciła kilkoro klientów, miała jednak nadzieję, że dzięki wytrwałości i ciężkiej pracy uda jej się odzyskać dobrą opinię. Payton również zdołała zachwiać nieco jej pozycją, ale ostatecznie tego należało się spodziewać.

Każdego ranka Carolina robiła nienaganny makijaż i ubierała się z niezwykłą starannością, jakby zaprzeczając przed całym światem, że w jej życiu coś się załamało.

Parę tygodni po niefortunnym wydarzeniu w galerii zadzwoniła Lydia, informując Caroline, że rada nadzorcza Towarzystwa Ratowania Zwierząt zgodziła się w końcu powierzyć jej oprawę wielkiej dorocznej gali, odbywającej się późną jesienią.

- Kosztowało mnie to dużo więcej zachodu, niż się spodziewałam - wyznała Lydia. - Te idiotyczne doniesienia prasowe o wypadku w galerii nie przysłużyły się naszej sprawie, a na dodatek Payton Fitzsimmons otworzyła swój sklep. Niemal każdy z członków rady dobrze ją zna, musiałam więc walczyć o ciebie jak lwica. Wiele osób chciało bowiem zlecić tę pracę Payton.

- Jestem ci niezwykle wdzięczna za pomoc, Lydio - odrzekła Carolina. - Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś była zadowolona.

- Nie ma o czym mówić. Jeśli chodzi o twoją pracę, jestem zawsze zachwycona rezultatami. Ale wracając do rzeczy - motywem przewodnim dekoracji ma być „Zimowa Kraina Czarów”. Zdaję sobie sprawę, że nie świadczy to o szczególnej błyskotliwości członków rady, ale to jedyne, na co zdołaliśmy się wspólnie zgodzić, nie wdając się przy tym w walkę na śmierć i życie.

- „Zimowa Kraina Czarów” - powtórzyła Carolina beznamiętnym tonem. - Niewątpliwie dobry temat, jeśli weźmie się pod uwagę porę roku. Zapewniam cię, Lydio, że zdołam wykonać świetną dekorację, bazując na tym motywie.

Chwilę jeszcze omawiały różne drobiazgi, po czym się rozłączyły. Carolina



natychmiast zadzwoniła do Matta.

- „Zimowa Kraina Czarów” - rzuciła w słuchawkę, gdy tylko brat podszedł do telefonu.

- Cóż za oryginalność! - Wybuchnął kpiącym śmiechem.

- No właśnie. Czy można wymyślić coś bardziej oklepanego? Ale stało się, trzeba więc zabierać się do pracy. Już zaczęłam szkicować plany. Teraz jednak jak najszybciej musimy zebrać się w muzeum - ty, Thad i ja. Plus Roxie i Antonio, aby mieli wyobrażenie o skali przedsięwzięcia.

- Podaj tylko dzień i godzinę.

Wkrótce wszyscy spotkali się na miejscu i poczynili dalsze uzgodnienia, po czym jeszcze godzinami omawiali rozmaite szczegóły przez telefon.

Po wspólnych naradach Carolina wybrała się na poszukiwanie odpowiednio dużego magazynu i w końcu znalazła odpowiednie pomieszczenie w Chelsea. Cena wynajmu była co prawda zawrotna, Carolina miała jednak nadzieję, że zdoła udźwignąć koszty. Jeżeli interes będzie się rozwijał, magazyn na pewno szybko na siebie zarobi.

Przez następne kilka dni zostawiała kwaciarnię w rękach Roxie i Antonia, sama zaś zaczęła kupować rozmaite akcesoria: mnóstwo wazonów, świeczniki różnych kształtów i wielkości, kolumny i kolumnienki, pergole i kraty do pnączy.

Odwiedziła też kilka agencji zajmujących się wypożyczaniem rekwizytów teatralnych, by - gdy będzie musiała skorzystać z ich pomocy - od razu wiedziano, o co chodzi. Spędziła wiele czasu na wędrowce pomiędzy firmami, wyjaśnianiu istoty swojego zajęcia i tłumaczeniu, czego ewentualnie może potrzebować w najbliższym czasie.

Tymczasem w kwaciarni Roxie i Antonio dwoili się i troili - trzeba było przygotować kwiaty na cztery duże wesela, kilka pogrzebów, niezliczoną ilość lunchów oraz wystawnych kolacji.

W końcu pewnego dnia, po zamknięciu sklepu, gdy Antonio i Mercedes poszli już do domu, Carolina i Roxie usiadły przy stole nad filiżankami kawy.

Przez kilka pierwszych, najgorszych tygodni to Roxie nieustannie podtrzymywała szefową na duchu.

- Słuchaj, Carolino, przez lata pracowałam na swoją pozycję, więc jedna niefortunna pomyłka niczego tak naprawdę nie zmieni. Poza tym masz artystyczną duszę, której na ogół brakuje innym florystom - nigdy nie będą równie twórczy. Więc bez względu na gadanie Payton Fitzsimmons wszystko będzie dobrze.

- Wiem - zgodziła się niechętnie Carolina. - Co nie zmienia faktu, że wciąż jestem

roztrzęsiona. Ta wpadka w galerii poważnie nadwreżyła naszą markę - jeszcze parę takich incydentów, a będziemy jedynie drobnym sklepikiem handlującym bukietami po pięć dolarów. Wciąż nie mogę pojąć, jak Antonio mógł być tak bezmyślny!

- Ja też nie rozumiem jego zachowania. Pracuje tu już zbyt długo, by popełniać takie pomyłki.

- Czy sądzisz, że powinnam zatrudnić więcej personelu? Roxie zdecydowanie pokręciła głową.

- Jeszcze nie teraz. Dopiero na jesieni, gdy wszyscy zjadą z powrotem do miasta i zacznie się sezon wielkich przyjęć i gali. Na pewno będziemy wówczas potrzebować kogoś, kto się zajmie jedynie dostarczaniem zamówień do klientów. Po wakacjach Richie nie będzie już mógł nam pomagać.

- Pewnie masz rację - odpowiedziała Carolina, po czym zerknęła na zegarek. - Już późno, niewątpliwie chciałabys już iść do domu, do Lelanda. A tak przy okazji, co u niego słychać? Nie widziałam go od wielu dni.

- Jest bardzo rozchwiany, czuję się przy nim jak na kolejce górskiej. - Roxie gwałtownie zniżyła głos. - Śmierć Lyona strasznie nim wstrząsnęła. Nigdy wcześniej nie podejrzewałabym go o tak głębokie przywiązanie do brata. Wiedziałam, że są sobie dosyć bliscy, ale nie przypuszczałabym, że Leland tak bardzo... się załamał.

- To prawda, byli sobie bliscy - przyznała Carolina - i prawdopodobnie łączyły ich wspólne sekrety, o których nie mamy pojęcia.

- Zapewne. - Roxie skinęła głową. - Faktem jest, że nigdy dotąd nie widziałam Lelanda w takim stanie. Ale w tej chwili nie czas na rozmowy. Jesteś wyczerpana i musisz już iść do domu.

W tym momencie rozległ się dźwięk telefonu i Carolina chwyciła słuchawkę.

- Carolina.

- Carolino, mówi Lydia Carstairs.

- Witaj, Lydio. Jak się miewasz?

- Prawdę mówiąc fatalnie - odparła Lydia chłodnym tonem. - Właśnie wróciłam do domu po przymiarce u Oscara de la Renty i potwornie nudnym przyjęciu i zgadnij, co zobaczyłam?

- Nie mam... nie mam pojęcia - wyjąkała Carolina, a w jej głowie natychmiast rozdzwięczały się wszystkie dzwonki alarmowe. Lydia zachowywała się bardzo dla niej nietypowo. Prawdę powiedziawszy, sprawiała wrażenie osoby, która ostatnim wysiłkiem woli opanowuje gniew. - Co więc zobaczyłaś?

- Zwiędłe kwiaty. Wszędzie. W każdym pomieszczeniu bez wyjątku. Zwiędłe kwiaty warte - jak ci wiadomo - kilka tysięcy dolarów.

Caroline ogarnęło przerażenie i poczuła, jak zaczynają drżeć jej kolana. Co się, do cholery, dzieje?!, zapytywała się w duchu.

- Och, Lydio, jest mi niezmiernie przykro - rzuciła pospiesznie w słuchawkę. - Prawdę mówiąc, nie rozumiem, co się stało, ale oczywiście wnikliwie zbadam całą sprawę. Tymczasem, natychmiast dostarczę świeże bukiety. Mogłabym...

- Nie - ucięła krótko Lydia. - W tej chwili jestem zbyt wściekła, Carolino. Kazałam Normalowi wyrzucić te zwiędłe kwiaty. Na szczęście wieczorem wychodzę, co oznacza, że nikt z moich znajomych nie będzie narażony na równie porażający widok, jaki mnie spotkał po przyjeździe do domu. Wiesz, że cię lubię i podziwiam, lecz w żadnym razie nie zamierzam tolerować podobnych sytuacji. Nie chciałabym też usłyszeć, że równie nieprzyjemne doświadczenie spotkało kogokolwiek z moich znajomych. Zaczynam dochodzić do wniosku, że podobne incydenty nigdy by się nie wydarzyły, gdybyś należycie doglądała interesu.

- Lydio, natychmiast wszystko wyjaśnię - przyrzekła Carolina. - I zapewniam cię, że nic takiego już nigdy się nie wydarzy.

- To dobrze, bo w innym wypadku będziemy musieli zrezygnować z twoich usług w przygotowaniu gali w Metropolitan Museum. W żadnym razie nie mogę dopuścić do tego, by coś zakłóciło tę uroczystość.

- Oczywiście, rozumiem.

- W poniedziałek, jak zwykle, oczekuję świeżej dostawy kwiatów - ciągnęła Lydia. - Zadbaj jednak, by nie było już więcej katastrof.

- Tak jest. Na pewno.

- Dobranoc.

- Dobranoc - odrzekła Carolina, ponieważ zdając sobie sprawę, że Lydia już dawno odłożyła słuchawkę.

- Co się stało? - zapytała z niepokojem Roxie.

Carolina ukryła twarz w dłoniach i siedziała tak przez moment w milczeniu, po czym spojrzała na dziewczynę i powtórzyła jej treść rozmowy z Lydią.

- Jezu! - jęknęła Roxie. - Musimy natychmiast odkryć, co się tutaj dzieje.

- Sprawdź, kto w tym tygodniu zajmował się kwiatami do apartamentu Lydii?

Roxie wyciągnęła notes i przebiegła wzrokiem wpisy.

- W mieszkaniu wszystko ustawiała Mercedes, ale to Antonio wybierał kwiaty i przygotował kompozycje.

- To jakieś szaleństwo - stwierdziła Carolina. - Nie wierzę też, że to przypadek - nie po tej aferze w galerii. Jak tak dalej pójdzie, zbankrutujemy w ekspresowym tempie. Nie mam pojęcia, co robić. Obie nie podołamy wszystkim zamówieniom. - Zadumała się przez chwilę, po czym spojrzała na Roxie. - Myślę, że przede wszystkim od dziś wprowadzimy nowe zasady - oznajmiła. - Każdy bukiet, choćby najskromniejszy, musi przejść dokładną kontrolę, zanim zostanie wyniesiony z kwaciarni. Ma być zaakceptowany przeze mnie albo przez ciebie. - Znowu się zamyśliła. - Właściwie głównie przez ciebie, bo mnie zbyt często nie ma na miejscu.

- Okay - powiedziała Roxie. - Choć to bardzo skomplikuje naszą pracę.

- Zdaję sobie z tego sprawę, ale musimy tak postąpić. Nazwijmy to podniesieniem poziomu usług.

- Problem w tym, Carolino - wtrąciła Roxie - że kwiaty opuszczają kwaciarnię w idealnym stanie; a to coś, co gwałtownie rujnuje ich wygląd, dzieje się później.

- W takim razie musi się za tym kryć Antonio. To on coś wyczynia po drodze.

- Ale co w takim razie z kwiatami dla Lydii? - spytała Roxie. - Ustawianiem bukietów w apartamencie zajmowała się Mercedes.

Carolina uderzyła dłonią o stół.

- Do jasnej cholery! Kto za tym stoi i dlaczego? A co najważniejsze, jak położyć temu kres?

- Coś wymyślimy - pocieszyła ją Roxie. - Zawsze w końcu któraś z nas wpada na dobry pomysł.

Carolina spojrzała na przyjaciółkę.

- Mam nadzieję, Roxie. Bo teraz ryzykujemy wszystko, co udało nam się osiągnąć.

- W jaki sposób dowiedziałas się o maszynie do pisania? - spytał zaciekawiony Leland.

Mercedes uśmiechnęła się przebiegle.

- To było banalnie proste, kochanie. Wprost nie do uwierzenia. Wprowadzałam jakieś zamówienia do komputera, uderzyłam w niewłaściwy klawisz i wykasowałam cały tekst. Oczywiście zdenerwowałam się, po czym zauważyłam, że podobna historia nigdy by się nie zdarzyła, gdybyśmy wciąż używali starych, dobrych maszyn, a Roxie natychmiast przytaknęła. No a potem kochana Carolina uraczyła nas opowieścią, jak to nie mogła odłączyć maszyny do pisania, którą Lyon wyrzucił, gdy zainstalował w letnim domu komputer, ponieważ ona do tej pory nie nauczyła się adresować kopert przy użyciu komputera. - Objęła Lelanda i namiętnie pocałowała w usta. - Widzisz - roześmiała się

radośnie. - Nasz plan rozwija się jak należy.

- Taa - odrzekł. - Nadszedł już czas, żeby podważyć testament. Najlepiej jeszcze dziś pójść do prawnika.

- Myślę, że możesz oszczędzić kupę kasy, jeśli najpierw porozumiesz się z Carolina i zaproponujesz jej ugodę. Jak na dobrego szwagra przystało. Zobaczymy, co ona na to.

Leland spojrział na Mercedes w zamyśleniu.

- Wiesz, chyba rzeczywiście masz rację - powiedział po chwili. - W ten sposób może uda mi się stworzyć wrażenie, że mam prawo do jeszcze większych pieniędzy niż suma, której żądam.

- No właśnie - zgodziła się dziewczyna. - I nie zapominaj, że teraz jest najbardziej odpowiedni moment. Carolina wciąż jest rozbita, a z pewnością załamie się całkowicie, jak się dowie, że wszystkie kwiaty w mieszkaniu Lydii kompletnie padły.

- O czym ty mówisz?

- Oooch - wymruczała Mercedes. - Najdalej jutro Lydia zadzwoni do kwiaciarni i wierz mi, nie będzie to przyjemna rozmowa. Widzisz, dziś ja i Antonio zajmowaliśmy się kompozycjami dla pani Carstairs i mam niejasne przeczucie, że wszystkie kwiaty przedwcześnie zwiędły - w zasadzie tuż po naszym wyjściu.

Spojrzała na niego ze złym błyskiem w oku.

- Jezu - wyjęczał Leland - biedna kobieta, życie jej ostatnio nie oszczędza.

Mercedes skinęła głową.

- Założę się, że Payton Fitzsimmons nie posiada się z tego powodu z radości - rzucił Leland. - Czy już się dowiedziała o najnowszych wydarzeniach?

- Owszem - potaknęła Mercedes. - Tuż po wyjściu od Lydii udałam się do Payton z wizytą.

- A co właściwie zrobiliście z tymi kwiatami?

- Och, to było dziecinnie proste - wyjaśniła Mercedes. - Równie proste jak zdobycie informacji o maszynie do pisania. Antonio miał w furgonetce wielki pojemnik z wybielaczem do tkanin. Po drodze do Lydii postaraliśmy się, by wszystkie kwiatki dobrze napiły się tego paskudztwa - wystarczyło potrzymać ich końce w roztworze przez parę minut. Kiedy włożyłam je do wazonów, wciąż jeszcze wyglądały ładnie, ale na pewno zaraz zaczęły więdnąć i w krótkim czasie całkiem padły. - Zasłoniła ręką usta i zaczęła chichotać.

Leland przyciągnął ją do siebie.

- Jesteś zepsutą do szpiku kości małą zdzirą - oznajmił z szerokim uśmiechem.

- Jasne - odparła radośnie, odgarniając z oczu swoje długie blond włosy. - Ty zresztą

też nigdy nie zdobyłbyś żadnej nagrody ufundowanej przez organizację humanitarną. Myślę, że dlatego tak bardzo cię lubię. Należysz do czarnych charakterów.

- Tak, w tym jesteśmy podobni - zgodził się, ściskając mocno jej pośladki. - I dlatego tak bardzo mnie podniecasz.

Rozchylił językiem jej wargi i zaczął ją gwałtownie całować, po czym szybkim ruchem rozpiął zamek w spodniach.

Mercedes jęknęła z rozkoszy i zaczęła go pieścić dłonią.

- No już, skarbie - szepnął jej do ucha. - Zrób to tak, jak robiłaś najczęściej.

Mercedes opadła przed nim na kolana.

## Rozdział 19

Zadźwięczały dzwonki nad drzwiami i Roxie podniosła wzrok znad stołu. Uśmiechnęła się szeroko na widok Caroliny wchodzącej do kwaciarni energicznym krokiem. Jej świetnie ostrzyżone włosy były wyjątkowo błyszczące, a urodę podkreślał świetlisty makijaż.

- Wyglądasz wspaniale! - wykrzyknęła Roxie, odkładając nóż na blat.

- Dzięki. - Carolina ucałowała ją w policzek. - Udało mi się porządnie wyspać tej nocy, a od rana odwaliłam tyle roboty, że nie miałam czasu na rozmyślanie. Byłam w magazynie, wszystko posprawdzałam i przyjąłam kolejną dostawę. Potem spotkałam się z potencjalnymi klientami - wszyscy reprezentowali jakąś organizację charytatywną - a na koniec odbyłam bardzo długą rozmowę telefoniczną z Thadem, by ustalić szczegóły dotyczące oświetlenia gali w muzeum. - Urwała i uśmiechnęła się radośnie. - No i teraz jestem w pełni gotowa na wszystko, co nam może przynieść dzisiejszy dzień - dorzuciła po chwili. Odłożyła torbę i rozejrzała się po kwaciarni. - Widzę, że ty też zdążyłaś się już napracować.

- Właśnie kończę przygotowywać bukiety do wystawienia przed sklep - odrzekła Roxie. - Wszystkie zrobione wczoraj już się rozeszły, poza tym przygotowałam kompozycje, które będą nam potrzebne na dzisiaj.

- A gdzie Antonio? - zainteresowała się Carolina.

- Jeszcze nie przyszedł. Nie raczył też zadzwonić.

- Jeśli nie pojawi się tu za kilka minut, to ja do niego zadzwonię - rzuciła Carolina ostrym tonem. - Czy przez resztę dnia będziemy zajęte?

Roxie pokręciła głową.

- Dzięki Bogu, nie będzie tak źle.

Ponownie chwyciła w dłoń nóż i zaczęła usuwać dolne liście z łodyg chryzantem.

- To chyba nie jest powód do radości - zauważyła Carolina.

- Oczywiście, że nie - odparła Roxie. - Czasami jednak miło odpocząć od szaleńczego tempa.

- Daj spokój, Roxie. Dobrze wiesz, że najlepiej pracujemy pod presją, gdy tak naprawdę nie wiemy, w co ręce włożyć - zaśmiała się Carolina, po czym wyjęła z wody tuzin róż i ułożyła na stole.

Wciągnęła rękawice i zaczęła przygotowywać kwiaty: ucinała ich końcówki pod

ostrym kątem i usuwała dolne liście.

Chwilę później zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę.

- Halo?

- Cześć, Caroline Ten głos był tak podobny do głosu Lyona, że na chwilę oniemiała.

- Och... witaj... witaj Leland - wykrztusiła w końcu, spoglądając na Roxie pytającym wzrokiem. Powoli odzyskała panowanie nad sobą. - Na pewno chcesz rozmawiać ze swoją ukochaną?

- Nie, właściwie to tobie chciałbym zająć kilka minut - odrzekł szwagier.

Czy jej się zdawało, czy wyczuła w jego głosie wahanie? I właściwie dlaczego zwracał się do niej tak zasadniczym tonem?

- Oczywiście. Dla ciebie zawsze znajdę czas.

- Widzisz, prawdę mówiąc, dzwonię w sprawie testamentu Lyona. Carolina poczuła gęsią skórę na ramionach.

- Tak?

- Zapewne powinienem porozmawiać o tym z tobą osobiście, ale w żaden sposób nie mogę się wyrwać z biura. Sama rozumiesz, jak to jest.

- Tak, rozumiem. O co więc chodzi?

- Cóż, przypuszczam, że nic nie wiesz o tej sprawie, bo inaczej niewątpliwie wspomniałabyś o tym w kancelarii Bernarda Goldsmitha.

- O jakiej sprawie, Lelandzie? - spytała z lekką irytacją. Czemu on owija rzecz w bawełnę, zamiast wyłożyć kawę na łąwę?

- Pamiętasz ten weekend sprzed paru lat, kiedy Lyon pojechał do domku w Connecticut i zastał mnie tam w towarzystwie Mercedes?

- Taaak...

- No więc wówczas podyktował Mercedes pewien dokument, po czym kazał nam go podpisać. - Zawiesił głos na dość długo, by Carolina straciła cierpliwość.

- Jaki dokument? Czy mógłbyś wreszcie przejść do rzeczy?

- Zobowiązanie, w którym Lyon obiecał mi ćwierć miliona dolarów po swojej śmierci - wyrzucił z siebie gwałtownie Leland.

Carolina poczuła się jak ogłuszona.

Lyon zamierzał zostawić ćwierć miliona dolarów Lelandowi, nie informując jej o tym? Opowiedział jej o owym weekendzie - mówił, że nakrył w ich wiejskim domku Lelanda i Mercedes, ale ani słowem nie wspomniał o żadnym zapisie. Wprost nie mogła uwierzyć, by mąż podjął tak ważną decyzję, nie skonsultowawszy się z nią uprzednio w tej



sprawie.

- Ja... Ja doprawdy nie wiem, co powiedzieć, Lelandzie - odezwała się po chwili, czując na sobie spojrzenie Roxie. - Rzeczywiście, nie mam pojęcia o wspomnianym przez ciebie zapisie i prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy pozostawione przez Lyona zasoby pozwolą na wypełnienie takiej obietnicy. Myślę jednak, że jak najszybciej powinieneś przekazać ów dokument Bernardowi. - Jak to możliwe, pomyślała natychmiast, że Goldsmith nie miał kopii tego pisma? Lyon zawsze wszystkie sprawy majątkowe załatwiał za jego pośrednictwem. - Powiadomię o tym niezwłocznie Matta - dorzuciła po chwili - ponieważ jest koegzekutorem ostatniej woli Lyona; chyba że ty wolałbyś do niego zadzwonić?

- Możesz go poinformować - zgodził się łaskawie Leland. - Tymczasem ja prześlę fotokopię pisma Bernardowi.

- W porządku.

- Nigdy nie przypuszczałem, że Lyon zachowa to w tajemnicy przed tobą. Okazuje się jednak, że było wiele spraw, o których ci nie mówił, czyż nie, Carolino?

To było gorsze niż policzek.

- Tak, Lelandzie - odparła w końcu. - Jakże miło z twojej strony, że mi o tym przypominasz. - Miała nadzieję, że powiedziała to z dostateczną dozą sarkazmu. - Słuchaj, muszę już kończyć tę rozmowę. Mam pracę, sam rozumiesz.

- Oczywiście. Jeszcze skontaktuję się z tobą w tej sprawie - odrzekł Leland. - Do widzenia.

- Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę i wbiła niewidzący wzrok w drzwi kwaciarni.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się Roxie. - Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.

Carolina odwróciła się w stronę przyjaciółki i, mimo że wszystko się w niej gotowało, zmusiła się do uśmiechu.

- Myślę, że już wiem, czemu Leland zachowywał się ostatnio w dziwny sposób - oznajmiła.

- A co się stało?

- Twierdzi, że ma pismo, w którym Lyon obiecuje mu ćwierć miliona dolarów po swojej śmierci. Podobno Lyon podyktował takie oświadczenie Mercedes wtedy, gdy przyłapał ich oboje w naszym domku na wsi.

Roxie przez chwilę wpatrywała się w nią z otwartymi ustami; w końcu z trzaskiem odłożyła nóż na stół.

- Ani przez sekundę w to nie uwierzę! - rzuciła zapalczywie. - To absolutnie

wykluczone. Gdyby coś takiego rzeczywiście się wydarzyło, Leland pochwaliby mi się już dawno temu. - Spojrzała na Caroline. - A ty mu wierzysz?

- Sama już nie wiem, w co powinnam wierzyć - odparła znużonym głosem, po czym potrząsnęła gwałtownie głową, jakby chciała rozjaśnić myśli. - No cóż, sądzę, że rozwiązanie tej kwestii należy ostatecznie do prawników. - Próbowała nadać głosowi nonszalanckie brzmienie, ale w rzeczywistości bardzo nią wstrząsnął telefon Lelanda. Wyprostowała się jednak i podniosła głowę. - Cóż, Roxie, zabierajmy się lepiej do roboty. A gdy już o robocie mowa, gdzie, do jasnej cholery, podziwia się Antonio? Czeką go dziś mnóstwo zajęć. Jeśli się zaraz nie zjawi, będę musiała się zwrócić o pomoc do Mercedes.

- Spróbuję się do niego dodzwonić - zaproponowała Roxie.

Antonio tymczasem przeżywał najlepsze chwile swojego życia.

Nigdy wcześniej nie był w dziale męskim ekskluzywnego domu odzieżowego Bergdorfa Goodmana i to na dodatek w prywatnej przymierzalni. Z rozkoszą wypił więc łyk aromatycznej kawy, po czym wyprostował nogi, rozparty na eleganckim, skórzanym fotelu, oczekując, aż sprzedawca przyniesie kolejne próbki. Przed oczami miał wciąż patrycjuszowskie rysy Payton i jej długie blond loki; nie mógł się już doczekać jej reakcji, kiedy zobaczy go w nowych ciuchach, które postanowiła mu zafundować.

Poprzedniego wieczoru leżeli wtuleni w siebie, gdy Payton napomknęła, że zanim Antonio zacznie u niej pracować, musi sprawić sobie nową garderobę. Poza tym, dorzuciła, gdy już publicznie ogłoszą swój związek, będzie potrzebował odpowiednich ubrań, żeby bywać z nią na oficjalnych przyjęciach.

- Obawiam się, że obecnie nie stać mnie na takie ciuchy - wyznał z wahaniem.

Payton figlarnie uszczypnęła go w pośladek.

- Daj spokój, głuptionsie. Z samego rana zadzwonię do Bergdorfa Goodmana i powiem, że się u nich zjawisz. Oni już się tobą odpowiednio zajmą.

- To znaczy... chcesz powiedzieć, że zafundujesz mi ubrania? Skinęła głową.

- Jasne. Czemu nie? Ostatecznie, w pewnym sensie to inwestycja w mój biznes. Jak już zaczniesz u mnie pracować na pełnym etacie, będziesz mógł zwrócić pieniądze. Oczywiście, jeśli zechcesz.

Trzeba podrzucić osłu kolejną marchewkę, pomyślała. Może wówczas przestanie zawracać głowę pytaniami: „a kiedy to?”, „a kiedy tamto?”.

Musi się postarać, żeby ten latynoski ogier był zadowolony z życia do czasu, aż zdecyduje się go porzucić. A jeśli nawet będzie ją to kosztowało kilka tysięcy, to i co z tego? Facet jest wart każdego wydanego centa, a poza tym, jeśli dostanie parę drobiazgów, będzie

mniej nieszczęśliwy, gdy w końcu usłyszy, żeby spadał.

- Naprawdę to dla mnie zrobisz? - dopytywał się Antonio z niedowierzaniem w głosie; miał pewne wyobrażenie, ile kosztują ciuchy w tak ekskluzywnym sklepie.

- Przecież wiesz, że tak - zaćwierkała, głaszcząc go po torsie.

- A co będę musiał zrobić, żeby na to zasłużyć? - zapytał z uśmiechem, ściskając jej pośladki.

Payton wybuchnęła śmiechem.

- Och, już robisz dostatecznie dużo. Chociaż... mógłbyś zrobić jeszcze jedną czy dwie drobne rzeczy - wyszeptała mu do ucha. - Chcemy przecież mieć pewność, że interes twojej szefowej przypadnie z kretesem, prawda?

- Uhm - wymruczał w odpowiedzi. - Z tym nie będzie najmniejszego problemu.

Po czym wszedł w nią powoli, z przyjemnością patrząc, jak ogarnia ją rozkosz.

Teraz, siedząc w prywatnej przymierzalni, Antonio niespodziewanie zdał sobie sprawę, jak bardzo podniecają go te wspomnienia.

Jeezu, jęknął w duchu, co sobie pomyśli sprzedawca, gdy zobaczy mnie w takim stanie? Zaczął myśleć o różnych rzeczach niemających nic wspólnego z igraszkami z Payton, by przynajmniej zmniejszyć erekcję. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że już od paru godzin powinien być w kwaciarni.

Trudno, stwierdził. Czas by Carolina zaczęła się przyzwyczajać do nowej sytuacji. Jeżeli jest wkurzona, to jej sprawa. Teraz on, Antonio, gra już w innej lidze. Carolina chce jedynie pracować dla zawrotnie bogatych ludzi, on natomiast ma ambicję zostać jednym z nich. Zaś Payton Fitzsimmons jest jego przepustką do owego świata.

## Rozdział 20

Nie, Antonio jest chwilowo nieobecny - rzuciła w słuchawkę Carolina. - Ale może ja mogłabym w czymś pomóc...

- W Central Park Boathouse, dokonuje pewnych pomiarów. Powinien wrócić mniej więcej za godzinę. Czy coś mu przekazać?

- Oczywiście.

Carolina z trzaskiem odłożyła słuchawkę.

- Cóż za aroganckie babsko - mruknęła.

- Kto to właściwie był? - zainteresowała się Roxie.

- Nie mam pojęcia. Jakaś kobieta. Może Antonio ma nową dziewczynę, o której jeszcze nic nie wiemy.

- Niewykluczone - zgodziła się Roxie. - A tak naprawdę kiedy on wróci? Na to jutrzejsze przyjęcie musimy przygotować jeszcze kilkanaście kompozycji.

- Powinien się zjawić najdalej za godzinę - odrzekła Carolina z nadzieją w głosie. Wcześniej niezłe zmyła głowę Antoniowi za parogodzinne spóźnienie bez uprzedzenia. - Ciekawe, z kim on się teraz spotyka - zadumała się po chwili. - Ostatnio zachowuje się niezwykle tajemniczo.

- Mnie się nie zwierza - odrzekła Roxie. - Podobnie jak Leland, ma swoje małe sekrety.

Carolina spojrzała uważnie na przyjaciółkę.

- A co tam u Lelanda?

- Wczoraj wieczorem powiedziałam mu, że między nami koniec - oznajmiła spokojnie Roxie.

- Co takiego?! - Carolina nie potrafiła ukryć zdumienia. - Naprawdę powiedziałaś mu, żeby spadał?

- Naprawdę. - Dziewczyna z powagą skinęła głową i z determinacją zacisnęła usta.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć. Co cię do tego skłoniło?

- A jak myślisz? - odparła Roxie. - Zapytałam go, czy znowu spotyka się z Mercedes: ostatecznie to niby jej Lyon miał podyktować ten zapis, prawda? A więc Leland musiał mieć z nią jakieś kontakty.

- I co?

- I zaczął kłamać jak najęty. Powiedział, że oczywiście, skontaktował się z nią

w sprawie spadku po Lyonie, ale nic poza tym. - Roxie westchnęła głęboko. - Łgał tak nieudolnie, że wręcz uwłaczało to mojej inteligencji. Zresztą jestem przekonana, że już mu nie zależy.

- Że na kim mu nie zależy? Na tobie? Roxie skinęła głową.

- Na mnie, ani na tym, czy dowiem się o jego romansie z Mercedes.

- O, Boże. Tak mi przykro, Roxie. Musisz się czuć okropnie.

- To prawda, ale wiem, że wkrótce się z tego otrząsnę.

- Wierzyć mi się nie chce, że Mercedes okazała się tak podstępna i niełojalna - odezwała się Carolina. - Oczywiście, nigdy nie byliśmy ze sobą bardzo blisko, ale zawsze wydawała się bardzo miła. I pomyśleć, że miała romans z Lelandem praktycznie tuż pod moim nosem. Trudno mi w to uwierzyć. Jesteś tego absolutnie pewna, Roxie?

Dziewczyna skinęła głową potakująco.

- Na sto procent. I będziesz miała okazję wkrótce się o tym przekonać: jestem gotowa założyć się o milion dolarów, że Leland zaraz się do niej wprowadzi.

- Niemożliwe. Naprawdę tak sądzisz?

- Jestem o tym przekonana.

- Boże, Roxie, jest mi tak bardzo przykro. - Carolina poderwała się ze stołka i przytuliła dziewczynę. - Czy mogłabym coś dla ciebie zrobić?

- Nie, dziękuję. Nie zamierzam udawać, że jest mi łatwo, ale wiem, że szybko przywyknę do samotności.

Odezwały się dzwonki i obie kobiety spojrzały w stronę drzwi. W progu pojawił się Seth.

- Wystawa wygląda imponująco - pochwalił je na powitanie. - Podoba mi się motyw tropikalnej dżungli.

- Dzięki, Seth - odrzekła Carolina.

Ależ on jest wspaniały, pomyślała i poczuła, że się rumieni.

- Mam nadzieję, że wszystko u ciebie w porządku - powiedział troskliwym tonem.

- W jak najlepszym. Roxie wspomniała, że chciałbyś, abyśmy zajęły się oprawą przyjęcia, które zamierzasz wydać w najbliższym czasie.

- Tak - odrzekł. - Słuchaj, Carolino, spieszę się teraz na ważne spotkanie. Chciałem się dowiedzieć, czy nie moglibyśmy się spotkać we troje po pracy na drinku, żeby dokładnie omówić szczegóły.

Na drinku?, zdumiała się w myślach Carolina. Z Sethem Fosterem?

- Myślę, że tak - odpowiedziała po chwili.

- Oczywiście, w żadnym razie nie chciałbym się narzucać. Po prostu mam parę pomysłów i doszedłem do wniosku, że dobrze byłoby je przedyskutować z tobą i Roxie.

Carolina skinęła głową.

- Czy dzisiejszy wieczór by paniom odpowiadał?

- Co ty na to, Roxie? - Carolina zwróciła się w stronę przyjaciółki.

- W porządku - odrzekła dziewczyna.

- W takim razie jesteśmy umówieni.

- Wiem, że pracujecie do późna, podobnie jak i ja - ciągnął Seth. - Czy siódma to odpowiednia godzina? Wstąpiłbym tu po was.

- Siódma nam odpowiada - zgodziła się Carolina.

- Wspaniale. - Seth uśmiechnął się szeroko. - W takim razie do zobaczenia wieczorem.

Carolina zdała sobie nagle sprawę, że bardzo się cieszy na to spotkanie, choć zupełnie nie umiałaby wytłumaczyć dlaczego. Może po prostu potrzebowała chwili wytchnienia od obowiązków.

Tak, zapewne o to chodzi, pomyślała. Ostatnio w moim życiu jest tylko praca, praca i jeszcze raz praca.

Naturalnie to spotkanie też będzie robocze, ale przynajmniej usiądą na chwilę w jakimś miłym miejscu.

Za piętnaście siódma Carolina weszła do sklepowej łazienki i zaczęła starannie szorować dłonie. Chociaż regularnie, co tydzień, chodziła na manikiur, jej ręce zawsze wyglądały jak ręce żony farmera. Praca przy pięknych kwiatach nie należała do czystych, a do tego trzeba było się liczyć z licznymi zadrapaniami, a nawet skaleczeniami.

Przynajmniej tego wieczoru nie ma plastra na każdym palcu. Do tego nowy lakier i nowa szminka - w modnym kolorze o nazwie „Ultrafiolet” - doskonale komponowały się z jej liliową, lnianą bluzką, do której włożyła jedną ze swoich ulubionych, długich spódnic o wysmakowanej jasnokremowej barwie.

Wysuszyła starannie ręce i wtarła w nie masę nawilżającego lotionu. Po chwili powtórzyła procedurę, a na końcu usunęła nadmiar ręcznikiem.

Gotowa do wyjścia, uznała. A w każdym razie o tyle gotowa, o ile pozwalały warunki.

Czuła się dziwnie, idąc z obcym mężczyzną na drinka w tak krótkim czasie po śmierci Lyonsa i w gruncie rzeczy była wdzięczna Sethowi, że zaprosił także Roxie. Zdawała sobie sprawę, że nie ma żadnego racjonalnego powodu, by uznać to spotkanie za niewłaściwe - ostatecznie umówili się w interesach - mimo to czuła się nieswojo.

Zgasiła światło, po czym podeszła do stołu i upewniła się, że wrzuciła do torby

notatnik i szkicownik.

- Wyglądasz uroczo - zachwyciła się Roxie.

- Dzięki, ty też - odrzekła Carolina.

W tym samym momencie wkroczył do kwaciarni Richie, który zajmował się tego dnia dostawami.

- Cześć, skarbie - powitała go Carolina.

- Cześć, mamó. Zgadnij co się stało?

- Co takiego?

- Przed chwilą Mercedes dała mi dziesięć dolców napiwku.

- Dostałeś dziesięć dolarów? - spytała zdumiona. - Od Mercedes?

- Uhm. Powiedziała, żebym przypadkiem nie wydał wszystkiego na prochy - dodał Richie z szerokim uśmiechem.

Carolina i Roxie parsknęły śmiechem.

- To bardzo w stylu Mercedes - stwierdziła Carolina. - Kto wysłał jej te kwiaty?

- Niejaki Warner Goodman - odrzekła Roxie. - Jego sekretarka złożyła zamówienie na duży bukiet.

- Warner Goodman? - powtórzyła w zamyśleniu Carolina. - Nazwisko wydaje mi się znajome, ale nie potrafię powiązać go z twarzą. Jak duży był ten bukiet?

- Za drobne trzysta dolarów.

- To rzeczywiście okazały - przyznała Carolina. - Ciekawe, kim jest ten facet?

Roxie wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Poznałam jego nazwisko tylko dlatego, że potrzebowałam danych z karty kredytowej.

- Mamó, to była ostatnia dostawa na dzisiaj - odezwał się Richie. - Chciałbym teraz wpaść do Jeffa, okay?

- W porządku - zgodziła się Carolina. - Baw się dobrze. Ja niedługo wrócę. Idziemy tylko na drinka. Co zamierzacie robić z Jeffem?

- Zjemy coś u niego w chacie, a potem pójdziemy do kina.

- Będziesz z powrotem koło jedenastej?

- Uhm. - Chłopak ruszył do wyjścia, po chwili jednak odwrócił się na pięcie. - Ach, byłbym zapomniał! Wujek Leland prosił, żeby cię pozdrowić.

- Leland? Kiedy go widziałeś?

- Był u Mercedes - odrzekł chłopak. - To na razie. Carolina i Roxie spojrzały na siebie znacząco.

- Wiedziałam, że tak się stanie. Byłam pewna. A to kanalia!

- Nie obrażaj kanalii! - zachnęła się Carolina. - Obawiam się, że Leland jest dużo gorszy.

- Zapomnijmy o nim dzisiejszego wieczoru - powiedziała Roxie. - Mamy ważniejszą sprawę na głowie. A tak przy okazji, Richie jest chyba w o wiele lepszej formie.

- Dzięki Bogu - odparła Carolina. - Choć wciąż się o niego martwię. Często jeszcze miewa duże wahania nastroju, ale już zaczynam wierzyć, że wszystko będzie w porządku.

Na dźwięk dzwonek obie odwróciły się w stronę drzwi. Wszedł Seth Foster. Carolina uśmiechnęła się nieśmiało, gdy zmierzał w ich stronę.

- Witajcie. Roxie. Caroline - Witaj - odpowiedziały niemal jednocześnie.

- Gotowe? - zapytał. - Czy może mam chwilę poczekać? Bo jeżeli jeszcze jesteście zajęte...

- Nie, nie - zaprzeczyła szybko Carolina. - To tylko drobne babskie pogawędki. Jestem gotowa. A ty, Roxie?

- Ja również.

Carolina wzięła torbę ze stołu i zwróciła się w stronę przyjaciółki.

- Wy już idźcie; a ja tu wszystko pozamykam i zaraz do was dołączę.

- Jak mogłem być tak bezmyślny, by przyprowadzić was w podobne miejsce na rozmowę! - ubolewał Seth. - Tu jest tak głośno, że nie słychać własnych myśli. Chyba powinniśmy natychmiast zmienić lokal.

- A może usiądziemy na zewnątrz? - zaproponowała Carolina. - Widzę, że w ogródku jest jeszcze kilka wolnych stolików.

- Świetny pomysł - uznał. - Na pewno nie mają panie nic przeciwko temu?

- Na pewno - odrzekła Carolina.

- Taki piękny wieczór - dorzuciła Roxie. - Miło posiedzieć na powietrzu.

Seth przywołał kierownika sali i przeprowadził z nim krótką rozmowę, nachylony nad jego uchem, bo inaczej tamten zapewne nic by nie usłyszał.

Natychmiast wskazano im stolik na zewnątrz.

Kiedy już się usadowili, Seth chwycił za węzeł krawata, jakby miał zamiar go rozwiązać.

- Czy nie miałyby panie nic przeciwko... Carolina wybuchnęła śmiechem.

- W żadnym razie - powiedziała szybko.

Była zdziwiona, że zawsze tak nieskazitelny Seth miałby odwagę zdjąć krawat w miejscu publicznym.



On tymczasem znacznie poluzował węzeł, rozpiął górny guzik koszuli, po czym wziął głęboki oddech.

- Dużo lepiej - stwierdził z ulgą w głosie. - Przepraszam, ale to cholerstwo dusiło mnie od siódmej rano.

W tym samym momencie zjawił się kelner, by przyjąć zamówienie.

- Czego się panie napiją? - spytał Seth.

- Dla mnie cosmopolitan - zdecydowała Carolina.

- Poproszę to samo - odezwała się Roxie.

- Ja natomiast wypiję whisky z lodem - powiedział Seth. Kelner uklonił się i zniknął.

Carolina uśmiechnęła się do Foster'a.

- Jesteś zawsze tak nienagannie ubrany, że nie mogę się przyzwyczaić do widoku ciebie z poluzowanym krawatem.

- To dlatego, że zawsze widzisz mnie idącego do firmy lub wracającego z pracy - odparł. - Bądź na przyjęciu. Ja tymczasem najbardziej Kocham dżinsy, t-shirty i wygodne, rozchodzone mokasy.

- Chyba żartujesz.

- Nigdy w to nie uwierzę - wtrąciła Roxie.

- To prawda - zapewnił je Seth, kiwając głową. - Nienawidzę garniturów i krawatów, ale nie mam wyjścia, muszę je nosić. Kiedy ma się do czynienia z europejskimi dyplomatami i finansistami, z których wielu należy do arystokracji, trzeba się ubierać w konserwatywny sposób. Ludzie ze Starego Świata zachowują się znacznie bardziej oficjalnie niż my.

- Tak, wiem - odparła Carolina. - Lyon często na to narzekał. I nie chodziło jedynie o ubranie. Często bywał w Amsterdamie i wiele czasu spędzał w mieszkaniu przy Minervaplein, mimo to nie poznał nikogo z osób mieszkających w owym budynku. Był dla nich kimś zupełnie obcym, niemal z innego świata. Seth skinął głową.

- Doskonale rozumiem, co twój mąż miał na myśli. Rzecz w tym, że tak naprawdę ci ludzie wcale nie są snobami. Po prostu każdy musi zostać każdemu oficjalnie przedstawiony. Gdy tak się stanie, traktują cię prawie jak członka rodziny, natomiast w innym razie jesteś dla nich jedynie intruzem.

- Czy lubisz swoją pracę? - spytała go Roxie. - To znaczy poza problemami związanymi ze strojem.

- Tak. Bardzo - odrzekł Seth. - Spotykam wielu ciekawych ludzi, a z niektórymi nawet się zaprzyjaźniam. Niekiedy nawet poznaję ich rodziny.

- A na czym właściwie polega twoja praca? - Roxie nie dawała za wygraną. - Zdaje

się, że wspominałeś coś o banku.

- Inwestuję w Stanach pieniądze obcokrajowców. Głównie z Holandii i Wielkiej Brytanii, choć oczywiście mam też klientów z innych krajów. Myślę jednak, że już dość o mojej pracy. Jestem pewien, że umieracie z nudów.

- W żadnym razie - zaprotestowała Carolina. - To, co mówisz, jest bardzo interesujące.

- Dziękuję. Doceniam twoją uprzejmość - odrzekł ze śmiechem.

- Mówię całkiem poważnie.

- Ja jednak myślę, że najwyższy czas, byśmy podyskutowali o moim przyjęciu.

- Może więc podasz nam najpierw kilka faktów - zaproponowała Carolina, po czym wyjęła z torby notes i pióro. - Zacznijmy od tego, ile osób zamierzasz zaprosić, z jakiej okazji wydajesz to przyjęcie i tak dalej.

Wyjaśnił, że planuje oficjalną kolację dla około trzydziestu osób będących w większości jego klientami z Holandii. Goście zostaną usadzeni przy trzech osobnych stołach. Zdaniem Setha na każdym z owych stołów powinna znaleźć się kompozycja kwiatowa, a oprócz tego jeszcze kilka w różnych miejscach mieszkania.

- Sądzę, że w sumie będę potrzebował mniej więcej piętnastu bukietów - obliczył. - Wiem, że to nie za wiele, a na dodatek - dorzucił przeproszającym tonem - obawiam się, że nie będziesz mogła pofolgować wyobraźni, ponieważ większość zaproszonych to, jak już wspominałem, ludzie niesłychanie konserwatywni, którzy zapewne oczekują stonowanej oprawy.

- W porządku - odrzekła Carolina, szybko oceniając ewentualny dochód z tego zamówienia. - Jakoś to przeżyję. A ty, Roxie?

- Jestem pewna, że damy radę - powiedziała dziewczyna.

Przez następne piętnaście minut omawiali dalsze szczegóły; Carolina sporządzała notatki, Roxie natomiast zadbała, by nie pominęli najważniejszych spraw.

- Jest też dobra wiadomość - oznajmił Seth, gdy już skończyli. - Wiele z tych osób ma apartamenty w Nowym Jorku, a do tego moi goście dużo i chętnie udzielają się towarzysko. Najprawdopodobniej więc dzięki temu przyjęciu zyskasz nowych klientów. - Uśmiechnął się ciepło i wypił łyk whisky.

Carolina odwzajemniła uśmiech.

- Powinnam cię zatrudnić jako szefa jednoosobowego działu PR. Tak wiele już nam pomogłeś.

- To dlatego, że przez wiele miesięcy twoje okno wystawowe zawsze przyciągało moją uwagę. W końcu dotarło do mnie, że masz wielki talent. Potem zacząłem zamawiać

u ciebie kwiaty, a ty zawsze starannie przygotowywałaś bukiety i dostarczałaś je zgodnie z moimi życzeniami.

- No cóż, to całkiem normalne w tym fachu - odrzekła Carolina i także upiła łyk swojego koktajlu.

- Wcale nie - zaproponował Seth. - Zdziwiłabyś się, gdybyś wiedziała, jak często zawodzili mnie rozmaici floryści. Nawet ci najslawniejsi. Spóźniali się z dostawą bądź kwiaty nie były w najlepszym gatunku. Zdarzały się również ohydne kompozycje.

- Robisz wrażenie człowieka, który świetnie zna się na tych sprawach - zauważyła Roxie.

- Powinienem się na nich znać. A przynajmniej tak mi się zdaje. Teoretycznie mam tę wiedzę we krwi.

- Jak to? - Carolina posłała Sethowi zaciekawione spojrzenie.

- Moja matka była florystką - wyjaśnił.

- Naprawdę?

Ten mężczyzna jest pełen niespodzianek, pomyślała.

- No, oczywiście. Właśnie czegoś takiego należało się spodziewać! - wykrzyknęła Roxie. - To dlatego tyle wiesz o tej branży.

- Uhm - potaknął Seth. - Kwaciarnia mamy była nieduża, ale wyjątkowo piękna.

- A gdzie się mieściła? - zainteresowała się Carolina.

- W Londynie.

- W Londynie? Wiedziałaś, że często jeździsz tam w interesach, ale nie miałam pojęcia, że stamtąd pochodzisz.

- I tak, i nie - odrzekł Seth. - Urodziłem się tu, w Stanach. Mój ojciec był Amerykaninem, natomiast mama Angielką. Kiedy się rozwiedli, wróciła ze mną do Londynu. Spędziłem z nią tam kilka ładnych lat. Często pomagałem jej w kwaciarni, tak jak teraz Richie pomaga tobie.

- To nieprawdopodobne - zdumiała się Carolina. - Od chwili gdy pierwszy raz zamawiałeś u mnie kwiaty, wiedziałam, że masz o nich pewne pojęcie, nie przypuszczałam jednak, że jesteś prawdziwym znawcą.

- Cóż, przepracowałem wiele godzin w kwaciarni mojej mamy.

- A gdzie dokładnie była ta kwaciarnia? - zapytała Carolina, wyobrażając sobie sklep w dostojnej kamienicy na jednej z najbardziej reprezentacyjnych ulic miasta, zamieszkaney przez ekskluzywną klientelę.

- Prawdę powiedziawszy, w dzielnicy, którą nazwałbym dzielnicą czerwonych latarni -

odrzekł z szerokim uśmiechem.

- W dzielnicy nierządu! - zdumiała się Roxie. - Muszę przyznać, że ta historia robi się coraz bardziej interesująca.

- To dość niezwykle miejsce na kwiaciarnię - zauważyła Carolina. Jak to możliwe, że ten człowiek znał ludzi w rodzaju Lydii Carstairs?, zapytywała się w duchu. Oczywiście, ma doskonałą pozycję zawodową, ale sama praca nie stanowi przepustki do wysokich sfer.

- Rzeczywiście - zgodził się Seth - a jedynym powodem, dla którego mama zdecydowała się na tę lokalizację, były bardzo korzystne warunki wynajmu. Po rozwodzie nie mogła sobie pozwolić na nic lepszego. Ale, o dziwo, w kwiaciarni zawsze panował duży ruch. Ludzie, którzy szli do pobliskich barów, często kupowali kwiaty. Oglądali też wystawę, gdy nad ranem wracali z różnych przybytków i często następnego dnia przychodzili po bukiety. Dobrymi klientami mojej mamy byli również niektórzy stali klienci prostytutek, którzy regularnie wysyłali kwiaty swoim „damom”. To było fascynujące miejsce.

- Zapewne - wtrąciła Roxie. - Szczególnie dla chłopca. Seth skinął potakująco głową.

- Czy często tam wracasz? - spytała Carolina.

- Co sześć, osiem tygodni - odrzekł Seth. - Ale teraz jeżdżę do Anglii jedynie w interesach. Mama zmarła parę lat temu, więc właściwie już nawet nie zaglądam do tamtej dzielnicy. - Niespodziewanie wybuchnął śmiechem. - A więc jednak wam się udało!

- Co takiego?

- Nakłoniłyście mnie, bym do znudzenia gadał o sobie. A tymczasem ja chciałbym się dowiedzieć czegoś o was. Jak sobie radzisz, Carolino? I jak się miewa Richie?

Carolina wypila ostatni łyk koktajlu i odstawiła szklanekę.

- Może wypijemy jeszcze po jednym? - zaproponował Seth.

- Cóż, bo ja wiem... - Spojrzała pytająco na Roxie.

- Przecież jest jeszcze wcześniej - namawiał Seth. - Ponownie to samo? Roxie skinęła głową.

- A więc dobrze - powiedziała Carolina. - Ale to już ostatni, potem ruszamy do domu.

Seth przywołał kelnera i złożył zamówienie, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Caroline.

- Wydaje się, że świetnie sobie radzisz - stwierdził. - Choć musi być ci bardzo ciężko.

Carolina spuściła wzrok, a potem zapatrzyła się w przestrzeń.

- Tak... znaczy się... to jest...

- O, Boże - wtrącił natychmiast Seth, przykrywając jej dłoń swoją. - Wybacz, proszę. Zachowałem się bardzo niedelikatnie. Nie powinienem wtykać nosa w cudze sprawy.

Carolina spojrzała na jego rękę, spoczywającą na jej dłoni. Wiedziała, że to jedynie gest życzliwości, a mimo to poczuła ściskanie w żołądku.

To nerwy, pomyślała. Jestem po prostu bardzo zdenerwowana.

- Wcale nie jesteś wścibski - odrzekła po chwili. - Mnie po prostu wciąż trudno o tym mówić. Niekiedy mam wrażenie, że zatraciłam poczucie rzeczywistości. Wydaje mi się, że Lyon jedynie wyjechał w interesach i wkrótce wróci do domu. Poza tym, ostatnio mam tak dużo pracy, że nie zostaje mi wiele czasu na myślenie.

Przy stoliku pojawił się kelner z drinkami i Seth oderwał rękę od dłoni Caroliny.

- A jak to znosi Richie? Widuję go niekiedy w sklepie i wydaje mi się, że wszystko z nim w porządku. Ale nigdy tego nie wiadomo na pewno.

- Tak jak i ja, Richie miewa gorsze i lepsze dni - powiedziała Carolina. - Ale, ogólnie rzecz biorąc, uważam że jest bardzo dzielny. Wszedł teraz w bardzo szczególny okres - przestał już być chłopcem, ale też nie jest jeszcze mężczyzną. Niemniej odnoszę wrażenie, że nie muszę się już o niego zamartwiać.

- To rzeczywiście trudny wiek - przyznał Seth. - Bez względu na płeć. Młodym człowiekiem zaczynają rządzić hormony. W tym okresie łatwo ulega się wpływom, zarówno dobrym... jak i tym najgorszym.

- Bez wątplenia - potwierdziła Roxie.

- A na dodatek nie mam pewności, czy zawsze postępuję, jak należy - wyznała Carolina. - I tak wiele czasu spędzam ostatnimi tygodniami w pracy, choć przy tym staram się, żeby - póki nie zacznie się szkoła - mój syn miał jak najwięcej zajęć.

- Richie to dobry chłopak - odrzekł Seth. - Na twoim miejscu nie martwiłbym się o niego. Czy on uprawia jakieś sporty?

- Cóż, kiedyś dużo czasu spędzał na skateboardzie, jeśli to można nazwać sportem, poza tym chętnie jeździ na rolkach i oczywiście na rowerze. Och, i bardzo lubi grać w tenisa.

- Ja też często grywam - powiedział. - Może mógłbym go od czasu do czasu zabrać ze sobą na kort?

- To bardzo wspaniałomyślna propozycja, Seth, ale doskonale zdaję sobie sprawę, jak bardzo jesteś zajęty.

- Słuchaj, grywam z różnymi ludźmi. Część z nich ma synów w wieku Richiego. Przychodzą niekiedy z ojcami na kort, więc nie byłby skazany na towarzystwo starych pierników.

- Kto jak kto, ale ty w żadnym razie nie wyglądasz na starego piernika! - wtrąciła Roxie ze śmiechem.

- Dla chłopca w wieku Richiego właśnie na takiego wyglądam - odparł Seth i również się roześmiał. - W każdym razie to porządni ludzie i miłe dzieciaki, zapewniam więc, że mogliby mieć na Richiego tylko dobry wpływ.

- Jeżeli są twoimi znajomymi, to nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości - oświadczyła uprzejmie Carolina.

Seth tymczasem zerknął na zegarek.

- Ależ ten czas leci! - zauważył. - Czy nie zechciałyby panie zjeść ze mną kolacji? Nie mam na wieczór żadnych planów, więc jeżeli nie jesteście specjalnie zajęte, z największą chęcią bym was zaprosił.

- Myślę, że jednak powinniśmy się zbierać - odrzekła Carolina. - Muszę przygotować na jutro milion rzeczy, no i oczywiście pomyśleć o kwiatkach na twoją uroczystą kolację. Dziękujemy serdecznie, mam nadzieję, że wybierzemy się innym razem.

- Rozumiem - powiedział. - I dziękuję bardzo, że zgodziłyście się na to spotkanie. Teraz mogę już przestać się przejmować moim przyjęciem.

- Cała przyjemność po naszej stronie - stwierdziła Roxie, podnosząc się z krzesła.

Seth też się poderwał, po czym uścisnął im dłonie na pożegnanie.

- Do zobaczenia.

- Do widzenia, Seth - pożegnała się Carolina.

Seth spoglądał przez chwilę za nimi, żałując, że nie przyjęły zaproszenia. A właściwie żałując, że Carolina nie zgodziła się zostać. Miał wielką ochotę spędzić z nią jak najwięcej czasu, poznać ją lepiej. Wiedział jednak, że nie może być zbyt natarczywy. Ostatecznie wciąż była pogrążona w smutku. Co oznaczało, że musiał się uzbroić w cierpliwość.

Dla takiej kobiety warto, pomyślał. Na nią zdecydowanie warto czekać.

## Rozdział 21

Przepyszne jedzenie, siostrzyczko - pochwalił lunch Matt, odkładając sztucę. - Absolutnie moje ulubione.

- Idę do swojego pokoju - oznajmił Richie, wstając od stołu.

- Dobrze, kochanie - odrzekła Carolina.

- Coś go gryzie? - zainteresował się Matt, gdy Richie wyszedł z kuchni. - Oczywiście poza śmiercią Lyona.

- Nie mam pojęcia. Ale wydaje mi się, że nieźle sobie radzi. Co powiesz na to, żebyśmy zjedli deser nieco później?

- Świetny pomysł. Tymczasem zajmiemy się dokumentami. Zaparz kawę i zabierajmy się do pracy.

- Dobrze. A tak przy okazji, jak twoje przygotowania do tej wielkiej gali? Nie masz żadnych problemów?

- Wszystko w porządku. Jeśli jednak zapytasz mnie o to jeszcze raz, ostrzegam, że nie ręcę za siebie.

- Zachowuję się dość nerwowo, co?

- Tak. I mówiąc szczerze, trudno ci się dziwić. Ta gala będzie prawdziwym ukoronowaniem twojej dotychczasowej pracy. I może otworzyć przed tobą nowe możliwości

- dodał po chwili. - Wywindować cię na wyżyny.

Carolina spojrzała na brata.

- Wiem - odrzekła. - I gdy o tym myślę, dostaję gęsiej skórki. Nalali sobie świeżo zaparzonej kawy i przenieśli się do salonu. Usiedli na sofie i przez chwilę w milczeniu popijali gorący napój.

- Jakie przepiękne światło - odezwała się w końcu Carolina, patrząc w okno.

Matt odchrząknął głośno i poruszył się niespokojnie na kanapie. Nie chciał jeszcze bardziej denerwować siostry, ale doprawdy nie miał innego wyjścia.

- Carolino?

Odwróciła się i spojrzała na niego w napięciu.

- Hm? Jestem gotowa. Co mam dzisiaj podpisać?

- Najpierw musimy zamienić parę słów; obawiam się jednak, że nie będzie to przyjemna rozmowa.

Matt, jako współwykonawca ostatniej woli Lyona, przejął na siebie załatwianie

wszystkich formalności.

- O co tym razem chodzi? - spytała Carolina. Zdążyła się już przekonać, że po śmierci męża ciągle pojawiały się niezliczone sprawy wymagające załatwienia. - Towarzystwo ubezpieczeniowe kwestionuje zasadność wypłaty? Czy chcą nam może policzyć dwukrotną cenę za urnę na prochy?

- Nie, nie w tym rzecz - Potrząsnął głową. Silenie się Caroliny na beztruskę tylko utrudniało mu zadanie. - Musimy omówić dwie ważne sprawy. Po pierwsze, roszczenia Lelanda. Skontaktował się ze mną jego adwokat, niejaki Warner Goodman. Twierdzi, że Leland ma mocne podstawy prawne do wysuwania swych żądań. Proponuje więc, byśmy poszli na ugodę pozasądową.

- Warner Goodman... - powtórzyła Carolina w zamyśleniu. - Ach, oczywiście! Facet, który wysłał Mercedes kosztowny bukiet kwiatów. - Uderzyła się otwartą dłonią w czoło. - Wprost nie mogę w to uwierzyć! Mercedes i Leland wspólnie spiskują przeciwko nam! A ma im w tym pomóc adwokat, który reprezentował Mercedes, gdy rozwodziła się z tym niemieckim księciem!

- Mamy wybór w tej sprawie - przerwał jej w Matt. - Możemy pójść na ugodę z Lelandem i zaproponować mu nieco więcej niż pięćdziesiąt tysięcy zapisane mu przez Lyona w testamencie lub też pozwolić, by pozwał nas do sądu, gdzie będzie musiał przedstawić solidne dowody na poparcie swych roszczeń.

W oczach Caroliny zabłyśły iskry gniewu.

- Niech nas pozwie! - oświadczyła.

- Naprawdę tego chcesz?

- Naprawdę! - odparła. - Jak on w ogóle śmie ni stąd, ni zowąd wyskakiwać z czymś takim! Nie zamierzam iść z nim na żadną ugodę! Niech mnie skarży, mam to gdzieś!

- Dobrze, już dobrze! - Matt uniósł ręce w pojednawczym geście. - Jutro powiadomię o twojej decyzji Bernarda; niech skontaktuje się z adwokatem Lelanda.

- Świetnie - oświadczyła Carolina. - Im szybciej Leland dowie się, co myślę o jego żądaniach, tym lepiej. A czego dotyczy ta następna kwestia?

- Monique Lehnert, tej młodej kobiety z Amsterdamu, która...

- Matt, dobrze wiem, o kim mówisz, nie musisz mi wszystkiego wyjaśniać jak małemu dziecku.

- Słuchaj, Carol, ja jestem tylko posłańcem, więc mnie nie uśmiercaj, okay? I pozwól mi skończyć.

- Oczywiście - odezwała się dużo spokojniejszym tonem. - O co więc chodzi z tą



Lehnert?

- Sama słyszałaś, co postanowił Lyon w jej sprawie. Ona zaś nie zamierza rezygnować z żadnego punktu zapisu. Grozi, że pozwie nas do sądu, jeśli w najbliższym czasie nie wywiążemy się z obowiązków wynikających z testamentu Lyona.

- Czy... czy rozmawiałaś z nią osobiście?

Matt skinął potakująco głową i Carolina na moment zadumała się nad jego odpowiedzią.

- A więc zostawił jej mieszkanie? - odezwała się w końcu. - Tak.

- A na kogo opiewa akt własności?

- Jedynie na Lyona.

- Doskonale - odrzekła z triumfalnym błyskiem w oku. - W takim razie szybko ją stamtąd wyrzucimy.

- Lyon zapisał jej tę nieruchomości w testamencie - wtrącił rzeczowo Matt.

- Nic mnie to nie obchodzi - oświadczyła Carolina. - Jej nazwisko nie widnieje na akcie własności. Jedynie Lyona, a to ja byłam jego żoną! I zamierzam ją stamtąd wykopać.

- Ależ...

- A samochód? - Carolina przerwała bratu. - Do kogo formalnie należał samochód?

- Podobnie jak dom, do Lyona.

- Świetnie. A więc zabierzemy również samochód. Postaraj się, by najdalej jutro został odholowany.

- Najpierw muszę przedyskutować twoje decyzje z prawnikami - sprzeciwił się Matt. - Ostatecznie mówimy tutaj o materialnych dobrach znajdujących się w innym kraju, gdzie twój mąż mieszkał z inną kobietą i na dodatek miał z nią dziecko. Jedno jest więc pewne: nie mogę jej tak po prostu wyrzucić z mieszkania i pozbawić samochodu.

- W takim razie będę musiała znaleźć kogoś, kto to zrobi - zachnęła się Carolina.

- Posłuchaj mnie uważnie, siostrze. - Matt wciąż mówił spokojnym tonem, nie tracąc zimnej krwi. - Ta kobieta chce jedynie tego, co zapisał jej Lyon. W odróżnieniu od Lelanda, nie próbuje nas w żaden sposób naciągnąć. Żąda natomiast tego, co się jej prawnie należy. I zamierza o to walczyć wszelkimi dostępnymi środkami.

- Super - odparła Carolina. - Szybko się przekona, że nie miała pojęcia, co to walka, póki ja nie stanęłam na jej drodze. Bo ja nie zamierzam ustąpić. I dobrze się postaram, żeby nie zobaczyła ani centa z majątku Lyona! Ani centa! Rozumiesz?

- Oczywiście - odrzekł Matt, wzdychając ciężko. - Chociaż, jeśli mogę wyrazić swoje zdanie, uważam, że nie zachowujesz się rozsądnie. Jakkolwiek na to patrzeć, Lyon miał

dziecko z tą kobietą.

- Mimo to zamierzam walczyć z nią do upadłego.

- Dobrze. - Matt skinął głową. - Będzie, jak zechcesz.

- Hej wam. - W tym momencie Richie wkroczył do salonu.

- Cześć, skarbie. - Carolina uśmiechnęła się do syna.

- Wiecie co, ja będę się zbierać. - Matt podniósł się z sofy. - Przypomniałem sobie właśnie, że muszę jeszcze wpaść do Sybil Conroy, a robi się późno.

- A co z deserem? - spytał Richie.

- Innym razem - odrzekł Matt - choć rezygnuję z niego z bólem serca. Ale naprawdę powinienem już lecieć.

- Cóż, Richie, a więc wszystko zostanie dla nas - powiedziała Carolina, siląc się na pogodny ton.

- Pa, siostrzyczko. - Matt cmoknął ją w policzek. - Dzięki za lunch, był wspaniały.

- Pa. I nie zapomnij do mnie zadzwonić, jak będzie już coś wiadomo.

- Nie zapomnę.

Richie i Carolina odprowadzili Matta do holu i poczekali, aż wsiądzie do windy. Kiedy zniknął, z Caroliny jakby uszło powietrze - poczuła się całkowicie pozbawiona energii. To rezultat rozmowy na temat tej amsterdamskiej dziwki Lyona.

Muszę się zdrzemnąć, zdecydowała.

- Położę się na chwilkę - oznajmiła.

- Jasne, mamó. - Richie posłał jej zatroskane spojrzenie.

Matka nie wyglądała najlepiej. Zapewne rozmawiała z wujkiem Mattem o tacie, Richie postanowił jednak, że na razie nie będzie zadawał żadnych pytań, bo może ją jeszcze bardziej zdołować.

- Będę w swoim pokoju, gdybyś mnie potrzebowała.

- Dobrze skarbie - odrzekła, ruszając w stronę sypialni. - Wstanę gdzieś za godzinę.

Jednak w końcu się nie położyła. Przeszła do dużej garderoby, którą dzieliła z mężem. To Lyon był odpowiedzialny za wszystko, co się wydarzyło dzisiejszego dnia. Gdyby nie porzucił ich dla tej kobiety z Amsterdamu, Carolina nie czułaby się jak śmieć.

Otworzyła drzwi szafy Lyona, po czym zaczęła wyciągać wszystkie jego ubrania. Gwałtownymi szarpnięciami ściągała z wieszaków eleganckie marynarki i koszule, rzucając wszystko na szybko rosnący stos.

Kiedy zabrakło jej sił, usiadła na podłodze i wybuchnęła gorzkim płaczem.

Jutro, pomyślała, jutro zadzwonię do Armii Zbawienia. Każę im to wszystko zabrać.

Chociaż nie, zdecydowała po chwili, właściwie nie chcę, żeby jakakolwiek istota ludzka jeszcze kiedykolwiek nosiła to wszystko. Nie chcę, żeby ktoś się zaraził zdradą i kłamstwami, którymi byłam karmiona przez lata. Wszystko to wyląduje na śmietniku - tam jest miejsce tych szmat.

Wstała i z półki w szafie zdjęła dużą, staroświecką kasetkę pokrytą skamieniałymi rybimi łuskami, w której Lyon trzymał swoją biżuterię. Cenne spinki do mankietów, spinki do krawatów, zegarki i inne drobiazgi będą pięknym zwieńczeniem stosu śmieci na podłodze.

Już miała rzucić kasetkę na ubrania, gdy nagle pomyślała o synu. Richie może kiedyś zechce mieć te pamiątki po ojcu, choć na samą myśl, że miałyby oglądać go noszącego rzeczy Lyona, robiło jej się niedobrze. Nie wolno jednak lekceważyć uczuć syna. Nie może zaszcześcić w nim przekonania, że jego ojciec był jakimś potworem. Lyon był dobry dla Richiego - jeśli akurat znajdował się w pobliżu - i o tym chłopiec powinien pamiętać.

Odłożyła więc kasetkę na miejsce i poszła do sypialni, ale świadomość, że rzeczy Lyona leżą na podłodze w garderobie, wciąż nie dawała jej spokoju. Pobiegła więc do kuchni i chwyciła rolkę worków na śmieci.

Gorączkowo zaczęła pakować ubrania. Kiedy skończyła, wszędzie wokół stały czarne, wypchane worki.

Jutro, zdecydowała, jutro stąd znikną. Wszystkie bez wyjątku wylądują na śmietniku, bo tam właśnie jest ich miejsce.

Więcej satysfakcji sprawiłoby jej jedynie przyłożenie do tego stosu zapalanej zapalniczki. Wyszła z garderoby, nieco ułagodzona faktem, że przez ohydny, czarny plastik nie widać niczego, co wpakowała do środka.

Była dumna z tego, co właśnie zrobiła. To pierwszy krok, by wyrzucić tego mężczyznę z życia. Nawet po śmierci prześladował ją i Richiego swoją obecnością - im mniej rzeczy wokół będzie go przypominać, tym lepiej.

Tymczasem w salonie Richie przejrzał uważnie papiery leżące w aktówce, po czym starannie ułożył je z powrotem w takim samym porządku. Większość była napisana prawniczym żargonem, z którego niemal nic nie zrozumiał, ale w gruncie rzeczy to nie dokumenty przyciągnęły jego uwagę. Pod papierami i listami leżała gruba, brązowa koperta, w której znajdowały się zdjęcia z Amsterdamu: fotografie ojca z Monique i Anją.

Richie wyciągnął kopertę i wysypał zdjęcia na biurko. Kilka z nich przedstawiało tylko ojca i Monique. Na jednym patrzyli sobie w oczy. Nie uśmiechali się, ale sprawiali wrażenie bardzo szczęśliwych, oddanych sobie nawzajem. Na ten widok chłopiec poczuł się nieswojo, jakby ich podglądał i wchodził z butami w czyjaś prywatność.

Odłożył fotografię i podniósł następną. Monique i ojciec spleceni ramionami, przytuleni do siebie. Tym razem uśmiechali się radośnie i patrzyli prosto w obiektyw. Richie odruchowo też się uśmiechnął. Wiele razy widział ten uśmiech ojca - zawsze wtedy, gdy tata był zadowolony. Zaś ta Monique sprawiała wrażenie ciepłej i pełnej radości kobiety, która znalazła swoje przeznaczenie.

Richie szybko przerzucił jeszcze kilka innych zdjęć przedstawiających tamtych dwoje - zawsze szczęśliwych, zazwyczaj na tle jednego z licznych amsterdamskich kanałów, niekiedy w parku, rzadko w domu. Odłożył je na bok i wreszcie znalazł fotografie, które interesowały go najbardziej. Patrząc na nie, nie czuł się ani odrobinę skrępowany: była na nich bowiem Anja, jego mała przyrodnia siostra.

Niekiedy wraz z nią stali jej rodzice, to jednak nie miało dla Richiego najmniejszego znaczenia. Gdy tylko jego wzrok padał na Anję, wszystko inne przestawało istnieć. Po raz kolejny, tak jak w kancelarii adwokata, odniósł wrażenie, że niemal patrzy w lustro - siostra była niezwykle do niego podobna. Wpatrywał się w nią urzeczony, zafascynowany, marząc, by ją jak najszybciej poznać - ostatecznie płynęła w nich ta sama krew.

Gdy w końcu drobiazgowo przestudiował jej rysy na wszystkich zdjęciach, włożył fotografie z powrotem do koperty, którą wetknął pod stos dokumentów. Przez cały czas jednak miał przed oczami twarz małej dziewczynki śmiejącej się do obiektywu.

Chcę ją poznać, postanowił stanowczo. Muszę ją poznać. Podobnie jak ja, jest częścią mojego ojca.

Był przekonany, że tata życzyłby sobie, aby polubili się z Anją. Kochał ją tak samo jak mnie, pomyślał. Richie wiedział jednak, że mama nie zniosłaby, gdyby jej powiedział, że bardzo chce poznać przyrodnią siostrę. Rozumiał, czemu tak się zachowywała, ale nie zamierzał postępować tak samo. Z każdą chwilą nabierał coraz większego przekonania, że on i Anja powinni być dla siebie prawdziwym rodzeństwem.

Chmury co chwilę przesłaniały słońce i powietrze w wypielęgowanym Beatrixpark było chłodne i wilgotne. Monique i Anja zdążyły już nakarmić czaple, gęsi oraz majestatyczne, czarne łabędzie o jaskrawo-czerwonych dziobach. To był uwielbiany przez Anję rytuał, który dla Monique nabrał rangi niemal religijnego misterium. Bo właśnie tutaj, w tym parku, poznali się z Lyonem - w oazie zieleni, która przynosiła jej teraz ukojenie i pozwalała czuć bliskość Lyona mimo jego śmierci.

Monique usiadła na ławce, ciesząc się rzadkimi chwilami słońca i przyglądając się Anji, która z niewyczerpaną energią fikała koziołki na trawie, domagając się przy tym ciągłego zachwyty i aplauzu. Monique chwaliła ją, chociaż myślami znajdowała się zupełnie

gdzie indziej - w miejscu, którego wcale nie miała ochoty odwiedzać.

Adriaan Weber, prawnik prowadzący sprawy Lyona w Amsterdamie, zatelefonował do niej z samego rana, by przekazać wieści z Nowego Jorku. Nie były dobre. Groźby, które Carolina Mountcastle wykrzykiwała pod jej adresem podczas odczytywania testamentu, nie były pustymi słowami. Jej adwokat, Bernard Goldsmith, oficjalnie zaskarżył rozporządzenia Lyona. Ta kobieta - jak poinformował Monique Weber - postanowiła za wszelką cenę pozbawić Monique i Anję prawa do dziedziczenia czegokolwiek.

Weber obawiał się, że bez względu na ostateczne postanowienie sądu, Carolina Mountcastle może przeciągać sprawę przez lata, pozbawiając Monique i Anję środków do życia.

Monique zadrżała i westchnęła głęboko. Scena, która rozegrała się w kancelarii w Nowym Jorku, pojawiła się przed jej oczami, jakby ktoś włączył kasetę wideo, oglądaną do znudzenia - aż do chwili, gdy człowiekowi robi się niedobrze. Oczywiście Carolina Mountcastle miała wszelkie podstawy, by nienawidzić Monique, by nią pogardzać i szukać zemsty; Monique czuła lodowaty dreszcz na każde wspomnienie furii tej kobiety. Choć przecież Bóg jej świadkiem, że nie polowała na Lyona i nie odebrała go żonie z rozmysłem.

Jeśli już rozpatrywać wydarzenia w takich kategoriach, pomyślała smętnie, to moja wina polegała na tym, że naprawdę zakochałam się w Lyonie i urodziłam mu dziecko.

- Mamusiu! Patrz! Patrz na mnie! - wykrzyknęła Anja.

Monique uśmiechnęła się do córeczki.

- Patrzę, kochanie! Patrzę cały czas.

Anja próbowała zrobić gwiazdę - podpatrzyła tę sztuczkę u starszych dzieci - ale na razie nie bardzo sobie radziła. Mimo to Monique entuzjastycznie klaskała w dłonie.

- Cudownie, Anju! Twoje gwiazdy są bardzo piękne. Jesteś urodzoną gimnastyczką! Brawo!

Po każdym niezdarnym przerwaniu ciała, Anja uśmiechała się od ucha do ucha, czekając na dalsze słowa zachęty, a Monique nie żałowała córce aplauzu.

- Czy chcesz teraz iść na huśtawki? - spytała, gdy dziewczynka już znudziła się fikołkami.

- Tak! - wykrzyknęła mała z zachwytem. - Chodźmy na huśtawki. Monique podniosła się z ławki, czekając, aż córeczka przybiegnie do niej przez trawnik, a potem chwyciła dziecko za rękę i żwirową alejką poszły razem w stronę huśtawek. Anja szczebiotała coś radośnie, a Monique raz po raz potakiwała jej skinieniem głowy.

W myślach jednak wciąż była w kancelarii w Nowym Jorku owego strasznego dnia.

Nie chciała zabierać ze sobą Anji, ale adwokat nalegał, by dziecko było obecne, mimo że i tak nic nie rozumiało. Poza tym Monique nie знаła nikogo w Nowym Jorku, z kim mogłaby zostawić córkę. Teraz miała tylko nadzieję, że Anja nie będzie niczego pamiętać. Oczywiście, nie mogła wiedzieć, co dziewczynka ostatecznie zachowa w pamięci, dlatego starała się - niefrasobliwym tonem, bagatelizując całe wydarzenie - wytłumaczyć Anji, czemu ta pani tak krzyczała.

Monique zdawała sobie sprawę, że Carolina Mountcastle dba o dobro swojego syna tak samo jak ona dbała o dobro Anji, niewątpliwie więc będzie żałowała, że zrobiła taką scenę w obecności dzieci. Richie był już dość duży, aby pojąć całą sytuację. Monique mogła mieć tylko nadzieję, że wiadomość o romansie ojca nie pozostawi jakichś nieodwracalnych urazów w jego psychice. Tak chciałaby mu wytłumaczyć, że bardzo kochali się z Lyonem, jak również to że - wbrew pozorom - Lyon ogromnie go kochał. Zapewne nigdy nie będzie miała takiej możliwości, a szkoda, ponieważ Richie powinien się dowiedzieć, jak wielką miłością darzył go ojciec.

Podniosła Anję i posadziła na jednej z huśtawek.

- Trzymaj się mocno, kochanie.

- Trzymam się - zapewniła ją dziewczynka. - A teraz pobujaj mnie, mamusiu.

Monique pchnęła huśtawkę, uważając, by nie rozkołysać jej zbyt mocno. Anja wydawała pełne zachwyty okrzyki, a gdy huśtawka wzniosła się wyżej, zaczęła pisać z radości. Monique napłynęły do oczu łzy. Lyon tak bardzo kochał to dziecko, pomyślała. I kochał też mnie. Jednocześnie bardzo kochał swoją żonę - dlatego nigdy się z nią nie rozwiódł - i oczywiście gorąco kochał syna. Gdyby tylko tę sytuację udało się jakoś rozwiązać - żeby Anja dostała to, co jej się należy.

Po jakimś czasie wyszły z Beatrixpark i skierowały się w stronę Minervaplein. Anja cały czas podśpiewywała, gdy przechodziły na drugą stronę kanału. I wówczas Monique postanowiła, że w żadnym razie nie podda się bez walki.

Bez względu na to, ile ją to będzie kosztować, zdecydowała, musi zadbać o przyszłość swojego dziecka.

## Rozdział 22

Po prostu za bardzo się przejmujesz - powiedziała Payton, wsuwając palce w kręcone włosy Antonia. Ubrana jedynie w krótki szlafroczek, siedziała na marmurowym blacie w swojej kuchni. - Pomyśl o tym, jak wiele pięknych chwil przeżywamy razem, a przecież najlepsze dopiero przed nami. Pomyśl o wszystkich eleganckich, nowych ciuchach i o tym, że już wkrótce będziesz pracować wraz ze mną w najlepszej dzielnicy miasta. Stawka jest przecież wysoka, czyż nie?

Antonio skinął głową.

- Ona w żadnym razie się nie domyśli, że to twoja robota.

- Czyja wiem? To wszystko teraz już wygląda mocno podejrzanie - odparł Antonio. - Ten numer w galerii, a potem przekręt z kwiatami dla Lydii. Carolina nie jest głupia; jestem pewien, że zaczęła coś podejrzewać. Musiała się domyślić, że to sprawka kogoś z nas.

- Być może. Ale nie ma pewności, że to ty. No i niczego nie może ci udowodnić.

- Sądzisz, że to już będzie ostatni raz? - zapytał Antonio. Payton pochyliła się i pocałowała go w usta.

- Myślę, że tak. Poza tym, potrzebuję cię u siebie - i to szybciej niż sądziłam, bo interes na dobre się już rozkręca.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odparła. - Oczywiście, kiedy odejdziesz i zaczniesz pracować u mnie, biedna Carolina już nie będzie miała wątpliwości, kto płatał jej te drobne psikusy. Tyle że nic nie będzie mogła ci zrobić. No i nie będzie wiedziała, że Mercedes - która zostanie tam jeszcze jakiś czas - również jest po naszej stronie i już się postara, by od czasu do czasu Carolinie zdarzały się przykre niespodzianki.

- Więc to na pewno ostatni raz? - upewniał się Antonio. Payton skinęła głową.

- Tak sądzę. Ale czemu tak się dopytujesz? Czyżby obleciał cię strach?

- W żadnym razie! - wykrzyknął gniewnie, szorstko chwytając ją za ramiona. - Niczego się nie boję. I zrobię to. Sama zobaczysz.

- W porządku - odrzekła, przybierając ton małej, przestraszonej dziewczynki. - Wierzę ci, Antonio.

- Nigdy nie waż się we mnie wątpić! - Przycisnął ją gwałtownie do siebie, niemal ściągając z blatu.

Payton jęknęła z podniecenia - najbardziej lubiła, gdy Antonio był rozzłoszczony

i brał ją z brutalną siłą, której większość mężczyzn nie miała odwagi okazywać.

Zaczął całować jej piersi, a potem przesuwając ustami coraz niżej - aż do ciepłego wżgórka - całując i pieszcząc każdy skrawek jej ciała. Payton wypchnęła do przodu biodra, na próżno próbując powstrzymać nadchodzący orgazm.

Antonio przerwał niespodziewanie pieszczoty, uniósł ją gwałtownie i wszedł w nią z całą siłą. Payton krzyknęła głośno - tak intensywnej rozkoszy nie przeżywała nigdy przedtem.

- Och, Antonio! Oooch! Oooch!

Jej krzyki rozpały go jeszcze bardziej i wkrótce gwałtownie eksplodował w jej wnętrzu.

Payton wodziła dłońmi po jego plecach.

- Och, kochany - zaszcebiotała. - Żaden mężczyzna nie potrafi zrobić tego tak jak ty. Nikt inny na świecie!

Antonio posadził ją z powrotem na blacie i nachylił się do jej ucha.

- Jesteśmy wyjątkowo dobraną parą, prawda? - wyszeptał - Idealną - odparła niskim, gardłowym głosem. - Wprost idealną. Przynajmniej na razie, dodała w duchu.

- Halo?

- Witaj Carolino. - W słuchawce rozległ się ciepły, męski głos. - Nie masz nic przeciwko temu, że dzwonię do ciebie do domu?

- Nie, w żadnym razie, Seth.

- Chciałem cię zapytać, czy nie wybrałabyś się ze mną na kolację. Moglibyśmy dopracować drobne szczegóły mojego przyjęcia.

- Oczywiście. Prawdę mówiąc, mam kilka pomysłów, które chciałabym z tobą przedyskutować.

- Doskonale. Co powiesz na jutrzejszy wieczór?

- Niemożliwe. Jutro zajmuję się przyjęciem w Central Park Boathouse.

- Może więc w czwartek?

- Zaczekaj moment, niech sprawdzę. - Carolina pobiegła do kuchni, gdzie zostawiła torebkę z notesem. Szybko przebiegła wzrokiem po kartkach, po czym podniosła słuchawkę w kuchni. - Czwartek mam wolny, Seth.

- Świetnie. Około ósmej?

- Około ósmej.

- Chciałem cię też zapytać o jeszcze jedną rzecz.

- O co chodzi? - spytała Carolina.



- Pomyślałem, że chętnie zaprosiłbym Richiego na tenisa w tym tygodniu. Kilku jego szkolnych kolegów na pewno będzie na korcie. Rozumiesz, wieczory ojców z synami. Może Richie miałby ochotę się przyłączyć.

- To wyjątkowo miło z twojej strony. Richie siedzi teraz przed komputerem, jeżeli chwilę poczekaś, poproszę, żeby podszedł do telefonu.

- Oczywiście.

Carolina zapukała do drzwi pokoju syna.

- Otwarte! - usłyszała w odpowiedzi.

Zajrzała do środka i dostrzegła na ekranie komputera zamykającą się stronę internetową.

- Dzwoni Seth Foster - powiedziała. - Pyta, czy nie miałbyś ochoty pograć w tenisa w tym tygodniu. Mówi, że znasz kilku chłopaków, którzy tam przychodzą.

Richie oderwał oczy od ekranu i spojrzał na matkę.

- Pograć w tenisa? A gdzie? I kto tam będzie?

- Może podniesiesz słuchawkę i sam się dowiesz - zaproponowała. - Seth jest na linii. Powiedz mi, jak skończysz rozmawiać, bo muszę zamienić z nim jeszcze parę słów.

- Dobrze. - Richie podniósł słuchawkę, a Carolina wyszła z jego pokoju.

Kilka minut później pojawił się w drzwiach sypialni.

- Skończyłem - oznajmił. - Rozłączę się, jak podniesiesz słuchawkę.

- Dziękuję, skarbie. - Podniosła słuchawkę. - Seth?

- Witaj z powrotem.

- No i co ustaliliście z Richiem?

- Powiedział, że chętnie się wybierze. Umówiliśmy się na wtorkowy wieczór.

- Świetnie - odrzekła Carolina. - Myślę, że mu to dobrze zrobi.

- Też mam taką nadzieję. Przepraszam, teraz muszę już kończyć. A więc jesteśmy umówieni? Przyjdę po ciebie w czwartek o ósmej.

- Oczywiście. Dobranoc, Seth.

Odłożyła słuchawkę, położyła się na łóżku i zapatrzyła w przestrzeń. Nie mogła się zdecydować, co czuje w związku z tym zaproszeniem, czy może raczej, co powinna czuć.

Jedno jest jednak pewne, pomyślała po chwili. Już nigdy w życiu się nie zakocham. To niemożliwe. Już nigdy nie zaufam żadnemu mężczyźnie. Dostałam dobrą nauczkę i więcej nie dam się oszukać. W żadnym razie do tego nie dopuszczę.

Następnego ranka Carolina wstała bardzo wcześnie i przyszła do kwaciarni przed wszystkimi innymi. Tego wieczoru miało się odbyć wielkie przyjęcie w Boathouse i wciąż

jeszcze czekało ją wiele pracy.

Położyła torbę na stole i postanowiła sprawdzić listę kompozycji do wykonania, by przekonać się, czy wszystko przebiega zgodnie z planem.

Cieszyła się, że jest sama - że w spokoju i ciszy może przejrzeć szkice kompozycji. Przyjęcie nie należało do tych największych - zaproszono mniej niż sto osób - ale miało być bardzo wystawne. Wyprawiał je Clifford Neal, modny guru finansistów z Wall Street, wraz ze swoją piękną żoną, Joleen. Dopiero niedawno weszli do klubu miliarderów i nie żalowali kosztów, byle tylko zrobić jak najlepsze wrażenie na nowych przyjaciółach i znajomych.

Carolina przebiegała wzrokiem listę i wykreśliła bukiety przygotowane poprzedniego dnia. A potem zaczęła przyglądać się rysunkom kompozycji, które jeszcze należało wykonać. Uśmiechnęła się lekko, gdy uświadomiła sobie, jak bardzo te jej prace na dzisiejszy wieczór różnią się od kwiatów zamawianych przez ludzi bogatych od pokoleń.

Clifforda i Joleen nie zadowalały wielkie róże i peonie. Nealowie zażyczyli sobie najrzadszych i najkosztowniejszych orchidei i to w olbrzymich ilościach. Carolina musiała złożyć zamówienia dużo wcześniej, gdyż niektóre gatunki tych kwiatów były bardzo trudne do zdobycia - miała wiele szczęście, że w ogóle udało się je sprowadzić. Prawdę mówiąc, zawdzięczała to jedynie swojej wieloletniej przyjaźni z George'ami.

Nad drzwiami rozkołysały się dzwonki i na chwilę oderwała się od notatnika.

- Witaj, Roxie! - zawołała.

- Cześć. Widzę, że już pracujesz w pocie czoła.

- Na razie sprawdzam, jak wygadają nasze przygotowania do dzisiejszego przyjęcia Nealów - wyjaśniła Carolina.

- A skoro już o przygotowaniach mowa, czy zdecydowałaś, jakie kompozycje zrobimy na kolację u Seta Fostera?

- Owszem, mam już ogólną koncepcję. Jego goście są bardzo bogaci i konserwatywni, przygotujemy więc coś niezwykle kosztownego i tradycyjnego. Kosztownego i tradycyjnego i, oczywiście, w holenderskim stylu.

- To znaczy co? - spytała Roxie. Carolina uśmiechnęła się szeroko.

- Mnóstwo tulipanów - oświadczyła.

- Żartujesz!

- Setki tulipanów, ale tych bardzo rzadkich. Olbrzymich. Niespotykanych gatunków.

- Nie wierzę własnym uszom! - Roxie nie ukrywała zaskoczenia. - Przecież ci ludzie od urodzenia oglądają tulipany!

Carolina wybuchnęła śmiechem.

- Owszem, ale nie takie, jakie zobaczą u Seta. Większość zamówionych przeze mnie gatunków nie rośnie bowiem w Holandii. Uważam, że będą wprost wymarzone i wyjątkowo odpowiednie do sytuacji.

W tym momencie ponownie zadzwieczyły dzwonki.

- Cześć! - rozległo się od drzwi.

- Witaj, Antonio - odrzekły obie jednocześnie.

- A więc, co mamy jeszcze do zrobienia na dzisiejszy wieczór? - zapytał.

- Właśnie sprawdzałam listę - odrzekła Carolina. - W zasadzie pozostały nam jedynie kompozycje na stoły. Natomiast pakowanie bukietów, które już są gotowe w chłodni, nie powinno nam zająć więcej niż pół godziny.

- Cóż, wobec tego zabieram się do działania - oświadczyła Roxie, wstając. - Te twoje wiązanek na stół są niezwykle pracochłonne.

- A to mi nowość! - rzucił sarkastycznie Antonio.

- Wiem, wiem - powiedziała Carolina - ale Nealom zależało na czymś naprawdę wymyślnym.

- Tak, ale uważam, że to już gruba przesada - oświadczyła Roxie i sięgnęła po płaską wazę. - Chcesz tę dla siebie, Antonio?

- Dzięki - odrzekł, biorąc naczynie z rąk dziewczyny, po czym podniósł się, by z pobliskiej szafki wyjąć potrzebne mu akcesoria.

Roxie przygotowała drugą misę dla siebie i poszła do chłodni po orchidee.

- Oooch! Mój Boże! - wykrzyknęła nagle i wypuściła z rąk wazę, która z hukiem upadła na podłogę.

- Co jest, do diabła? - Antonio podbiegł do Roxie, po czym stanął jak wryty przed dużą szybą. - Jezus, Carolino! - jęknął w końcu.

- Co się dzieje?

Zaniepokojona Carolina podbiegła do szklanych drzwi i ugięły się pod nią kolana.

Wszystkie kwiaty, łącznie z najrzadszymi orchideami zamówionymi specjalnie na ten wieczór, były zwiędnięte. Wnętrze chłodni przypominało makabryczne *tableau morte*, złożone z pomarszczonych, zwiotczałych liści i płatków.

Carolina jęknęła głośno, po czym z trzaskiem rzuciła szkicownik.

- Co tu się stało? - wykrzyknęła, przenosząc wzrok z Antonia na Roxie, a potem znów na martwe kwiaty w chłodni. - Tysiące dolarów wyrzucone w błoto. Grube tysiące! A najgorsze, że zostaliśmy bez kwiatów na dzisiejszy wieczór! - Miała ochotę krzyczeć i płakać, ale jakoś zdołała się opanować. - Do diaska! - wykrzyknęła. - Chcę wiedzieć, o co

w tym wszystkim chodzi!

Roxie, z przerażoną twarzą, jedynie wzruszyła ramionami, jakby rozwój wypadków przekraczał całkowicie jej zdolność pojmowania. Antonio tymczasem postanowił działać.

- Sprawdź, czy przypadkiem wtyczka nie wypadła z kontaktu - powiedział, przechodząc na tyły chłodni.

Carolina ruszyła za nim.

- To zupełnie wykluczone - oświadczyła. - Wtyczka jest w takim miejscu, że nikt nie mógłby jej wyciągnąć przez przypadek.

Pochylony przy kontakcie Antonio podniósł głowę i spojrzał Carolinie w oczy.

- Rzeczywiście, z kontaktem wszystko w porządku.

- Zajrzę do szafki z bezpiecznikami - odezwała się Roxie i przeszła do niewielkiego holu. Otworzyła drzwiczki skrzynki, po czym wykrzyknęła w stronę Caroliny i Antonia. - Chodźcie i sami zobaczcie! Wskoczył bezpiecznik chłodni!

Carolina przyglądała się bezpiecznikowi przez chwilę, po czym ponownie go włączyła. Chłodnia natychmiast zaczęła działać.

- Nie wierzę własnym oczom - oznajmiła po chwili lodowatym tonem. - Przez wszystkie lata mojej pracy nic podobnego nigdy się nie wydarzyło.

- Może w nocy doszło do jakiegoś spięcia? - podsunął usłudźnie Antonio.

Carolina wróciła na zaplecze kwaciarni, po drodze raz jeszcze rzucając okiem na zawartość chłodni.

- Teraz przede wszystkim siadam do telefonu - powiedziała. - Po pierwsze, muszę zawiadomić Joleen Neal o tym, co się stało. Potem zaś obdzwonię wszystkich George'ów, aby zobaczyć, co uda mi się zdobyć. Oczywiście, o ile pani Neal jeszcze będzie chciała skorzystać z naszych usług.

- To absolutnie niemożliwe, żebyś dziś dostała to, co tu przepadło - wtrącił niefortunnie Antonio.

- Czy sądzisz, że o tym nie wiem? - odparła ze złością Carolina. Antonio posłał jej wrogie spojrzenie.

- Słuchaj, nie musisz się na mnie wyżywać. Ostatecznie w każdej chwili mogę stąd wyjść, jeśli coś ci się nie podoba. Zobaczmy, jak sobie dasz radę beze mnie.

- Wiesz, Antonio, może rzeczywiście będzie najlepiej, jeśli stąd wyjdiesz - zdecydowała Carolina. - Już od jakiegoś czasu mam po dziurki w nosie twoich fanaberii.

Antonio mruknął cicho jakieś przekleństwo, po czym podszedł do stołu, by zabrać swoje narzędzia oraz portfolio z własnymi kompozycjami.

- Odnoszę też wrażenie, że niespecjalnie cię obchodzi to, co tu się ostatnio dzieje - dorzuciła Carolina. - I co najgorsze, ilekroć dzieje się jakaś katastrofa, ty jesteś w pobliżu.

- Czyżbyś próbowała mnie o coś oskarżyć?! - wrzasnęła z poczerwieniałą z furii twarzą.  
- Jak śmiesz!

- Sama nie wiem! - odparła ostro. - Doprawdy sama nie wiem. Niemniej zdecydowanie poczułabym się dużo lepiej, gdybyś mógł mnie zapewnić, że nie miałeś z tym nic wspólnego.

- Ty wredna suko! - Chwycił plecak i ruszył w stronę wyjścia, ale jeszcze się odwrócił i posłał jej wściekłe spojrzenie. - Już nigdy w życiu nie licz na moją pomoc! - wykrzyknął i jak oparzony wypadł za drzwi, zamykając je za sobą z głośnym trzaskiem.

Carolina weszła do holu, zrzuciła szpilki z nóg i zostawiła je dokładnie tam, gdzie wylądowały. Boso przeszła do kuchni, cisnęła torbę i wieczorową torebkę na stół, po czym otworzyła drzwi lodówki, gdzie stała otwarta butelka białego wina. Nalała sobie pełen kieliszek, wypła potężny haust, po czym znów nalała sobie do pełna i z kieliszkiem w ręku poszła do sypialni.

Usiadła na łóżku i zaczęła masować obolałe stopy.

Nie przeżyję jeszcze jednego takiego dnia, jęknęła w duchu. To absolutnie ponad moje siły.

Udało jej się wybłagać u George'ow wystarczającą ilość egzotycznych kwiatów na przyjęcie w Boathouse, choć - jak to określiła Joleen Neal - były „zaledwie zadowalające”. Wraz z Roxie i dwójką pomocników, których zatrudniała dorywczo, zrobili wszystkie kompozycje i udekorowali salę. Carolina miała jednak świadomość, że Nealowie już nigdy nie złożą u niej zamówienia ani nie polecą jej nikomu ze swoich znajomych. Podobnie jak Lydia nie uznawali nic poniżej perfekcji. Lydia co prawda zgodziła się dać jej jeszcze jedną szansę, lecz raczej nie należało się spodziewać, by Nealowie postąpili podobnie.

Carolina zaczęła się zastanawiać, czy Antonio jeszcze pojawi się w kwaciarni. Szybko jednak zdecydowała, że nawet gdyby przyszedł, podziękuję mu za współpracę. Od jakiegoś czasu miała w stosunku do niego niejasne podejrzenia, choć wciąż nie mogła uwierzyć, że okazał się tak wielkim zdrajcą.

To koniec pewnego etapu, uznała z przygnębieniem. Antonio tak długo u mnie pracował - będzie mi go brakowało. Mimo demonstrowanej przezeń pozy latynoskiego *macho*, Carolina szczerze go lubiła.

Tyle zmian w moim życiu, pomyślała smętnie. Tyle tak bardzo smutnych zmian.

## Rozdział 23

Carolina siedziała oszołomiona w skórzanym fotelu w garderobie, gdy dobiegł ją dźwięk telefonu. Trzy dzwonki. Cztery. Sześć. Nie miała ochoty na rozmowę z kimkolwiek, ani z przyjacielem, ani z wrogiem. Już wczorajszego wieczoru, po przyjęciu Nealów, czuła się wyczerpana; dzisiaj miała wrażenie, że cały świat wali jej się na głowę.

W pracy starała się ukrywać przed Roxie swój stan i miała wrażenie, że jej się udało. Richie został na noc u Adlerów, Carolina była więc teraz sama w domu.

Coś miałam jeszcze dziś zrobić, powtarzała sennie. Miałam zrobić coś ważnego. Ale nie mogła sobie przypomnieć, o co chodzi i po pewnym czasie odsunęła tę myśl.

Rozebrała się, włożyła swoje ulubione, jedwabne kimono i wypila resztę wina z poprzedniego wieczoru. Wino, wraz z Valium, które połknęła zaraz po przyjściu do domu, powinno pomóc jej zasnąć kamiennym snem.

Podniosła się z fotela i z kryształowym kieliszkiem w dłoni poszła do kuchni, aby otworzyć następną butelkę. Szybko napełniła kieliszek, po czym znalazła w kieszeni kimona fiolkę Valium i wytrząsnęła na dłoń kilka tabletek. Nie była pewna, ile dokładnie - wrzuciła je wszystkie do ust i popiła potężnym łykiem alkoholu.

Jestem taka zmęczona, pomyślała półprzytomnie. Tak bardzo zmęczona.

Weszła do salonu i ciężko opadła na sofę. Ściskając mocno kieliszek w dłoni, wypiła wino, po czym ułożyła się wygodnie, podkładając pod głowę poduszkę. Skierowała wzrok na obraz wiszący na przeciwległej ścianie, a wówczas zdała sobie sprawę, że wszystkie barwy zlewają się w jedną plamę. Próbowwała się skoncentrować, jednak na próżno.

Chwilę później głowa opadła jej bezwładnie, a kieliszek wysunął się z dłoni i z trzaskiem uderzył o podłogę, ale Carolina już nie zdawała sobie z tego sprawy, całkowicie oszołomiona alkoholem i lekarstwem.

Seth po raz kolejny nacisnął guzik domofonu, zdumiony brakiem reakcji Caroliny. Zdecydowanie nie należała do kobiet, które zapominają o umówionych spotkaniach.

Gdy po kolejnej próbie nadal się nie odzywała, doszedł do wniosku, że może bierze prysznic lub włączyła suszarkę do włosów i po prostu nie słyszy dzwonka.

Zerknął na zegarek i postanowił odczekać pięć minut. Wyszedł na ulicę i rozejrzał się uważnie w nadziei, że może Caroline coś zatrzymało w pracy i zaraz ujrzy ją śpieszącą do domu. Ale ulica była całkiem pusta.

Po kilku minutach jeszcze raz nacisnął guzik domofonu i znowu nie doczekał się

odpowiedzi. Wyjął telefon i zadzwonił do kwaciarni - odpowiedziała jednak automatyczna sekretarka. Rozłączył się, nie zostawiwszy wiadomości, i wybrał numer domowy Caroliny. Nadał nic.

Teraz już ogarnął go niepokój. Co prawda mogło się wydawać, że Carolina pogodziła się ze śmiercią męża i dobrze sobie radzi w życiu, Seth nie miał jednak wątpliwości, że to tylko pozory.

W końcu, zdeterminowany, przywarł dłonią do domofonu, naciskając kilka guzików jednocześnie, przekonany, że któryś z mieszkańców w końcu wpuści go do windy.

I rzeczywiście, ktoś to wreszcie zrobił, nawet nie pytając, kto tam. Seth szybko wskoczył do windy i nacisnął guzik siódmego piętra, zastanawiając się gorączkowo, co zrobi, gdy dojedzie na miejsce. Przecież jeśli nawet Carolina jest w domu, to na pewno zablokowała windę.

Tymczasem na siódmym piętrze drzwi windy rozsunęły się natychmiast. Seth poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Jeśli drzwi nie są zablokowane, to może doszło do włamania czy napadu...

Jak burza wpadł do holu wejściowego.

- Carolino? Carolino!

Żadnej odpowiedzi. Ruszył dalej i wówczas ujrzał ją leżącą na sofie w salonie. Ramię zwisało jej bezwładnie, a obok na podłodze leżał roztraskany kieliszek do wina.

- O mój Boże! - wykrzyknął Seth i podbiegł do Caroliny.

Leżała nieruchomo. Jedwabne kimono, luźno zawiązane w pasie, rozchyliło się nieco, odsłaniając piersi.

Miała wilgotne włosy i rozmazany makijaż.

Wygląda jak zepsuta lalka, pomyślał ze współczuciem. Ukłękął obok niej, by sprawdzić, czy oddycha. Na szczęście co do tego nie mogło być wątpliwości. Carolina po prostu spała bardzo głębokim snem. Obok potłuczonego kieliszka leżała jakaś fiołka z lekarstwem. Seth spojrzął na etykietkę. Valium. Wino i tabletki uspokajające. Oby tylko nie przedawkowała!

- Carolino - odezwał się cicho, żeby jej nie przestraszyć. - Carolino. To ja, Seth. Obudź się, proszę.

Gdy nie zareagowała, potrząsnął nią delikatnie.

- Carolino, obudź się.

Jęknęła ledwo dosłyszalnie, próbując wyrwać ramię z jego dłoni.

- No, już, Carolino, musisz się podnieść. - Tym razem potrząsnął nią mocniej.

Ponownie jęknęła i otworzyła oczy. Natychmiast jednak zamknęła je z powrotem, oślepiąca światłem kinkietów.

- Muszę zadzwonić - wymamrotała. Wolno podniosła rękę i przesłoniła dłonią oczy. - Muszę zadzwonić.

- Carolino! - Set nadal nią potrząsał. - Obudź się. Musisz wstać. Nie wolno ci teraz zasnąć.

Uchyliła powieki i spojrzała w jego stronę, powoli odzyskując świadomość i próbując skoncentrować na nim uwagę.

- Och... och... Seth... Co... Jak...

- Chodź, Carolino, pomogę ci wstać. - Chwycił ją pod ramiona i zaczął podnosić z sofy.

- Puść mnie, proszę - wyjęczała, gdy udało jej się stanąć w miarę prosto. - Już wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

Nie wypuścił jej z objęć i skierował się w stronę kuchni.

- No, już, Carolino, pospacerujemy chwilę, dobrze?

- Nie, Seth. Proszę. Już dobrze się czuję.

Zrozumiał, że rzeczywiście częściowo doszła do siebie, gdy lekko wyszarpnęła się z jego ramion i sama ruszyła przez pokój. Na wszelki wypadek jednak postępował za nią krok w krok.

- Czy napiłbyś się kawy? - spytała. - A może wolałbyś kieliszek wina?

- Dziękuję, kawa to doskonały pomysł.

Usiedli przy stole w jadalni, popijając świeżo zaparzoną mocną kawę. Seth z ulgą zauważył, że Carolina znacznie się ożywiła - ich rozmowa toczyła się teraz tak, jakby nigdy nic się nie stało.

- Po prostu trochę za dużo wypijałam - tłumaczyła się nieco zawstydzona. - Ostatnio nie najlepiej sypiam, pomyślałam więc, że odrobina wina w kombinacji z valium pozwoli mi zasnąć. Tyle że nieco przesadziłam. Ale to nic poważnego.

Seth zauważył, że Carolina unika jego wzroku. Może czuła się zażenowana, a może nie była z nim szczerą. Jedno natomiast nie ulegało wątpliwości: ta kobieta potrzebuje pomocy.

- Przyznaję, że nieźle mnie nastraszyłaś - powiedział po chwili. - Wiem, że zapomnianie o umówionych spotkaniach nie należy do twoich obyczajów.

- Ale jak właściwie się tutaj dostałaś? - zapytała, zdumiona, że dopiero teraz o tym pomyślała.



- Nacisnąłem wszystkie guziki domofonu i ktoś mnie wpuścił do środka. A gdy dojechałem do twojego apartamentu, drzwi się rozsunęły. Zapomniałaś je zablokować.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć. Jeszcze nigdy w życiu mi się to nie zdarzyło!

Jak zaproponować pomoc, aby nie urazić Caroliny?, rozmyślał gorączkowo Seth. Przecież dzisiejszy wieczór mógł się skończyć tragicznie!

- Ostatnio przeżywałaś ciężkie chwile - zaczął ostrożnie - nic więc dziwnego, że jesteś nieco rozkojarzona. Śmierć męża musiała być dla ciebie ogromnym ciosem. Wiem też, że masz pewne kłopoty w kwaciarni. Zapewne nie powinienem wtykać nosa w nie swoje sprawy, pozwolę sobie jednak zauważyć, że ostatnio zapracowujesz się na śmierć. I... choć oczywiście nie jestem ekspertem w tej dziedzinie - ciągnął cichym głosem - uważam, że tłumisz w sobie wiele bólu i cierpienia. Przecież nie miałaś ani chwili na rozpacz, Carolino.

Spojrzała na niego znad filizanki.

On chce jak najlepiej, pomyślała. I naprawdę chodzi mu o moje dobro. Tyle że nie wie nawet o połowie nieszczęść, które ostatnio na mnie spadły.

W końcu postanowiła mu się zwierzyć i nagle słowa same popłynęły z jej ust. Opowiadała o zdradzie Lyona, o jego kochance i dziecku w Amsterdamie. O wielkim rozczarowaniu, jakie przeżyła, gdy mąż okazał się zupełnie innym człowiekiem niż ten, za którego go uważała. Mówiła o gierkach Lelanda. O krucjacie przeciwko Monique Lehnert.

I o wszystkich niepowodzeniach w sklepie, choć o niektórych, oczywiście, już wcześniej słyszał.

Kiedy skończyła, Seth gwizdnął cicho przez zęby.

- Przez ostatnie parę miesięcy życie rzeczywiście cię nie oszczędzało - stwierdził. - Nic dziwnego, że powoli... się załamujesz. Problem w tym, że wydaje ci się, iż jesteś zdana tylko na siebie, a to nieprawda, Caroline Nie musisz ze wszystkim radzić sobie sama.

- Posłuchaj, Seth, jestem trzydziestopięcioletnią energiczną kobietą, która samodzielnie zbudowała i przez lata prowadziła własną firmę, właściwie samotnie wychowała syna, więc chyba potrafię radzić sobie w życiu. - W jej głosie pojawiła się nuta wyzwania, przede wszystkim dlatego, że nigdy nie myślała o sobie jako o kobiecie, która mogłaby się załamać.

- Jesteś kobietą, która niedawno straciła męża, Caroline I na dodatek tuż po jego śmierci dowiedziała się, że prowadził podwójne życie. A dziś siedziałaś w domu samotnie, popijając tabletki uspokajające winem. W przeszłości niewątpliwie świetnie sobie radziłaś z problemami, może jednak teraz nadszedł czas, by ktoś ci zaczął pomagać. Często wystarczy poprosić o pomoc przyjaciół czy choćby zwierzyć się z kłopotów. Lub nawet zwrócić się do

terapeuty.

Carolina zdecydowanie pokręciła głową.

- Jestem przekonana, że nie potrzebuję psychologa.

- A czy pomyślałaś o Richiem? Jak poczułby się twój syn, gdyby się dowiedział, co zaszło dzisiaj wieczoru?

Carolina gwałtownie pobladła i zacisnęła dłoń.

- On już stracił ojca - ciągnął Seth. - Co się stanie, gdy i ty przestaniesz być dla niego oparciem?

Łzy napłynęły jej do oczu i szybko pochyliła głowę, jakby zawstydzona.

- Masz wciąż tak wiele powodów, by cieszyć się życiem, Caroline. Jedynie ktoś ci musi pomóc dostrzec te rzeczy. Jestem przekonany, że Roxie jest ci bardzo oddana, ja również należę do dobrych słuchaczy. A zapewne znajdują się i inni.

Podał jej chusteczkę, Carolina otarła łzy i wydmuchała nos.

- Spójrz na mnie - poprosił Set, chwytając ją za rękę. Podniosła na niego oczy.

- Pozwól mi sobie pomóc. Ja cię nigdy nie zranię. Obiecuję.

W tym momencie wierzyła w każde jego słowo, chociaż jeszcze przed kilkoma dniami przysięgała sobie, że już nigdy nie zaufa żadnemu mężczyźnie. Powoli skinęła głową.

- Dziękuję, Seth. Spróbuję. Uśmiechnął się i potrząsnął jej dłońmi.

- Zastanawiam się, czy nie zechciałabyś mi jeszcze czegoś obiecać...

- Czego?

- Nie spodoba ci się to, co zaraz powiem - zastrzegł się szybko. - Ale chodzi mi o to, żebyś już nigdy więcej nie mieszała Valium z jakimkolwiek alkoholem.

- Zaraz wyrzucę te tabletki - odparła, podnosząc się od stołu. - Możesz nawet być tego świadkiem, jeśli chcesz.

Poszła do toalety, opróżniła fiolkę nad ubikacją i spuściła wodę.

- No i już koniec - powiedziała, uśmiechając się lekko.

- Myślę, że to doskonały początek - odrzekł Seth.

Mam nadzieję, że początek czegoś absolutnie niezwykłego, dodał w duchu.

## Rozdział 24

Czy Antonio próbował się z nami skontaktować? - zainteresowała się Carolina następnego ranka po przyjeździe do kwiaciarni. Roxie potrząsnęła głową.

- Nie, więc ja zadzwoniłam do niego wczoraj wieczorem. Carolina ze zdumieniem spojrzała na przyjaciółkę.

- I udało ci się go złapać?

- A i owszem. Obawiam się jednak, że nie spodoba ci się to, co od niego usłyszałam. Antonio będzie teraz pracował u Payton Fitzsimmons. Prawdę powiedziawszy, nie mówił o niczym innym. Chwalił się też, że mają z Payton gorący romans i że wreszcie zaczną zarabiać duże pieniądze.

Caroline zmroziła ta wiadomość.

- A więc przeszedł do konkurencji - powiedziała w końcu. - Cóż, w zasadzie nie powinno nas to dziwić. Ale wiesz co, Roxie?

- Co?

- Mam wrażenie, że tym posunięciem Payton Fitzsimmons otwarcie wypowiedziała nam wojnę.

- To jasne.

- A jak to się mówi? W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki są dozwolone.

Roxie z zaciekawieniem spojrzała na swoją szefową.

- Co masz na myśli?

- Zwalczanie przeciwnika jego własną bronią; a w każdym razie podobną - wyjaśniła Carolina. - Mam już dość występowania w roli ofiary.

- Super. Tylko jak zamierzasz tego dokonać? Nie uwierzę, że znizysz się do poziomu tej zdziry. Teraz, gdy już łuski opadły mi z oczu, nie mam najmniejszych wątpliwości, że to Antonio, w zмовie z Payton, niszczył naszą pracę. Jak na to odpowiemy?

Carolina przez chwilę spoglądała na przyjaciółkę w milczeniu.

- Pamiętasz Erikę Rogers, tę specjalistkę od *public relations*, która kilka miesięcy temu chciała, żebym ją zatrudniła, obiecując, że zwiększy zainteresowanie prasy naszą kwiaciarnią?

- Jasne - odrzekła Roxie. - Ale ty nie musiałaś jej zatrudniać. Redaktorzy magazynów bez przerwy do ciebie wydzwaniali. Zresztą nadal wydzwanają. Nie potrzebujemy rzecznika prasowego.

- Teraz potrzebuję - zdecydowała Carolina. - Zamierzam zatrudnić ją na parę miesięcy, by zadbała o artykuły w prasie i to o artykuły bardzo określonej treści.

- A mianowicie?

- Och, na przykład coś w rodzaju opowieści, jak to Antonio, uprzednio pracujący dla Caroliny, odszedł do Payton Fitzsimmons z powodu gorącego romansu, jaki się między nimi nawiązał, z jednoczesnym naciskiem na fakt, że Carolina i tak zamierzała go zwolnić, ponieważ dziwnym trafem w jej kwaciarni zaczęły się problemy, gdy tenże Antonio poznał pannę Fitzsimmons. I jak ci się to podoba?

- Doskonały pomysł - zawyrokowała Roxie. - Prasa nie będzie posiadała się z radości, gdy dostanie pasjonujący materiał o Payton, a przy okazji nic nie będzie jednoznacznie wskazywać, że te informacje pochodzą akurat od nas.

- Właśnie - odrzekła Carolina. - Zapewne użyją tych swoich wyświechtanych frazesów w rodzaju: „Jak donoszą nasze zaufane źródła...” lub: „ostatnio krążą pogłoski, że...”.

Dziewczyna spojrzała na nią z uznaniem.

- Wiesz, dzisiaj jesteś zupełnie inną kobietą - stwierdziła.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Trudno to określić... Jakby wstąpiły w ciebie nowe siły. Ostatnio byłeś bardzo przygnębiona. To, oczywiście, zrozumiałe, ale już zaczynałam się poważnie martwić. W tej chwili o wiele bardziej przypominasz dawną Caroline.

- Cóż... wczoraj dużo zastanawiałam się nad swoim życiem i doszłam do wniosku, że... że potrzebuję pomocy. Nie muszę przecież przez to wszystko przechodzić sama - a tak wiele się wydarzyło.

Roxie położyła dłoń na dłoni przyjaciółki.

- Posłuchaj, Carolino, wiesz przecież, że na mnie zawsze możesz liczyć.

Tego ranka, przy pracy, Carolina zwierzała się Roxie ze swoich kłopotów, a gdy skończyła, poczuła się tak, jakby ktoś zdjął jej z ramion niewyobrażalny ciężar.

- Poza telefonem do Eriki Rogers, czeka nas jeszcze jedna ważna sprawa - powiedziała na koniec, przechodząc z powrotem do spraw związanych z kwaciarnią.

- Masz na myśli znalezienie kogoś na miejsce Antonia? Carolina skinęła głową.

- Może przez jakiś czas Mercedes mogłaby nam pomagać? - zaproponowała Roxie.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł. Nie zapominaj, że ona w pewnym sensie też zadała mi cios w plecy. Ostatecznie to Mercedes wyskoczyła z tym zobowiązaniem, które Lyon jej rzekomo podyktował.

- Naprawdę sądzisz, że są w zмовie? Przecież nie miałyby w tym żadnego interesu.

- Jeżeli porozumiała się z Lelandem, to niewątpliwie ma w tym interes - odparła Carolina.

- Ależ ze mnie idiotka! - wykrzyknęła Roxie. - Masz rację. Nie chcemy tutaj Mercedes.

- Ostatecznie jest wielu florystów pracujących na zlecenie - zauważyła Carolina. - Chyba jakoś zdołamy się przemęczyć.

W tym momencie zadzwonił telefon.

- Carolina.

- Cześć, mówi Seth.

- O, Seth! Jak się miewasz?

- Wspaniale. Interesuje mnie natomiast jak ty się miewasz?

- Lepiej. Prawdę powiedziawszy, dużo, dużo lepiej.

- To doskonale. Słuchaj, czy nie wybrałabyś się ze mną na koktajl? Moglibyśmy wreszcie omówić szczegóły mojego przyjęcia, a potem pójść na obiad. Co ty na to?

- A gdzie ma się odbyć ten koktajl?

- U Roberta i Evangeline Smithsonów.

- Ja... to znaczy... - Zupełnie nie wiedziała, jak się zachować.

- Smithsonowie mogą się okazać dla ciebie bardzo cennym kontaktem, podobnie jak wielu ich gości. To zazwyczaj członkowie zarządów muzeów i rozmaitych fundacji. Poza tym zgadnij, u kogo zamówili kwiaty?

- Niech pomyślę... u Payton Fitzsimmons?

- Tak jest. Zdaję sobie sprawę, że to jak wyprawa do jaskini lwa, ale mogłabyś się na własne oczy przekonać, co ona ma do zaoferowania swoim klientom. Chociaż, oczywiście, najważniejsze są kontakty. Bardzo prawdopodobne, że mogłabyś jej sprzątnąć kilku klientów sprzed nosa... - Urwał na moment. - Posłuchaj, zrobimy tak - odezwał się po chwili. - Zadzwonię do ciebie za parę godzin i wówczas dasz mi odpowiedź.

- W porządku, Seth. A więc do usłyszenia. Powoli odłożyła słuchawkę.

- Seth Foster gdzieś cię zaprosił? - Roxie nie ukrywała entuzjazmu.

- Tak. Na koktajl do Smithsonów. Payton Fitzsimmons przygotowuje kwiaty.

- I natychmiast nie powiedziałaś, że się zgadzasz? - Roxie westchnęła dramatycznie. - Carolino, ty naprawdę masz coś nie tak z głową. To najmiłszy mężczyzna na świecie. Spotkanie z nim świetnie by ci zrobiło.

- Czuję się dziwnie na myśl o pójściu z innym mężczyzną na przyjęcie w tak niedługim czasie po śmierci Lyonsa. Nawet jeśli to spotkanie w interesach.

- A co masz do stracenia? - Roxie nie dawała za wygraną. - Przecież wiesz, że Sethowi możesz zaufać. Poza tym trafia się doskonała okazja pozyskania nowych klientów i to kosztem Payton! - Chwyliła mocno Caroline za rękę i spojrzała jej prosto w oczy. - Lyona nie ma i już nic go nie wróci. Ty zaś nie możesz pogrzebać się za życia, musisz się cieszyć każdą chwilą.

Carolina spojrzała na nią w zamyśleniu.

- Chyba masz rację - powiedziała w końcu. - Gdy Seth oddzwoni, powiem, że pójde z przyjemnością.

- Grzeczna dziewczynka. Może więc teraz zatelefonujesz do Eriki i puścisz maszynę w ruch?

- To dobry pomysł, Roxie.

- Jak było na tenisie? - Carolina oderwała się od telewizyjnych wiadomości i zwróciła w stronę syna, który właśnie wszedł do salonu.

- Okay - mruknął, rzucając torbę na podłogę.

- Tylko „okay”?

Richie rozparł się w fotelu, nie patrząc na matkę. Miał na głowie baseballówkę, jak zawsze włożoną tył na przód.

- No wiesz... - odezwał się po chwili. - Ostatecznie to tylko tenis. Nic szczególnie odjazdowego, nie?

- Ach, tak - rzuciła rozczarowana, że nie bawił się najlepiej.

- Choć przyznaję, że on nie traktuje mnie jak dupka.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Nie daje forów ani nie robi z siebie idioty, żeby poprawić mi humor. No wiesz, nie robi nic pod tytułem: „Biedny dzieciak, właśnie stracił ojca, trzeba go pocieszyć”.

- Cieszę się, że tak postępuje - odrzekła spokojnym tonem Carolina, choć coś ścisnęło ją za serce. - Myślę, że na szczęście nie należy do tego typu ludzi.

- Do jakiego typu?

- Takiego, jaki właśnie opisałeś. Nie jest człowiekiem, który za wszelką cenę chciałby się komuś przypodobać.

- Owszem. Nie należy do takich palantów.

- Osobiście uważam, że w ogóle nie należy do palantów.

- Jesteś nim zainteresowana? - spytał, wystukując trampkiem o podłogę jakiś szybki rytm.

Carolina spojrzała na syna w osłupieniu.

- Słucham? Co przez to rozumiesz?

- No, wiesz... Czy chciałabyś z nim chodzić na randki?

- Richie, ja w ogóle nie jestem w tej chwili zainteresowana randkami.

- Czy to z powodu taty? - zapytał.

- Jak to: „z powodu taty”?

- No... to znaczy, czy nie jesteś zainteresowana mężczyznami z powodu tego, co zrobił tata? Dlatego, że miał tę drugą kobietę? Ostatecznie byłem na odczytaniu testamentu i nie jestem idiotą. Przeglądałem też dokumenty, które zostawił wujek Matt. Widziałem zdjęcia i w ogóle.

Caroline ogarnęła panika. Co powinna odpowiedzieć na takie pytanie? Jak w ogóle ma przedstawić tego typu sytuację swojemu szesnastoletniemu synowi? Ona może pogardzać Lyonem z powodu jego zachowania, ale nie wolno jej doprowadzić do tego, by Richie zaczął nienawidzić ojca.

Gdy milczała przez dłuższy czas, Richie rzucił w jej stronę:

- Wszystko leżało na wierzchu, to przejrzałem. Słuchaj, ja też mam swoje prawa.

Carolina poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Nie chciałam ci tego pokazywać, bo pragnęłam, żebyś pamiętał wszystko, co najlepsze.

- I pamiętam. Ale to nie jest pełny obraz, prawda?

- Tylko że... tamto w Holandii... to znaczy... - Urwała, bo nie mogła znaleźć odpowiednich słów. - Richie, wybacz - podjęła po chwili - nie mam ochoty w tej chwili rozmawiać na ten temat. Ta cała sprawa... bardzo mnie przygnębiła. Wciąż trudno mi o tym mówić.

- Słuchaj, to nie jest wyłącznie twój problem - odparł gniewnym tonem. - Nie tylko ciebie dotyczy ta historia.

- Och, wiem, synku. Oczywiście. - Próbowwała chwycić go za rękę, ale gwałtownie się odsunął. - Proszę cię, Richie. Wiem, że to także dotyczy ciebie, ale wciąż jeszcze nie mam pojęcia, jak powinnam się zachować.

- Cóż, mam. Tylko przez moment się nad tym zastanów.

- Nad czym, kochanie? - spytała, ocierając łzy dłonią.

- Mam siostrzyczkę - odrzekł z uśmiechem i Carolina natychmiast sobie przypomniała, jak zawsze marzył o młodszej siostrze. - Która na dodatek jest do mnie kubek w kubek podobna - dorzucił po chwili.

## Rozdział 25

Monique miała ochotę trzasnąć telefonem o ścianę, jednak ostatnim wysiłkiem woli zdołała się opanować. Musi wysłuchać starego pana Webera, nawet gdy mówi jej rzeczy, których wolałaby nie usłyszeć. On przecież był po jej stronie - jedyny na całym świecie.

- Musi pani zrozumieć, pani Lehnert, te sprawy wymagają czasu. A ja, mimo najszczerzej chęci, nie mogę przyspieszyć ich biegu.

- Ale z czego ja mam tymczasem żyć?! - wykrzyknęła gniewnie - Mam się żywić powietrzem? - Zamilkła na moment, by się uspokoić. - Panie Weber, przepraszam, że się uniosłam, ale do tej pory Lyon dbał o potrzeby moje i dziecka. Nie musiałam pracować. A pan teraz mnie zawiadamia, że ta kobieta zamierza mi odebrać dom i samochód. Nie dość, że podważa testament, to jeszcze chce mnie pozbawić podstawowych środków egzystencji! Póki to wszystko się nie wyjaśni, nie mogę nawet podjąć pieniędzy z banku!

Pomimo wszelkich wysiłków znowu mimowolnie podniosła głos.

- Nie mogę korzystać z karty kredytowej, bo mijają zablokowali! Może więc pan mi powie, panie Weber, co mam zrobić w takiej sytuacji? Umrzeć z głodu? Zagłodzić własne dziecko? Jego dziecko?!

- Pani Lehnert, bardzo proszę, żeby się pani uspokoiła - przerwał prawnik cierpliwym tonem. - Krzykami i histerią niczego nie zwojujemy. Po pierwsze, na razie nie mogą usunąć pani z mieszkania ani odebrać samochodu. Przykro mi z powodu kont bankowych i kart kredytowych, ale niestety były one wystawione jedynie na nazwisko Lyona. Ich prawnik zamroził wszystkie jego aktywa, a my nie możemy nic na to poradzić. Takie jest prawo i dopóki sąd nie postanowi inaczej, banki nic nie mogą wypłacić. Proszę też spojrzeć na dobrą stronę - przynajmniej ma pani dach nad głową i środek transportu.

- Dość marna to pociecha.

- Osobiście doradzałbym podjęcie tymczasowej pracy lub porozumienie się z opieką społeczną. Przeprowadzenie prawnych działań może bowiem jeszcze potrwać przez jakiś czas.

Monique westchnęła ciężko i odgarnęła włosy z twarzy.

- Dobrze, panie Weber. Chciałabym jedynie, aby ta kobieta ze Stanów miała całkowitą świadomość, że zamierzam walczyć z nią do upadłego. Samotnie wychowuję dziecko Lyona, a on, życzył sobie, żebyśmy byli finansowo zabezpieczeni. Proszę, by pan jej to dokładnie uświadomił. I czekam na telefon, gdy tylko będzie pan miał jakieś wiadomości.



- Oczywiście, pani Lehnert. Życzę miłego dnia.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na kanał rozpościerający się za przesuwanymi, szklanymi drzwiami. Dzień był wilgotny i ponury, niemal przygnębiający. W wodzie koloru stali odbijało się łupkowoszare niebo.

Monique odwróciła się od okna i weszła do sypialni, gdzie Anja właśnie drzemała. Wzięła z toaletki zdjęcie przedstawiające ją i Lyona. Zostało zrobione wkrótce potem, jak się poznali. Oboje uśmiechali się na nim radośnie, patrząc prosto w obiektyw, a Lyon obejmował ją w pasie.

Łzy napłynęły jej do oczu i szybko wyszła z sypialni, by swoim płaczem nie obudzić córki. Od tygodni prawie ciągle płakała. Tak bardzo brakowało jej Lyona! Często wydawało jej się, że widzi go idącego wzdłuż kanału lub siedzącego w tramwaju. Pewnego razu natomiast, gdy z Anją karmiły łabędzie, była pewna, że to on biegł po parku.

Mimo że próbowała, nie mogła się na niego gniewać. To prawda, Lyon nie kwapił się do rozwodu. Oczywiście, powinien był zapisać dom i samochód na jej nazwisko i założyć wspólne konto - ale mimo że tego nie zrobił, nie potrafiła złościć się czy kochać go za to mniej.

Ostatecznie, kto mógł przypuszczać, że odejdzie tak młodo? Przecież tryskał zdrowiem i energią, był świetnie zbudowany, wyjątkowo przystojny. Monique wciąż nie mogła uwierzyć w jego śmierć. Nie mogła uwierzyć, że została sama z dzieckiem, które właśnie zaczęło płakać w sąsiednim pokoju.

Szybko weszła do sypialni i chwyciła Anję w ramiona.

- No, już, córeczko. Wszystko w porządku. Wszystko będzie dobrze - odezwała się łagodnym głosem.

Chociaż Anja była dość ciężka, Monique przeniosła ją do salonu i usiadła z córką w bujanym fotelu.

- Nie płacz, kochanie - powiedziała, gładząc dziecko po ciemnobrązowych włosach. - Mamusia jest przy tobie. Jeszcze dziś zadzwonię do Mattiasa w sprawie pracy. Znowu zacznę tańczyć, więc będziemy miały co jeść do czasu, aż odzyskamy, co do nas należy. Mama już się postara, żebyśmy dostały to, co zostawił nam tatuś. O, tak. Bez względu na wszystko, odbierzemy, co nasze, tej wiedźmie z Ameryki. Już ja ci to obiecuję.

- Właśnie natknęłam się w holu na tę twoją cholerną szwagierkę - rzuciła wściekle Mercedes, wchodząc do sypialni, gdzie Leland, z drinkiem w ręku, leżał nagi na łóżku.

- Doprawdy? - Uniósł pytająco brew. - I czymże cię tak rozzłościła? Mercedes zrzuciła z nóg szpilki i trzasnęła torebką o podłogę.

- Zrób mi drinka, zaraz do ciebie przychodzę - powiedziała i zaczęła się rozbierać. - Potrzeba mi czegoś mocnego.

Leland wstał z łóżka i podszedł do stołu, na którym stały rozmaite alkohole, szkło oraz kubek z lodem.

- No już - zapytał, nalewając wódki do szklanki - powiedz, co się właściwie stało?

Mercedes ściągnęła stringi, po czym spiorunowała Lelanda spojrzeniem, jakby to on był źródłem wszystkich jej kłopotów.

- Jak wiesz, nie dzwoniła do mnie już od paru tygodni, więc gdy ją zobaczyłam, zaproponowałam uprzejmie, że chętnie przyjdę pomóc w kwiaciarni. A tylko Bóg jeden wie, jak gwałtownie potrzeba mi gotówki.

Leland podał dziewczynie wódkę z tonikiem i Mercedes od razu pociągnęła długi łyk.

- I wiesz, co ta suka mi na to odpowiedziała? Że dziękuje, ale już więcej nie będzie korzystać z moich usług. A kiedy zainteresowałam się, dlaczego, odparła, że mam jej nie zadawać głupich pytań. Ja na to, że chyba nie ma mi za złe, iż ujawniłam zobowiązanie Lyona. Przecież tak właśnie należało postąpić, więc nie powinnam być z tego powodu skazana na ostracyzm. Ostatecznie jesteśmy cywilizowanymi ludźmi.

- Dopieprzyło jej, że to rzekomo tobie Lyon podyktował ten zapis. - Leland zachichotał pod nosem, po czym cmoknął ją w nagie ramię. - I że to niby tobie powierzył kopię.

- Cóż, chciała sprawić, żebym się poczuła jak ostatnia świnia - ciągnęła Mercedes, nie zważając na jego pocałunki. - I prawdę powiedziawszy, miałabym to wszystko gdzieś, gdyby mi tak bardzo nie brakowało kasy.

Pociągnęła kolejny łyk wódki i oparła głowę na ramieniu kochanka.

- Musimy wymyślić, od kogo by tu wyciągnąć forszę - odezwał się Leland, skubiąc ustami jej ucho. - Czy przypadkiem nikt nie przychodzi ci do głowy?

Mercedes odwróciła się w jego stronę z uśmiechem.

- Prawdę mówiąc, mam pewien pomysł. Zamierzam zaraz zadzwonić do Payton Fitzsimmons.

- I co ci to da? - spytał, pieszcząc jej piersi.

- Wkrótce się przekonasz - odrzekła, odstawiając kieliszek. Chwyił ją w ramiona i przycisnął do swojego nagiego ciała.

- Z przyjemnością się przekonam - zapewnił, całując ją w szyję. - Ale może najpierw trochę się zabawimy.

- Czemu nie? - zgodziła się, gładząc jego pośladki.

Leland łakomie wpatrywał się w jej ciało, zastanawiając się przy tym z podziwem, jak taka wysoka i szczupła dziewczyna może mieć równie ponętne kształty.

Przepełniony żarem, wszedł w nią głęboko. Mercedes tymczasem przyciągała go z całej siły do siebie. Był jak narkotyk, nigdy nie miała dosyć seksu z Lelandem.

On tymczasem nacierał gwałtownie, wbijał się w nią ostro, zasypując ją pocałunkami i wkrótce oboje zaczęli krzyczeć z rozkoszy.

Potem opadli na prześcieradła i chwilę leżeli bez ruchu, by ochłonąć.

- Zadzwoń do Payton - odezwała się Mercedes, gdy wreszcie mogła złapać oddech.

- Czy to nie może poczekać do jutra? - zapytał Leland z uśmiechem. - Przecież dopiero co zaczęliśmy.

Uszczypnęła go w pośladek.

- Nie może. Najpierw interes, potem przyjemności. Gdy już załatwię tę sprawę, będziemy mogli szaleć przez całą noc.

- Niech będzie - zgodził się natychmiast.

Sięgnęła po słuchawkę i wybrała domowy numer Payton.

- Halo? Tu rezydencja pani Fitzsimmons.

- Czy mogę rozmawiać z Payton?

- A kto mówi, jeśli można spytać?

- Powiedz, że dzwoni Mercedes.

- Proszę łaskawie poczekać.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim Payton wreszcie podeszła do telefonu - Witaj, jak się miewasz? - zaszczębiotała radośnie.

- Prawdę mówiąc, nie najlepiej - odparła Mercedes.

- A co się stało? - W głosie Payton pojawiła się nuta niepokoju.

- Przypadkiem wpadłam dziś na Caroline i wyjątkowo parszywie mnie potraktowała. Bez ogródek oświadczyła, że nie zamierza już więcej korzystać z mojej pomocy w kwaciarni. Nie będę więc mogła wyświadczać ci dalszych uprzejmości.

- Och, nie! - wykrzyknęła tamta, szczerze przerażona. - Tak bardzo liczyłam na ciebie, Mercedes. Czemu i czym ją tak zdenerwowałaś?

- Nie zrobiłam absolutnie nic - odparła Mercedes urażonym tonem. W żadnym razie nie zamierzała wtajemniczać Payton w swój drobny pakt z Lelandem. - Nie mam pojęcia, co ją ukąsiło, ale zachowała się jak wredna suka. Obawiam się, że od początku podejrzewała, iż mogę mieć coś wspólnego z niedawnymi przykrymi incydentami. No wiesz, mam na myśli te tajemniczo więdnące kwiaty.

Jej rozmówczyni parsknęła złym śmiechem.

- No cóż, przecież nie zdoła ci niczego udowodnić, prawda?

- To fakt - przyznała Mercedes. - Ale skoro nie mogę już dłużej u niej dorabiać, chciałabym zacząć pracować u ciebie.

Payton zamilkła na moment - tego najwyraźniej się nie spodziewała.

- Ja... sama rozumiesz... obawiam się, że to jeszcze za wcześnie, abym tak powiększyła personel. Właśnie w tym tygodniu rozpoczął ze mną współpracę Antonio...

- Już zatrudniłaś Antonia? - spytała zdumiona Mercedes.

- No, tak. Myślałam, że wiesz. Widzisz, między nim a Carolina doszło do karczemnej awantury, więc odszedł. Dlatego przyjąłem go szybciej, niż planowałam. W związku z tym boję się, że to może podejrzenie wyglądać, gdy nagle oboje przejdziecie do mnie. Nie chciałabym być oskarżona przez bogatych fanów Caroliny o zamach na jej firmę. Nie wyglądałoby to najlepiej, nie sądzisz?

- Jeśli mnie zatrudnisz, niczego to nie zmieni - oznajmiła Mercedes. - Ostatecznie ludzie, dla których pracujesz, kontaktują się jedynie z tobą. Poza tym prawie nikt nie wie, że kiedykolwiek pomagałam Carolinie.

- Cóż... sama nie wiem...

- Posłuchaj, Payton. Nie zapominaj, że tylko ja i Antonio wiemy, co zrobiłaś Carolinie. Oczywiście my też byliśmy zamieszani w tę sprawę, ale w zasadzie realizowaliśmy jedynie twoje pomysły. Myślę więc, że dla wszystkich zainteresowanych byłoby najlepiej, gdybyśmy nadal trzymali się razem. Chyba nie chcesz, żeby ktokolwiek dowiedział się o naszych drobnych żarcikach?

- Nie ośmieliłabyś się!

- Ode mnie nikt nigdy nie usłyszy ani słowa - zapewniła ją Mercedes głosem niewiniątka. - Ale co będzie, jeśli Antonio się wygada?

- Nie sądzę, by chciał z kimkolwiek o tym rozmawiać - odparła Payton. - Ale rozumiem twój punkt widzenia.

I rzeczywiście, świetnie rozumiała. Ta suka bez skrępulów ją szantażowała. Jeśli nie przyjmie jej do pracy, Mercedes, znana w nowojorskim towarzystwie, zacznie rozpuszczać plotki, które mogą bardzo zaszkodzić jej, Payton.

- W takim razie może zaczniesz od rana? - zaproponowała, siląc się na entuzjazm. - Przygotowuję kwiaty na jutrzejsze przyjęcie u Smithsonów, więc twoja pomoc będzie nieoceniona.

- Cudownie! - zawołała radośnie Mercedes. - A tak przy okazji, rozumiem, że jutro

omówimy sumę mojej rekompensaty i warunki kontraktu.

- Kontraktu? - powtórzyła Payton w osłupieniu.

- Oczywiście. Przypuszczam, że będzie mi się należał pewien udział w zyskach... bo zapewne podobne warunki zaproponowałaś Antoniowi?

- Ja... cóż... właściwie jeszcze nie miałam czasu omówić kwestii finansowych z Antoniem - wyjąkała Payton.

- Świetnie, a więc zrobimy to jutro - zadysponowała Mercedes pogodnym tonem. - Koło dziewiątej? Zdaje się, że otwierasz właśnie o tej godzinie?

- Tak. Chociaż nie zawsze przychodzę z samego rana. Ale na pewno będzie Antonio i Giselle, moja sprzedawczyni.

- Rozumiem jednak, że jutro się zjawisz. W takim razie do zobaczenia o dziewiątej - powiedziała Mercedes. - Bardzo miło się z tobą rozmawiało. To na razie.

- Do widzenia - rzuciła w słuchawkę Payton.

Mercedes zakończyła rozmowę i odwróciła się w stronę Lelanda.

- Ty najzwyczajniej w świecie ją szantażujesz.

- Nazywaj to, jak chcesz - odparła dziewczyna z uśmiechem. - Ale Payton musi mnie zatrudnić i do tego płacić mi niezłe pieniądze, jeśli chce, żebym trzymała buzię na kłódkę.

- Jesteś niesamowita - stwierdził Leland, chwytając ją w ramiona.

- Panna Bezwstydna? - spytała, wtulając się w jego umięśnione ciało.

- O, tak. I to właśnie tak bardzo mi się w tobie podoba.

## Rozdział 26

Carolina nie planowała zakupu nowej sukienki na przyjęcie u Smithsonów, na które zaprosił ją Seth. Była przekonana, że znajdzie w szafie odpowiedni strój na tę okazję. W końcu jednak doszła do wniosku, że potrzebuje czegoś nowego, nieprzywołującego żadnych wspomnień - czy to miłych, czy też przykrych. Ostatecznie znalazła dla siebie suknię w butik Yve's'a St. Laurenta z linii Rive Gauche: powiewną, o wzorze w lamparcie cętki, wykończoną falbanami.

Tom Ford może być dumny z tego projektu, pomyślała obracając się przed lustrem i podziwiając lekkość kroju. Sukienka była seksowna i romantyczna, a jednocześnie niewyzywająca - Carolina wyglądała w niej zjawiskowo. Uzupełniła kreację długimi, złotymi kolczykami, szerokimi złotymi bransoletami oraz złotymi sandałkami na bardzo wysokim obcasie.

Cieszyła się na ten wieczór, chociaż cały czas powtarzała sobie, że idzie na przyjęcie z powodów czysto biznesowych. Mimo to dawno nic jej tak nie cieszyło jak perspektywa spędzenia kilku godzin w towarzystwie Seta.

Zgasiła światło w garderobie i przeszła do kuchni, gdzie zostawiła małą, złotą torebkę. Otworzyła ją i upewniła się, że wzięła klucze oraz wizytownik, pełen bilecików z adresem i telefonem kwiaciarni.

Wszystko na miejscu. Jestem gotowa, zdecydowała, po czym naląła sobie kieliszek białego wina i wypila łyk. Postanowiła pożegnać się z Richiem, ale w połowie drogi do pokoju syna uświadomiła sobie, że dzisiejszą noc miał spędzić u Adlerów. Ostatnio Richie coraz chętniej nocował poza domem.

Odezwał się brzęczyk domofonu. Carolina, upewniwszy się, że to Seth, zwolniła blokadę i wpuściła go do środka. Kiedy usłyszała rozsuwające się drzwi windy, wyszła do holu.

- Wyglądasz oszałamiająco! - oznajmił na przywitanie.

- Dziękuję. Ty też wyglądasz wspaniale - odwzajemniła komplement. - Wyjątkowo ci do twarzy w tym smokingu.

- Gotowa? Skinęła głową.

- Tylko muszę jeszcze coś wziąć. To potrwa chwilę. - Pobiegnęła do kuchni i złapała torebkę z blatu. - Teraz już naprawdę jestem gotowa - powiedziała, wracając do holu.

Seth wyciągnął rękę.

- Pani pozwoli, madame? - rzucił żartobliwie, głównie by zatuszować zdenerwowanie, wywołane bliskością kobiety, której tak bardzo pragnął.

- Oczywiście, sir - odrzekła, próbując zachować spokój, gdy poczuła dotknięcie jego dłoni.

Muszę się opanować, pomyślała. Nie mogła jednak stłumić w sobie podniecenia, które czuła na myśl o wieczorze w towarzystwie tego mężczyzny.

Rezydencja Smithsonów znajdowała się w Carnagie Hill - dzielnicy, której Carolina właściwie nie знаła. O samych Smithsonach również wiedziała niewiele - należeli do ludzi, którzy nie pchali się na pierwszy plan - dla nikogo jednak nie pozostawało tajemnicą, że mieli olbrzymią fortunę, zgromadzili wspaniałą kolekcję dzieł sztuki i byli filantropami.

Kiedy wynajęty przez Seta kierowca zatrzymał limuzynę pod wskazanym adresem, Carolina z ciekawością przyjrzała się rezydencji.

Trzypiętrowy budynek miał dwa szerokie skrzydła i fasadę obłożoną piaskowcem. Strzeliste kolumny dodawały kamiennej konstrukcji lekkości, a światła wylewające się ze wszystkich okien stwarzały wrażenie ciepła i przytulności.

W drzwiach powitał ich siwowłosy kamerdyner w liberii i białych rękawiczkach, a zaraz potem podeszła do nich urocza, starsza dama, w której Carolina - na podstawie zdjęć w prasie - rozpoznała Evangeline Smithson.

Gospodyni miała siwiejące blond włosy upięte w węzeł na karku. W jej uszach, na szyi i nadgarstkach lśniły wielkie brylanty o niezwykłej przejrzystości. Była ubrana w prostą, srebrzystą suknię.

- Seth! - wykrzyknęła, wyciągając ozdobioną klejnotami dłoń. - Jakże się cieszę, że cię widzę!

- To dla mnie również niezwykła przyjemność, Evangeline - odrzekł szarmancko.

Cmoknęli się w powietrzu, po czym elegancka dama skierowała wzrok na Caroline.

- Carolina Mountcastle, jak rozumiem. To miło, że zechciałaś nas odwiedzić.

- Dziękuję. Bardzo się cieszę, że zostałam zaproszona.

- Rozgoście się proszę, kochani - powiedziała gospodyni. - Wszędzie wokół kręci się służba z szampanem i przekąskami, ale jeśli mielibyście ochotę na coś bardziej sycącego, gorąco polecam bufet w sali balowej.

- Dzięki, Evangeline - odrzekł Seth. - Z pewnością sobie poradzimy.

- Mam nadzieję, że jeszcze uda nam się porozmawiać dzisiaj wieczoru - powiedziała pani domu, po czym skierowała uwagę na następnych gości.

Tymczasem Seth i Carolina znaleźli się w przestronnym holu o posadzce ułożonej

w czarno-białą, marmurową szachownicę, oświetlonym wielkimi, kryształowymi żyrandolami. Znajdowały się tu pozłacane konsole z marmurowymi blatami i wisały trzy wielkie malowidła. Carolina wprost oniemiała z wrażenia, gdy w jednym z obrazów rozpoznała „Lilie wodne” Moneta - jeszcze nigdy dotąd nie widziała dzieła tej klasy poza murami muzeum.

- To niewiarygodne - szepnęła do Setha. - Miałam okazję bywać w wielu rezydencjach, żadna z nich jednak nie jest aż tak imponująca. I te dzieła sztuki!

- Robi wrażenie, prawda? - przytaknął Seth z uśmiechem.

Carolina powiodła wzrokiem po konsolach, na których stały kompozycje niemal identyczne z jej projektami, opartymi na malarstwie starych mistrzów holenderskich.

Oho, pomyślała. Zapewne dzieło Antonia.

Prosto z holu przeszli do wielkiego salonu o jednej ścianie całkowicie przeszklonej, za którą znajdował się ogród. Stały tu same antyki, a na parkietach, ułożonych tak samo jak posadzki w Wersalu, leżały kobierce z Savonnerie. Ściany były zawieszane wspaniałymi obrazami autorstwa najslynniejszych artystów. Carolina dostrzegła Renoira, Degasa, Maneta i dwa dzieła Picassa. Na bliźniaczych komodach Bolulle'a - intarsjowanych szylkretem - zobaczyła kolejne aranżacje kwiatowe w stylu flamandzkich mistrzów.

W końcu nie mogła się powstrzymać od komentarza.

- Zauważyłeś te kompozycje w holu? - zwróciła się do Setha. - Spójrz też na bukiety stojące na komodach. Żywcem wyjęte z mojego szkicownika. Na pewno układał je Antonio.

- To on teraz pracuje u Payton?

Carolina skinęła głową.

- Owszem. Pozwoliłam mu odejść. Choć przyznaję, że i tak wkrótce bym go zwolniła.

- Czy mam przez to rozumieć, że Payton brakuje inwencji? - spytał Seth rozbawionym tonem.

- Myślę, że tak właśnie należałoby to zinterpretować - odparła Carolina. - Niewątpliwie niektórzy z gości rozpoznają pomysły, które mieli już okazję oglądać w domu Lydii.

- Gdy Evangeline się o tym dowie, nie będzie uszczęśliwiona.

- Prawdopodobnie - zgodziła się Carolina.

- Nie prawdopodobnie, a na pewno - oświadczył Seth, uśmiechając się szeroko.

- Seth! Jakże miło cię widzieć!

Nie widzieli, kiedy do nich podeszła, oboje jednak natychmiast rozpoznali głos Payton Fitzsimmons. Carolina zebrała siły na kolejną potyczkę.



- Witaj, Payton - odezwał się Seth. - Jak się miewasz?

- Wprost fantastycznie - odparła radośnie. - O, a to nasza mała Carolina, nieprawdaż?

Witam.

- Dzień dobry. Miło cię widzieć.

- Dziś jest tu jeden z twoich przyjaciół - oznajmiła Payton. - Ach! Oto i on. -

Wyciągnęła rękę i przyciągnęła ku sobie Antonia. - Antonio, oczywiście świetnie znasz Caroline. To natomiast jest Seth Foster.

Antonio, elegancki w szytym na miarę smokingu, stanął u boku kochanki.

- Cześć - rzucił i skinął głową. Podobnie jak Payton, miał minę kocura, który właśnie dobrał się do śmietanki.

- Cześć - odrzekła Carolina.

- Miło cię widzieć, Antonio - powiedział Seth.

- To my przygotowaliśmy oprawę dzisiejszego przyjęcia - oznajmiła z dumą Payton. - Antonio służył mi nieocenioną pomocą, czyż nie skarbie? - Spojrzała na niego pełnym uwielbienia wzrokiem.

Antonio ponownie skinął głową, nie zdobył się jednak na to, by coś powiedzieć.

- Teraz rozumiem, czemu cały czas miałem wrażenie, że gdzieś już widziałem identyczne kwiaty - skomentował gładko Seth. - Przecież takie same kompozycje, zupełnie niedawno, oglądałem na przyjęciu obsługiwanym przez Caroline.

Wyraz pychy na twarzy Payton natychmiast ustąpił miejsca ledwo skrywanej furii.

- Coś ci się pomyliło - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

- No, popatrz, a ja dałabym sobie głowę uciąć, że widziałaś moje prace u Lydii Carstairs - odezwała się tonem niewiniątka Carolina. - Ale zapewne coś mi się pomieszało. Bo wiesz, właśnie na wielkie przyjęcie u Lydii pierwszy raz przygotowałam podobne kompozycje. Pamiętasz, Antonio?

Ten poczerwieniał gwałtownie i zacisnął szczęki. W oczach Caroliny upodobnił się w tym momencie do byka szykującego się do szarży na matadora. Chwilę później jednak odwrócił się na pięcie i dumnym krokiem wyszedł z salonu.

- O Boże! - zatroskała się Carolina. - Mam nadzieję, że nie powiedziałam czegoś, co sprawiło mu przykrość.

Payton zmusiła się do uśmiechu.

- Miło było z wami pogawędzić, ale teraz muszę przywitać się z resztą znajomych. - Powiedziawszy to, posłała uwodzicielskie spojrzenie Sethowi. - Gdy już ci się znudzi prostota, zadzwoń do mnie, dobrze?

- Cieszę się, że wciąż o mnie myślisz, Payton, założę się jednak, że w tej chwili cały twój czas pochłania Antonio, czyż nie? - Mrugnął do niej znacząco, po czym zwrócił się do Caroliny: - Możemy już pójść na górę?

- Bardzo chętnie - odparła. - Och, i powodzenia, Payton. Mam wrażenie, że tworzenie z Antoniem doskonały duet. Taki niezwykle... kreatywny.

Nie oglądając się na Payton, Seth i Carolina wyszli z salonu i ruszyli na piętro szerokimi, marmurowymi schodami, prowadzącymi do sali balowej.

- Byłeś zachwycająco niegrzecznym chłopcem - odezwała się po chwili Carolina. - Nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłam.

Seth uśmiechnął się lekko.

- Payton już dawno sobie na to zasłużyła. Jest wyjątkowo wredna i... no cóż, łatwo przewidzieć jej posunięcia. A poza tym ma skórę nosorożca, więc nie będzie szczególnie dotknięta.

- Mam nadzieję, że Antonio wreszcie znalazł swoje szczęście - powiedziała Carolina. - Payton jest typem kobiety, o jakiej zawsze marzył.

- W takim razie serdecznie mu współczuję - oświadczył Seth - ponieważ ona wykorzystała go do swoich celów, po czym porzuciła.

Doszli do drzwi sali balowej, skąd płynęły dźwięki muzyki, gwar rozmów i śmiechy.

- Jakże tu pięknie - westchnęła Carolina, rozglądając się po olbrzymim pomieszczeniu.

Okazały kominek z piaskowca był jakby żywcem przeniesiony z francuskiego zamku, intarsjowana posadzka układała się w roślinny wzór wyszukanego kobierca. Salę rozświetlały kryształowe kandelabry, a wzdłuż jednej ściany ciągnęła się galeria, na której ulokowano kwartet smyczkowy. Tutaj, podobnie jak w salonie na parterze, kompozycje kwiatowe również przypominały stare holenderskie obrazy.

Na stołach znajdowały się półmiski pełne eleganckich przekąsek, a barmani czekali w pogotowiu, aby przyrządzić dowolny koktajl dla gości pragnących napić się czegoś innego niż szampan. Carolina dostrzegła kawior, cienkie plastry wędzonego łososia, jaja przepiórcze i inne równie wykwintne przystawki. Po sali krążyło co najmniej sześćdziesięcioro wytwornie ubranych gości. Rozpoznała zaledwie kilka twarzy i gdy wyraziła zdziwienie tym faktem, Seth wyjaśnił, że większość obecnych tak sobie ceni prywatność, że woli pozostać nieznaną mediom.

- Miałabyś ochotę na jakiegoś specjalnego drinka? - zapytał po chwili. - A może na przystawkę?

- Szampan w zupełności wystarczy, dziękuję - odrzekła Carolina.

- W takim razie przedstawię cię niektórym z przyjaciół Evangeline - zaproponował Seth. - Jestem pewien, że z czasem te znajomości okażą się bardzo owocne.

- Oczywiście. Będę ci wdzięczna - zgodziła się Carolina.

Zaczęli krążyć po sali i w krótkim czasie Carolina poznała tak wielu ludzi, że w końcu ich twarze zaczęły jej się zlewać w jedną całość. Paru osobom Seth napomknął, że aranżacje kwiatowe zdobiące dzisiejsze przyjęcie są kopiami wcześniejszych projektów Caroliny, po czym z wdziękiem zaproponował, by dała swoją wizytówkę jego przyjaciołom. Carolina opierała się ze śmiechem - krępowało ją reklamowanie się w tak otwarty sposób - ale, oczywiście, ulegała prośbom Seta.

Mniej więcej po godzinie zapytał, czy nie chciałaby już iść na obiad.

- Och, tak - odpowiedziała. - To przyjęcie jest wspaniałe, ale nieco męczące.

Prawdę mówiąc, nie mogła się już doczekać tych paru godzin tylko w jego towarzystwie.

- Rzeczywiście. - Wziął ją pod ramię i ruszyli schodami w dół. Naprzeciwko nich szła piękna blondynka pod rękę z przystojnym mężczyzną o znajomych brązowych włosach.

Carolina nie wierzyła własnym oczom - poczuła, jak serce zaczyna jej mocniej walić w piersi. Oczywiście, tego należało się spodziewać. Ostatecznie już od jakiegoś czasu podejrzewała, że tych dwoje coś łączy, choć nie wiedziała, że znów pokazują się razem.

- O rany - szepnęła. - To Mercedes z Lelandem, moim szwagrem. Kogo jak kogo, ale ich nie miałam ochoty tu spotkać.

- Szybko się ich pozbędziemy - uspokoił ją Seth. - Głowa do góry. Kiedy tamci byli już blisko, Seth odezwał się pierwszy:

- Miło cię widzieć, Mercedes.

- Seth! Co za niespodzianka! - wykrzyknęła Mercedes, po czym przeniosła wzrok na Caroline. - Witaj, Carolino - powiedziała chłodnym, obojętnym tonem.

- Cześć, Mercedes - odrzekła ta z uśmiechem. - Cześć, Leland. Zdaje się, że nie miałeś jeszcze okazji poznać Seta.

Przedstawiła ich sobie nawzajem i mężczyźni wymienili uścisk dłoni.

- Miło było was spotkać, ale spieszymy się na kolejne przyjęcie - rzucił Seth. Wziął Caroline pod rękę i poprowadził schodami w dół.

- Dziękuję ci - wyszeptała. - Nie jestem dziś w nastroju do rozmowy z tą dwójką. Jakim cudem w ogóle się tu znaleźli?

- Mercedes jest zapraszana na wszystkie przyjęcia.

- Naturalnie. Powinnam była sama na to wpaść.

- Ale o co właściwie chodzi? - zainteresował się Seth.

Carolina wyjaśniła, jaką rolę odgrywa tamta w przemyślnym planie Lelanda.

- Ach, tak. W gruncie rzeczy to logiczne - podsumował Seth. - Twierdzisz, że twój szwagier zawsze cierpi na brak gotówki, a wszyscy już doskonale wiedzą, że Mercedes jest kompletnie splukana.

- Co takiego?! A ja myślałam, że ta dziewczyna nie wie, co robić z pieniędzmi. Tak sądzą wszyscy moi znajomi.

Seth zdecydowanie pokręcił głową.

- Nic podobnego. O ile mi wiadomo, ostatnio znalazła się w trudnym położeniu. Wiele osób uważa, że jest bogata, bo obraca się w określonych kręgach i pochodzi ze znanej rodziny. Ona jednak jest bez grosza przy duszy.

- Wprost nie mogę w to uwierzyć.

Pożegnali się z gospodarzami, dziękując za zaproszenie, i skierowali w stronę czekającej limuzyny. Szofer wyskoczył, by otworzyć przed nimi drzwi, ale Seth podziękował ruchem dłoni i zrobił to sam. Opadli na wygodne siedzenia i Seth poczuł radość, że wreszcie ma Caroline tylko dla siebie.

„Le Cirque 2000”, jedna z najmodniejszych i najelegantszych restauracji w Nowym Jorku, wspaniale łączyła nowoczesność architektoniczną z tradycyjnym wystrojem wnętrza. Kiedy weszli, sam Sergio wskazał im stolik i teraz, po doskonałej rybie, siedzieli nad resztkami deseru i popijali *espresso*. Przyjęcie dostarczyło im wielu tematów do rozmowy, ustalili też ostatnie szczegóły dotyczące kolacji u Seta, która miała się odbyć następnego wieczoru.

- Podobno podają tu najlepszy *creme brulee* w całym Nowym Jorku - powiedział Seth.

- W to nie wątpię - odparła Carolina, rozkoszując się ostatnim kęsem deseru. - Wiesz, kilka razy pracowałam przy przyjęciach w starej „Le Cirque”, gdy jeszcze znajdowała się w Mayfair, ale tu jestem po raz pierwszy. - Wypiła łyk kawy i odstawiła maleńką filiżankę. - Ty, jak rozumiem, często jadasz na mieście?

- O wiele częściej, niż bym sobie życzył. W większości wypadków to kolacje biznesowe lub przyjęcia związane z działalnością charytatywną. To bywa bardzo męczące.

- Nie wyglądasz na nieszczęśliwego, gdy widzę twoje zdjęcia w prasie. I zawsze jesteś na nich z jakąś pięknnością - rzuciła przekornie.

- Masz rację. - Uśmiechnął się. - Ale to zwykłe obowiązki zawodowe.

- Co rozumiesz przez „obowiązki zawodowe”?

- Cóż, jeśli przyjrzyj się tym fotografiom zobaczysz, że zostały zrobione na różnego

rodzaju oficjalnych bankietach i charytatywnych galach. Co oznacza, że jestem w pracy.

- Wciąż nie bardzo rozumiem. Często pokazujesz się z pięknymi, bogatymi kobietami, którym, jak skądinąd mi wiadomo, zawsze potem posyłasz kwiaty. I to nazywasz pracą?

Skinął głową.

- Owszem. Ponieważ prawie zawsze ma to na celu nakłonienie tych bogatych piękności, by rozstały się z jakąś częścią swojej fortuny na rzecz Towarzystwa Ratowania Zwierząt.

Carolina parsknęła śmiechem.

- Ty też jesteś w tym klubie? Lydia Carstairs powiedziała mi niemal to samo, gdy dekorowałam jej apartament na wystawną kolację. Powiedziała, że zanim poprosi swych gości o dotację, zawsze najpierw próbuje ich czymś olśnić. Czy to w taki sposób poznałeś Lydię? Pracując dla towarzystwa?

- Nie. - Seth pokręcił głową. - Lydia jest moją bardzo daleką krewną ze strony ojca.

- Doprawdy? - zdziwiła się Carolina. - Nie miałam pojęcia.

- Nawiasem mówiąc, jest jedyną osobą z rodziny ojca, którą miałem okazję poznać, i to dopiero pięć lat temu.

- Żartujesz? - spytała zdziwiona. - Dlaczego?

- Jak wiesz, moi rodzice się rozwiedli i przez pewien czas kursowałem pomiędzy ich domami. A kiedy miałem piętnaście lat, zmarł mój ojciec. - Seth spojrzał na nią. - Jesteś pewna, że masz ochotę tego słuchać?

- Oczywiście. Jestem z natury bardzo ciekawa.

Zdała sobie sprawę, jak niewiele wiedziała o tym mężczyźnie i nagle poczuła, że chce znać każdy szczegół jego życia.

- No cóż. Za pieniądze po ojcu zostałem wysłany do szkoły z internatem - właściwie całą młodość spędziłem w różnych szkołach. A kiedy zmarła mama, Lydia zjawiała się na pogrzebie. Powiedziała mi, kim jest. Byłem bardzo zdumiony, bo okazała się niezwykle miła i przystępna. Mój ojciec zawsze bardzo źle o niej mówił. Rozumiesz, bezwzględna łowczyni fortun, poślubiająca jednego bogacza po drugim. W jego oczach była jedynie córką stajennego, która zapomniała, skąd się wywodzi i gdzie jej miejsce.

- Lydia miałyby być córką stajennego? - Carolina nie posiadała się ze zdumienia. - Powiedziała mi kiedyś, że jest wiejską dziewczyną, ale jej nie uwierzyłam.

- To prawda. I Lydia nie robi z tego tajemnicy. Nie wstydzi się swojej przeszłości. Zresztą mój ojciec miał się niewiele lepiej. Gospodarował na małej farmie. W gruncie rzeczy oboje byli biedakami ze wsi.

- Każdy, kto na was spojrzy, pomyślałby, że pochodzicie z rodzin, które zbiły fortuny setki lat temu.

- Niestety - odparł Seth z nostalgicznym uśmiechem. - Musiałem ciężko pracować na wszystko, co zdobyłem. Ale wracając do tematu - okazało się, że Lydia i moja mama od lat ze sobą korespondowały, o czym nie miałem bladego pojęcia. Zawsze się lubiły i dlatego nie zerwały kontaktu. Dlatego też Lydia przyjechała na pogrzeb. Zaprzyjaźniliśmy się i to ona wciągnęła mnie w pracę na rzecz towarzystwa, kiedy zauważyła, jak bardzo kocham zwierzęta. - Wypił łyk kawy, po czym roześmiał się głośno. - A więc znów ci się udało. Wprost nie mogę w to uwierzyć.

- Co takiego mi się udało? - spytała zdumiona.

- Nakłoniłaś mnie do opowiadania o samym sobie. To samo wydarzyło się, gdy poprzednio poszliśmy razem na drinka.

- Cieszę się, że tak się stało. Nic nie wiedziałam o tobie, a okazuje się, że miałeś o wiele ciekawsze życie, niż przypuszczałam.

Kierowca zatrzymał się przed domem Caroliny, szybko wyskoczył z limuzyny i otworzył przed nimi drzwi. Seth zapłacił mu i pozwolił odjechać.

- Przejdę się stąd do domu - powiedział. - Po takiej kolacji spacer dobrze mi zrobi.

- Oboje powinniśmy wrócić z restauracji pieszo - zaśmiała się Carolina. - Dziękuję, ten wieczór będę wspominać z przyjemnością.

- Ja też - odrzekł Seth. - Dla mnie było to również niezapomniane przeżycie.

Odprowadził ją do drzwi i czekał, aż upora się z zamkiem i podejdzie do windy.

- Miałbyś ochotę wejść na drinka przed snem? - zaproponowała Carolina.

- Nawet wielką, ale byłoby to nierozsądne. - Z trudem się zmusił, by odrzucić zaproszenie, uznał jednak, że nie może przyspieszać biegu spraw. - Muszę jutro bardzo wczesnie wstać, a ty zapewne także.

Potwierdziła z uśmiechem, ale dojrzał w jej oczach szczere rozczarowanie.

- Masz rację - odrzekła, żałując, że Seth nie może zostać, a jednocześnie zdenerwowana perspektywą goszczenia go tak późno w domu. - Rzeczywiście, muszę się zerwać jutro skoro świt, powinnam więc jak najszybciej wskoczyć do łóżka.

- To był cudowny wieczór, Caroline - Przynurzył się, jakby miał ochotę ją przytulić. - Prawdę mówiąc, nie pamiętam, kiedy tak dobrze się bawiłem.

- Ja również, Seth.

- Chciałbym się z tobą ponownie spotkać. Jak najszybciej.

- To tak jak ja.

Położył dłonie na ramionach Caroliny i pocałował ją w usta, oczekując zdawkowego cmoknięcia na dobranoc. Kiedy chętnie odwzajemniła pocałunek, przycisnął ją do siebie i mocniej przywarł ustami do jej warg. Zaczął gładzić ją po plecach - z przyjemnością wodził palcami po miękkim jedwabiu sukni, wyczuwając, co się kryje pod gładką tkaniną. Podnieciło go to tak bardzo, że odsunął się szybko i głęboko spojrzął Carolinie w oczy. Rozkoszowała się jego delikatnym uściskiem, dającym niezwykle poczucie bezpieczeństwa, i z żalem myślała o tym, że zaraz będą musieli się rozstać. Jeszcze w ciągu dnia nie przyszłoby jej do głowy, że pozwoli jakiemuś mężczyźnie wziąć się w objęcia, ale teraz nie umiała się oprzeć Sethowi. Może jutro będzie ją gnębić poczucie winy, jednak w tej chwili nie chciała o tym myśleć. To, co się między nimi działo, wydawało jej się naturalne, wręcz piękne i pragnęła, by ich przyjaźń nadal się rozwijała, bez względu na ewentualne konsekwencje.

- Powinam już iść - powiedziała, choć tak bardzo chciałyby zostać. - Mam nadzieję, że wkrótce znowu się spotkamy.

Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Naturalnie. Szybciej, niż myślisz.

Wpuścił ją z objęć i nacisnął guzik windy. Drzwi rozsunęły się natychmiast i Carolina niechętnie weszła do kabiny.

- Dobranoc, Seth - powiedziała cicho.

- Zadzwoń jutro, dobrze?

- Bardzo proszę.

Drzwi zaczęły się zamykać, Carolina pomachała dłonią i chwilę później Seth zniknął jej z oczu.

## Rozdział 27

Za grosz nie ufam tej suce, Mercedes - oznajmiła Payton dwa dni po przyjęciu u Smithsonów. - Nie chcę, żeby zostawała w sklepie sama.

Wraz z Antoniem siedzieli w przeszklonej, pełnej słońca oranżerii na tarasie i popijali poranną kawę.

- Nie dziwię ci się - odparł Antonio. - Ja także bym jej nie ufał.

- Właściwie to zmusiła mnie szantażem, żebym ją zatrudniła i teraz prawie cały czas muszę ją znosić. Na dodatek ta dziwka sporo mnie kosztuje. Chciałabym, żebyś miał ją na oku.

- Okay - zgodził się Antonio z westchnieniem. Wiedział już, że nie warto sprzeciwiać się Payton.

- Doskonale. Niedługo też będziemy musieli wymyślić, jak jej się pozbyć.

Antonio popijał kawę, z przyjemnością patrząc na panoramę Central Parku rozciągającą się za oknem. Dzień był piękny, choć zaczął się nie najlepiej. Antonio spojrzał spod oka na Payton przeglądającą gazetę. Nie da się ukryć, że ta seksowna kobieta z klasą była jednocześnie przerażająco wredna i zepsuta do szpiku kości. A do tego jej słownictwo nie należało do subtelnych.

Och, trudno, pomyślał smętnie. Tak długo, jak będzie dla niego przepustką do lepszego życia, postara się jakoś ją znosić.

- Kurwa mać! - wykrzyknęła Payton i wypuściła z rąk gazetę, jakby to był jadowity wąż. - Wprost nie mogę uwierzyć własnym oczom!

Posłała Antonioniowi rozwścieczone spojrzenie, robiąc przy tym minę, którą zdążył poznać już za dobrze.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony.

- Tylko spójrz na szóstą stronę. - Wskazała palcem na wzgardzoną gazetę.

Antonio odstawił filiżankę, znalazł wskazane miejsce i natychmiast dostrzegł artykuł, który tak bardzo wyprowadził z równowagi jego kochankę.

Florystka czy kopistka?

Ostatnio w niektórych kręgach wiele się mówi o oburzeniu, jakim znane małżeństwo miliarderów i filantropów - Evangeline i Robert Smithson - wprost kipi z powodu pewnej florystki. Owa energiczna bizneswoman - choć od niedawna działa w tej branży - oferuje swe usługi za wprost astronomiczne pieniądze. Jak niesie fama, arystokratyczna debutantka, która



właśnie otworzyła kwiaciarnię w eleganckiej dzielnicy Upper East Side, nie tylko ukradła znanej florystce, Carolinie, jednego z pracowników, oszałamiająco przystojnego Latynosa - a ten natychmiast został jej kochankiem - ale także kilka oryginalnych projektów. Okazuje się, że wielu gości na niedawnym przyjęciu u Smithsonów rozpoznało kompozycje, które widywali uprzednio na imprezach obsługiwanych przez Caroline - a to karygodny grzech w tym lukratywnym biznesie. Dalsze doniesienia z frontu wojny między florystkami - już wkrótce na naszych łamach.

Antonio odłożył gazetę na stół i uśmiechnął się szeroko do Payton.

- I jak ci się to podoba, he? Nazwali mnie oszałamiająco przystojnym Latynosem.

- Pieprzę cię! - wrzasnęła gniewnie. - Podobne oszczerstwa mogą doprowadzić mój interes do ruiny, a ty tymczasem myślisz tylko o tym, że twoje imię pojawiło się w prasie?!

- Wybacz - bąknął Antonio. - Wydało mi się to zabawne.

Ogromnie się starał opanować złość. Każdy, kto zwróciłby się do niego w taki sposób, gorzko by tego pożałował! Tyle że Payton - niestety - nie była „każdym”. Była jego przepustką do lepszego świata. Na razie więc Antonio musiał potulnie przytakiwać i cierpliwie znosić jej ataki wściekłości.

- Cóż, Antonio, jedno nie ulega najmniejszej wątpliwości: ten artykuł zdecydowanie nie jest zabawny - syknęła Payton. - Tym bardziej że sprawa dotyczy ludzi pokroju Smithsonów. Teraz będę musiała płaszczyć się przed nimi i wymyślać jakieś niestworzone usprawiedliwienia.

- Wcale nie musisz tego robić - zauważył rzeczowo Antonio. - Jesteś fantastycznie bogata. Nie musisz zabiegać o każde zlecenie.

- Ale ja nigdy się nie poddam i nie ustępuję - oznajmiła Payton wojowniczo. - Jak już podejmuję wyzwanie, zawsze walczę do końca i zawsze wychodzę z każdej rozgrywki zwycięsko.

- Okay - odparł beznamietnie, zupełnie nie pojmując, czemu ta kobieta zachowuje się w ten sposób. Jej chęć rywalizacji wydawała się wręcz chorobliwa. On od początku musiał walczyć, by wyrwać się z getta i dojść do czegoś w życiu. Ale Payton? Przecież była na samym szczycie. Co i komu chciała udowodnić?

- Nie zamierzam patrzeć spokojnie - ciągnęła - jak ktoś w rodzaju Caroliny Mountcastle zdobywa klientów, którzy powinni być moimi klientami, i przy okazji zawraca w głowie Sethowi Fosterowi.

- A więc to gra o mężczyznę?

Payton uraczyła go takim spojrzeniem, jakby był upośledzonym dzieckiem, godnym

jedynie politowania.

- Och, nieważne, Antonio - odrzekła zrezygnowanym głosem. - Teraz przede wszystkim musimy wymyślić, jak znowu dobrać się do tej kwiaciareczki. Chcę, by gala w Metropolitan zakończyła się wielkim, spektakularnym fiaskiem. Wówczas Carolina nigdy już nie dostanie żadnego liczącego się zlecenia.

- To nie powinno być trudne - oświadczył Antonio. Payton spojrzała na niego z radosnym błyskiem w oku.

- Natychmiast powiedz mi, jak to zrobić.

Roxie odłożyła gazetę, zanosząc się głośnym śmiechem. Jeszcze chyba nic nigdy tak jej nie rozbawiło. Śmiech dziewczyny był bardzo zaraźliwy, więc i Caroline ogarnęła wesołość.

- Założę się, że wpadła w szal - wykrztusiła Roxie, gdy wreszcie mogła mówić.

Carolina skinęła głową.

- Nie można było zadzwonić do Eriki Rogers w lepszym momencie - stwierdziła.

- To prawda - przyznała Roxie. - Zaraz po tym Smithsonowie wydają przyjęcie i Payton sama, jak na zamówienie, podsuwa Ericie temat, którym teraz przez kilka tygodni będą mogły się karmić plotkarskie magazyny.

- Miałam nadzieję, że Erica okaże się przydatna, ale w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałam, że wszystko ułoży się aż tak pomyślnie.

- Jedyna rzecz, którą uważam za równie zabawną, to wiadomość, że Mercedes jest splukana do suchej nitki - dodała Roxie, śmiejąc się cicho.

W pierwszej chwili Carolina nie chciała jej tego powiedzieć, w końcu jednak doszła do wniosku, że to nie byłoby fair. Ostatecznie, jeszcze do niedawna dziewczyna szalała za Lelandem, a na dodatek okazała się najlepszą przyjaciółką Caroliny. Jej reakcja na tę nowinę była jednak zdumiewająca.

Roxie machnęła lekceważąco ręką i spojrzała w oczy Carolinie.

- Leland i Mercedes są siebie warci - odrzekła beznamiętnie, po czym w jej oczach pokazały się figlarne błyski. - Poza tym, poznałam kogoś interesującego.

- Naprawdę?!

- Uhm. Na razie to oczywiście nic poważnego. Ale dobrze bawimy się razem.

- Kto to taki?

- Ma na imię Gerald - powiedziała Roxie. - Właśnie wprowadził się piętro wyżej i jest prawdziwym przystojniakiem.

Chwilę jeszcze rozmawiały o nowym znajomym Roxie, po czym zabrały się do pracy.

Lato szybko odchodziło w niepamięć, wszyscy zjeżdżali już do miasta i zaczynał się sezon spotkań towarzyskich. Zamówienia na usługi Caroliny posypały się jak z rękawa, a ich liczba z dnia na dzień rosła. Śluby, lunche, uroczyste kolacje, przyjęcia, pogrzeby - imprezy wszelkiego możliwego rodzaju zaczęły wypełniać jej kalendarz w takim tempie, że pierwszy raz od chwili, gdy zaczęła pracę, musiała odmawiać niektórym klientom. Wciąż jeszcze nie zatrudniła nikogo na miejsce Antonia, choć nieustannie korzystała z pomocy „wolnych strzelców”, których prace miała okazję poznać wcześniej.

Zadzwoił telefon i Carolina podniosła słuchawkę.

- Carolina.

- Zgadnij, kto mówi.

Zaśmiała się radośnie, słysząc głos Setha.

- Właśnie o tobie myślałam!

- Naprawdę? Mam nadzieję, że były to bardzo niegrzeczne myśli. Znowu się zaśmiała.

- N-n-nie...

- No cóż, może zaczniesz myśleć inaczej, gdy ci powiem, co wczoraj zrobiłem.

- Co takiego?

- Podąłem adres twojej kwiaciarni kilku moim gościom - odrzekł Seth. - Byli tak zachwyceni twoimi dziełami, że natychmiast chcieli wiedzieć, kto układał mi kwiaty; w pierwszej chwili musieli uznać, że twoje nazwisko jest najpilniej strzeżonym sekretem w Nowym Jorku.

Carolina parsknęła śmiechem.

- Zabawne, że takie zainteresowanie wykazują akurat Holendrzy. I to w sytuacji, gdy zostali otoczeni mnóstwem tulipanów.

- Niezupełnie - odparł. - Prawie nikt z nich nie widział w życiu takich tulipanów, jakie były w twoich kompozycjach. Nawet w Holandii.

- Bo są nieprzyzwoicie drogie i niemal nikt ich nigdy nie zamawia - wyjaśniła Carolina. - Nawet najstłynniejsi floryści i najwięksi hurtownicy nie mają ich pod ręką. Musiałam sprowadzić te kwiaty specjalnymi kanałami.

- Cóż, wywołały prawdziwą furorę. Sam oniemiałem, gdy wszedłem do mieszkania i zobaczyłem, czego dokonałaś.

- Dziękuję, Seth. Ja, prawdę mówiąc, też wpadłam w zachwyt, ale jeszcze zanim zabrałam się do pracy. Twoje mieszkanie jest takie eleganckie, a jednocześnie... przytulne. Panuje w nim wręcz kojąca atmosfera.

- Naprawdę ci się podoba?

- Och, tak. Wspaniałe jest to połączenie nowoczesności z tradycją. Są tam wszelkie style i okresy, a mimo to panuje idealna równowaga.

- Lydia trochę mi pomagała - przyznał się Seth. - Wszystkie meble przywiozłem z Anglii, z domu mamy, ale Lydia pomogła mi je odpowiednio wyeksponować.

- W każdym razie efekt jest znakomity - powiedziała Carolina. - Roxie także podziela moje zdanie. Obie z zachwytem zwiedzałyśmy twój apartament.

- Myślę, że teraz już przesadzasz - odparł ze śmiechem.

- Wcale, a wcale - zapewniła. - A tak przy okazji, jak się udała kolacja? Zwerbowałeś jakichś darczyńców na rzecz Towarzystwa Ratowania Zwierząt?

- Tak jest - odrzekł z entuzjazmem. - Kilka osób nawet wypisało czeki na miejscu, kilkoro innych zaś obiecało zastanowić się nad moją propozycją, więc należy spokojnie czekać i trzymać kciuki.

- To wspaniale, Seth.

- Posłuchaj, Carolino, czy nie wybrałabyś się ze mną na obiad w najbliższym czasie? - Najlepiej jak najszybciej, dorzucił w myślach. Uznał, że sukces jego przyjęcia jest doskonałym pretekstem, by znów ją gdzieś zaprosić - tym bardziej że niczego tak nie pragnął, jak znów zobaczyć się z nią sam na sam. Wciąż wracał w myślach do wieczoru po koktajlu u Smithsonów - do pocałunków, a także ich wzajemnego pożądania. - Mógłbym ci w ten sposób podziękować, że tak skutecznie pomogłaś mi oczarować gości.

- W żadnym razie nie musisz tego robić - odrzekła, marząc w duchu, by mogli jak najszybciej się spotkać.

- Wiem, że nie muszę, ale bardzo chcę. Wyjątkowo dobrze się czuję w twoim towarzystwie.

Carolina poczuła znajome ściskanie w żołądku. Teraz już nie mogła się oszukiwać - była to reakcja na obecność Seta lub perspektywę ich spotkania.

- Ja też bardzo bym chciała, ale jestem teraz strasznie zajęta. Przygotowuję galę w Metropolitan, a na dodatek zajmuję się tysiącem innych zleceń. Czy możesz chwilę poczekać, zajrzę do kalendarza.

- Oczywiście.

Carolina zaczęła przeglądać obecny tydzień, po czym przeszła do następnego.

To idiotyczne, zbeształa się po chwili w duchu. Chcę się z nim spotkać, więc muszę znaleźć czas natychmiast.

- Co byś powiedział na... nie, poczekaj... czy może być czwartek, po ósmej? Czy to nie za późna pora?

- W żadnym razie. A więc zobaczymy się w czwartek. O ósmej trzydzieści?

- W porządku.

- Świetnie. Przyjdę po ciebie, dobrze?

- Będę czekać. A więc na razie, Seth.

Seth nacisnął guzik domofonu i usłyszał od Caroliny, że zaraz spotkają się na dole.

- Jak wyglądam? - spytała Richiego.

- Super, mammo.

- Dzięki, skarbie. W lodówce masz coś do zjedzenia. - Chwyciła klucze i torebkę z kuchennego blatu. - Dasz mi całusa na do widzenia?

Richie nonszalancko cmoknął ją w policzek.

- Pa, kochanie. Nie wrócę zbyt późno.

- Baw się dobrze, mammo. I pozdrów Seta.

- Pozdrowię.

Obróciła się na pięcie i zniknęła za drzwiami windy, zadowolona, że syn jest w coraz lepszej psychicznej formie.

Nareszcie wybyła!, odetchnął chłopak z ulgą. Dzięki Bogu! Miał wrażenie, że matka nigdy się nie wybierze.

Przebiegł pędem przez mieszkanie i wpadł do swojego pokoju.

Miał jeszcze tyle do zrobienia. I tak mało czasu. Muszę się zwinąć, pomyślał. I to porządnie.

Ich kolejny wspólny wieczór znów okazał się czarujący. Pod koniec kolacji rozmowa skoncentrowała się na Richiem, ponieważ od kilku tygodni Seth poświęcał chłopcu sporo uwagi i regularnie zabierał go na kort. Richie co prawda nie mówił wiele o tych wypadach - zazwyczaj na wszelkie pytania odpowiadał monosylabami - Carolina jednak była zadowolona, bo nie ulegało wątpliwości, że jej syn szczerze lubił i szanował Seta.

Kiedy Seth odprowadził ją do domu, zaczęli jak nastolatki przytulać się i iłować przed windą i żadne z nich najwyraźniej nie miało ochoty na rozstanie.

- To takie wspaniałe uczucie - wyszeptała Carolina.

- Uhm - mruknął, wodząc ustami po jej szyi. - Ja też czuję się cudownie - dorzucił i zaczął ją całować coraz bardziej gorąco i namiętnie, Carolina zaś przywarła do niego z całej siły.

Ich pieszczoty w końcu doszły do punktu, w którym albo musieli przestać, albo posunąć się dużo dalej.

- Ch-chyba powinienem już iść - wyszeptał Seth, gdy zdołał już złapać oddech.

Carolina spojrzała mu głęboko w oczy.

- Tak. Wiem - odparła. - Choć nie chcę, muszę przyznać, że tak będzie rozsądniej.

W końcu rozstali się z ociąganiem i Carolina wsiadła do windy. Jadąc na górę, próbowała zapanować nad oddechem. A gdy w holu spojrzała w lustro, aż znieruchomiała z zaskoczenia. Seth miał rację, kiedy mówił, że dzisiejszego wieczoru wyglądała zjawiskowo. Rzeczywiście tak wyglądała. I to bynajmniej nie za sprawą nowego, eleganckiego stroju.

Może to z powodu świadomości, że komuś na mnie zależy, pomyślała.

Cokolwiek to było - służyło jej urodzie.

Schyliła się i zdjęła szpilki - obawiała się, że ich stukot na dębowej podłodze może obudzić Richiego. Nie wyszedł jej na spotkanie, gdy drzwi windy się rozsunęły, w mieszkaniu panowała idealna cisza, Carolina uznała więc, że syn już zasnął.

Na palcach wsunęła się do sypialni, a potem do garderoby. Szybko się rozebrała i narzuciła na siebie ulubione, jedwabne kimono, po czym przeszła do łazienki, zmyła makijaż i wyczyściła zęby.

A teraz do łóżka, pomyślała leniwie, ale natychmiast przypomniała sobie o jeszcze jednym obowiązku. Musi ucałować Richiego na dobranoc. Stała pod pokojem syna i przyłożyła ucho do drzwi. Nie usłyszała najłżejszego szmeru. Zapewne śpi kamiennym snem, wywnioskowała. Delikatnie uchylila drzwi i zajrzała do środka.

Od razu zobaczyła puste łóżko i serce podskoczyło jej do gardła.

Gdzie...?

Co teraz zrobić? Ogarnęła ją panika. Poczwała, że tętno wali jej jak oszałałe, a na czoło występuje zimny pot. Do kogo zadzwonić? Do Adlerów. Może wybrali się gdzieś razem z Jeffem? Tylko dlaczego Richie jej o tym nie uprzedził?

- ... lo? - W słuchawce rozległ się zaspany głos.

- Jeff? Czy to ty? - Tak.

- Słuchaj, tu mama Richiego. Czy widziałeś się z nim wieczorem? - Nie.

- A nie wiesz, gdzie może się podziewać o tej porze?

- Nie. A co, nie ma go w domu? - Chłopak był wyraźnie zdumiony.

- Nie. Naprawdę nie wiesz, dokąd mógł pójść?

- Naprawdę.

- Rozumiem. Jeśli się do ciebie odezwie, daj mi znać, bardzo proszę.

- Jasne.

- Dzięki, Jeff. I przepraszam, że cię obudziłam.

- Nie ma sprawy.

- Dobranoc.

Rozłączyła się i do oczu napłynęły jej łzy.

Gdzie Richie mógł się wybrać o tej porze? I czemu ją okłamał?

Drżącą ręką znowu chwyciła za słuchawkę i wybrała numer komórki Matta. Może Richie dzwonił do niego, może zostawił jakąś wiadomość? Ale brat nie odbierał. Carolina zadzwoniła do Thada, lecz również bez rezultatu. Zostawiła swój numer na ich pagerach, po czym przeszła do kuchni, usiadła i zaczęła czekać. Pięć minut. Dziesięć. Piętnaście. Nic.

Łzy zaczęły płynąć jej po policzkach, Co mam teraz robić? Co robić?, zapytywała się raz po raz w duchu. W końcu zdała sobie sprawę, że ogarnięta paniką, zatraciła jasność myślenia. Skoncentruj się. Dokąd mógł pójść Richie?

I nagle uświadomiła sobie, że nawet dobrze się nie rozejrzała po jego pokoju, by sprawdzić, czy syn nie zostawił jakiejś wiadomości.

Cóż ze mnie za idiotka!, skarciła się w myślach, biegnąc przez hol.

Wpadła do pokoju syna. Wirujący wygaszacz ekranu rozjaśniał ścianę surrealistyczną poświatą. Carolina podeszła do biurka i lekko trąciła mysz.

Wygaszacz natychmiast zniknął, a w jego miejsce pojawiła się wiadomość.

„Mamo, pojechałem zobaczyć się z siostrą. Całuję, Richie”.

Pochylona nad ekranem, zamarła, wpatrując się w wiadomość od syna, choć teraz wszystkie litery rozmywały jej się przed oczami. Po policzkach strugami płynęły łzy.

Po kilku minutach otarła twarz, wyprostowała się i rozejrzała wokół. W sercu czuła przeszywający ból - autentyczny, fizyczny, jakiego jeszcze nigdy dotąd nie doświadczyła. Usiadła na łóżku Richiego i bezwiednie zaczęła gładzić kołdrę.

W końcu dźwignęła się na nogi i przeszła z powrotem do kuchni. Ani Matt, ani Thad nie dali znaku życia - było już tak późno, że zapewne do rana nie sprawdzą pagerów.

Carolina po raz kolejny podniosła słuchawkę i wystukała jeszcze jeden numer.

- Halo? - Usłyszała po trzech dzwonkach.

- Seth? Tu Carolina - powiedziała drżącym głosem.

- Co się stało?

- Chodzi... chodzi o Richiego - wyjąkała. - On... uciekł do Amsterdamu.

- Będę u ciebie za parę minut.

## Rozdział 28

Richie stał przy bankomacie na lotnisku Schiphol, otoczony tłumem spieszących w różne strony podróżnych, niepewny, dokąd powinien się skierować. Był już tu kilka razy w życiu, ale zawsze razem z rodzicami, nie zwracał więc uwagi, w które korytarze należy skręcić. To tata zawsze ich prowadził.

Rozejrzał się zdezorientowany dookoła i po raz pierwszy od chwili, gdy zaplanował tę eskapadę, poczuł strach. Ludzie kłębiący się w korytarzach - podążali spiesznie do wyjścia, zdeterminowani, by jak najszybciej dostać się do miasta. Wydali mu się nagle groźną, nieprzyjazną masą, mówiącą najróżniejszymi językami, wszystkie jednak brzmiały obco dla jego uszu. Nawet jeśli od czasu do czasu dotarło do niego angielskie słowo, wcale nie czuł się lepiej, bo nikt z tego tłumu obcych nie zwracał na niego najmniejszej uwagi.

Kiedy zdecydował się ostatecznie, którądy iść (czy aby na pewno powinien skręcić w prawo?), zaczął się gorączkowo rozglądać za bankomatem. Nagle odniósł wrażenie, że znalazł się na ziemi niczyjej, kompletnie obcej - choć przecież już tu był. Niczego jednak nie rozpoznawał.

W końcu zobaczył bankomat i poczuł się nieco lepiej - bez względu na to, co się wydarzy, przynajmniej nie pozostanie bez grosza przy duszy.

Wyjął kartę i przeliczył dziwnie wyglądające banknoty. Ten drobny sukces uznał niemal za triumf. Nie wypłacił wiele - ekwiwalent jakichś pięćdziesięciu dolarów - ale dzisiaj zapewne nie będzie potrzebował więcej pieniędzy. W razie czego na pewno znajdzie jakieś inne bankomaty. Ruszył więc teraz śmiało przed siebie i po pewnym czasie zobaczył znak wskazujący przejście do pociągu kursującego do miasta. Strzałka prowadziła w dół. Po paru minutach Richie znalazł się na peronie, z którego miał dojechać do Centraal Station w Amsterdamie.

Peron był tak zatłoczony, że Richie wcale nie miał pewności, czy wsiada do właściwego pociągu, ale wstydził się kogokolwiek zapytać. Strach wręcz go dławił - czuł w gardle nieprzyjemną kulę. Kiedy znalazł się już w wagonie, zdjął plecak i postawił na podłodze, pomiędzy nogami. Nie zabrał ze sobą wiele: dodatkowy sweter, kilka t-shirtów, dżinsy, trochę bielizny i skarpetki. Wiedział, jak bardzo nieprzewidywalna bywa pogoda w Amsterdamie - często w jednej chwili mogło się zrobić mokro i lodowato, szczególnie gdy dmuchnęło znad Morza Północnego - nie zapomniał więc o swojej ulubionej skórzanej kurtce, którą teraz włożył.



Wyrzał przez okno pociągu. Niebo było stalowoszare, ale nie padało. Lipy i brzozy straciły już wiele liści. Na horyzoncie widział kilka wielkich dźwigów budowlanych, a gdy dojeżdżali do Centraal Station, dostrzegł wielkie żurawie, ładujące kontenery na statki zacumowane w porcie.

Wysiadłszy z pociągu, Richie zaczął z konsternacją rozglądać się wokół, znów niepewny, w którą iść stronę. W końcu zdecydował się podążyć za największą grupą ludzi, bo po prostu nic lepszego nie przyszło mu do głowy. Po krótkim marszu stanął przed dworcem - przed nim rozpościerała się panorama Amsterdamu.

Nie najgorzej, jak na początek, pocieszał się w duchu, próbując odzyskać rezon. Był tu zaledwie od dwóch minut, pomyślał smętnie, a już czuł się taki... samotny.

Gdy ruszył ulicą przed siebie, otoczyły go tysiące rowerów, tramwaje i autobusy, i mnóstwo przechodniów, spieszących we wszystkich kierunkach. Wciąż nie wiedząc dokąd iść i wstydząc się spytać o drogę, Richie skierował się w stronę - jak mu się wydawało - centrum miasta.

Dojdę do jakiejś głównej ulicy, postanowił. I tam zapytam o drogę. Wsunął rękę do kieszeni, by upewnić się, że wciąż ma kawałek papieru, na którym zapisał adres Monique - tylko dzięki tej kartce będzie mógł się spotkać z przyrodnią siostrą.

Richie wędrował przed siebie, mijając wiele skrzyżowań, przeciskając się między rowerami, tramwajami i autobusami. Był niemal pewien, że kieruje się w stronę Dam - centralnego placu Amsterdamu. Nie zdawał sobie jednak sprawy, że nieznacznie, ale systematycznie zbacza na zachód, i dlatego po pewnym czasie znalazł się w kwartale dziwnych zaułków. Wysokie budynki otaczające Dam zniknęły teraz zupełnie, zastąpione wąskimi, trzy - i czteropiętrowymi domami mieszkalnymi wyrastającymi po obu stronach osobliwej, brukowanej uliczki.

Jak dalej będę szedł w tę stronę, wkrótce dojdę do głównej arterii, zapewniał się w duchu. Zapewne jeszcze tylko kilka przecznic i będę na miejscu.

Tymczasem ulica z osobliwej szybko zmieniała się w obskurną. Pierwsze budynki były jeszcze całkiem przyjemne - starannie pomalowane, mieściły restauracje, bary i sklepy, im głębiej jednak zapuszczał się Richie, tym bardziej bary przypominały mordownie, w witrynach sklepowych zaś coraz częściej pojawiały się różne erotyczne gadżety oraz t-shirty z obscenicznymi obrazkami i ordynarnymi sloganami.

Po kilku następnych krokach Richie zobaczył, że witryny wielu sklepów obwiedzione są czerwonymi świetlówkami lub na centralnym miejscu stoi okrągła, czerwona lampa. Kobiety wszelkich kształtów i ras siedziały bądź leżały w oknach, oferując swe usługi

przechodzącym mężczyznom. Richie zaczerwienił się po same uszy, gdy pewna dama o imponującym biuście posłała mu całusa i zamachała wielkimi piersiami; a gdy następna włożyła dłoń między uda, wręcz nie wiedział, gdzie ma podziać oczy.

Tego miejsca tata nigdy mu nie pokazywał. Poczul, że zaczyna gwałtownie się pocić, zdjęła go panika. W uszach słyszał przyspieszone dudnienie serca, miał ochotę zerwać się do ucieczki, ale jednocześnie nie chciał okazywać, jak bardzo przeraża go rozgrywający się wokół spektakl. Poza tym trudno byłoby biec z ciężkim plecakiem na ramionach.

Pochylił nisko głowę, koncentrując się na kostkach bruku i próbując nie patrzeć na domy, gdy inne kobiety także próbowały go przyciągnąć wulgarnymi gestami. Usilnie starał się również ignorować groźnie wyglądających mężczyzn, którzy zachwalali usługi owych dam opisami oferowanych przez nie wymyślnych seksualnych praktyk, o jakich chłopak nie miał najmniejszego pojęcia.

Nigdy jeszcze nie czuł się tak zażenowany, przerażony i samotny. Przy najbliższej nadarzającej się okazji skręcił za róg, byle znaleźć się jak najdalej od tej okropnej ulicy - i natychmiast wpadł na niego niewiarygodnie brudny mężczyzna, który właśnie wytoczył się z palarni marihuany, mamrocząc coś pod nosem. Wygląd nieznajomego i bijący od niego odór były tak obrzydliwe, że Richie miał ochotę wskoczyć pod prysznic.

#### 15. Najlepsze...

Ponownie ogarnął go strach - teraz jeszcze silniejszy i bardziej lodowaty. Szybko odsunął się od naćpanego mężczyzny, i w takim pędzie skręcił za róg, że niemal zarył nosem w kamienie.

W tym momencie na przerzuconej przez kanał kładce dojrzał policjanta na rowerze. Pobiegnął więc w jego kierunku, nie zwalniając, póki nie dogonił jadącego.

- Proszę pana! - wykrzyknął, wyciągając kartkę z kieszeni. - Jak mam trafić pod ten adres? Proszę mi pomóc. Bardzo... proszę.

Policjant spojrzał na chłopca obojętnie, po czym zwrócił się w stronę dziewczyny, z którą wcześniej rozmawiał. Richie przyjrzał się jej uważnie i wówczas dostrzegł, że dziewczyna ma na sobie brudne ubranie, a jej włosy przypominają fioletowe, zmierzwiłe ptasie gniazdo. Na jej ramionach zobaczył zrosty i świeże ślady po ukłuciu. Ten widok był dla Richiego tak odrażający, że poczul gorzki, dławiący smak żółci w ustach.

- Niech spojrzę raz jeszcze - zwrócił się w końcu do niego policjant. Chłopak ponownie wyciągnął przed siebie kartkę.

- Buiksloterweg 29, Amsterdam Noord - przeczytał funkcjonariusz na głos. - Wiesz, gdzie jest Centraal Station?

Richie skinął głową.

- Musisz iść do dworca, a potem wyjść na jego tyły: tam jest przystań promowa. Żeby dotrzeć pod ten adres, trzeba się przeprawić przez kanał. Na przystani dowiesz się, na jaki prom masz wsiąść. Czy to jest dla ciebie jasne?

- Tak, proszę pana. Dziękuję - odrzekł Richie.

Policjant skinął głową, po czym znowu odwrócił się w stronę narkomanki.

Z duszą na ramieniu Richie ruszył w powrotną drogę. Ponownie próbował maszerować z wzrokiem wbitym w bruk, nie rozglądając się na boki, by nie widzieć wulgarnych gestów prostytutek, nie oglądać pijanych mężczyzn i kobiet, a także pornograficznych akcesoriów wystawionych w witrynach sklepów.

Kiedy zobaczył, że zbliża się do końca ulicy, odetchnął z ulgą. Gdy tylko jednak przyspieszył kroku i poczuł się pewniej, zza zakrętu wyszło trzech mężczyzn, którzy zatrzymali się na jego widok i stanęli półkolem, tak że nie mógł ich swobodnie wyminąć. Wszyscy trzej mieli ogolone głowy, kolczyki w rozmaitych częściach ciała, tatuaże i ubrani byli w ciuchy z demobilu i wojskowe buty.

Skinyl!, pomyślał Richie z przestachem. Widywał ich niekiedy w Nowym Jorku, ale tam nigdy nie wydawali się równie przerażający.

Cofnął się o krok i próbował ich obejść, lecz tamci ponownie zablokowali mu drogę. Richie już chciał wzywać pomocy, gdy najpotężniejszy z nich - stojący pośrodku - chwycił go za poły kurtki i wciągnawszy w niewielką przecznicę, przycisnął chłopaka do ceglanego muru.

- Dawaj plecak! - rzucił przez zaciśnięte zęby. Mówił po angielsku z silnym, obcym akcentem.

- Chcesz zabrać mój...

Potężny skinhead spojrzał mu gniewnie prosto w oczy.

- Twój pieprzony plecak. Czy ogłuchłeś? Gert... - skinął głową na kompana, który przyglądał się całej scenie z ironicznym uśmiechem - ... bierz się do roboty.

Zwolnił chwyt na tyle, by Gert mógł gwałtownym ruchem ściągnąć plecak z ramion Richiego.

- Masz go? - spytał bandyta, nie spuszczać oczu z Richiego.

- Uhm - mruknął potakująco Gert.

Trzeci z koleżków, do tej pory milczący, zaniósł się piskliwym śmiechem hieny. Tymczasem ich przywódca ponownie pchnął Richiego na ścianę, aż głowa chłopaka odbiła się od cegieł z głuchym pogłosem. Poczul ostry ból w czaszce i karku. Zanim jednak zdołał

się zorientować, co się dzieje, bandyta podniósł go i rzucił na twardy bruk.

Richie upadł kompletnie zdezorientowany i oszołomiony, a skin śmiejący się jak hiena wymierzył mu ciężkim butem kopniaka. Chłopak krzyknął z bólu i odruchowo zasłonił głowę rękami, a wtedy „hiena” kopnął go ponownie tym razem prosto w kolano. Richie zgiął się wpół i zawył.

Wówczas trójka napastników rzuciła się do ucieczki i zniknęła za pobliskim rogiem.

Richie jednak ani nie widział, ani nie słyszał, że już odeszli. Przerażony, leżał na bruku, oczekując kolejnego ciosu. Potężny ból w czaszce wypierał wszelkie inne doznania. Był tak intensywny, że Richie jedynie chwycił się mocno za głowę i zacisnął zęby, mając nadzieję, że za chwilę poczuje się nieco lepiej.

Nie wiedział, jak długo leżał tak na ulicy. Po pewnym czasie ostry ból zaczął powoli ustępować - zmienił się w tępe pulsowanie za oczami. Kiedy Richie zorientował się, że otacza go cisza, powoli oderwał ręce od głowy i otworzył oczy. Bandyci zniknęli - choć właściwie teraz już go to nie interesowało - popadł w całkowitą obojętność. Wiedział jedynie, że jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak potwornie upokorzony.

W końcu spróbował poruszyć stopami. Kolano było bardzo obolałe, zdołał się jednak powoli dźwignąć na nogi. Dżinsy miał porwane i zadrapaną, krwawiącą dłoń. Drżał na całym ciele, a do oczu napłynęły mu łzy wstydu i bezsilności.

Pieprzone gówno!, zaklął w duchu. I co teraz począć? Poszukać tego policjanta i złożyć skargę, narażając się przy tym na milion pytań, z których pierwsze będzie brzmiało, co robisz tu sam, bez opieki. Czy może podjąć poszukiwania interesującego go adresu?

Ostatecznie doszedł do wniosku, że w gruncie rzeczy nie ma innego wyjścia - w żadnym razie bowiem nie chciał mieć do czynienia z policją.

Odetchnął kilka razy głęboko, po czym niepewnie postąpił kilka kroków. Kulejąc z powodu przeszywającego bólu w kolanie, skierował się w stronę Centraal Station. Po pewnym czasie spróbował się puścić biegiem, ale obolałe kolano natychmiast zaprotestowało.

Przecież teraz już nie muszę przed niczym uciekać, zdecydował po chwili. Ostatecznie wszystko, co mogli ukraść, już mi ukradli, pomyślał ponuro. Chyba, że ktoś miałby jeszcze ochotę na to, co mam na sobie.

- Przepraszam, chciałbym się dostać pod ten adres. - Richie zaczepił mężczyznę stojącego na kei.

- Musisz wsiąść na jeden z tych promów. - Tamten wskazał nadpływający statek palcem. - Wyruszy z powrotem za parę minut. Kiedy już się znajdziesz po drugiej stronie kanału Ij, zapytaj kogoś o drogę. Mam wrażenie, że ta ulica jest w pobliżu nabrzeża.

- Wielkie dzięki.

- Nie ma za co - rzucił mężczyzna.

Richie skierował się na lewo, gdzie już kilka osób czekało na przeprawę. Nigdzie jednak nie dostrzegł kasy biletowej, podszedł więc do młodego chłopaka prowadzącego rower.

- Przepraszam, gdzie mogę kupić bilet na prom i ile to będzie kosztować?

- Przejazd jest darmowy - oznajmił chłopak z uśmiechem.

- Dzięki - odrzekł Richie.

Darmowy, pomyślał przy tym z zachwytem. Rewelacja. Kompletna odmiana po Nowym Jorku! I w tym właśnie momencie dotarło do niego, że został bez grosza przy duszy. Szlag by to trafił! I co począć w tej sytuacji?, pomyślał z przestraszeniem. Zacząć żebrać? Znowu przeszedł go dreszcz przerażenia, z trudem powstrzymał łzy. Jedno jest jednak pewne, powiedział sobie w duchu. W żadnym razie nie zadzwoni do mamy i nie powie jej, że został napadnięty.

Przypłynął prom i grupka osób czekająca na przeprawę uprzejmie odsunęła się na bok, by pasażerowie mogli wysiąść. Przez metalowe, obrotowe przejście Richie wszedł na pokład, ale nie usiadł w kabinie, tylko skierował się na dziób, by mieć lepszy widok na port i kanał Ij. Chwilę później zahuczała syrena i prom odbił od nabrzeża.

Na pokładzie znajdowali się rozmaici ludzie - młodzi i starzy, jedni ubrani bardzo elegancko, inni - biednie lub byle jak. Wiele osób miało ze sobą rowery, a niemal wszyscy trzymali w dłoniach torby na zakupy. Na kanale roiło się także od łódek, dużych jachtów, innych promów i różnych typów barek.

Przeprawa nie trwała długo, więc zaledwie kilka minut później chłopak znalazł się na betonowej kei, gdzie stały wiaty z grubego plastiku, osłaniające od wiatru i deszczu ławki dla oczekujących na prom pasażerów. Większość współtowarzyszy podróży Richiego już zdążyła wsiąść na rowery i rozjechać się we wszystkie strony. Na szczęście kilkoro z nich było pieszo. Tuż przed Richiem człapała starsza pani, obciążona zakupami.

- Przepraszam panią? - zaczepił ją chłopak.

Kobieta odwróciła się w jego stronę. Miała rumiane policzki i całkiem siwe włosy, wymykające się pod dziwnymi kątami spod chustki zawiązanej na głowie.

- Tak?

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak znaleźć ten adres? - wyciągnął kartkę w jej stronę, by sama mogła przeczytać nazwę ulicy.

- Widzisz to odgałęzienie w lewo?

Richie powędrował wzrokiem za jej wyciągniętym palcem. - Uhm.

- Skręcisz w nie, a po przejściu kilku kroków zobaczysz małą przecznicę w prawo. To jej właśnie szukasz.

- Dziękuję pani serdecznie.

Kobieta skinęła głową i ciężko ruszyła przed siebie, a Richie szybko ją wyminął. Wzdłuż kanału stały różnego typu łodzie - od kosztownych, pełnomorskich jachtów, po rybackie krypy, aż proszące się o nową warstwę farby. Na jednej z motorowych żaglówek małżeństwo w średnim wieku właśnie zasiadło do lunchu przy ustawionym na pokładzie stole.

Zgodnie ze wskazówkami Richie skręcił w lewo i w oddali ujrzał potężny kompleks przemysłowy. Zaczął się zastanawiać, co to mogą być za zakłady i niemal w tym samym momencie dostrzegł znajome logo Sheila umieszczone na jednym z wysokich biurowców.

Chwilę później, po prawej stronie, dostrzegł brukowaną uliczkę. Była tak wąska, że gdyby jej nie wypatrywał, na pewno by ją przeoczył. Na niewielkim domku, gdzie mieścił się bar dostrzegł nazwę: BUIKSLOTERWEC. Poniżej znajdowała się tabliczka z napisem: AMSTERDAM NOORD.

Richie spojrzał w głąb uliczki. Więc to tu, pomyślał i ogarnęło go radosne podniecenie pomieszane z lękiem.

Po lewej stronie, za barem, zobaczył kilka wolno stojących, zaniedbanych budynków, dalej zaś rząd schludnych, wąskich dwu - i trzypiętrowych ceglanych kamienic o biało malowanych krawędziach. Po prawej, na wąskim skrawku pomiędzy ulicą a kanałem, stało kilka drewnianych domów. Od ulicy do kanału biegły liczne ścieżki, rozszerzające się przed wejściem do mieszkalnych barek w małe, przydomowe ogródki, pełne zielonych roślin, wijącego się dzikiego wina i barwnych kwiatów.

To miejsce przywołuje na myśl obrazki z bajek, pomyślał Richie. Wiedział, że mama nazwałaby je magicznym.

Wziął głęboki oddech i ruszył przed siebie. Po jednej stronie stały zaparkowane małe auta, głównie smarty. Był tu też chodnik, nie szerszy niż pół metra, Richie jednak go nie dostrzegł i wędrował środkiem ulicy. Nagle z naprzeciwka nadjechał samochód i chłopak uskoczył na bok, niemal wprost pod koła jadącego za nim roweru.

Rowerzysta warknął coś gniewnie i obrzucił go nieprzyjaznym spojrzeniem, i Skonsternowany, ponownie czując się całkiem obco, Richie wskoczył do pobliskiego ogródka, by nie blokować ruchu. Przy okazji zerknął na kawałek papieru, który wciąż zaciskał w dłoni. Upewnił się, że szuka numeru 29. Schował kartkę do wewnętrznej kieszeni

kurtki, skąd przy okazji wyjął dwie fotografie. Wiedział, że doskonale zapamiętał widniejące na nich twarze, miał jednak ochotę spojrzeć na nie jeszcze raz. Uważnie popatrzył na zdjęcia. Pierwsze z nich przedstawiało kobietę o jasnych, długich włosach i małą dziewczynkę. Na drugim obie znajdowały się w towarzystwie jego ojca.

Richiego ponownie ogarnął strach. Bardzo chciał poznać swoją siostrę, ale bał się tej kobiety z fotografii. Wiedział, że ona i jego mama walczą o majątek po ojcu. Niewykluczone, że ta Monique serdecznie go nienawidzi.

Mimo to muszę się z nimi spotkać, powiedział sobie. Po prostu muszę.

Schował zdjęcia z powrotem do kieszeni, rozejrzał się wokół i wówczas dostrzegł starą kobietę stojącą w oknie drugiego piętra pobliskiego domu. Po chwili zdał sobie sprawę, że ona też go obserwuje i poczuł, jak cierpnie mu skóra. Oczywiście wiedział, że w Holandii tradycyjnie nikt nie zasłania okien od frontu, by udowodnić, że gospodarze nie mają nic do ukrycia, a przy okazji pochwalić się własną schludnością. Jednak ta baba-jaga wzbudzała strach.

Teraz odsunęła się w głąb mieszkania, ale Richie i tak wiedział, że wciąż na niego patrzy. Zerknął w okna raz jeszcze i wtedy kątem oka dostrzegł numer domu: 40. A więc jest po parzystej stronie ulicy, co oznaczało, że dom, którego szukał, musiał stać nad kanałem. Ruszył przed siebie, klucząc pomiędzy samochodami, skuterami, rowerami i wysokimi drzewami i wypatrując numerów po nieparzystej stronie. Kilka budynków stało za wysokim ogrodzeniem, gęsto porośniętym dzikim winem, niemal osłaniającym domy od ulicy. Na furtce udało mu się jednak dostrzec tabliczkę z numerem 37.

Niewykluczone, że już go minąłem, pomyślał zdesperowany i niemal w tym samym momencie dostrzegł cyfrę 29 wyrytą na małej plakietce przymocowanej do drewnianego niewysokiego płotu. Podobnie jak sąsiednie ogrodzenia był gęsto obrośnięty dzikim winem. Richie zatrzymał się tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a potknąłby się o wywrócony śmietnik. W płocie nie było żadnej furtki, tylko duże przejście prowadzące do kamiennych schodków w dół.

Chłopak stał przez chwilę jak zaczarowany, wbijając wzrok w budynek, który był drugim domem jego ojca. Usytuowany tuż nad kanałem, został zbudowany z impregnowanego, bejcowanego drewna i połyskiwał jak świeżo pomalowana łódź, nawet mimo zachmurzonego nieba. Od tej strony nie było żadnych dużych okien, tylko kilka świetlików w szarym, łupkowym dachu.

Richie zmusił się, by oderwać wzrok od domu i ruszył wzdłuż przykrytego winoroślą płotu, by sprawdzić, czy nie znajdzie miejsca, z którego mógłby zobaczyć dom pod innym

kątem. Minał dwa duże drzewa i wówczas ogrodzenie przeszło w wysoki żywopłot, wyznaczający zapewne początek sąsiedniej posesji. Richie zaczął szukać jakiegoś prześwitu w krzewach, skąd mógłby zerknąć na drugą stronę. Prześwitu nie znalazł, za to wkrótce doszedł do wejścia prowadzącego pod dom sąsiadów i teraz mógł wyraźnie zobaczyć dom, w którym zmarł jego ojciec.

Z tej strony w drewnianej ścianie było kilka sporych okien i oszklone drzwi. Wzdłuż domu, nad kanałem, ciągnął się drewniany taras. Richie stał i wpatrywał się w budynek przez dłuższą chwilę. W końcu jednak przestraszył się, że ktoś - na przykład ta przerażająca starucha z przeciwnej strony ulicy - może go uznać za podejrzanego osobnika.

I co teraz?, zapytywał się w duchu chłopak. Przecież ni stąd, ni zowąd nie zapuka do drzwi tej kobiety i nie powie: „Cześć, jestem Richie. Ty byłaś dziewczyną mojego ojca, a twoja córeczka jest moją przyrodnią siostrą”. Nagle zdał sobie sprawę, jak fatalnie zaplanował całą tę eskapadę. Kiedy znalazł się wreszcie na miejscu, nie wiedział, jak powinien się zachować.

Przeszedł na drugą stronę ulicy i powłókł się noga za nogą w stronę, z której przyszedł. Czuł się jak ostatni idiota. Czemu nie przygotowałem odpowiedniej przemowy?, wyrzucał sobie w duchu. Skręcił w niewielką uliczkę znajdującą się niemal naprzeciwko kamiennych schodów i usiadł na maleńkim chodniku.

I co mam jej powiedzieć?, zastanawiał się gorączkowo. Przecież ona może mnie w ogóle nie poznać - ostatecznie widziała mnie tylko raz, na odczytaniu testamentu. A jeśli mi nie uwierzy? Jeżeli w ogóle nie wpuści mnie do domu albo wręcz wezwie policję? Może przecież okazać się wredną babą, która najchętniej natychmiast utopiłaby mnie w łyżce wody.

Odgarnął z czoła niesforny kosmyk włosów. Czemu o tym wszystkim nie pomyślał wcześniej?! Teraz chętnie by sobie przyłożył z powodu własnej niecierpliwości. Chciał poznać siostrę, wiedział, gdzie ją znaleźć. Zupełnie jednak nie pomyślał, co zrobi, gdy już dotrze na miejsce.

Chciało mu się płakać. Ale ze mnie palant, pomyślał żałośnie. Najpierw dałem się okraść, a teraz siedzę tu jak ostatni dupek i nie mam pojęcia, co zrobić.

Chwilę później kątem oka pochwycił niewielki ruch po przeciwnej stronie ulicy. Spojrzał uważniej. To ona! Kobieta o długich, jasnych włosach. I mała dziewczynka! Kobieta prowadziła ją za rączkę, gdy wchodziły po kamiennych stopniach.

Richie poczuł, że coś dławi go w gardle. Teraz nie byłby zdolny wypowiedzieć słowa.

W pierwszej chwili sądził, że kobieta skieruje się do roweru przymocowanego do płotu. Ale nie. Okazało się, że w drugiej ręce trzyma dużą torbę i złożoną spacerówkę. Kiedy



przeszły kilka kroków, kobieta rozłożyła wózek i posadziła dziewczynkę, a potem niespiesznie skierowała się w stronę, z której wcześniej nadszedł Richie. Zapewne szła do promu.

Richie poderwał się z chodnika i nie zwracając uwagi na ostry ból w kolanie, ruszył za nią ostrożnie, dostosowując swój krok do jej tempa i cały czas zachowując bezpieczny dystans. Na skrzyżowaniu, zgodnie z przewidywaniami chłopaka, kobieta skręciła w lewo, w stronę przystani. Przez całą drogę zatrzymała się tylko raz - by przerzucić torbę z jednego ramienia na drugie.

Weszła na keję i ruszyła na przeciwległy jej kraniec, po czym schowała się w środku jednej z wiat, żeby ochronić dziecko i siebie przed zimną bryzą znad Morza Północnego. Richie pozostał na drugim końcu nabrzeża, usilnie starając się spoglądać wszędzie, tylko nie w kierunku jasnowłosej kobiety z wózkiem. Prom przyplłynął po pięciu minutach i grupa mniej więcej dwudziestu osób zaczęła wchodzić na pokład.

Kobieta z dzieckiem weszła do przeszklonej kabiny i zajęła jedno z siedzących miejsc; wówczas Richie też wskoczył na prom, ale nie wszedł do środka, tylko pozostał na zewnątrz wraz z grupką młodych ludzi opartych o rowery, którzy prowadzili ożywioną dyskusję, raz po raz wybuchając śmiechem. Przez przeszklone ściany kabiny mógł swobodnie obserwować wysoką blondynkę, zwróconą ku niemu *en face*.

Ta Monique była naprawdę piękna. Rzeczywiście odjazdowa. Ale coś w jej wyglądzie mówiło Richiemu, że potrafiła być także... bardzo twarda. A nawet wredna.

Smukła i elegancka w ruchach, miała wysoko sklepione kości policzkowe, prosty nos i pełne usta, a cerę równie jasną jak włosy. Ubrana była w dżinsy oraz czarny, luźny, gruby sweter. Na głowie miała wełnianą czapkę, a na nogach ciężkie, czarne, sznurowane buty.

Richie nie mógł natomiast obserwować dziewczynki, bo wózek stał tak, by dziecko siedziało zwrócone w stronę matki. Patrząc jednak na Monique widział, że o czymś rozmawiają i często się śmieją.

Po przeprawie promowej Monique przeszła przez budynek dworca i skierowała się na przystanek tramwajowy po przeciwnej stronie. Wyjęła Anję z wózka, złożyła spacerówkę i wzięła dziewczynkę na ręce. Wsiadły do tramwaju, nie zwracając uwagi na chłopaka o kasztanowych włosach, który wskoczył do wagonu.

W tramwaju nie było konduktora i Richie miał nadzieję, że nikt taki się nie pojawi, bo przecież nie miał za co kupić biletu. Musiał jednak zaryzykować. Usiadł zaledwie kilka miejsc za Monique i Anją. Po paru minutach tramwaj ruszył z przystanku, a gdy śródmiście Amsterdamu przesunęło się Richiemu przed oczami, zaczął się zastanawiać, dokąd się

wybierają i co pocznie, gdy już dojadą na miejsce.

Czy powinienem się przedstawić?, zapytywał się w duchu. Czy może nadal tylko je obserwować? Bał się, że gdy podejdzie, Monique zrobi mu jakąś straszną scenę albo wezwie policję. Ale nie mógł przecież bezsensownie za nimi iść, nie taki był cel jego podróży. Przyjechałem, żeby poznać moją siostrę, po raz kolejny powtórzył w myślach. Tylko jak to osiągnąć?

## Rozdział 29

Rozsunęły się drzwi windy i Seth ujrzał Caroline wpatrującą się w niego przerażonym wzrokiem. Wyciągnął ręce, aby ją przytulić, a drżąca kobieta przylgnęła doń całym ciałem w poszukiwaniu ciepła i bezpieczeństwa.

W końcu pocałował ją w czubek głowy, uśmiechnął się i zaciągnął do kuchni. Zaparzyli kawę, usiedli przy stole w aneksie jadalnym, po czym Carolina opowiedziała Sethowi o kłamstwie Richiego oraz o wiadomości, którą zostawił na komputerze.

- Wiem, że dla ciebie zabrzmiało to niedorzecznie - powiedział po chwili Seth - ale uważam, że nie powinnaś tak zamartwiać się o syna. Jest przecież prawie dorosły, a na dodatek, jak mówiłaś, już był kilka razy w Amsterdamie.

Prawdę powiedziawszy, on też się niepokoił o chłopaka, lecz nie chciał wspominać o swoich obawach. Dobrze wiedział, że jak w każdym wielkim mieście, w Amsterdamie również są niebezpieczne, zakazane miejsca, do których w żadnym wypadku nie należy się zapuszczać.

- Rozumiem - odrzekła Carolina głosem pełnym napięcia - ale mimo to nie mogę się uspokoić. Przecież... przecież tak naprawdę to jeszcze dzieciak... wyrosnięty dzieciak... i... mój Boże, może już leży gdzieś martwy!

Seth zerknął na zegarek.

- Richie najprawdopodobniej jest na miejscu. W Amsterdamie dochodzi dziewiąta rano. Myślę, że o tej porze możemy spokojnie zadzwonić do tej kobiety.

Carolina lekko zeszywniała.

- Trzeba ją uprzedzić, że Richie może zapukać do jej drzwi - wyjaśnił rzeczowo. - O ile już tego nie zrobił. Przede wszystkim należy zadbać o jego bezpieczeństwo.

- Masz rację. - Skinęła głową. - Poza tym muszę jak najszybciej zarezerwować bilet na lot do Holandii. Na pierwszy możliwy lot z Nowego Jorku. Sama przywiozę go do domu.

- Oboje go przywieziemy - poprawił ją Seth. - Lecę z tobą.

- Zrobiłbyś... zrobiłbyś to dla mnie? - spytała, wpatrując się w niego zdumionym wzrokiem. - Doprawdy, nie musisz się aż tak poświęcać, Seth. Z pewnością sama sobie poradzę.

- Wiem, że sobie poradzisz. Nie wątpię w to ani przez moment. Rzecz w tym, że nie musisz. Uważam, że przydadzą ci się moje towarzystwo i pomoc w tej podróży, a ja chętnie pojedę. Mnie też zależy na Richiem.

- Naprawdę?

- Oczywiście. - Skinął głową z uśmiechem. - Teraz natomiast powinienem niezwłocznie zadzwonić w kilka miejsc. Zarezerwuję też dla nas bilety. Jeżeli chciałabyś wziąć prysznic przed podróżą, to jest właśnie najodpowiedniejszy moment. Możesz również zacząć się pakować. Mnie te rozmowy zapewne zajmą nieco czasu.

- Dobrze - odrzekła Carolina. - Dzwoni, a ja zacznę się zbierać do drogi. Koło siódmej zatelefonuję do Roxie i powiem jej, że przez najbliższych kilka dni sama będzie musiała kierować interesem.

- Dobrze. Teraz jeszcze potrzebuję dokumentu z nagłówkiem holenderskiego adwokata tej kobiety i z jej nazwiskiem.

- Oczywiście. Obawiam się jednak, że nigdzie nie znajdziesz numeru jej telefonu.

- Nie szkodzi - odparł Seth. - Tak czy owak go zdobędę.

- Zaraz przyniosę - powiedziała Carolina. Pobiegnęła do salonu, chwyciła tekturową teczkę i położyła na stole. - Tu powinienes znaleźć wszystko, czego ci trzeba.

- W porządku - odrzekł, zagłębiając się w papiery.

- No i czego się dowiedziałeś? - zapytała kilkanaście minut później, wychodząc z sypialni.

- Szczęście mi dopisało - odpowiedział Seth. - Co prawda nie udało mi się złapać Monique Lehnert, ale zostawiłem jej wiadomość na automatycznej sekretarce. Poza tym skontaktowałem się z jej adwokatem, Adrianem Weberem, i wyjaśniłem mu całą sytuację. Powiedziałem, że Richie jest już najprawdopodobniej w Amsterdamie, a my będziemy tam wieczorem. Weber zadzwoni do Monique Lehnert i poprosi, by go zawiadomiła, gdyby Richie w jakikolwiek sposób się z nią skontaktował. Sam też będzie na miejscu. Chłopiec z jakiegoś powodu może zechcieć do niego przyjść.

- A jeżeli ta kobieta wyjechała z miasta? - zatrwożyła się Carolina. - Jeżeli przez nią nie uda nam się odnaleźć Richiego?

- Posłuchaj. - Seth chwycił jej dłoń. - Monique Lehnert niemal na pewno jest w Amsterdamie, Weber rozmawiał z nią zaledwie wczoraj, jutro zaś ona ma przyjść do kancelarii, by podpisać pewne dokumenty. Poza tym udało mi się zarezerwować dla nas bilety na najbliższy lot do Amsterdamu. Dzięki Bogu, sezon turystyczny już się skończył.

- Jesteś cudowny - szepnęła Carolina. - Zupełnie nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- No, dobrze. Teraz muszę skoczyć do siebie i wrzucić kilka rzeczy do neseseru. - Ponownie zerknął na zegarek. - Mniej więcej za dwie godziny powinniśmy wyruszyć na lotnisko Kennedy'ego. Zamówiłem już limuzynę. Zabierze nas spod twojego domu.

Carolina mocno uścisnęła jego dłoń w geście podziękowania.

- Wkrótce odnajdziemy Richiego - zapewnił ją Seth. - Całego i zdrowego. A teraz już uciekam. Powinienem jeszcze zadzwonić do kilku osób z mojego biura. Jesteś pewna, że możesz zostać tu sama, czy raczej wolałabyś iść ze mną?

- Nie martw się. Poradzę sobie - odrzekła Carolina. - Zatelefonuję do Roxie i raz jeszcze spróbuję złapać Matta.

- Doskonale. - Seth zerwał się z krzesła. - Niedługo będę z powrotem.

Carolina odprowadziła go do windy. Seth nacisnął guzik i zwrócił się w jej stronę.

- Pamiętaj, wszystko będzie dobrze - oznajmił stanowczo. Skinęła głową, a potem objęła go i pocałowała.

Gdy nadszedła winda, odsunęli się od siebie i Seth wszedł do kabiny.

- Zaraz wracam - zapewnił ją na pożegnanie.

## Rozdział 30

Monique ze smutkiem wyglądała przez okno tramwaju. Przygnębiały ją częste spacery po parku, w którym kiedyś poznała Lyona, gdzie się w sobie zakochali i dokąd tak często zabierali córeczkę. Miała jednak wrażenie, że w tej oazie zieleni została jakaś część jej ukochanego mężczyzny i teraz pielgrzymowała tam jak do sanktuarium.

Kiedy tramwaj zatrzymał się przy Minervaplein, podniosła się szybko, wzięła Anję na rękę i balansując wózkami wysiadła z wagonu, nieświadoma, że za nią wyskoczył młody chłopak. Na chodniku Monique rozłożyła spacerówkę, posadziła Anję i ruszyła ulicą pełną modnych butików i restauracji, w których nieraz bywali z Lyonem. Potem przeszła na drugą stronę i pomaszerowała wzdłuż eleganckich kamienic, mijając po drodze drzwi domu, w którym pierwszy raz kochała się z Lyonem.

Przeszła przez most na kanale i wkrótce znalazła się w parku Beatrix. Chociaż drzewa już gubiły liście, było tu nadal zielono, wzdłuż alejek bowiem rosły olbrzymie rododendrony oraz inne zimozielone krzewy. Park wydawał się pusty - jedynie od czasu do czasu któraś ze ścieżek przebiegał zagorzały miłośnik joggingu.

Monique wkrótce przystanęła i wyjęła Anję z wózka. Po jednej stronie alejki stał niewysoki płotek, a za nim rozciągał się trawnik schodzący łagodnie w stronę stawu. Kiedy razem z Anją podeszły do płotku, z pobliskich sosen natychmiast zerwały się duże czaple i zaczęły opadać na trawnik.

Niczym prehistoryczne latające stwory podchodziły kołyszącym krokiem do ogrodzenia na swych długich, szczudłowatych nogach, a Anja popiskiwała z zachwytem. Dziewczynka była tak przyzwyczajona do hałasu robionego przez ptaki, że już wcale się ich nie bała, natomiast obserwowała je z największą przyjemnością. Monique tymczasem wyjęła z torby plastikowy woreczek pełen drobno pokrojonych kawałków kurczaka i zaczęła rzucać je czaplom, walczącym teraz o najlepszą pozycję strategiczną i co smaczniejsze kąski. Ich skrzeczenia i klekoty niosły się głośnie echem po opustoszałym parku.

Kiedy woreczek został już opróżniony, włożyła torbę do spacerówki i trzymając Anję za rękę, ruszyła w stronę tej części stawu, gdzie rezydowały łabędzie. Gdy tylko obie pojawiły się w pobliżu brzegu, nadpłynęły trzy czarne, majestatyczne ptaki, wydając z siebie dźwięki przypominające orkiestrę dętą. Anja roześmiała się, wskazując je paluszkami, tymczasem uwagę Monique przyciągnął zupełnie inny odgłos.

Usłyszała chrzęst żwiru za plecami i zerknęła przez ramię. Zobaczyła chłopaka

w podartych dzinsach stojącego kilka metrów dalej. Widząc, że mu się przygląda, szybko odwrócił wzrok. Monique zignorowała go i popatrzyła na łabędzie, ale nagle coś - czy to włosy chłopaka?, czy może jego sylwetka? - kazało jej spojrzeć nań raz jeszcze. Tym razem ich oczy się spotkały i w tej samej chwili Monique go rozpoznała. Nie miała najmniejszej wątpliwości, kto przed nią stoi. Ostatecznie tysiące razy oglądała fotografie tej twarzy. Ten chłopak był też na odczytaniu testamentu.

Serce zaczęło jej walić jak oszalałe. Ugięły się pod nią kolana. Zalała ją fala gniewu i panicznego strachu. Posłała chłopcu nienawistne spojrzenie.

- Ja... ja... - zaczął Richie.

- Czego chcesz? - wyrzuciła z siebie z wściekłością.

- Ja... Ja jestem... nazywam się... - Urwał i spojrzał na łabędzie, jakby zbierając się na odwagę.

- Dobrze wiem, kim jesteś! - wyszczała. - Nie wiem natomiast, co tu robisz? Czego, do licha, ode mnie chcesz?!

Gwałtownie chwyciła za rękę Anję przenoszącą wzrok to na matkę, to na nieznanego chłopca.

Richie spojrzał na Monique okrągłymi ze strachu oczami.

- Ja... ja... - mamrotał pod nosem.

- Idź precz! - wrzasnęła. - Zostaw nas w spokoju!

- Ale... aleja chciałbym poznać swoją siostrę - wykrztusił w końcu. - To... to dlatego przejechałem taki kawał świata.

Obrzuciła go zdumionym spojrzeniem, w jej oczach wciąż płonęły błękitne ogniki gniewu. Zwinęła dłonie w pięści.

- Co takiego?! - rzuciła przez zaciśnięte zęby.

## Rozdział 31

Beth bardzo sprawnie zorganizował podróż, tak więc na lotnisku Schiphol czekała już na nich limuzyna.

- To nie jest najwspanialsze mieszkanie na świecie - uprzedził Caroline, gdy zbliżali się do centrum. - Ale za to bardzo dogodnie położone.

- Nie przejmuj się, Seth - uspokoiła go. - Co to ma za znaczenie? Przyjechałam tu przecież tylko po syna. Wszystko mi jedno, gdzie się zatrzymam.

Już w czasie lotu powiedział jej, że w Amsterdamie będą mogli skorzystać z mieszkania wynajmowanego przez jego firmę i Carolina z wdzięcznością przyjęła tę propozycję. Wyjaśnił, że znajdują się tam dwie sypialnie, więc nic ani nikt nie będzie naruszać jej prywatności.

- To w samym centrum? - upewniła się Carolina.

- Tak. - Kiwnął głową. - Załedwie kilka kroków od Centraal Station.

Kierowca wjechał w bardzo wąską uliczkę nad kanałem i gwałtownie zwolnił.

- Dom stoi po drugiej stronie kanału - wyjaśnił Seth.

Wjechali na most, skręcili w prawo, a potem w lewo, w Geldersekade. Po lewej stronie, w oddali, Carolina zauważyła parę dużych witryn oświetlonych na czerwono i kątem oka dostrzegła kobiety wystawiające na widok publiczny swoje wdzięki. Kierowca ponownie zwolnił, a po chwili zatrzymał wóz przed eleganckim domem.

- Dojechaliśmy - powiedział Seth.

Zapłacił kierowcy, który wyjął ich torby z bagażnika. W mieszkaniu na parterze zasłony były całkiem rozsunięte i Carolina wyraźnie widziała wnętrze salonu. W dużym fotelu siedział starszy mężczyzna pogrążony w lekturze. Na ścianach wisiały obrazy i rysunki, w kącie stał fortepian. Na podęcznym stoliku znajdował się elegancki zestaw do parzenia kawy, a wszędzie ustawiono mnóstwo roślin w doniczkach.

Jakie to niezwykle, pomyślała Carolina. Taka kulturalna, spokojna scena tylko ulicę dalej od jaskrawo oświetlonych burdeli.

Chwyliła swoją torebkę, Seth zaś wziął dwa nesesery i podszedł do dużych, drewnianych drzwi. Otworzył je własnym kluczem i znaleźli się w holu o marmurowej posadzce.

- Nie ma tu windy - ostrzegł. - Niemal w żadnym z domów nad kanałem nie ma wind, ale na szczęście mieszkanie jest na pierwszym piętrze.



- Wezmę swój neseser - odezwała się Carolina, wyciągając rękę po bagaż.

- W żadnym razie - zaprotestował. - Wierz mi, mam w tym wielką wprawę.

Ruszyli w górę po wąskich, niebezpiecznie stromych schodach.

- Nie przypomina to domu na Minervaplein - zauważyła Carolina. Seth roześmiał się głośno.

- Rzeczywiście. Jesteśmy w innym świecie. Ten budynek ma ponad trzysta lat. Zabudowa Minervaplein pochodzi z lat pięćdziesiątych dwudziestego wieku.

Weszli na piętro.

- Teraz w lewo - powiedział.

Carolina ruszyła pierwsza, a Seth szedł za nią z bagażami. Na końcu holu odstawił walizki, otworzył drzwi i zapalił światło, przepuszczając ją przodem.

Zorientowała się, że stoją w przestronnym salonie. W mieszkaniu były pięknie rzeźbione boazerie i niezwykle wysokie sufity - ponad pięć metrów. Jedno z okien wychodziło wprost na kanał. Meble - częściowo holenderskie, częściowo francuskie - nosiły ślady zużycia, ale były bardzo eleganckie.

- Gdzie jest telefon? - spytała nerwowo Carolina.

- Tam. - Seth wskazał aparat palcem. - Zaraz go podłączę, tylko zaniosę nasze bagaże do sypialni.

Zniknął w holu, a Carolina tymczasem wędrowała po salonie, przyglądając się obrazom na ścianach i różnym bibelotom porozstawianym na stolach i komodach. Wysokie, masywne półki były pełne książek w kilku językach.

Chwilę później Seth wszedł do pokoju.

16. Najlepsze...

- Co powiesz na drinka? - zapytał od progu, po czym podszedł do telefonu.

- To świetny pomysł. Ale najpierw zadzwońmy, dobrze?

- Oczywiście.

Robiło jej się słabo na myśl, że będzie musiała rozmawiać z tą kobietą, była więc bardzo wdzięczna Sethowi, gdy zaproponował, że załatwi to sam.

Zanim wyjechali z Nowego Jorku, zadzwonił Adriaan Weber i ponownie rozmawiał z Sethem. Monique Lehnert zatelefonowała do swojego adwokata i powiedziała, że Richie Mountcastle jest u niej w domu. Powiedziała, że zatrzyma go, dopóki adwokat ponownie się nie odezwie, była jednak zdenerwowana i nie kryła, że jak najszybciej chciałaby się pozbyć chłopaka.

- Zrobię to od razu - powiedział Seth i wystukał numer. Carolina tymczasem usiłowała

stłumić wszystkie złe uczucia wobec tej kobiety. Przynajmniej wpuściła Richiego do domu, powtarzała sobie w duchu, i pozwoliła mu zostać do naszego przyjazdu. Po raz pierwszy od śmierci męża zaczęła się zastanawiać, jak tamta radzi sobie bez Lyona, czy za nim tęskni, i czy równie gorąco nienawidzi Richiego, jak Carolina nienawidziła jej córki. Nie ulegało przecież najmniejszej wątpliwości, że bardzo niechętnie przyjęła chłopca pod swój dach.

Seth już od pewnego czasu rozmawiał z Monique, gdy Carolina zapytała nerwowo:

- Czy on wciąż tam jest? Seth skinął głową.
- Chcę z nim natychmiast mówić - zażądała.
- Chwileczkę - odrzekł Seth.

Zamienił z Monique jeszcze kilka słów, po czym wyciągnął słuchawkę w stronę Caroliny.

- Ktoś nie może się już doczekać, by z tobą pogawędzić. Niejaki Richie.
- Richie! - wykrzyknęła Carolina. - Czy wszystko w porządku?
- Tak, mam, wszystko okay. Przepraszam, że napędziłem ci takiego strachu, ale...
- W tej chwili to nieistotne, Richie. Porozmawiamy o tym później. Teraz chciałabym cię natychmiast stamtąd zabrać. Jaki to adres?
- Nie trzeba, mam. Monique powiedziała, że mogę zostać na noc.
- W żadnym razie! - Carolina niemal wrzasnęła w słuchawkę. - Zaraz po ciebie przyjeżdżamy.

Kiedy weszli w Buiksloterweg, właśnie zapaliły się latarnie i Carolina musiała przyznać, że to wyjątkowo urocze miejsce. Zachwyciły ją zarośnięte dzikim winem ogródki i wody kanału, odbijające światła latarni. Jednocześnie poczuła ostry ból w mocno zaciskanych szczękach. Serce waliło jej jak oszalałe, by za moment gwałtownie zwolnić i gdyby nie obecność Seta, zapewne odwróciłaby się na pięcie i uciekła na prom.

Kiedy doszli do numeru 29, przystanąła i wbiła wzrok w drewniany dom. Bardzo romantyczne miejsce, musiała przyznać. Niewielkie, schludne, wprost... wymarzone gniazdko miłosne. Zaczęli schodzić kamiennymi schodami, a wówczas otworzyły się drzwi i w progu stanęła Monique Lehnert - wysoka, szczupła, o długich, świeżo wyszczotkowanych włosach. Na pierwszy rzut oka było widać, że jest tancerką. Trzymała się niezwykle prosto - głowa uniesiona wysoko, ramiona odwiedzione do tyłu, pośladki wciągnięte.

W tej kobiecie drzemie wielka siła, pomyślała Carolina. Monique Lehnert zapewne nie będzie łatwą przeciwniczką i nie da się ukryć, że jest wyjątkowo piękna.

Kiedy doszli do drzwi, Monique wyciągnęła rękę.

- Jestem Monique Lehnert - powiedziała doskonałą angielszczyzną, niemal całkowicie

pozbawioną jakiegokolwiek obcego akcentu.

Carolina uścisnęła jej dłoń.

- Carolina Mountcastle. A to Seth Foster. Seth wyciągnął rękę.

- Witam. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko mojej obecności?

- W żadnym razie - odrzekła Monique. - Proszę, wchodźcie. Przesunęła się, by przepuścić ich do niewielkiego holu.

- Richie bawi się z Anją - powiedziała, zamykając drzwi. - Muszę... muszę przyznać, że jestem dość zdenerwowana - dodała po chwili, przenosząc wzrok na Caroline.

- To tak jak ja - odrzekła Carolina, wdzięczna, że jej przeciwniczka pierwsza przyznała się do słabości.

- Tędy proszę. - Monique wskazała ręką wejście do przestronnego salonu. Na zewnątrz, za wielkimi oknami ciągnął się oświetlony taras, jak gdyby zawieszony tuż nad wodą.

Zupełnie jak byśmy byli na łodzi, pomyślała Carolina. A chwilę później serce podskoczyło jej do gardła. Szedł ku niej bowiem Richie, prowadząc za rękę małą dziewczynkę, której Carolina po raz pierwszy miała okazję przyjrzeć się uważniej.

- Mamo, oto Anja. Czyż nie jest prześliczna? - Spojrzał na Setha i wyciągnął do niego rękę. - Cześć, Seth - powiedział.

Uścisnęli sobie dłonie i Richie spostrzegł, że Foster obejmuje jego matkę w pasie.

Carolina tymczasem nie posiadała się z radości na widok syna i miała wielką ochotę go uściskać, lecz Richie stojący z tym dzieckiem stanowił tak hipnotyzujący widok, że wprost nie mogła wykrztusić z siebie słowa. Dziewczynka wyglądała identycznie jak on w jej wieku - te same brązowe włosy i oczy. Wykapany Richie i wykapany Lyon. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, kto był jej ojcem. Po chwili Carolina zorientowała się, że mała wyciągnęła do niej rączkę na powitanie, schyliła się więc i uścisnęła drobne paluszki.

- Dzień dobry... Anju. Nazywam się Carolina.

Anja zachichotała, zakryła ręką buzię, po czym zerknęła szybko na Richiego.

- Wszystko okay - zapewnił ją brat. - To moja mama. A to jest Seth. Dziewczynka ponownie wyciągnęła rączkę. Seth schylił się i musnął małą łapkę ustami, w kontynentalnym stylu.

- Miło cię poznać, Anju - powiedział.

Anja znów zachichotała i wbiła w niego zaciekawiony wzrok.

- Cóż, myślę, że powinniśmy się już zbierać - odezwała się Carolina.

- Ależ, mamo! Właśnie miałem obejrzeć z Anją film na wideo - zaprotestował Richie.

- Może innym razem - odrzekła stanowczo. - Teraz już na nas czas. - Zwróciła się w stronę Monique. - Bardzo dziękuję, że zaopiekowała się pani moim synem. Może spotkamy się jutro i zamienimy kilka słów.

- Doskonale. - Monique skinęła głową.

- Miło było panią poznać - powiedział Seth, ponownie obejmując Caroline w pasie.

- Mnie również.

Carolina, wprawdzie wciąż roztrzęsiona spotkaniem z Monique i widokiem Richiego z jej córką, zdołała jednak wyciągnąć rękę.

- Do widzenia - pożegnała się oficjalnym tonem. Monique uściśliła jej dłoń.

- Do widzenia.

- Idziemy Richie - rzuciła Carolina, kierując się ku drzwiom.

- Juuuz - jęknął, najwyraźniej niepokieszony.

Gdy wyszli z domu i ruszyli w stronę promu, miała wielką ochotę zrugać Richiego za wyprawę do Europy, on jednak z takim przejęciem i radością opowiadał o swojej nowo poznanej siostrzyczce, że postanowiła nie psuć mu nastroju. Poza tym czuła się bardzo szczęśliwa, że jest cały i zdrowy. Poważna rozmowa może poczekać, doszła do wniosku. Tym bardziej że zanim rozmówi się z Richiem, musi uporządkować własne myśli i emocje. Wciąż była oszołomiona spotkaniem z Monique i Anją w miłosnym gniazdku Lyona; wiedziała, że potrzebuje czasu, by przetrwać te wrażenia.

Krótką przeprawa przez kanał Ij do północnego Amsterdamu w chłodnym porannym powietrzu dodała im energii, więc teraz maszerowali rażno w stronę domku przy Buiksloterweg. Dla Richiego jednak nie było to wystarczająco szybko. Puścił się biegiem, by jak najszybciej zobaczyć się z Anją, zostawiając Caroline i Seta daleko z tyłu.

Seth tymczasem wziął ją za rękę i zaczął pokazywać jej co osobliwsze łodzie zacumowane wzdłuż kanału. Niektóre z nich były zamieszkane przez ludzi żądnych przygód lub też kompletnych idiotów - w zależności od punktu widzenia.

- Te barki są urocze - uznała Carolina. - I zapewne taki styl życia ma w sobie coś romantycznego, obawiam się jednak, że trzeba mieć dużą odporność na zimno i ciasnotę.

- Niewątpliwie nie jest to mieszkanie dla każdego - zgodził się Seth. Bardzo starał się odciągnąć jej uwagę od czekającej ich wizyty, bo Carolina wciąż była jednym wielkim kłębkim nerwów, choć oczywiście dziś czuła się już dużo lepiej niż poprzedniego dnia.

Chwilę później popatrzyła na biegnącego przed nimi Richiego.

- Jest oczarowany Anją, prawda?

- Owszem - odrzekł Seth. - I trudno mu się dziwić. Myślę, że gdybym nagle odkrył, że

mam siostrę - nawet przyrodną - i to tak niesamowicie do mnie podobną, też byłbym oczarowany. A ty nie?

- Pewnie tak... - Urwała i spojrzała mu w oczy. - Obawiam się, że w tej chwili trudno mi zachować odpowiedni dystans do tych spraw - przyznała. - Naturalnie, odczucia Richiego są całkowicie różne od moich.

Zanim dotarli do domu Monique, chłopak zdążył już wpaść do środka i wyprowadzić Anję do ogródka.

- Idziemy do tego parku, o którym opowiadała nam Monique - oświadczył rozradowany.

Dziewczynka też spojrzała na nich z szerokim uśmiechem.

- Jak się masz Anju? - zagadnął Seth. Roześmiała się i wlepiała oczy w Richiego.

W tym momencie na progu stanęła Monique.

- Dzień dobry - powiedziała.

- Dzień dobry - odrzekli razem Carolina z Sethem.

- Richie - zwróciła się Monique do chłopca - wytłumaczę ci, jak trafić do parku. - Spojrzała na Caroline i Seta. - To zajmie jedynie minutę. Proszę wejść do środka.

- Niedługo wrócimy - rzucił chłopak przez ramię.

- Bawcie się dobrze - powiedział Seth.

- Dzięki.

- Richie, dasz matce całusa na do widzenia? - spytała Carolina. Podszedł do niej roześmiany, mocno ją uścisnął i ucałował w oba policzki.

- Kocham cię, mam - zapewnił, po czym wrócił do Anji i Monique. Seth przyciągnął do siebie Caroline.

- Wszystko będzie dobrze - szepnął. - Świetnie ci idzie. Skinęła głową.

- Jestem wciąż oszołomiona Anją... jej wyglądem... Boże, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że jesteś teraz przy mnie - rzuciła nerwowo. - Dzisiaj czuję się jeszcze bardziej zdeprymowana niż wczoraj. Mam na myśli to dziecko. Jej podobieństwo do Richiego i Lyona jest wprost niesamowite.

- Nie znałem twojego męża - odrzekł Seth - ale rzeczywiście Anja i Richie są jak dwie krople wody. - Rozejrzał się dookoła. - To fajne miejsce, nieco zapuszczone, ale wyjątkowo urocze.

- To prawda - zgodziła się Carolina. - Zupełnie nie przypomina Amsterdamu, który znam.

- Leży na uboczu, z dala od tras turystycznych. Sądzę, że mieszka tu wielu artystów

i studentów. A także starych ludzi, dawnych rybaków.

Monique weszła do domu i skierowała się w ich stronę.

- Napiją się państwo kawy lub herbaty?

- Poproszę o herbatę - odrzekła Carolina.

- Ja także - dorzucił Seth.

- Już parzę. - Monique ruszyła w stronę kuchni oddzielonej od salonu jedynie barem. -

Mam tylko zieloną. Czy może być?

- Oczywiście. - Carolina i Seth skinęli głowami.

- Rozgoście się, proszę. Zdejmijcie kurtki... - Wskazała na wieszak stojący w kącie.

Szybko powiesili swoje okrycia, a potem usiedli na kanapie i patrzyli na wody kanału za oknem.

Monique tymczasem przygotowała herbatę. Przyniosła również na tacy miseczki z cytryną, białym i brązowym cukrem oraz z miodem, a także dzbanuszek z mlekiem, aby każdy mógł przyrządzić sobie napój według własnych upodobań.

Carolina wypila niewielki łyk i wzięła głęboki oddech, zbierając się do rozpoczęcia rozmowy.

- Bardzo dziękuję za opiekę nad Richiem - powiedziała. - Zapewne już pani wiadomo, że wyprawił się tu na własną rękę, żeby poznać Anję.

Monique zarumieniła się i odgarnęła włosy z twarzy.

- Z początku wpadłam w złość - wyznała. - Nie chciałam mieć nic wspólnego ani z nim... ani z panią. Ale... no, cóż... kiedy zobaczyłam, jak bardzo są do siebie podobni, nie miałam serca go wyrzucić. Poza tym tak ogromnie pragnął poznać swoją siostrę. - Wzruszyła lekko ramionami. - Zaprosiłam go więc, by mogli spędzić razem trochę czasu. Co innego mogłam zrobić?

Carolina podziwiała jej szczerość.

- Jeszcze raz dziękuję. Umierałam ze strachu o niego.

- Wszystko z nim w porządku - zapewniła ją Monique. - Chociaż powiedział mi o czymś, o czym miałam pani nie wspominać, uważam jednak, że powinnam.

- Co się stało? - przestraszyła się Carolina.

- Ukradziono mu plecak i pieniądze, a on sam został trochę poturbowany - stąd te porwane dzinsy i rozcięta ręka. Oczyszczałam ranę na dłoni, aby nie wdała się infekcja. Na szczęście Richie schował paszport do kieszeni spodni.

- Boże! - przeraziła się Carolina. - Nie miałam o tym zielonego pojęcia. Zauważyłam, że ma dziurę w dzinsach, ale byłam taka uszczęśliwiona jego widokiem, że zapomniałam

zapytać, jak je rozdarł.

- Gdzie to się wydarzyło? - zainteresował się Seth.

- Na obrzeżach dzielnicy czerwonych latarni - wyjaśniła Monique. - Napadło go trzech skinów. Ale tak naprawdę ucierpiała tylko ambicja Richiego.

Carolinie zrobiło się słabo na myśl, jak to się mogło skończyć.

- Bardzo się cieszę, że trafił do pani. A przy okazji, może zaczniemy mówić sobie po imieniu...?

Dziewczyna skinęła głową.

- Doprawdy nie wiem, jak ci dziękować...

- Nie ma o czym mówić - odrzekła Monique. - Przecież każdy by tak postąpił na moim miejscu.

- Tak czy owak, oboje jesteśmy pani bardzo wdzięczni - wtrącił Seth. - Richiemu zdawało się, że ojciec pokazał mu Amsterdam, ale tak naprawdę chłopak wcale nie zna miasta.

- Lyon wspominał, jak chodził z nim po Amsterdamie - westchnęła ze smutkiem Monique. - On bardzo kochał Richiego.

Carolina zjeżyła się na wspomnienie męża, jednak następne słowa Monique nieco ostudziły jej gniew.

- Tak - ciągnęła dziewczyna. - To było widać w każdej chwili. Lyon uwielbiał syna. - Monique zerknęła na Caroline, po czym spuściła wzrok na swoje dłonie złożone na kolanach. - Może wolałabyś o tym nie wiedzieć... - wzięła głęboki oddech i ponownie spojrzała na nią - ... ale kiedy poznałam Lyona, nie miałam pojęcia, że jest żonaty. Nie nosił obrączki i przez długi czas nie mówił mi, że ma rodzinę.

- W końcu jednak się dowiedziałś - odrzekła Carolina. Monique skinęła głową.

- Tak, ale dużo, dużo później. Poznaliśmy się w parku Beatrix, niedaleko domu, w którym mieszkał. Zaczepił mnie pewnego dnia, gdy karmiłam czaple przy stawie.

- Prawdę mówiąc, nie jestem pewna, czy mam ochotę tego słuchać - oświadczyła chłodno Carolina.

- Przepraszam. Ale chciałam, żebyś się dowiedziała, jak do tego wszystkiego doszło.

W oczach Monique pojawiły się łzy i Carolina odwróciła głowę, nie chcąc widzieć smutku młodej kobiety.

- Zaczęliśmy się spotykać. Lyon czuł się bardzo samotny. Prócz kolegów z pracy nie znał tu żywej duszy. - Urwała i spojrzała Caroline prosto w oczy. - Nie zamierzam usprawiedliwiać tego, co zaszło, bo tego nie da się usprawiedliwić.

- Rzeczywiście. - Carolina skinęła głową.

- Zaszłam w ciążę - wyjaśniała dalej Monique - a wtedy Lyon przyznał się, że jest żonaty. Ja jednak bardzo chciałam urodzić to dziecko, bo... bo byłam w nim szaleńczo zakochana i... nadal jestem.

Teraz już łzy płynęły jej po policzkach i choć Carolina usiłowała pozostać niewrażliwa na ten widok, nie mogła nie współczuć tej młodej kobiecie. Ostatecznie ona też bardzo cierpiała z powodu śmierci Lyona.

- I ani przez sekundę nie żałuję, że urodziłam Anję - zakończyła Monique, patrząc jej prosto w oczy. - Jest dla mnie najwspanialszym darem od Lyona. Jest całym moim światem.

- A jak zareagował Lyon, gdy się dowiedział, że będziesz miała dziecko?

- Z początku uważał, że powinnam usunąć ciążę. Powiedziałam mu, że w żadnym razie tego nie zrobię i w końcu pogodził się z myślą o dziecku. Kupił mi ten domek i samochód. Był dla mnie bardzo dobry, a gdy Anja się urodziła, wprost nie mógł uwierzyć, że namawiał mnie na zabieg. Kochał ją nieprzytomnie. Tak bardzo jak... jak Richiego.

Carolina skinęła głową, ale w jej umyśle panował kompletny zamęt. Będzie potrzebowała czasu, by przetrwać to wszystko.

- Ciebie też nigdy nie przestał kochać - dorzuciła Monique. - Wiem o tym na pewno.

Tym razem i Carolinie napłynęły do oczu łzy. Dla dodania sobie otuchy mocno ścisnęła Setha za rękę. Bała się, że za chwilę wybuchnie płaczem, wołała się więc nie odzywać.

- Bawił się z Anją, kiedy dostał zawału. Byli tam, na tarasie. - Monique wyciągnęła rękę w stronę wielkich okien. - Potknął się i upadł. Na moich oczach. Bałam się, że wpadnie do wody, wybiegłam do niego. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Lyon chwycił mnie za ramię. „Powiedz Carolinie, że ją kocham”, zdążył wyszeptać i umarł. - Strzeliła palcami. - Tak po prostu.

Carolina gwałtownie wciągnęła powietrze, a Seth objął ją i mocno przytulił.

- Wiem, że ciężko ci tego słuchać - ciągnęła Monique - ale chciałam, żebyś знаła prawdę. Bez względu na to, co było między mną a Lyonem - a zdaję sobie sprawę, że to dla ciebie koszmar - on nadal cię kochał.

Carolina przez chwilę siedziała w milczeniu.

- A ty? - zapytała w końcu. - Dla ciebie to też... musiało być straszne przeżycie.

Monique otarła oczy chusteczką.

- Najstraszniejsze - przyznała. - Lyon był cudowny. - Potrząsnęła głową, jakby chciała odegnąć sprzed oczu jakieś wspomnienie. - Zdaję też sobie sprawę, że tobie to wszystko musi



się wydawać trywialne i brudne.

- Cieszę się, że mi o tym powiedziałaś - odezwała się po namyśle Carolina.

Znowu zapadła cisza. Herbata stygła właściwie nieruszona i w końcu Seth uniósł do ust filiżankę.

- Doskonała - oznajmił, by rozładować nieco atmosferę.

- Dziękuję - odrzekła Monique.

- I co zamierzasz teraz robić, jeśli mogę spytać? - zainteresowała się Carolina.

- Nie wiem. Prawdopodobnie wrócę do pracy, choć ze względu na Anję nie będzie to proste. Byłam tancerką w zespole tańca nowoczesnego.

- Masz tu jakąś rodzinę? Monique potrząsnęła głową.

- Nie. Nie w Amsterdamie. Mój ojciec jest rolnikiem, rodzice mieszkają na wsi. To prości ludzie i nie pogodzili się z faktem, że urodziłam nieślubne dziecko.

- Może wkrótce zmienią zdanie. Tak często bywa, szczególnie gdy ma się wnuczkę tak śliczną jak Anja.

- Zobaczymy - odrzekła Monique. - Ale specjalnie na to nie liczę. Powiedzieli, że nie chcą jej widzieć.

- Musi być ci trudno - zauważyła Carolina.

- Już do tego przywykłam - odparła Monique, parskając ironicznym śmiechem i odgarniając włosy do tyłu.

Ta dziewczyna bardzo stara się być dzielna, pomyślała Carolina. Ale tak naprawdę jest delikatna i śmiertelnie przerażona.

W tym momencie Richie i Anja wpadli do mieszkania, śmiejąc się na całe gardło, i wszyscy odwrócili się w ich stronę. Dziewczynka podbiegła do matki, opowiadając o czymś z entuzjazmem urocą mieszanią angielskiego i holenderskiego.

- Świetnie się bawiliśmy - oznajmił Richie - ale Anji zachciało się jeść. Nawet nie zauważyłem, kiedy minęła pora lunchu.

Spojrzał uważnie na Caroline i Seta, najwyraźniej próbując odgadnąć, co się działo podczas jego nieobecności.

Carolina uśmiechnęła się do syna, po czym zwróciła się do Monique:

- To była bardzo interesująca rozmowa - powiedziała - ale myślę, że powinniśmy się zbierać. - Zerknęła na zegarek. - Rzeczywiście, już czas *coś zjeść*.

Podniosła się z kanapy, Seth także wstał.

- Jest jeszcze zapiekanka od wczoraj... jeśli mielibyście ochotę... - zaproponowała Monique.

- Dziękujemy bardzo, ale nie będziemy nadużywać twojej gościnności. Tym bardziej, że mam jeszcze dzisiaj kilka spraw do załatwienia. Musimy iść.

Tymczasem Richie spoglądał to na matkę, to na Setha i Monique, niepewny, co w tej sytuacji zrobić.

- Monique, czy będę mógł jeszcze wpaść po południu? - zapytał w końcu.

- Oczywiście. Zawsze możesz nas odwiedzić, tylko wcześniej zadzwoń i upewnij się, że jesteśmy w domu.

- Miło było znów panią spotkać, Monique - powiedział Seth, wyciągając ku niej rękę.  
- Ciebie też, Anju - dodał, zwracając się do dziewczynki.

Monique uścisnęła jego dłoń, a Anja zasłoniła buzię, niespodziewanie zawstydzona.

Kiedy już doszli do drzwi, Carolina odwróciła się w stronę Monique.

- Przepraszam, czy mogłybyśmy zamienić jeszcze dwa słowa na osobności?

- Oczywiście. Richie, zabierzesz Anję na chwilę?

- Jasne. - Chwytał dziecko za rękę i razem z Sethem wyszli przed dom. Carolina odchrząknęła, - Nie będę ukrywać, że z powodu twojego romansu z Lyonem przeżyłam piekło - powiedziała po chwili. - Richiemu też było bardzo ciężko.

- Rozumiem - odrzekła Monique, nerwowo przygryzając dolną wargę.

- Nie jestem pewna, czy rzeczywiście rozumiesz. Te wszystkie lata, które spędziliśmy razem... no i Richie. Dla mnie to było coś szczególnego, niemal świętego. I nagle moje wszystkie wyobrażenia legły w gruzach.

Monique skinęła głową i znów napłynęły jej do oczu łzy.

- Nie wiem, czy kiedykolwiek zdołam ci wybaczyć - ciągnęła Carolina - a mam wrażenie, że tego właśnie ode mnie oczekujesz. W innym wypadku nie powiedziałabyś mi tego wszystkiego. Dziękuję ci, że to zrobiłaś. Myślę, że nasze spotkanie ułatwiło mi podjęcie pewnych decyzji. Nigdy jednak nie uda mi się zapomnieć o tym, co zaszło.

Po policzkach Monique płynęły łzy, nadal jednak milczała.

- Nie mam zamiaru prawić ci kazań - ciągnęła Carolina. - Bóg jeden wie, jak wiele głupstw popełniłam w swoim życiu, chcę tylko, żebyś wiedziała, jak się czuję. - Sięgnęła do torebki i wyjęła paczkę chusteczek. - Otrzyj łzy, Monique. Mam nadzieję, że ze względu na Richiego i Anję uda nam się dojść do jakiegoś... porozumienia.

- Ja też mam taką nadzieję - szepnęła dziewczyna.

## Rozdział 32

Po lunchu w tajskiej restauracji Carolina powiedziała Richiemu i Sethowi, że chciałyby bez świadków załatwić telefonicznie kilka spraw.

- Nie macie nic przeciwko temu? - zapytała.

- Oczywiście, że nie - odrzekł Seth, posyłając jej zdziwione spojrzenie. Zastanawiał się, o co chodzi, ale postanowił nie zadawać żadnych pytań. - Może w tym czasie pozwiedzamy miasto, Richie? - zaproponował.

- Super! - entuzjastycznie wykrzyknął Richie. - Tyle że już byłem we wszystkich muzeach, w niektórych nawet po dwa razy, zaliczyłem też przejażdżkę tramwajem wodnym po kanałach. Co więc będziemy robić?

- Razem coś wymyślimy - zapewnił go Seth, po czym spojrzał na Caroline. - Odprowadzimy cię do domu, a potem ruszamy na wyprawę. Co ty na to?

- Będzie mi bardzo miło. Choć oczywiście mogę wrócić sama.

- Nie ma mowy.

Wyszli z restauracji i skierowali się ku Geldersekade, rozkoszując się jesiennym powietrzem i urokiem kanałów. Kiedy doszli na miejsce, Seth wręczył jej klucze.

- Ten jest do mieszkania - wskazał.

- Dzięki. Bawcie się dobrze. Te sprawy nie zajmą mi wiele czasu. Najwyżej godzinę.

Czemu Carolina zachowuje się tak tajemniczo?, ponownie zdziwił się Seth.

- To na razie, mam - rzucił Richie, a Seth ucałował ją w policzek.

- Do zobaczenia.

Seth i Richie ruszyli przed siebie ulicą, Carolina zaś weszła po stromych schodach, a potem do mieszkania. Wzięła telefon, wybrała numer i ze słuchawką przy uchu zaczęła spacerować nerwowo po pokoju.

Po drugim dzwonku odebrała sekretarka.

- Mówi Carolina Mountcastle. Zona Lyona Mountcastle'a. Czy mogę rozmawiać z mecenasem Weberem?

- W tej chwili ma u siebie klienta. Czy zechciałaby pani zostawić wiadomość?

- Proszę przekazać mu, że to pilne. Jutro rano wylatuję do Nowego Jorku, dlatego niezwłocznie muszę porozmawiać z mecenasem.

- Proszę chwilę zaczekać.

Carolina przysiadła na sofie, stukając niecierpliwie palcami o stół. Po chwili, która

wydawała się jej wiecznością, w słuchawce ponownie rozległ się głos sekretarki.

- Przepraszam, że tyle to trwało. Jeśli zechciałaby pani poczekać jeszcze moment, pan Weber zaraz podejdzie do telefonu.

- Dziękuję. Poczekaam.

Po pewnym czasie odezwał się mężczyzna, sądząc po głosie już niemłody, mówiący doskonałą angielszczyzną.

- Pani Mountcastle? Tu Adriaan Weber. Przepraszam, że musiała pani czekać, ale właśnie rozmawiałem z klientem. Czym mogę służyć?

- Chciałabym przedyskutować z panem kilka spraw i sądzę, że przydałoby się panu coś do pisania.

- Oczywiście - odrzekł. - A czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, żebym nagrywał naszą rozmowę? To uchroni nas przed jakimikolwiek nieporozumieniami.

- Bardzo proszę, nie mam nic przeciwko temu, panie mecenasie.

- Doskonale. W takim razie proszę poczekać.

Carolina usłyszała szmer, a chwilę później prawnik znów był przy telefonie.

- Teraz już jestem gotowy. Słucham, pani Mountcastle. Czego konkretnie pani ode mnie oczekuje?

Carolina wyjaśniła, o co jej chodzi, a potem przez chwilę omawiali szczegóły. Gdy skończyli, rozłączyła się i spojrzała na zegarek. Ponownie podniosła słuchawkę i wystukała numer kwaciarni. W Nowym Jorku był dopiero wczesny ranek, ale Roxie powinna już być w sklepie. I rzeczywiście, odebrała po pierwszym dzwonku.

- Kwaciarnia Caroliny, słucham?

- Cześć, Roxie. To ja. Jak tam praca? Wszystko w porządku?

- Carolina! Jakże się cieszę, że dzwonicz! Nie miałam od ciebie wieści od półtora dnia. Nie! Nawet dłużej.

- Coś się stało? - Carolina lekko zeszywniała. Głos Roxie nie wróżył nic dobrego.

- Nie bardzo wiem, w czym rzecz - odparła dziewczyna. - Ale ciągle wydzwania tu facet z działu administracyjnego Metropolitan Museum. Nazywa się... Armstrong.

- I czego chce? - Carolina poczuła gwałtowny ucisk w żołądku. Do wielkiej gali pozostało już niewiele czasu.

- Nie chce ze mną omawiać tego, jak to określa, problemu. Twierdzi, że to poufna sprawa, o której może rozmawiać tylko z tobą osobiście.

- O co, do diabła, może mu chodzić?! - wykrzyknęła Carolina z irytacją w głosie, choć zdawała sobie sprawę, że Roxie nie odpowie jej na to pytanie. - Przecież wszystkie

formalności załatwiliśmy z nimi dawno temu. Podpisaliśmy umowę. Nie mów mi tylko, że na tym etapie zamierzają się wycofać!

- Carolino, wiem tyle, co ty. Powiedziałam temu człowiekowi, że podczas twojej nieobecności wszystkie sprawy załatwiam w twoim imieniu, i że spokojnie może mi przedstawić ów problem. On jednak się zapał, i nie chciał puścić pary z ust.

- Szlag by to trafił! - zirytowała się Carolina. - Zawiadomiłaś o tym Matta i Thada?

- Tak. Matt dzwonił, żeby się dowiedzieć czegoś o tobie i Richiem, więc przy okazji przekazałam mu i tę nowinę. Wpadł w lekką panikę. Kupił już tysiące drzewek i krzewów na tę galę, zamówił transport i całą ekipę. Powiedział, żeby do niego zadzwonić, gdy tylko się dowiemy, o co chodzi.

- A ten Armstrong... czy przypadkiem nie podał ci swojego domowego telefonu?

- Nie. Powiedziałam mu, że jesteś w Europie i najprawdopodobniej wrócisz jutro. Poprosił, żebyś się z nim skontaktowała zaraz po powrocie.

- Jeśli zadzwoni jeszcze raz, zapewnij go, że jutro zadzwonię. Podaj mu mój telefon. I spróbuj wyciągnąć jego domowy numer.

- Oczywiście - odrzekła Roxie. - Och, niemal bym zapomniała! Dzwonił Bernard Goldsmith i prosił, żebyś niezwłocznie się z nim skontaktowała.

- Bernard? Nie powiedział, o co chodzi?

- Nie. Ale podkreślał, że to pilna sprawa.

Jezu, pomyślała Carolina. A o co może chodzić tym razem?

- Oczywiście, Roxie. Dziękuję.

- U ciebie w porządku?

- Tak. Jutro opowiem ci o wszystkim ze szczegółami. Nie wiem, o której dokładnie będę w domu, ale w razie czego zostawię wiadomość na sekretarce.

- Dobra. A więc do jutra.

- Pa, Roxie. I dziękuję.

Carolina rozłączyła się, odłożyła słuchawkę i nerwowo przeczesła palcami włosy. Co mnie czeka tym razem?, pomyślała z obawą. Jeśli dzwonią do mnie z muzeum, to chyba tylko po to, żeby anulować rezerwację. Ale z jakiego powodu? I dlaczego właśnie w tej chwili?

Poderwała się i znów zaczęła chodzić po pokoju. Sukces jej i Matta zależał teraz od gali w Metropolitan - jeżeli coś pójdzie nie tak, oboje będą zrujnowani. Carolina poczuła, że oblewają zimny pot, i zaczerpnęła powietrza, by się opanować. Co mogło spowodować kłopoty w muzeum? Co... albo kto?

Do tej pory wszelkie nieprzewidziane problemy były wynikiem machinacji Antonia

i Payton Fitzsimmons, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości, jakim cudem jednak ta dwójka mogłaby doprowadzić do konfliktu z Metropolitan? Antonio, choć przystojny i utalentowany, był zwykłą płótką. Payton, z kolei, niewątpliwie miała odpowiednie wpływy. Czy jednak dość potężne, by muzeum narażało się na konsekwencje zerwania umowy?

Ponownie opadła na sofę. A Bernie?, pomyślała. Jego telefon zapewne ma coś wspólnego z knowaniami Lelanda. Bo o co innego mogłoby mu chodzić?

Rozległ się brzęczyk domofonu. Nerwy Caroliny były tak napięte, że aż podskoczyła na sofie.

- Tak? - spytała, podnosząc słuchawkę.

- Twoi mężczyźni wracają do domu. - Usłyszała głos Seta.

- Oooch! Jakże się cieszę! - Próbowała nadać głosowi beztroski ton. - Zapraszam na górę.

Chwilę później na schodach rozległy się tupania i głośnie śmiechy. Carolina podeszła do drzwi i otworzyła je na oścież, zanim jeszcze zdążyli zadzwonić.

- Wchodźcie, panowie. Myślałam, że będziecie balować dużo dłużej.

- Było odjazdowo - oznajmił Richie i ponownie parsknął śmiechem.

- A co u ciebie? - zainteresował się Seth. - Załatwiłaś wszystko, co chciałaś załatwić?

- Owszem.

- I wszystko w porządku?

- Tak bym tego nie określiła, ale porozmawiamy później. A co wy robiliście?

Seth i Richie wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Myślisz, że powinniśmy powiedzieć mamie? - spytał Seth.

- Czemu nie - odrzekł chłopak. - Niech zazdrości, że z nami nie poszła.

- O czym ty mówisz?

- No więc najpierw poszliśmy do Muzeum Tortur... - zaczął Richie.

- Tortur?! - wykrzyknęła.

- Aha. Pełen odjazd. Mają tam prawdziwą gilotynę. A potem poszliśmy do Muzeum Seksu i...

- Seksu?! - Carolina spojrziała na syna, po czym przeniosła wzrok na Seta. - Powierzyłam ci tego chłopca tylko na godzinę, a ty go od razu deprawujesz?

Seth wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Cóż mogę na to powiedzieć? Pomyślałem, że powinien zobaczyć, że jest tu coś jeszcze poza Rembrandtem i van Goghiem.

- Daj spokój, mamó - rzucił Richie zblazowanym tonem. - I tak nie znalazłem nic

takiego, czego już nie widziałem. Głównie są tam obrazki. Ale odlotowe.

- A co masz w zanadrzu w dalszej kolejności? - zwróciła się Carolina do Setha. - Wycieczkę po dzielnicy czerwonych latarni?

- Tamtędy właśnie wracaliśmy - pochwalił się Richie. - Ostatecznie to tylko przecznica stąd.

- No i co ja mam z wami zrobić? - Carolina spojrzała Sethowi w oczy.

- To dobry dzieciak. Nie przejmuj się.

- Mamo, chciałbym teraz iść pobawić się z Anją. Monique powiedziała, że mogę wpaść, kiedy tylko zechcę.

- Prosiła, żebyś najpierw zadzwonił, więc...

- Już zadzwoniłem. Po drodze do domu.

Carolinie było to na rękę. Po ustaleniach z Weberem chciała jeszcze raz porozmawiać z Monique.

- No, dobrze. Ale pamiętaj, że nie możemy tam długo siedzieć. Kiedy szli od promu do domu Monique, Richie naturalnie pobiegł przodem i wówczas Carolina streściła Sethowi rozmowę z Roxie.

- Chcesz, żebym sprawdził, czy nie ma wcześniejszego lotu?

- Nie. Muszę jeszcze porozmawiać z Monique, a poza tym chciałabym, żeby Richie spędził trochę czasu z Anją. Mam nadzieję, że jeśli poczekam do jutra, nie skończy się to katastrofą.

- Pamiętaj, cokolwiek się wydarzy, zawsze możesz na mnie liczyć - zapewnił ją Seth.

Kiedy dotarli na miejsce, Richie zaciągnął Setha do pokoju dzieciennego, więc Carolina została sam na sam z Monique. Usiadły na przeciwległych końcach sofy i obie wbiły wzrok w wody kanału.

Carolina pierwsza przerwała milczenie.

- Skóra mi cierpła na myśl, że musimy się spotkać, ale teraz jestem zadowolona, że się poznałyśmy.

Monique skinęła głową.

- To tak jak ja. Uważałam cię za wiedźmę, ale widzę, jak bardzo się myliłam. Zresztą coś podobnego w ogóle nie powinno mi być przyjść do głowy.

- A to czemu?

- Bo Lyon nie ożeniłby się z wiedźmą - odparła Monique. - Tylko niezwykła kobieta mogła go tak zauroczyć, że chciał się z nią ożenić.

Carolina poczuła, że się rumieni.

- Cóż, to samo mogłabym powiedzieć o tobie - powiedziała. - Chciałam cię nienawidzić. I nienawidziłam cię z całego serca. Nienawidziłam też Anji. Teraz jednak zrozumiałam, że nie miałam racji. Może nie spędziłyście z Lyonem tylu lat, ile ja, ale stanowiłyście ważną część jego życia. - Urwała i spojrzała na zapłakaną dziewczynę. - Poza tym doszłam do wniosku, że tak naprawdę nie mogę cię winić za bałagan, jaki pozostawił po sobie Lyon.

Monique spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Bo przecież nie najlepiej załatwił swoje sprawy, czyż nie? Gdyby był odważniejszy, bardziej szczerzy wobec samego siebie, a także nas obu, może byśmy nie musiały przez to wszystko teraz przechodzić. Ale stało się inaczej. Tak czy owak, ze względu na Richiego i Anję mam nadzieję, że uda nam się odnosić do siebie nawzajem z życzliwością. To niewątpliwie bardzo ważne dla dzieci.

- Oczywiście - zgodziła się Monique.

- Z tego też powodu zdecydowałam, że... że nie zaskarżę testamentu Lyona - oznajmiła Carolina. - Dla dobra Richiego i Anji.

- Naprawdę?

- Tak. - Podniosła się z sofy. - Przykro mi, ale na nas już czas. Muszę jak najszybciej wracać do Nowego Jorku.

- Rozumiem.

Monique odprowadziła gości do drzwi i wszyscy się pożegnali. Z Anją u boku stała potem w progu i patrzyła, jak Richie, Carolina i Seth oddalają się ulicą. Sama nie mogła uwierzyć w to, co się właśnie stało. Była przekonana, że do końca życia będzie nienawidzić kobiety, z którą musiała się dzielić Lyonem. A tymczasem złapała się na tym, że ją podziwiała.

17. Najlepsze...



## Rozdział 33

Kiedy wracali z lotniska JFK, Carolina - siedząc pomiędzy Richiem i Sethem - zastanawiała się, co ją teraz czeka. Cóż za ironia losu, że eskapada, która tak ją przerażała, i zmierzenie się z problemami, które chciała odsunąć jak najdalej od siebie, tak bardzo poprawiły jej samopoczucie. Gdy na horyzoncie ukazały się wieżowce Manhattanu, zerknęła spod oka na Richiego. Chłopak intensywnie wpatrywał się w odległe budynki. Najbliższe miesiące będą dla nich obojga poważną próbą, pomyślała Carolina. Teraz, gdy Richie poznał swoją śliczną przyrodną siostrzyczkę, tak bardzo podobną do ojca, bez wątplenia zechce zacieśnić kontakty między nimi. Carolina miała nadzieję, że chłopiec zdoła bez problemu dostosować się do szkolnej rutyny i obowiązków po tak dramatycznych przeżyciach. Liczyła też, że Adriaan Weber zdoła gładko wprowadzić w życie plan, który z nim szczegółowo omówiła.

Dojechali przed dom w Chelsea i kierowca zatrzymał się za zaparkowaną furgonetką. Seth, Carolina i Richie wysiedli z limuzyny, a kierowca wyjął ich rzeczy z bagażnika.

Kiedy Carolina zbliżyła się do drzwi domu, ujrzała Mercedes besztającą jednego z ludzi, którzy ładowali do furgonetki meble. Meble Mercedes.

- Co tu się dzieje? - zdumiała się Carolina.

Dziewczyna miała bardzo wojowniczą minę, a na widok przybyłych jeszcze mocniej zacisnęła usta.

- Wyprowadzasz się? - spytała Carolina.

- A na co to wygląda?

- Nie wiem.

Seth załatwiał jeszcze coś z kierowcą, Richie natomiast podszedł do matki.

- O, cześć, Mercedes - rzucił pogodnie.

- Odwał się - rzuciła z wściekłością.

Richie spojrział znacząco na Caroline, ale ona tylko nieznacznie wzruszyła ramionami. Chłopak z trudem się powstrzymał, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- O, jest już Seth.

- Możemy jechać na górę?

- Tak jest - powiedziała Carolina. - Daj mi mój neseser, poniosę sama.

- Nie ma mowy. Weszli do holu.

- Witaj, Mercedes. - Seth dopiero teraz ją zauważył. - Jak się miewasz?

- A jak myślisz? - syknęła przez zęby.

- No, cóż... Do zobaczenia wkrótce - rzucił, zastanawiając się podobnie jak wcześniej Carolina, co doprowadziło dziewczynę do takiej furii.

- To raczej wykluczone - odparła Mercedes.

- A co? Wyjeżdżasz? - Seth odwrócił się w jej stronę zdziwiony.

- Wracam do Anglii. Już mam dość tego obscurnego zaścianka i nieokrzesanych gburów.

- Rozumiem - odrzekł Seth. - W takim razie życzę ci szczęśliwej podróży.

Chwilę później wjechali windą na górę. Carolina z zachwytem spojrzała na konsolę, gdzie stał wazon blad różowych róż, za którymi i ona, i Seth wprost przepadali. Światła były pozapalane i kiedy weszli do salonu, Carolina zobaczyła, że Roxie i tutaj ustawiła piękne kwiaty.

- Jaka urocza niespodzianka. Roxie jest doprawdy nieoceniona.

- To prawda - powiedział Seth z uśmiechem.

- Och, zostawiła mi też wiadomość. - Carolina chwyciła w dłoń kartkę i zaczęła czytać. Roxie przekazała jej, że dzwonił Bernard i podała numer Armstronga do muzeum; napisała też, że gdyby Carolina jej potrzebowała, będzie w kwaciarni.

- Mamo, Seth, przepraszam, ale muszę się walnąć do łóżka - oznajmił Richie, któremu oczy niemal same się zamykały. Dla niego pod wieloma względami była to wyjątkowo wyczerpująca wyprawa.

- Oczywiście, kochanie. Idź spać. Potem pomyślimy o czymś do jedzenia.

Chłopak serdecznie ucałował matkę i wyciągnął dłoń do Seta.

- Dzięki za pomoc. Bardzo się cieszę, że przyjechałeś do Amsterdamu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Richie.

Carolina z wielką radością patrzyła na tę scenę - cieszyła się, że między Setem a jej synem powstała tak serdeczna więź.

- Ja też będę się zbierał - powiedział Seth, gdy Richie już wyszedł z salonu. - Muszę nadgonić pracę, a i ty masz różne ważne sprawy do załatwienia.

- To prawda. Powinnam się natychmiast do nich zabrać. Wziął swój neseser i razem z Carolina przeszli do holu.

- Ciekawe, co ugryzło Mercedes? - odezwał się, stojąc przed drzwiami windy.

- Nie mam pojęcia.

- Powiedziała, że wraca do Anglii.

- Przecież ciągle tam jeździ - zauważyła Carolina.

- Ale nie za każdym razem zabiera ze sobą meble, prawda?

- To prawda. Będę musiała trochę powęszyć. Wkrótce na pewno się dowiem, w czym rzecz.

Seth wziął ją w ramiona.

- Będzie mi ciebie bardzo brakować - powiedział miękko. - Tak bardzo chciałbym być z tobą każdego dnia... i każdej nocy.

- Jak także bym tego chciała - wyszeptała Carolina. - Ale teraz oboje mamy mnóstwo pracy.

- Wiem - odrzekł, patrząc jej prosto w oczy. - Koniecznie zadzwoń, jeśli będziesz mnie potrzebowała. A jeśli nic się nie będzie działo, zadzwonię do ciebie jutro, okay?

- Spróbuj tylko tego nie zrobić!

Przytulił ją mocno, a potem długo i namiętnie pocałował.

- Musimy coś wymyślić - szepnęła Seth. - Już po prostu nie mogę bez ciebie żyć.

Skinęła głową.

- Jakoś to ułożymy - zapewniła go, wiedząc, że wkrótce będą musieli to zrobić, ona bowiem czuła dokładnie to samo, co Seth.

Carolina weszła do salonu, podniosła słuchawkę i wystukała numer.

- Biuro pana Armstronga - odezwał się energiczny, kobiecy głos.

- Mówi Carolina Mountcastle. Pan Armstrong prosił, żebym zadzwoniła.

- Proszę chwilę poczekać. Armstrong zgłosił się niemal natychmiast.

- Pani Mountcastle? - Tak?

- Jakże się cieszę, że pani dzwoni - oznajmił, po czym odchrząknął głośno. - Bo widzi pani, mamy tu w muzeum drobny problem dotyczący pani rezerwacji. Okazuje się, że popełniliśmy pewną pomyłkę. Sala, którą zgodziliśmy się pani udostępnić, została zarezerwowana już wcześniej. Dlatego musi pani albo zmienić termin, albo znaleźć sobie inne miejsce.

- Co takiego! - krzyknęła. - Ta sala rzeczywiście została zarezerwowana bardzo dawno temu. Przeze mnie!

Armstrong zachichotał pod nosem.

- No, cóż. Rozumie pani, takie rzeczy się zdarzają. Drobne nieporozumienie...

- Nie. Nie rozumiem. Bo prawdę mówiąc, nic podobnego jeszcze do tej pory mi się nie przytrafiło, panie Armstrong.

- Nie musi być pani niegrzeczna, pani Mountcastle - upomniał ją karcącym tonem. - Myślę, że możemy załatwić ten problem, jak na cywilizowanych ludzi przystało.

- Ja właśnie usiłuję to zrobić, panie Armstrong. Tak się bowiem składa, że w swoich dokumentach mam koronną zdobycz każdego cywilizowanego społeczeństwa. Jest to umowa, podpisana przez obie strony. Jeśli mnie pamięć nie myli, w owym kontrakcie dokładnie została podana data mojej rezerwacji.

- Taaa. Cóż, miałem nadzieję, że uda nam się dojść w tej sprawie do przyjacielskiej ugody. Zdaje się, że nigdy przedtem nie organizowała pani u nas żadnych uroczystości, a jak podejrzewam, chciałaby to pani robić w przyszłości?

- W tę imprezę zostały już zaangażowane poważne nakłady finansowe.

- Rozumiem. Lecz druga strona może zgłosić te same zastrzeżenia. Prawdę mówiąc, ta dama będzie zdruzgotana, gdy się dowie, że nie może skorzystać z naszej sali - choć od dawna na to liczyła. Jest to ponadto ktoś bardzo blisko związany z naszym zarządem, a nie sądzę, by chciała pani antagonizować...

- Interesy i uczucia drugiej strony w żadnym razie mnie nie interesują, panie Armstrong - przerwała mu Carolina. - Mam podpisany kontrakt. Chyba nie chcecie państwo go zerwać?

- Niewykluczone, że będziemy do tego zmuszeni - oznajmił stanowczo. - O ile nie pozostawi nam pani innego wyboru.

Niemal ją zatkało. Czy ten człowiek naprawdę wyobrażał sobie, że zmusi ją do rezygnacji z ustalonego terminu?

- Nie zamierzam zmieniać swojego zdania w tej kwestii - oświadczyła stanowczo. - Bez względu na okoliczności.

- Doskonale, pani Mountcastle. W takim razie nasz departament prawny skontaktuje się z panią w tej sprawie.

- Z wami natomiast skontaktuje się mój adwokat.

Armstrong ponownie odchrząknął, a gdy się odezwał, jego głos wprost ociekał fałszywą słodyczą.

- Miałem nadzieję, że uda nam się załatwić ten problem polubownie. Ze względu na wszystkie zainteresowane strony. Bo widzi pani, owa dama, o której wspomniałem, ma kieszenie bez dna, jeśli rozumie pani, co mam na myśli, i raczej nie zgodzi się na rezygnację ze swoich praw. Pani Fitzsimmons i jej rodzina są hojnymi sponsorami naszego muzeum, obawiam się więc, że naraża się pani na niezwykle kosztowną batalię.

Carolina nie wierzyła własnym uszom, choć oczywiście wiedziała, że ten dureń, Armstrong, mówi prawdę. Czemu wcześniej na to nie wpadłam?, ganiła się w duchu, czując narastający gniew. Z drugiej strony nikomu rozsądnie myślącemu nie przyszłoby do głowy,

że Payton posunie się aż tak daleko.

Wzięła głęboki oddech i powiedziała zdecydowanym tonem:

- Zdaję sobie sprawę z ewentualnych kosztów, panie Armstrong, mimo to zamierzam walczyć o swoje prawa wszelkimi dostępnymi prawnie środkami. Gdy tylko odłożę słuchawkę, dzwonię do mojego adwokata. Może pan to przekazać pani Fitzsimmons.

- Doskonale - powiedział, kończąc rozmowę.

Carolina trzasnęła słuchawką. Miała ochotę pójść do kuchni i porozbijać wszystkie szklanki o ścianę.

I co, do cholery, mam teraz począć?, zapytywała się w myślach. Jej rywalka rzeczywiście dysponowała nieograniczonymi środkami i za wszelką cenę chciała zdobyć tę salę. Niewątpliwie też w zarządzie muzeum zasiadali jej krewni, gotowi zadbać o interesy Payton.

Zdecydowała, że natychmiast zadzwoni do Bernarda i spróbuje upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu: dowie się, w jakiej to pilnej sprawie chciał się z nią skontaktować, i spyta, jakie ma szanse w sporze z muzeum.

Z niechęcią podniosła słuchawkę i wybrała numer prawnika. Sekretarka od razu połączyła ją z Bernardem.

- Witaj. Jak wycieczka do Holandii?

- Dziękuję. Dobrze. Czy Weber się z tobą skontaktował?

- Oczywiście, i już wyjaśniliśmy wszystkie problematyczne kwestie. Teraz jeszcze ty i Matt będziecie musieli podpisać kilka dokumentów. Albo pofatygujecie się do kancelarii, albo prześlę wam te papiery pocztą.

- Przyjdziemy - zdecydowała Carolina. - To zapewne przyspieszy bieg spraw.

- Doskonale. W takim razie natychmiast każę wszystko przygotować.

- A o czym tak pilnie chciałeś ze mną porozmawiać, Bernardzie?

- Uważam, że powinniśmy się skontaktować z policją w związku z roszczeniami wysuniętymi przez Lelanda - odrzekł prawnik. - Nie chciałem jednak podejmować żadnych kroków bez twojej zgody.

- Z policją?!

- Owszem. Jestem przekonany, że pismo, które przedstawił twój szwagier, jest sfalszowane. On i Mercedes próbują wyłudzić od ciebie pieniądze. Oczywiście, możemy pójść na ugodę z Lelandem, zaproponować mu jakieś pieniądze i polecić, żeby jak najszybciej wynosił się z miasta. Możemy też zagrozić mu, że złożymy w sądzie kontrpozew z uzasadnieniem, że zobowiązanie jest sfalszowane, i pozwolić mu się zaplątać w aferę, którą

sam namotał. Ja jednak sądzę, że powinien dostać dobrą nauczkę.

- A jak mielibyśmy tego dokonać? - zainteresowała się Carolina.

- Poprosimy policję o ekspertyzę. Jeżeli rzekome pismo Lyona okaże się sfałszowane, Leland i ta jego panna zostaną aresztowani. W mojej opinii oboje prowadzą bardzo nieczystą grę. I powinni za to zapłacić.

- Doskonale. A więc podejmij odpowiednie działania. Już mi się znudziło bycie pionkiem w cudzych rozgrywkach.

- Cieszę się.

- A tak nawiasem mówiąc, gdy wchodziłam do domu, natknęłam się na Mercedes. Ściągnęła firmę zajmującą się przeprowadzkami. Wspominała coś o wyjeździe do Anglii.

- Wcale mnie to nie dziwi. Z tego, co słyszałem, nie mogła już płacić czynszu za apartament, więc musiała go wynająć.

- Trzeba przyznać, że jesteś wyjątkowo dobrze poinformowany.

- Staram się zawsze wiedzieć, co w trawie piszczy. To niezbędne w moim zawodzie.

- Ciekawe, czy Leland pojedzie razem z nią? Może w takim razie wycofa swoje roszczenia?

- Osobiście bym na to nie liczył - odparł Bernard. - On i Mercedes wynajęli apartament w hotelu przy Dwudziestej Trzeciej. Mercedes zapłaciła z depozytu złożonego przez osobę wynajmującą jej mieszkanie.

- Jezu, ty rzeczywiście wiesz, co w trawie piszczy.

- No dobrze. W takim razie zabieram się do pracy. Będę cię informował o wszystkim na bieżąco, ale na twoim miejscu nie przejmowałbym się już Lelandem. Myślę, że tę sprawę wyjaśnimy w rekordowo krótkim czasie.

- Bernardzie, jest jeszcze coś, o co chciałabym cię zapytać.

- Bardzo proszę - odrzekł prawnik.

Carolina opowiedziała mu o kłopotach z muzeum. Bernard parsknął śmiechem.

- A więc Payton Fitzsimmons zjawiała się w muzeum i zażądała wynajęcia sali już po tym, jak ty podpisałaś kontrakt! Zaraz zatelefonuję do tego dupka Armstronga. Oddzwonię w tej sprawie do ciebie jeszcze dziś, najdalej jutro.

- Jak sądzisz, czy mam szansę na zatrzymanie rezerwacji?

- A dla kogo ma być to przyjęcie?

- Na rzecz Towarzystwa Ratowania Zwierząt.

- Kto gra pierwsze skrzypce w tej organizacji?

- Lydia Carstairs - odpowiedziała Carolina.

- Znasz ją dobrze?

- Nie najgorzej.

- W takim razie zaraz do niej zadzwoń. Ta dama ma wielką siłę przebicia; założę się, że również zasiada w zarządzie Metropolitan. Prawdopodobnie sama szybko załatwi tę sprawę i nie będzie cię to kosztowało ani centa.

- Tak zrobię. Dziękuję, Bernardzie.

- Skontaktuję się z tobą niedługo - obiecał i odłożył słuchawkę. Carolina bezwładnie oparła się o stół.

A więc czeka mnie jeszcze jedna rozmowa, pomyślała z rezygnacją. Może to jednak ostatecznie rozwiąże moje problemy.

Wystukała kolejny numer. Odebrał kamerdyner, Normal, i natychmiast połączył ją z Lydią.

- Nie chciałabym cię niepokoić - odezwała się z wahaniem Carolina - ale właśnie zadzwonił do mnie niejaki pan Armstrong z muzeum.

- W jakiej sprawie? - spytała Lydia.

Carolina, najzwyczajniej jak to możliwe, wyjaśniła sytuację.

- Rozumiem - odrzekła Lydia. - A więc widzę, że Payton Fitzsimmons postanowiła za wszelką cenę doprowadzić cię do bankructwa. Tym razem jednak jest bez szans.

- A dlaczego? Czy z powodu mojego kontraktu?

- Nie. Kontrakt nie ma tu nic do rzeczy. Jestem przekonana, że cwani prawnicy mogliby znaleźć jakiś kruczek umożliwiający jego anulowanie.

- Co więc zrobimy?

- Nie będę cię w tej chwili zanudzać szczegółami - odparła Lydia. - Jutro dam ci znać.

- Czy naprawdę jesteś przekonana, że uda nam się wszystko przeprowadzić zgodnie z planem?

- Naturalnie. W ogóle nie zwracaj sobie tym głowy, moja droga. Przepraszam cię, ale mam coś do załatwienia. Zadzwoń jutro.

Carolina odłożyła słuchawkę, zastanawiając się, jakiego to asa wszechmocna pani Carstairs tym razem wyciągnie z rękawa.

## Rozdział 34

Carolina zajrzała do pokoju Richiego. Drzwi były otwarte, a chłopak siedział przed komputerem, zapatrzonej w ekran.

- Puk, puk - powiedziała, lekko stukając we framugę. - Mogę zająć ci chwilkę?

Spojrzał na nią przez ramię.

- Jasne, mamó. O co chodzi? - Znów przeniósł wzrok na ekran monitora.

- Właśnie rozmawiałam z Bernardem Goldsmithem. To prawnik, który zajmuje się spadkiem po tacie.

- Jedną chwilę, mamó... Muszę zamknąć ten plik.

Carolina usiadła na brzegu łóżka; po chwili Richie odwrócił się w jej stronę.

- Już. O co chodzi?

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że poleciłam mu, by wypełnił ostatnią wolę twojego ojca zgodnie z wszelkimi jego życzeniami.

- Czy to znaczy, że nie będziesz próbowała obalić testamentu?

- Nie będę. Tuż po spotkaniu z Monique i Anją zadzwoniłam do pana Webera, amsterdamskiego prawnika taty, i kazałam mu przygotować odpowiednie dokumenty. I właśnie Bernard zawiadomił mnie, że wszystkie procedury zostały już zakończone. Teraz tylko wujek Matt i ja musimy podpisać kilka papierów, i twoja siostra oraz Monique będą miały zabezpieczenie materialne.

Richie wstał od komputera i usiadł obok niej na łóżku.

- Dziękuję, mamó. - Objął ją i uściskał. - Bardzo cię kocham. Carolina pocałowała syna w policzek.

- Uznałam, że tak powinnam postąpić. Co prawda zajęło mi trochę czasu pogodzenie się z istnieniem... twojej siostry i ogarnięcie całej sytuacji, ale w końcu doszłam do wniosku, że Anja i Monique powinny dostać to, co zostawił im twój tata. Chciałabym też, żeby w przyszłości twoje stosunki z siostrą ułożyły się jak najlepiej. I z Monique też.

- Czy to znaczy, że przebaczyłaś tacie? - spytał Richie.

- Nie wiem skarbie... - Carolina smutno potrząsnęła głową. - W tej chwili nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Może z czasem...

- Tata nas też bardzo kochał - powiedział Richie z przekonaniem. - Przecież wiesz, że tak było.

- Owszem. Myślę, że rzeczywiście kochał ciebie... i mnie. - Spojrzała czule na syna. -



Chciałabym być równie wielkoduszna jak ty, kochanie.

Payton powiodła językiem po torsie Antonia, jej piersi ocierały się rozkosznie o jego brzuch.

Antonio przycisnął ją mocno do swojego nagiego ciała. A niech mnie, pomyślał. Dała mi wszystko, czego zawsze pragnąłem.

W kwaciarni zarabiał wyjątkowo dobrze. Zabierała go też na wszystkie imprezy i z dumą przedstawiała przyjaciółkom, a teraz jeszcze planowała to wielkie przyjęcie w muzeum, by wreszcie wszyscy jej znajomi mogli go poznać. I w dodatku była wyjątkowo sprytna i przebiegła.

Dziewczyna pieściła go językiem.

- Och, Payton, jak cudownie - jęknął głośno.

Chwilę później przetoczył ją na plecy i zaczął całować, po czym wszedł w nią jednym gwałtownym pchnięciem. Payton wygięła ku niemu biodra i próbowała dostosować się do jego tempa, gdy nagle rozległ się dzwonek telefonu. Natychmiast zeszywniała.

- Muszę odebrać, Antonio. Wybacz.

- Ooo, nieee. Nie ma mowy. - Przycisnął ją mocno całym swoim ciężarem, ale go odepchnęła.

- Puszczaj - warknęła gniewnie. - Mówiłam ci, że to ważny telefon. Antonio podniósł się i pozwolił jej sięgnąć po słuchawkę.

- Halo? - zaszczebotała Payton.

Gdy usłyszała, kto dzwoni, zerwała się z łóżka i zaczęła nerwowo spacerować po sypialni.

Mówiła coś szybko cichym głosem, tymczasem Antonio wodził zachwyconym wzrokiem po jej pełnych piersiach o różowych sutkach, krągłych pośladkach i szczupłym brzuchu. Nie mógł się już doczekać, kiedy wrócą do tego, co przed chwilą przerwali.

Nie było mu to jednak pisane. Po zakończeniu rozmowy Payton cisnęła przed siebie słuchawką i trafiła w kryształowe lustro toaletki, które roztrzaskało się na sto kawałków. Ciężkie szkło posypało się na flakony zawrotnie kosztownych perfum, a kilka z nich spadło na podłogę.

Po zapale Antonia nie zostało śladu, na jego twarzy pojawił się wyraz niesmaku. Nie miał pojęcia, co tym razem doprowadziło tę rozpaskudzoną dziwkę do szału, poznał ją już jednak wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie należy się odzywać, dopóki jej wściekłość nieco nie ostygnie.

Tymczasem Payton skrzyżowała ręce na piersiach i nadal chodziła tam i z powrotem

z twarzą wykrzywioną szpecącym grymasem gniewu. Po chwili z całej siły kopnęła leżące na podłodze rzeczy Antonia i posłała mu pełne furii spojrzenie.

- O co chodzi? - spytał.

- Posprzątaj to! - rozkazała. - Co?

- Ten bajzel! - wrzasnęła, wskazując na szczątki lustra i flakonów. Antonio gwałtownie usiadł na łóżku i walnął pięścią w materac.

- Sama sobie posprzątaj! - wykrzyknął, czerwieniejąc ze złości. - Nie jestem twoim pieprzonym służącym!

- Czyżby? - Spojrzała na niego pogardliwie i parsknęła złym śmiechem. - Przecież dla moich pieniędzy gotów byłbyś zrobić wszystko, prawda?

Antonio w mgnieniu oka zerwał się na równe nogi i podbiegł do Payton. Zamachnął się zaciśniętą pięścią, natychmiast jednak opuścił rękę. Chwytał dziewczynę za ramiona i przyciągnął do piersi.

- O co chodzi, kochanie? Co cię doprowadziło do takiej furii?

- Dzwonił ten fiut z muzeum, Damian Armstrong. - I?

- I okazuje się, że nie możemy wynająć sali na ten wieczór, na który chciałam.

- Chyba wszyscy tam poszaleli - stwierdził Antonio. - Przecież już obiecali, że dadzą ci, co tylko zechcesz. Twoja rodzina...

- Czy nie słuchasz, co do ciebie mówię? - wysyczała przez zaciśnięte zęby. - Nie mogę wynająć sali w terminie, jaki podałam! Ta stara suka, Lydia Carstairs, zagroziła, że wycofa dotację dla muzeum, jeżeli spróbują anulować kontrakt Caroliny.

- Dlaczego więc nie zagroziłaś im tym samym?

Payton spojrzała na niego, jakby był najgorszym tępakiem.

- Jezu! - jęknęła. - Ty naprawdę nic nie rozumiesz.

- Czego nie rozumiem? - dopytywał się, przyciągając ją mocniej do siebie. - Wytłumacz mi, proszę.

- Wszystkie moje pieniądze są zamrożone w trustach. Nigdy nie zdołam przebić Lydii Carstairs!

- Nadal nie rozumiem, czym się tak przejmujesz. - Antonio zaczął wodzić dłońmi po nagich plecach kochanki, od czasu do czasu muskając ustami jej ucho. - Przecież możemy wyprawić to przyjęcie w każdym innym miejscu.

- Nie w tym rzecz. Dostaję szału na myśl, że ta suka, u której przedtem pracowałeś, dostanie to, czego chce.

- No i co z tego? Co ona cię obchodzi? - powiedział, gładząc Payton po pośladkach. -

Najważniejsze, że mamy siebie nawzajem, że jesteśmy razem. Czyż nie?

Zesztywniała w jego ramionach, po czym odepchnęła go z całej siły.

- Daj spokój, kochana - perswadował cichym głosem, wsuwając dłoń pomiędzy jej uda. - Zapomnij o Carolinie. Myśl tylko o nas. - Pochylił głowę i zaczął językiem pieścić jej piersi.

Payton ponownie go odepchnęła, tym razem jeszcze gwałtowniej.

- Wynoś się! - zażądała władcym tonem.

- Co, do...

- Nie słyszałeś? Masz się stąd natychmiast wynosić!

- Co się dziś z tobą dzieje? - zapytał zdumiony. Payton jeszcze nigdy go tak nie potraktowała.

- Mam już ciebie dość. Ubieraj się i spadaj.

- Ale dlaczego?

- Precz! - wrzasnęła. - Nie jesteś mi do niczego potrzebny. Spełniłeś swoje zadanie, a teraz wracaj do Harlemu czy też innego zadupia dla kolorowej hołoty.

- Kurde, Payton, co ty wygadujesz? Daj spokój, ochłoń trochę. A co będzie z naszymi planami? Z kwaciarnią? Z nami?

Zaśmiała się pogardliwie.

- Z nami?! Nie istnieje coś takiego jak „my”. Nigdy nie istniało. A kwaciarnia? Po prostu ją zamknę. Prawdę mówiąc, szczerze jej nienawidzę. W ogóle nie zamierzam zajmować się tym dłużej. To zajęcie dla hołoty. Ja jestem gościem na przyjęciach. Lub sama je wydaję. Nie zamierzam więc nikomu świadczyć żadnych usług. Dość tego!

Krew gwałtownie odpłynęła mu z twarzy. Miał wrażenie, że świat wali mu się na głowę. Wiedział, oczywiście, że Payton nigdy go nie kochała, mimo zapewnień wykrzykiwanych w chwilach najwyższych uniesień, był jednak przekonany, że uzależniła się od niego w łóżku. Czyż wszystkie kobiety, z którymi się spotykał, nie mówiły, że jest najwspanialszy?

Schylił się i podniósł swoje ubranie, po czym ubrał się bardzo powoli, nie patrząc na kochankę. W końcu podszedł do szafy i wyjął kosztowną skórzaną kurtkę, również prezent od Payton. Jego wzrok padł na starannie powieszony marynarki i koszule, a także równo ustawione rzędy eleganckich butów, które kosztowały fortunę. Ogarnął go smutek. Chociaż w swojej dzielnicy zawsze uchodził za eleganta, nigdy dotąd nawet nie marzył o tak wspaniałych ciuchach. Teraz zastanawiał się smętnie, czy jeszcze kiedykolwiek będzie nosił takie rzeczy.

- Wychodzę - powiedział, spoglądając na Payton.

- Doskonale. I nie wracaj więcej.

- Dlaczego, Payton? - spytał cicho. - Czy przynajmniej to mogłabyś mi wyjaśnić?

- Jesteś zabawką, która już mi się znudziła. Dlatego spadaj. I to już. Antonio odwrócił się i cicho zamknął za sobą drzwi.

Payton stała w bezruchu i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się przestrzeń. A więc ta suka, Carolina Mountcastle, tym razem ją przechytrzyła. Ale ona, Payton Fitzsimmons, znajdzie sposób, żeby jej odpłacić pięknym za nadobne. Nie pozwoli się tak upokarzać. Tak czy owak, doprowadzi Caroline do kompletnej ruiny.

## Rozdział 35

Beth siedział na sofie ze szklanką szkockiej w dłoni. Richie miał spędzić tę noc u Jeffa Adlera, więc Carolina zadzwoniła do Setha, a ten zjawił się w ciągu kilku minut. Gdy usłyszał, że Monique dostanie zapisanę jej przez Lyona pieniądze, wyraźnie się ucieszył.

- Myślę, że podjęłaś słuszną decyzję - powiedział miękkiem głosem. Carolina spojrzała na niego w zamyśleniu.

- Mmra... też tak sędzę. I może nawet... z czasem... Nie wiem, Seth. Już niczego nie jestem pewna. To wszystko okazało się bardzo skomplikowane. - Wyciągnęła rękę i położyła na jego dłoni. - Wprost niesłychanie mi pomogłeś. Byłeś taki... życzliwy, wyrozumiały, wspaniałomyślny.

W tym momencie dojrzała w oczach Setha wyraz najszczerzego przywiązania. Nie zastanawiając się nad tym, co robi, nachyliła się i pocałowała go w usta. Nagle poczuła się bezpieczna i cudownie szczęśliwa.

Seth objął ją i odwzajemnił pocałunek. A potem odsunął się lekko i spojrzał jej prosto w oczy.

- Nie musimy się spieszyć - zapewnił. - Będę na ciebie czekać, Caroline Po czym musnął wargami jej wargi, a ona przyciągnęła go do siebie i zaczęła całować gorąco i namiętnie.

Co ja najlepszego wyprawiam?, upominała się w duchu. Czemu to robię? Kiedy jednak poczuła ciepło jego ciała, natychmiast zapomniała o wszystkich wątpliwościach.

- Musisz być wyczerpana - powiedział Seth, gdy oderwał się od jej warg. - Czy mam już iść?

- Mam ochotę na jeszcze jedną wódkę z tonikiem. A może przesadzam z tymi drinkami?

- W żadnym razie - odrzekł z uśmiechem. - Dzięki temu będę miał wymówkę, by nalać sobie kolejną porcję szkockiej.

Chwycił szklaneczki, poszedł do kuchni i chwilę później wrócił z gotowymi drinkami.

- Na zdrowie! - powiedział, wręczając Carolinie wódkę z tonikiem.

- Dziękuję, panie Foster - odrzekła żartobliwie. Odstawiła nietkniętą szklaneczkę na stół i odwróciła się do Setha, szukając ustami jego ust. Objął ją czule i zaczął gładzić po plecach.

- Jesteś taka... niezwykła - wyszeptał. - Zupełnie wyjątkowa.

Przeszedł ją dreszcz podniecenia. Już zapomniała, jakie to wspaniałe uczucie - a jeszcze tak niedawno sądziła, że już nigdy go nie zazna. Jej emocje były tak intensywne, że aż się ich przeraziła. Gwałtownie odsunęła się od Setha.

- Ja... ja... sama nie wiem - wyjąkała. - Nie mam pojęcia, dlaczego to robię. Jestem taka zdezorientowana.

Przyciągnął ją do siebie i objął czule.

- Przy mnie nie musisz niczego się obawiać - powiedział cicho. - Absolutnie niczego, ponieważ chcę dla ciebie tylko tego, co najlepsze. Bo widzisz... ja cię kocham, Carolino.

Czuł, że zadrżała lekko w jego ramionach, przytulił ją więc jeszcze mocniej, ale nie próbował całować. Niech wszystko rozwija się naturalnym rytmem.

Kiedy w końcu się od niego odsunęła, spojrzała mu prosto w oczy.

- Ja też chciałabym cię pokochać, Seth. I nawet myślę, że już cię kocham, ale mój strach jest silniejszy. Boję się siebie i boję się własnych emocji.

- Z czasem to minie, jestem pewien. Poznałem cię i wiem, że nie możesz żyć bez miłości. Pragniesz ją dawać i brać.

- Teraz jednak mam w sobie jeszcze tak wiele żalu i złości. - Westchnęła głęboko. - Złych, niszczących uczuć, które prześladują mnie dniami i nocami. Tak bardzo chciałabym się ich pozbyć.

- Już niedługo znajdziesz sposób, aby je pokonać.

- Dobrze mnie poznałeś.

- Sądzę, że tak.

- I akceptujesz mnie, chociaż ci powiedziałam o tych moich okropnych myślach?

- Oczywiście. Ponieważ wiem, że nie są częścią twojej prawdziwej natury. To jedynie stan przejściowy, sama się o tym przekonasz.

- Wcale nie jestem tego taka pewna.

- Myślę, że możesz się winie nauczyć od swojego syna.

- Od Richiego? Co przez to rozumiesz?

- Spójrz, jaki jest wielkoduszny i pełen miłości. - Pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta. - Kocham cię - wyszeptał.

Te słowa ją zelektryzowały. Zarzuciła Sethowi ramiona na szyję i zaczęła go całować z jeszcze większą żarliwością niż przedtem. Odwzajemniał jej pocałunki i wkrótce ogarnęło ich wszechwładne pożądanie. W końcu Seth oderwał wargi od jej ust, tylko po to, by całować jej szyję.

Kiedy delikatnie objął dłonią jej pierś, Carolina jęknęła cicho, co rozpałiło go do

białości. Zaczął całować ją namiętnie, zachłannie, nie wypuszczając z mocnego uścisku.

- Kocham... cię... - wykrztusił - ale... nie chcę... jeśli jeszcze nie jesteś gotowa...

W odpowiedzi z całej siły przywarła wargami do jego ust i Seth już wiedział, że tej nocy będą się kochać. Podniósł Caroline z sofy i poprowadził do sypialni, a później rozbierał powoli, ciesząc oczy jej kształtami. Szybko zrzucił z siebie koszulę i spodnie, i znów wziął Caroline w objęcia. Gładził ją po plecach, potem pochylił się i zębami delikatnie drażnił jej sutki. Było jej tak cudownie. W tym momencie jej pożądanie sięgnęło szczytu - nie mogła się już doczekać, gdy wreszcie poczuje go w sobie. Jakby czytając w jej myślach, Seth wsunął się w nią powoli. Carolina westchnęła i zaczęła poruszać się wraz z nim.

Seth zanurzał się i wysuwał coraz gwałtowniej, coraz szybciej. W końcu oboje znaleźli się tam, skąd już nie było odwrotu. Carolina jęknęła w ekstazie i zaczęła drzeć na całym ciele. Seth krzyknął głośno, zastygł na moment w bezruchu, a potem opadł na nią, z trudem łapiąc oddech.

- Och... Carolino... Kocham cię. - Przytulił ją mocno, jakby już nigdy nie zamierzał wypuścić jej z objęć.

- Ja też cię kocham, Seth.

- To najwspanialsza noc w moim życiu - wyszeptał. - Przysięgam. Najwspanialsza.

Carolina uśmiechnęła się lekko.

- Delektowałam się każdą chwilą. Nie miałam pojęcia, że w ogóle można być tak szczęśliwą. Coś we mnie obudziłeś na nowo, Seth... I nie mam na myśli jedynie seksu, oczywiście było fantastycznie, ale to coś dużo głębszego. Nagle poczułam, że znów żyję, że jestem spełniona. Do tej pory byłam jak zjawia, bezcielesny duch.

- Nigdy nie byłeś bezcielesnym duchem - zaprotestował Seth. - Byłaś po prostu spragniona miłości. Bardzo chciałaś kochać i być kochaną. A ja pokochałem jakąś część ciebie już wówczas, gdy pierwszy raz się widzieliśmy.

18. Najlepsze..

- Naprawdę?

- Tak. Choć po uszy zakochałem się w tobie dopiero wtedy, kiedy udało mi się poznać cię lepiej. Teraz nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

- Ja też nie mam pojęcia, co bym bez ciebie zrobiła. Tak bardzo mi pomogłeś.

- I będę wciąż pomagał, jeśli tylko mi pozwolisz - zapewnił ją z uśmiechem. - Ilekroć cię widzę, zawsze chciałbym być przy tobie blisko, kochać cię i chronić.

- Bardzo bym tego chciała. Ale potrzebuję czasu, Seth.

- Nie zamierzam cię poganiać.

Carolina przytuliła się do jego ciepłego ciała. W jednej chwili ogarnęła ich namiętność i wkrótce kochali się ponownie - tym razem jednak spokojniej, poznając się nawzajem, odkrywając nowe przyjemności.

Carolina miała wrażenie, że nagle się przebudziła i że przeszłość wreszcie stała się przeszłością. Tej nocy zaczęło się dla niej nowe życie - życie u boku wspaniałego mężczyzny. Poczula tak wielką radość, że do oczu napłynęły jej łzy.

- Co się stało? - spytał szeptem.

- Nic. Po prostu jestem bardzo szczęśliwa. Już nie wierzyłam, że kiedykolwiek jeszcze może tak być. Dałeś mi tak niebywałą... radość.

Delikatnie otarł palcem jej łzy.

- Pragnę dla ciebie samej radości. Dla ciebie i dla Richiego.

- Cieszę się, że myślisz również o moim synu.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej.

- A gdy już o Richiem mowa - nie jestem pewna, czy uda mi się ukryć przed nim swoje uczucia.

- Myślę, że wcale nie musisz - odrzekł Seth.

- Chyba masz rację, Richie cię lubi.

- Mnie też tak się wydaje. I zapewniam cię, że z wzajemnością.

- To cudownie, że mamy dla siebie tę noc.

- Tak - przyznał, przygarniając ją do siebie. - Nie wyobrażam sobie czegoś wspanialszego. Cała noc u twojego boku.

- Musimy jak najlepiej ją wykorzystać, prawda?

- Oczywiście - odrzekł Seth i objął ją mocno.



## Rozdział 36

Carolina po raz tysięczny studiowała szkice dekoracji na wielką galę w muzeum. Dzisiejszy wieczór miał przesądzić o jej pozycji w tym lukratywnym biznesie.

Była coraz bardziej rozemocjonowana. Przed chwilą rozmawiała przez telefon z Mattem, który właśnie - na czele całej kolumny pojazdów - wyruszał z Connecticut do Nowego Jorku. Na ciężarówkach znajdowały się setki żywych brzoźek i zimozielonych roślin, tysiące kwiatów doniczkowych oraz tony jesiennych liści.

Gala odbędzie się w brzozowym zagajniku pod koniec jesieni, gdzieś na północy Rosji lub Finlandii, a goście wejdą do środka nie jak zwykle, po czerwonym dywanie, tylko po kobiercu z opadłych kolorowych liści. Wśród drzew staną staroświeckie chatki, przypominające bajkowe domki z piernika, gdzie będzie można usiąść na spokojnego drinka we dwoje. Po oficjalnej części i obiedzie, gdy rozpoczną się tańce, z kryształowych żyrandoli zaczną opadać płatki śniegu. Carolina była przekonana, że całkowicie oszołomi tym gości.

- Carolino, do ciebie. - Dotarł do niej głos Roxie.

- Słucham? - spytała. Była tak pogrążona w swoich szkicach, że nie usłyszała, co mówi do niej przyjaciółka.

- Telefon do ciebie.

- Kto dzwoni?

- Zgadnij - odrzekła Roxie z porozumiewawczym uśmiechem.

A więc to Seth. Gdyby to był ktoś inny, Roxie nie uprawiała takich gier.

- Dziękuję. - Wzięła od niej słuchawkę. - Carolina.

- Kocham to imię. - Usłyszała głos Setha i jej serce gwałtownie przyspieszyło. - Tęsknię za tobą - dodał po chwili.

- Ja też.

- O której mam po ciebie przyjechać?

- Myślę, że koło szóstej - odrzekła. - Mam nadzieję, że do tej pory zdołam wpaść do domu, wykapać się i przebrać. Muszę być na miejscu jak najwcześniej, żeby osobiście wszystkiego dopilnować.

- W porządku. Czekać na mnie.

Carolina rozłączyła się i oparła plecami o ścianę. Nagle praca, która czekała ją tego dnia, przestała się wydawać tak niewyobrażalnie ciężka i stresująca.

Poradzę sobie, zapewniła się w duchu. Przecież zawsze w końcu mi się udaje.

- No dobrze! - wykrzyknęła, by usłyszeli ją wszyscy w kwaciarni. - Czas zacząć show!

Payton miała właściwie stały wstęp do Metropolitan Museum. Członkowie jej rodziny należeli do hojnych sponsorów tej szacownej instytucji, ona sama zaś była po imieniu z większością członków zarządu i z co ważniejszymi kustoszami, toteż wystarczył jeden telefon, by mogła wejść do środka niemal o każdej porze. Podobnie jak większość członków nowojorskiej elity oglądała nowe ekspozycje, jeszcze zanim udostępniano je publiczności, mogła też podziwiać zbiory przed lub po godzinach otwarcia - albo sama, albo w towarzystwie któregoś z kustoszów. Gdy więc zadzwoniła do Camerona Fulhama, szefa działu antycznej rzeźby greckiej, natychmiast zaproponował, że osobiście oprowadzi ją po wystawie.

- Dziękuję, Cameronie. To bardzo miło z twojej strony, ale nie ma sensu, żebyś się fatygował. Po prostu chciałabym przejść się dzisiaj po salach. Czy mógłbyś jednak podać moje nazwisko przy wejściu, żeby mnie wpuszczono? Nie wiem, czy zdążę wpaść przed zamknięciem muzeum.

- Oczywiście, Payton. Zaraz się tym zajmę. Gdybyśmy już zamknęli, każ strażnikowi zawołać któregoś z ochroniarzy. Zostawię dla ciebie przepustkę VIP-owską u nich w biurze. Możesz przyjść, kiedy tylko zechcesz.

- Jesteś wspaniały, Cameronie.

Teraz pędziła przez galerię greckiej i rzymskiej rzeźby antycznej, zaciskając przepustkę w dłoni. Najprawdopodobniej w ogóle nie będzie jej potrzebować - do zamknięcia muzeum zostało jeszcze sporo czasu, a nie zamierzała zostawać tu zbyt długo. Przepustka mogła się jednak przydać, gdyby któryś ze strażników jej nie rozpoznał i nie pozwolił wejść do niektórych pomieszczeń - na przykład do Sali Średniowiecznej, gdzie wieczorem miała się odbyć wielka gala. Payton wiedziała, że to miejsce z pewnością jest teraz zamknięte dla zwiedzających - wiedziała również, że wszelkie ustawione dziś barierki bardzo łatwo będzie obejść. Pod niektórymi względami zabezpieczenia w muzeum zakrawały na kpinę.

Zorientowała się w projekcie Caroliny, jeszcze zanim dotarła do Sali Średniowiecznej. W pierwszej chwili patrzyła na dekoracje otwartymi ze zdumienia oczami, nie rozpoznając pomieszczenia, w którym się znalazła. W przejściu prowadzącym do sali wyrósł nagle prawdziwy brzozowy zagajnik, a do tego jeszcze ustawiono mnóstwo krzewów i roślin w doniczkach.

Jezu, pomyślała. Ta kobieta zamierza przekształcić muzeum w park narodowy!

Gdy już dotarła do sali, zobaczyła kilku robotników w pośpiechu rozstawiających

następne drzewa i krzewy. Tu i ówdzie składano z gotowych elementów śmieszne chatki, pod każdą ścianą zaś wzniesiono rusztowania sięgające aż na sufit - tak więc całe pomieszczenie było właściwie nimi zabudowane.

Co, u diabła, wymyśliła tym razem? Zapewne zamierza coś zawiesić na tych rusztowaniach. Ciekawe, co?

Payton przechadzała się po sali wolnym krokiem, przybrawszy tak wyniosłą i pewną siebie minę, że nikt nie śmiał zapytać, co tutaj robi. Przyjrzała się więc spokojnie podium dla orkiestry, parkietowi do tańca oraz części, w której miały stanąć stoły. Po pewnej chwili spostrzegła, że robotnicy zaczynają mocować na rusztowaniach kandelabry.

Jakie to trywialne, skrytykowała w myślach pomysł rywalki. Chyba stacją na coś więcej.

Kiedy jednak zobaczyła zestaw kandelabrów przygotowanych do powieszenia, niemal zachłysnęła się z wrażenia. Nawet ona musiała przyznać, że Carolina działa z wielkim rozmachem. Zamiast oklepanego tuzina świateł, nad głowami gości rozbłyśnie ich co najmniej setka.

Po przeciwnej stronie sali dostrzegła robotników zebranych wokół wózka widłowego i zwoju lin. Podeszła bliżej i wówczas zobaczyła, że wciągają jakąś maszynę na platformę zamontowaną na rusztowaniu. Kilka podobnych stało jeszcze w pobliżu.

Ach, tak. Urządzenia do wytwarzania sztucznej mgły. Carolina zamierza wykorzystać suchy lód do stworzenia pożądanego efektu.

W tym momencie Payton uznała, że zobaczyła wszystko, co chciała. Już wiedziała, co zrobi, gdy wieczorem przyjdzie tu na przyjęcie.

To będzie dziecinnie proste, stwierdziła, a na jej ustach pojawił się zły uśmiezek. Już nie mogła się doczekać, by zadzwonić do starego, dobrego Champersa. Musi mieć jak najwięcej czasu na przygotowania do tej gali.

Wyszła z sali z dumnie podniesioną głową, postukując wysokimi obcasami.

Och tak, pomyślała. Jeśli się pospieszę, wszystko uda się załatwić. Zemsta to cudowne uczucie. Oto dzisiaj będę uczestniczyła w ostatnim przyjęciu obsługiwanym przez Caroline Mountcastle!

- Jak wyglądam, skarbie? - zapytała Carolina, obracając się kilkakrotnie przed synem.

Postanowiła sprawić sobie nową, zawrotnie kosztowną kreację, by tego wieczoru olśnić wszelkich potencjalnych klientów. Poza tym, przecież teraz stać ją było na takie stroje, czemu więc miała odmawiać sobie przyjemności. Zawirowała raz jeszcze i karminowa spódnica projektu Oscara de la Renty - z kosztownej tafty, obszyta u dołu szerokimi

falbanami - zaszeleściła tak, jak szeleszczą jedynie luksusowe jedwabie. Na ciemnoszarej górze z tej samej tkaniny połyskiwał naszyjnik z rubinów; całości dopełniały rubinowe kolczyki i bransoletka.

Ten komplet Carolina również kupiła specjalnie na dzisiejszą okazję. Nie chciała wkładać niczego, co dostała od Lyona - biżuterię od męża zamknęła w oddzielnej kasetce, którą postawiła na najwyższej półce w szafie. Postanowiła, że od czasu do czasu będzie zanosić po jednej sztuce do domu aukcyjnego Sotheby's lub Christie's i wystawiać na sprzedaż - w ten sposób w niedługim czasie pozbędzie się wszystkiego, łącznie z pierścieniem zaręczynowym.

- Wyglądasz odjazdowo, mamó - zapewnił Richie. - Wręcz superodjazdowo. Dzisiaj na twój widok wszystkim facetom opadną szczęki. A Seth do końca straci głowę.

Carolina chwyciła twarz syna w dłonie i głośno, teatralnie cmoknęła go w usta.

- Dziękuję, skarbie - powiedziała i w tym momencie zdała sobie sprawę, że chłopak jest już od niej wyższy. Żeby potargać jego gęstą czuprynę, musiała podnieść rękę.

- O co chodzi? - spytał Richie. - Patrzysz na mnie, jakbym był jakimś dziwnym wybrykiem natury, czy czymś w tym rodzaju.

- Och, skądże. Po prostu nagle odkryłam, jak bardzo urosłeś.

- To od wyciągania się do piłek tenisowych.

Rozległ się brzęczyk domofonu.

- To pa pewno Seth - odezwała się Carolina. - Wpuść go, dobrze? Ja jeszcze raz sprawdzę makijaż.

Pobiegła do łazienki, zerknęła w lustro, po czym wróciła do salonu.

- Wyglądasz przepięknie. - Seth spojrział na nią zachwyconym wzrokiem.

- Z ciebie też niezły przystojniak.

- Gotowa?

Skinęła głową, wzięła wieczorową torebkę i nadstawiła Richiemu policzek. Syn cmoknął ją posłusznie.

- Bawcie się dobrze - rzucił.

- Prawdopodobnie wrócę bardzo późno - powiedziała Carolina.

- Nie szkodzi. Mam mnóstwo roboty. Poza tym chcę pomailować z Anją i Monique.

- Pozdrów je od nas.

- Zrobi się.

Piąta Aleja była zapchana limuzynami, nieco dyskretniejszymi lincolnami, a także prowadzonymi przez prywatnych szoferów mercedesami, bentleyami i rolls-royce'ami. Na

schodach wiodących do muzeum leżał wprawdzie zwyczajowy czerwony dywan, był jednak pokryty wielobarwnymi, jesiennymi liśćmi.

Gdy sławni i bogaci wchodzili po stopniach, towarzyszyło im gwałtowne błyskanie fleszy. Od czasu do czasu fotografowie prosili którąś ze sław, by zechciała pozować do zdjęcia i większość - szczególnie kobiety - chętnie wyrażała na to zgodę. Ci ludzie byli przyzwyczajeni do obecności paparazzich i - choć publicznie temu zaprzeczali - celowo patrzyli w stronę obiektywów, bo widok własnych podobizn w gazetach i magazynach zawsze mile łechtał ich próżność.

Wewnątrz muzeum szeroka ścieżka z liści wiodła przez marmurowe i granitowe korytarze do Sali Średniowiecznej. Nawet najbardziej zblazowani bywalcy wszelkich imprez zdążyli wyczuć, że tego wieczoru czeka ich coś niezwykłego. Rozsypanie liści było oczywiście prostym pomysłem, ale niezwykle oryginalnym. Carolina stworzyła odpowiednią atmosferę, zanim jeszcze goście weszli do środka.

Potem zaś, w Sali Średniowiecznej, wspaniały wystrój sprawił, że nawet najbardziej znudzeni rozplýwali się w zachwytach. Z okien małych chatek sączyło się światło świec, a liczne kryształowe kandelabry błyszczały pod sufitem na podobieństwo milionów gwiazd.

- To zachwycające - powiedziała chuda jak patyk, mocno opalona dama w unikatowej sukni od Diora, nachylając się do przyjaciółki, wicehrabiny z Paryża, noszącej suknię własnego projektu.

- Magia. Prawdziwa magia - westchnęła wicehrabina. - Coś podobnego mogłaby tylko stworzyć Marie-Helene, gdyby jeszcze żyła. Pamiętasz ten bal w Ferriere?

- Oczywiście, moja droga. Zatrzymałam się wtedy u ciebie i Pi... W ostatniej chwili powstrzymała się przed wypowiedzeniem imienia męża przyjaciółki. Dla nikogo już bowiem nie pozostawało tajemnicą, że wicehrabia jakiś czas temu wyprowadził się z ich pełnego przepychu paryskiego *hotel particulier* i zamieszkał z kochanką, zostawiając nieszczęsną żonę, która już dawno temu przekroczyła sześćdziesiątkę. W tym, że znalazł sobie kochankę, nie było, oczywiście, nic niezwykłego. Ale żeby zostawiać dla niej żonę? Ten facet nie miał za grosz klasy.

- Ach, tak, rzeczywiście - odparła bez zastanowienia wicehrabina. - To było w tym tygodniu, gdy zabrali cię na płukanie żołądka. Zbyt dużo leków psychotropowych i szampana naraz, czyż nie, moja droga?

Te i podobne uszczypliwości były zawsze wygłaszane z uśmiechem, bo wszyscy - choć nie przyznaliby się do tego nawet na torturach - mieli świadomość obecności fotografa z „New York Timesa”.

- O, cześć, Billy! - zaszczębiotała Payton Fitzsimmons na jego widok. - Jak się miewasz?

- Nieźle. A ty?

- Wprost wspaniale. - Upozowała się do zdjęcia w swojej kreacji od Yves'a St. Laurenta, jedną ręką trzymając pod ramię Champersa, a drugą ściskając naszywaną kolorowymi kamykami torebkę. Gdy błysnął flesz, uśmiechnęła się do Billy'ego i ruszyła w stronę gości, ciągnąc za sobą Champersa.

- Nie zachowuj się tak nerwowo - syknęła przez zaciśnięte zęby, cały czas wykrzywając usta w sztucznym uśmiechu. - I przestań grzebać w tej kieszeni.

Champers błyskawicznie posłuchał polecenia.

- Nie podoba mi się ten pomysł, Payton - oświadczył.

- Ależ oczywiście, że ci się podoba. Jesteś nim wprost zachwycony. Boisz się jedynie, że ktoś cię przyłapie na gorącym uczynku.

- Może i masz rację - odparł Champers z zadowoleniem. - To, co zamierzamy zrobić, jest tak rozkosznie niegrzeczne.

- Wyluzuj się, mój drogi. Zrobię wszystko sama. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, po prostu podasz mi zawartość swojej kieszeni. A ja załatwię sprawę w mgnieniu oka. Nikt nawet się nie zorientuje... - Urwała gwałtownie, z otwartymi ustami wpatrując się w drugi koniec sali.

- Co się stało? - zaniepokoił się Champers.

- Nie wierzę własnym oczom! - rzuciła gniewnie Payton. - Toż to ta nędzna szumowina, Antonio. W towarzystwie Libby Cooper!

- Żartujesz?

- Sam zobacz. - Nieznacznie skinęła głową w stronę wspomnianej pary.

Payton rzeczywiście miała rację. Antonio, jak zwykle zabójczo przystojny, w olśniewającym smokingu, obejmował w talii Libby Cooper, jedną z najbogatszych, najpiękniejszych i najchętniej rozdających swe wdzięki kobiet w Nowym Jorku - a właściwie na całym świecie.

- Zdaje się, że są blisko zaprzyjaźnieni - zauważył Champers.

- Nie da się ukryć - warknęła Payton. - I pomyśleć, że to właśnie ja przedstawiłam Libby tego dupka. Rozmawiali ze sobą najwyżej dwie sekundy.

- Cóż, z tego, co słyszałem, dla niej to aż nadto czasu, by zdecydować, czy ma na kogoś ochotę. A oboje wiemy, że jeśli Libby czegoś chce, zawsze to dostaje.

- Dziwka - rzuciła Payton z wściekłością. - Mam nadzieję, że ten fiut będzie ją

kosztować fortunę.

- Może poczujesz się lepiej, gdy ci powiem, że poprzedni kochanek kosztował ją drobne dwa miliony. W gotówce.

W tej samej chwili Antonio zerknął w ich stronę, pochylił lekko głowę w ukłonie i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Co za bezczelny sukinsyn - syknęła Payton. - Doprowadza mnie do furii.

- Daj spokój - powiedział Champers. - Masz przecież dzisiaj przed sobą ważne zadanie.

Spojrzała na niego, już opanowana.

- Racja. Ta kreatura może poczekać. Rozprawię się z nim przy innej okazji.

- Mądra dziewczynka - pochwalił Champers, nerwowo chwytając się za kieszeń.

Po kolacji i kilku krótkich, oficjalnych przemówieniach orkiestra zabrała się do pracy i goście ruszyli na parkiet. W tym momencie spod kandelabrow zaczęły opadać drobne płatki śniegu, a brzozy zagajnik spowiła lekka mgiełka, wywołując kolejne okrzyki zachwytu. Wkrótce drzewa, krzewy i jesienne liście zostały pokryte połyskliwą bielą i spowite tajemniczym białym welonem. Małe domki rozjaśnione świecami nabrały dodatkowego uroku pod warstwą białego puchu odbijającego światła kandelabrow i mieniącego się wszelkimi barwami tęczy.

Zgodnie z przewidywaniami Caroliny atmosfera stała się magiczna, jakby żywcem wyjęta z baśni, i nikt z gości - ani damy w wyszukanych kreacjach, ani mężczyźni w smokingach - nie narzekał na opadające na nich płatki sztucznego śniegu.

Lydia Carstairs co chwilę porywała Caroline, by przedstawić ją jakiejś bywalczyńni salonów czy też królowi naftowemu. Wszyscy bowiem pragnęli poznać osobę, która wymyśliła tak niezwykłą oprawę przyjęcia.

Zjawiskowa piękność z San Francisco, żona jednego z największych potentatów naftowych w kraju, objęła ją serdecznie, jakby były najbliższymi przyjaciółkami.

- Musi pani koniecznie zająć się przyjęciem urodzinowym dla mojego męża - powiedziała.

Słynny producent filmowy z Hollywood podszedł wraz z żoną i natychmiast oboje zaczęli rozpyływać się w komplementach.

- Mamy nadzieję, że zechce pani stworzyć oprawę naszego dorocznego letniego party w East Hampton oraz noworocznego przyjęcia w Aspen.

Wiekowa przedstawicielka śmietanki nowojorskiej chwyciła w obie dłonie rękę Caroliny.

- Niebiański wystrój - westchnęła z zachwytem. - Oczywiście, słyszałam już o tobie wcześniej, moja droga, a teraz pozostanę twoją dozgonną wielbicieleką. Wkrótce pozwolę sobie zadzwonić.

Po kilku podobnych rozmowach, Carolinie zakręciło się w głowie ze szczęścia i szybko ruszyła na poszukiwanie Setha.

Tańczyli razem przez dłuższą chwilę, w końcu jednak uznała, że musi sprawdzić, co słychać u Matta i Thada, zajmujących się oświetleniem, wytwarzaniem mgły i czuwających nad tysiącem szczegółów, które przyczyniły się do dzisiejszego sukcesu.

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? - spytał Seth.

- Nie - odrzekła. - To zajmie zaledwie chwilę. Ty tymczasem spróbuj się dobrze bawić.

- Spotkamy się przy stole?

- Tak. - Odwróciła się i skierowała w stronę „kulis”, gdzie siedzieli Matt i Thad. Po drodze jednak wciąż zaczepiał ją któryś z gości, zasypując komplementami.

Kiedy w końcu dotarła do brata i jego przyjaciela, powitali ją szerokimi uśmiechami.

- Czyż to nie wspaniały widok? - spytał Matt.

- O, tak - przyznała Carolina. - Ale bez was nigdy nie osiągnęłabym tego efektu.

- Oraz bez armii innych ludzi - dorzucił Thad.

- To prawda.

- Wyglądasz uroczo - powiedział Matt.

- Dzięki.

- Pamiętaj, siostrzyczko, że teraz już możesz iść się bawić. My panujemy nad całością. Nasi ludzie jutro do południa wszystko uprzątną. Nikt nigdy nie zgadnie, że dziś odbywała się tu wielka feta.

- To będzie ciężka praca - zauważyła Carolina, rozglądając się po sali. - Przyjdę wam pomóc.

- Daj spokój - zaprotestował Matt. - Ostatecznie płacisz niezłą sumkę za nasze usługi.

- To prawda. - Parsknęła śmiechem. - Czy nie sądzicie jednak, że może to być początek długiej owocnej współpracy?

- Mamy taką nadzieję - odparł Thad. - To straszna harówka, ale warta końcowego efektu.

Carolina cmoknęła go w policzek.

- Kocham cię za te słowa, Thad.

- No dobrze, a teraz już uciekaj - zarządził brat. - Pokręć się jeszcze chwilę na



parkiecie.

W tym momencie zza krzewów i brzoź wyłonił się rozgorączkowany Antonio.

Matt i Thad wbili w niego zdumiony wzrok. Carolina pierwsza odzyskała panowanie nad sobą.

- Antonio. Miło cię widzieć - odezwała się chłodnym tonem.

- Carolino! To pilne! Musisz natychmiast iść ze mną!

- O co chodzi? - Teraz już nie na żarty zaniepokoiła się szczerym przerażeniem Antonia.

- O Payton - odrzekł krótko.

- Payton?!

- Lada chwila spróbuje zrujnować twoją pracę i jeśli się nie pospieszymy, to jej się uda.

- Jak zamierza to zrobić? - spytał Matt, zrywając się na równe nogi.

- Nie wiem. Widziałem jednak, że kręciła się za rusztowaniem w pobliżu maszyn do wytwarzania mgły i, jak ją znam, na pewno wam szykuje coś naprawdę paskudnego.

- Co to może być? - Caroline ogarnęła panika.

- Zaraz mogę się tego dowiedzieć - odezwał się Thad. - O ile nie masz nic przeciwko drobnej zmianie oświetlenia.

- Jaką zmianę masz na myśli? - spytała Carolina.

- Oświetlę maszyny do mgły najsilniejszym punktowym reflektorem. Nawet z tego miejsca dokładnie zobaczymy, co próbuje nam wywinąć Payton.

- Świetny pomysł - zdecydował Matt.

- Nie zamierzam czekać z założonymi rękami - oświadczyła Carolina. - Idę pod rusztowanie.

- Pójdę z tobą - zaproponował Antonio.

Ruszyli przez tłum, ale w połowie drogi usłyszeli zbiorowy okrzyk zdumienia. Oświetlenie zmieniło się gwałtownie, a orkiestra urwała w pół taktu. Carolina wpadła na parkiet i stanęła jak wryta, gdy spojrzała w stronę ostro rozjaśnionego miejsca.

Niczym zając złapany w światła samochodowych reflektorów, Payton zastygła w bezruchu, ściskając w dłoni jakiś metalowy przedmiot i mrużąc gwałtownie oczy w oślepiającym blasku. Nie ulegało wątpliwości, że to, co trzymała w ręku, zamierzała wrzucić do urządzenia wytwarzającego sztuczną mgłę. Thad miał rację, pomyślała Carolina. To był najlepszy sposób zdemaskowania Payton, na którą patrzyły teraz dziesiątki par oczu.

W tej samej chwili przystojny mężczyzna w eleganckim smokingu (Seth!,

wykrzyknęła w myślach), wyskoczył z cienia i złapał winowajczynię za ramię. Za nim nadbiegli czterej ochroniarze i pochwycili dziewczynę za ręce, wrywając jej z dłoni ów tajemniczy przedmiot. Wśród tłumu rozległy się zdumione szepty, ale w tym momencie ostre światło zgasło, a orkiestra podjęła przerwana melodię.

- Ciekawe co to było? - odezwała się Carolina.

- Zapewne jakiś gaz - odrzekł Antonio.

- Dziękuję ci bardzo za ostrzeżenie - powiedziała do niego serdecznie. - Gdyby nie ty, dzisiejszy wieczór zakończyłby się katastrofą.

- Jestem przekonany, że właśnie o to jej chodziło.

- Czy napijesz się czegoś ze mną i Sethem?

- Z przyjemnością się z nim przywitam.

Podeszli do stołu, przy którym Carolina i Seth siedzieli podczas kolacji i tam też zastali Seta otoczonego przez tłumek zaintrygowanych gości, usiłujących czegoś się dowiedzieć.

- Seth, co ona ścisłała w rękę? - zapytała wysoka blondynka w bliżej niesprecyzowanym wieku.

- Ochroniarze twierdzą, że pojemnik z jakimś związkami siarki. Nawet nie chcę myśleć o tym, co by się tu działo i o smrodzie, który byśmy tu mieli.

- Kto by to pomyślał! - wykrzyknęła blondynka. - Żeby Payton Fitzsimmons posuwała się do czegoś podobnego!

- Nie zapominaj, moja droga, że jej matka była z domu von Hoenhoff - wtrąciła inna kobieta. - Nie ma się więc czemu dziwić. Szaleństwo jest dziedziczne w tej rodzinie.

- Och, jesteś! - ucieszył się Seth na widok Caroliny. Przeprosił otaczających go gości i przytulił ją mocno. - Wszystko w porządku? - zapytał.

- Oczywiście. A co u ciebie?

- To prawdziwy bohater! - oznajmiła blondynka. Seth zwrócił się w jej stronę.

- W żadnym razie. To ochroniarze zasłużyli na uznanie. A przede wszystkim osoba czuwająca nad oświetleniem. A tak przy okazji, Dee Dee, chciałbym, żebyś poznała Caroline Mountcastle.

Blondynka rozpromieniła się i wyciągnęła w stronę Caroliny dłoń, na której dźwigała pokaźną ilość karatów.

- Moja droga, jestem zachwycona naszym spotkaniem - zaszczębiotała i uważnym spojrzeniem obrzuciła ją od stóp do głów. - Oscar! - zauważyła z uznaniem, mając na myśli kreację Caroliny. - Po prostu boski.

Carolina natychmiast rozpoznała jej twarz. Nowo poznana uchodziła za jedną z najlepiej ubranych kobiet na świecie. Z wielką pasją wydawała też przyjęcia i udzielała się towarzysko.

- Mnie również miło panią poznać - odrzekła Carolina.

- Jest pani geniuszem! - wykrzyknęła. - Najprawdziwszą artystką. Już zdobyłam pani numer, więc na dniach proszę oczekiwać ode mnie małego dryń-dryń. Motywem przewodnim będzie Tanger - już zacznij nad tym myśleć, moja droga. Gorąca letnia noc! Woń jaśminu! W samym środku lodowatego, nowojorskiego stycznia! - Wybuchnęła afektowanym śmiechem, po chwili jednak niżyla głos. - Muszę już zmykać, by wszystkim opowiedzieć o dzisiejszym popisie tej wstrętnej Payton Fitzsimmons. A wy, zakochane papużki, śmigajcie z powrotem na parkiet. Pa, pa!

Przez całą przemowę Dee Dee Antonio stał nieco z boku i teraz wreszcie Carolina mogła zwrócić się w jego stronę.

- To Antonio nas ostrzegł - wyjaśniła Sethowi.

- Witaj, Antonio. - Foster wyciągnął do niego dłoń.

- Witaj. Zobaczyłem Payton skradającą się za rusztowaniem i od razu zrozumiałem, że chce wyciąć jakiś numer.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziała Carolina. - I tobie też. - Przeniosła wzrok z Antonia na Seta. - Nigdy bym nie przypuszczała, że tak gwałtownie rzucisz się do walki.

- Gdy tylko oświetlił ją reflektor, pobiegłem w tamtą stronę. Z miejsca, w którym siedziałem, wyraźnie było widać, że szykuje się coś niedobrego. W pierwszej chwili nie poznałem Payton. Zabrali ją ochroniarze. Nie mam pojęcia, co ją czeka.

- Zapewne nic - odrzekła Carolina.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Usłyszeli kobiecy głos i chwilę później Libby Cooper przywarła do Antonia.

- Czemu tak twierdzisz, Libby? - zainteresował się Seth.

- Bo jestem członkiem zarządu muzeum - odparła wyniośle - i mam o wiele więcej szmalu od Payton. Ta suka tak paskudnie potraktowała Antonia, że będę się upierać, by wniesiono oskarżenie.

Chwilę później Antonio i Libby, czule objęci, ruszyli w stronę parkietu.

- A więc będzie to już drugie zatrzymanie tego dnia - oznajmił Seth.

- Co takiego?

- Czyżbyś nie słyszała? Dzisiaj policja aresztowała Lelanda i Mercedes. Ekspertyzy wykazały, że sfałszowali zobowiązanie Lyona.

- A więc Leland nie będzie już mógł zgłaszać żadnych roszczeń! - ucieszyła się Carolina.

- Czy miałabyś ochotę zatańczyć? - zapytał Seth.

- Ogromną. Dzisiaj już rzeczywiście mogę świętować. Orkiestra zaczęła grać „Najlepsze przyjdzie jutro” i Seth nachylił się do ucha Caroliny.

- Mam wrażenie, że to melodia specjalnie dla nas.

- Ja także - szepnęła, spoglądając mu głęboko w oczy. Zawirowali raz jeszcze wokół parkietu i Seth przycisnął ją mocniej do piersi.

- Kocham cię. Czy zechcesz zostać moją żoną, Carolino?

Serce zabiło jej mocniej, a po plecach przebiegł rozkoszny dreszcz.

- Och, tak, Seth. Tak. Niczego bardziej nie pragnę.

## Epilog

Nie minęło parę miesięcy, a Carolina została okrzyknięta w prasie nowojorską królową kwiatów i najmodniejszą florystką w mieście. To ona teraz zajmowała się najważniejszymi wydarzeniami towarzyskimi; niejednokrotnie też proszono ją, by zaprojektowała wystrój przyjęć w Paryżu czy Londynie. Stała się częstym gościem programów telewizyjnych. Podpisała kilka kontraktów na książki o kompozycjach kwiatowych i oprawie florystycznej bankietów - nad jedną z nich pracowała razem z Sybil Conroy. No i na wszystkich przyjęciach, którymi się zajmowała, była jednym z najbardziej pożądanym gości.

W jej życiu pojawiło się teraz wielu przeróżnych agentów, jako że stała się jedną z najczęściej pokazywanych w mediach osób. A nawet, ku jej wielkiemu zdumieniu, pewna znana firma kosmetyczna poprosiła, by wylansowała własne perfumy.

- Będą zapachem sukcesu - zażartował Seth.
- Raczej dużych pieniędzy - odrzekła Carolina.

Gdy rozeszła się wieść o jej planach prywatnych, rozdzwoniły się telefony z prośbami zupełnie innej natury niż te, z którymi miała do czynienia na co dzień.

Lydia Carstairs bardzo chciała podjąć się organizacji uroczystości, oferując swój przestronny nowojorski apartament lub wielką rezydencję w Southampton, tuż nad brzegiem oceanu. A na wypadek gdyby Carolinie nie odpowiadało żadne z tych miejsc, była gotowa wynająć reprezentacyjne sale w hotelu Plaža bądź Pierre.

Z kolei Matt i Thad nie wyobrażali sobie, by tą uroczystością mógł się zajmować ktokolwiek poza nimi. Uważali, że najodpowiedniejszą dla niej oprawą będzie ich wspaniały dom w stylu kolonialnym otoczony akrami uroczych ogrodów.

Wydawało się, że niemal każdy chce przyczynić się do uświetnienia ceremonii i Carolinie oraz Sethowi przykro było, że rozczarują tak wiele osób swoją decyzją, ale oni już wymarzyli sobie idealne miejsce na ślub - miejsce, gdzie nie pojawi się złąkniona sensacji prasa oraz pragnący zbić na wszystkim pieniądze agenci PR, czy też dalecy znajomi ze sztucznymi uśmiechami na ustach i suto wypchanymi portfelami. Nie chcieli nawet żadnych limuzyn - ani białych, ani w jakimkolwiek innym kolorze.

Ceremonia ślubna odbyła się w białym pawilonie, oświetlonym setkami świec, ustawionym pośrodku ogrodu przy wiejskim domku Caroliny w noc letniego przesilenia. Matt poprowadził siostrę do ołtarza, Richie był drużbą, Anja zaś sypała przed nowożeńcami

kwiatki.

Panna młoda wystąpiła w prostej, jedwabnej sukni koloru ecru, przede wszystkim dlatego, by wyeksponować królewski podarunek od Seta - komplet z żółtych brylantów, na który składały się: naszyjnik, kolczyki i bransoletka. Lśniły w nich takie same kamienie, jak te w zaręczynowym pierścieniu, który Carolina dostała na Boże Narodzenie.

Jedyną krewną ze strony Seta była Lydia Carstairs. Carolina - oprócz brata i syna - zaprosiła Thada, Anję i Roxie, którą traktowała niemal jak siostrę. A także... Monique Lehnert. Monique przyjechała wraz z Anją na Gwiazdkę do Nowego Jorku i między obiema kobietami zawiązała się nić przyjaźni.

Po ślubnej ceremonii podano szampana, który potem lał się strumieniami. Do tańca przygrywała niewielka, ale doskonała orkiestra, a zabawa trwała do rana.

Gdy Seth trzymał żonę w objęciach na parkiecie, Carolina spojrzała mu w oczy i szepnęła:

- Właśnie przyszło do mnie to najlepsze.